

# Kronika miasta Łodzi

kwartalnik ● 3/2005

## **Wystawieni na ciężką próbę**

Jako nieoczekiwane i niezawinione przyjęli Niemcy łódzcy gwałtowne wydarzenia Niedzieli Palmowej 1933 r. Zdemolowane zostały wówczas pomieszczenia redakcji i drukarni gazety „Freie Presse” przy ul. Piotrkowskiej 86. Wybito szyby w budynku gimnazjum niemieckiego przy alei Kościuszki i witrynach niemieckich księgarń.

## **Zło niekonieczne**

Po zakończeniu okupacji nazistowskiej stosunek łódzian do pozostałych w mieście Niemców był niejednorodny. O ile zdarzały się sytuacje brania w obronę niektórych znanych łódzian (by wspomnieć choćby strajk pracowników zakładów Geyera z powodu uwięzienia właściciela fabryki i jego dwóch córek, czy „list żelazny” dla Bruno Biedermanna), to jednak widoczne były akty rewanzu. Miejscowy „Express Ilustrowany” pod hasłem „Ani jednego Niemca na ziemi polskiej!”, nawoływał do wydawania ukrywających się osób narodowości niemieckiej. Akcja zapewne musiała nie przynosić odpowiednich rezultatów, jako że ostrzegano przed groźącymi za opieszałość karami. A warunki bytowania ok. 35 tys. Niemców w Łodzi powojennej dalekie były od normalności.

15, -



ci 110979/2005

.....  
Nazwisko i imię

.....  
Zajęcie

.....  
Znak statystyczny

.....  
Adres

Kieszonka



EX LIBRIS  
WOJEWODZKIEJ I MIEJSKIEJ  
BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ  
IM. MARSZAŁKA  
JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO  
W ŁODZI

iw/dk/324/2005

# Kronika miasta Łodzi



kwartalnik • 3/2005

Łódź 2005

REDAKCJA:

Gustaw Romanowski – redaktor naczelny

Marek Strąkowski – sekretarz redakcji

Mateusz Sidor – z-ca sekretarza redakcji

ZESPÓŁ:

Małgorzata Golicka-Jabłońska, Mieczysław Gumola, Gustaw Romanowski,

Mateusz Sidor, Marek Strąkowski

Koordynator numeru niemieckiego – Mieczysław Gumola

Projekt typografii i okładki – Andrzej Chętko

Skład – Jerzy Ledzion

Druk: Drukarnia offsetowa 2K,

93-134 Łódź, ul. Płocka 35/43

Wydawca: Urząd Miasta Łodzi

Adres redakcji: Biuro Prasowe UMŁ

Kronika Miasta Łodzi 90-004 Łódź, ul. Piotrkowska 113 (II p.)

tel. (42) 638-44-39

e-mail: [kronika@uml.lodz.pl](mailto:kronika@uml.lodz.pl)

ISSN 1231-5354

# Spis treści

<b>pierwsze kolumny</b>	<b>5</b>
<i>Gustaw Romanowski, Warto mieć przyzwoitego sąsiada</i>	
<i>Krzysztof Paweł Woźniak, Wystawieni na ciężką próbę</i>	
<i>Piotr Werner, Zmurszałe epitafia</i>	
<i>Mieczysław Gumola, Patrzmy przed siebie</i>	
<b>nauka</b>	<b>37</b>
<i>Marek Strąkowski, Obraz na wskroś subiektywny</i>	
<i>Mieczysław Gumola, Znasz li ten... język?</i>	
<i>Hanna Nowakowska-Pogodzińska, „Odpowiednie dać rzeczy słowo”</i>	
<i>Jerzy Andrzejewski, Zostawione w słowach</i>	
<i>Piotr Sętkowski i Piotr Boczkowski, Pisane gotykiem</i>	
<b>kultura</b>	<b>71</b>
<i>Łukasz Grzejszczak, Landschaft z fabrycznym kominem w tle</i>	
<i>Zuzanna Ogorzewska, Wzloty i upadki technoideologii</i>	
<i>Magdalena Starzycka, Ścieżka poznania</i>	
<i>Ewa Kaja, Wiedeński spleen</i>	
<b>historia</b>	<b>95</b>
<i>Marek Budziarek, Zło niekonieczne</i>	
<i>Joanna Podolska, Wyrwane korzenie</i>	
<i>Mariusz Z. Szczepaniak, Tory, które wiodły do końca</i>	
<i>Małgorzata Wysocka, Die Linien des Lebens</i>	
<i>Andrzej Kempa, Pierwsze gimnazjum niemieckie w Łodzi</i>	
<i>Mateusz Sidor, Pionierzy Teofilowa</i>	
<i>Mirosław Jaskulski, Bractwo kurkowe 1824–1939</i>	
<i>Katarzyna Juszczyk, Stuttgart – samo sedno Europy</i>	
<i>Michał Wawszczak, Chemnitz – miasto otwarte</i>	
<i>Monika Pietras, Wśród sukienników i tkaczy</i>	
<b>z cyklu: czarne dziury, białe plamy</b>	<b>157</b>
<i>Danuta K. Gruszczyńska, Niemcy moralnego sprzeciwu</i>	
<i>Winfried Lipscher, Widziane z oddalenia</i>	



	<b>łodzianie</b>	<b>171</b>
	<i>Łukasz Grzejszczak, Piewca natury</i>	
	<i>Mieczysław Gumola, Przywrócona tożsamość</i>	
	<b>religie, kościoły, wyznania</b>	<b>179</b>
	<i>Mateusz Sidor, Po drodze z Chrystusem</i>	
	<b>osiedla, domy, ulice</b>	<b>187</b>
	<i>Tomasz Bolanowski, Jaki miał być Litzmannstadt</i>	
	<i>Krzysztof Stefański, Udział Niemców w kształtowaniu architektury łódzkiej</i>	
	<i>Joanna Napiórkowska, Zostało po Niemcach</i>	
	<b>kroniki rodzinne</b>	<b>219</b>
	<i>Magdalena Starzycka, Węgrzy Poznańskiego</i>	
	<i>Joanna Napiórkowska, Saksończycy z Żubardzia</i>	
	<b>jak nas widzą, tak nas piszą</b>	<b>229</b>
	<i>Tina Stroheker, Inne miasto</i>	
	<b>z łódzkiego raptularza</b>	<b>234</b>
	<i>Übersetzt von Karolina Bernatowicz</i> <b>Zusammenfassung</b>	<b>255</b>

# pierwsze kolumny

**Warto mieć przyzwoitego sąsiada**

*Indywidualny wymiar problemu niemieckiego*

Gustaw Romanowski

str. 7

**Wystawieni na ciężką próbę**

*Antagonizmy i zblżenia*

Krzysztof Paweł Woźniak

str. 11

**Zmurszałe epitafia**

*Złotno wobec wymogów historii*

Piotr Werner

str. 20

**Patrzmy przed siebie**

*Wspólny dom i dziedzictwo*

Mieczysław Gumola

str. 26

# THE HISTORY OF THE

REPUBLIC OF THE UNITED STATES OF AMERICA

FROM THE FOUNDATION OF THE COLONIES TO THE PRESENT

BY

JOHN F. JOHNSON

NEW YORK

1875

THE HISTORY OF THE

REPUBLIC OF THE UNITED STATES OF AMERICA

FROM THE FOUNDATION OF THE COLONIES TO THE PRESENT

BY

JOHN F. JOHNSON

NEW YORK

1875

THE HISTORY OF THE

REPUBLIC OF THE UNITED STATES OF AMERICA

FROM THE FOUNDATION OF THE COLONIES TO THE PRESENT



# Warto mieć przyzwoitego sąsiada

*Indywidualny wymiar  
problemu niemieckiego*

pierwsze kolumny

Tak się złożyło, że niemieckie książki towarzyszyły mi od najwcześniejszego dzieciństwa. W moim rodzinnym domu było ich sporo i jak sięgnę pamięcią przerzucanie kart atlasów geograficznych, bogato ilustrowanych albumów i książek podróźniczych stanowiło moją namiastkę odbywania dalekich podróży. Te imaginacyjne wyprawy do pięknych miast i na słoneczne egzotyczne wyspy nie zaowocowały jednak nigdy nauką języka niemieckiego, choć oczywiście były także w domu dwa słowniki zdumiewające mnie wówczas swoją opasłością. Ale większość tych książek, a także słowniki, wydrukowane były alfabetem gotyckim. I nawet kiedy poszedłem do szkoły i zacząłem pochłaniać to, co tylko się dało przeczytać, tamten świat obcego języka i tajemniczego alfabetu pozostał nadal w mojej świadomości niedokończoną przygodą.

Wszystkie niemieckie książki w moim rodzinnym domu były własnością ojca, który w Niemczech Weimarskich spędził młodość, tam studiował i przez kilka lat pracował w konsulacie polskim w Essen. Ojciec zaczytywał się w niemieckiej literaturze, podziwiał Tomasza Manna, a kiedy wrócił do Polski kazał przysyłać sobie kolejne tomy swego ulubionego pisarza. Kilka z nich nadeszło chyba ze Szwajcarii, kiedy pisarz po dojściu faszystów do władzy na znak pogardy opuścił ojczyznę, żeby na emigracji stać się symbolem walki o odzyskanie honoru Niemiec.

\* \* \*

Problem niemiecki miał w moim rodzinnym domu różne oblicza. Ojciec, który już w listopadzie 1939 r. został zaprzysiężonym członkiem Służby Zwycięstwu Polski – pierwszej polskiej konspiracyjnej organizacji związanej w obliczu wojennej zmywy dwóch okupantów – starał się rozumieć tych Niemców, których hitleryzm zaskoczył, choć jeszcze nie przeraził.

Ale już jesienią 1941 r. przerażonych Niemców zaczęło przybywać. W następnym roku ojciec znalazł się wśród założycieli Wileńskiej Koncentracji

Demokratycznej – specjalnej organizacji konspiracyjnej utworzonej przez oficerów AK, do których zadań należało m.in. uświadamianie niemieckim żołnierzom ich haniebną rolę w okupowanej Europie. W niemieckojęzycznych broszurach i ulotkach wydawanych przez WKD wzywano żołnierzy Wehrmachtu do biernej postawy, dekokowania się, a nawet do dezercji. Dziś trudno ocenić jaki wpływ wywarła ta akcja, ale kilka zanotowanych przypadków ucieczki z okupacyjnej armii niemieckiej na terenie Wileńszczyzny rzeczywiście miało miejsce, a w 1943 r. niemiecki sąd wojenny skazał w Wilnie dwóch żołnierzy na rozstrzelanie za próbę dezercji z Wehrmachtu.

Na początku lipca 1944 r. do naszego domu w Wilnie przyszedł kapitan Wehrmachtu. Nakazał opuszczenie domu w związku z szybko zbliżającym się frontem i nadchodzącą krwawą bitwą o Wilno. Zaskoczony doskonałą niemiecką ojca oficer rozgadał się o literaturze, a kiedy zobaczył skrzypce w ręku naszej kuzynki, wziął je do ręki i zagrał Schuberta. Kapitan w cywilu był nauczycielem języków klasycznych, dwóch jego braci już zginęło na wschodnim froncie.

Opuszczając nasz dom powiedział, że pewnie jego dni także są policzone.

Po dwóch tygodniach, kiedy zakończyła się bitwa o Wilno, zwłoki tego oficera ojciec rozpoznał w lasku nieopodal naszego domu. Ojciec był pewien, że Niemiec nie zginął w walce, ale popełnił samobójstwo.

Ponownie z Niemcami ojciec miał zetknąć się po kilku latach w łagrach sowieckich na dalekiej północy, gdzie jako akowiec odbywał swoją dziesięcioletnią katorgę. Po ciężkim wypadku w kopalni węgla w Workucie otrzymał pracę tłumacza, pomagając komendantowi obozu porozumiewać się z niemieckimi więźniami – tą resztką jeńców wojennych, którym udało się w Gułagu przeżyć. We wspomnieniach ojca byli to ludzie złamani moralnie, ulegli, apatyczni, a czasem nawet służalczy. Dopiero w 1953 r., kiedy do obozu przywieziono uczestników powstania berlińskiego, powiało nagle świeżością. Ci młodzi Niemcy, którzy zbuntowali się przeciwko enerdownskiej władzy i sowieckim porządkom w Berlinie, nie mieli już kompleksu przegranych. I mimo łagrowych warunków byli o wiele bardziej otwarci od swoich starszych ziomków. Ale jedni i drudzy opuścili łagry już pod koniec 1954 r. Nadal w nich jednak pozostali Polacy, co było obłądnym paradoksem historii.

\* \* \*

Piszę tyle o doświadczeniach ojca, bo one są sporym fragmentem mojej rodzinnej historii, w której temat niemiecki w różnych odmianach pojawiał się i znikał.

Kiedy poszedłem do szkoły – a była to podstawówka nr 15 na Bałutach – wśród koleżanek i kolegów z różnych klas zauważyłem także egzotycznie dla mnie brzmiące nazwiska jak: Irma Holtzmann, Elza Lichtenberg, Ingrid Litzenburger, Hans Litzenburger, Erazm Radtke, Peter Richter. Podobnie jak ja były to bardzo biedne dzieci, a ze mną łączyło ich jeszcze to, że wychowywali się bez ojców.

Wszystkie te dzieci w latach 50. wyjechały z matkami i rodzeństwem do NRD. Jedyne Ingrid, która emigrowała z Polski dużo później, osiadła w Niemczech Zachodnich. Odwiedzając od czasu do czasu Łódź mówi, że jej adaptacja na niemiecką glebę była bardzo trudna i do końca się nie udała. Jej brat Hans czuł się tam tak źle, że po kilku latach wyjechał do Kanady. Mieszka dzisiaj w Vancouver. Z rodzeństwem Litzenburgerów łączyło mnie jeszcze jedno. Zarówno oni jak i ja doczekaliśmy się około 1957 r. powrotu naszych ojców z łagru. Ich ojciec – dobruśny piekarz w zgodnej ocenie sąsiadów jawił się w latach wojny jako „bardzo porządny Niemiec”. Nie chciał emigrować z Polski. Zmarł w Łodzi 1959 r. Mój ojciec żył nieco dłużej. Zmarł w 1963 r.

\* \* \*

Wracając do sprawy tzw. „porządnych Niemców”. Na bałuckiej ulicy Prusa, gdzie się wychowywałem, mieszkał niejaki pan Johann Richter, który przed wojną postawił tam piętrowy dom. Pan Richter, podobnie jak jego żona, mówił po polsku obcym, gardłowym akcentem, ale w 1939 r. odmówił podpisania volkslisty i wyjechał do Generalnej Gubernii, gdzie przeżył całą okupację.

pierwsze kolumny





Kiedy w 1945 r. po przejściu frontu wrócił do swego domu, gdzie aresztowali go rosyjscy żołnierze, którzy wyłapywali przypadkowych Niemców. Niektórych z nich rozstrzelali bez sądu, jeśli tylko polscy sąsiedzi powiedzieli coś złego o ich wojennej przeszłości. Jednak w obronie pojmanego pana Richtera – ku zdumieniu sowieckich żołnierzy – stanęła cała ulica Prusa, domagając się natychmiastowego uwolnienia przyzwoitego sąsiada.

Gdy w roku 1954 Johann Richter zmarł, cała ulica uczestniczyła w manifestacyjnym pogrzebie, a w kondukcje żałobnym poszły chyba wszystkie dzieci z mojej szkoły. Okazało się, że pan Richter przez całą okupację pomagał dyskretnie sąsiadom. Dostarczał im różne niemieckie dokumenty chroniące przed wywózką na roboty, załatwiał bilety i przepustki na przejazd przez granicę między Krajem Warty a GG, a po upadku powstania warszawskiego przeprowadził w bezpieczne miejsca wielu warszawiaków.

Nie wiem ilu było takich „panów Richterów” na innych peryferyjnych uliczkach Łodzi. Ale nawet gdyby tylko on jeden miał pozostać w pamięci następnych pokoleń mieszkańców naszego miasta, to warto było mieć takiego sąsiada.

*Gustaw Romanowski*

# Wystawieni na ciężką próbę

## *Antagonizmy i zblżenia*

Klatka schodowa kamienicy ze schyłku XIX w. Szerokie, wygodne schody, drewniana, przeszklona ściana z dwójgiem drzwi. Po obu ich stronach niewielkie, okrągłe, mosiężne szyldziki z wystającymi z nich pokrętłami. Wypukłe, wyraźne litery: *Bitte drehen*. Za drzwiami głośno bawiących się dzieci. Polskie głosy, polska kamienica, polskie miasto – moje miasto, i to nie moje: *Bitte drehen*: proszę kręcić. Ilekroć poruszam ten stary dzwonek, przywołuję jego głosem przeszłość. Obracając pokrętłem wolniej lub szybciej mogę dzwonkiem przekazać emocje: spokój, powagę, niecierpliwość, pośpiech, gwałtowność. Te same emocje komunikowali sobie niegdyś mieszkańcy tej i innych kamienic w moim mieście, dla których *Bitte drehen* było napisem oczywistym, zrozumiałym.

Polsko-niemieckie sąsiedztwo w wielonarodowościowej Łodzi to doświadczenie czterech pokoleń, żyjących ze sobą, ale i obok siebie. To nieco ponad sto dwadzieścia lat przyglądania się sobie, wzajemnego poznawania, zblżenia, ale i odpychania. Do I wojny światowej rzutowała na to sąsiedztwo polityka carskiego zaborcy, którego zasadzie *divide et impera* przeciwstawiano się w „złym mieście” tym silniej, im bardziej atrakcyjny dla jego elit był interes gospodarczy. Odrodzenie państwa polskiego w 1918 r. postawiło przed Niemcami łódzkimi problem określenia własnej tożsamości. Z dnia na dzień ich polscy sąsiedzi poczuli się „u siebie”, zaś Żydzi i Niemcy tak samo nagle przestali być rosyjskimi poddanymi. Pamiętano jeszcze deportacje bardziej zaangażowanych narodowo Niemców w głąb Rosji, dokonane na przełomie 1914 i 1915 r. Pamiętano też memoriał wystosowany w 1915 r. przez grupę nacjonalistycznych działaczy niemieckich do kanclerza Rzeszy z postulatem przyłączenia Łodzi wraz z guberniami piotrkowską, płocką i kaliską do państwa niemieckiego. Militarne klęski Niemiec złamała jednak nastroje wielkoniemieckie. Podczas wyborów do Sejmu Ustawodawczego w styczniu 1919 r. Niemcy mieszkający w Polsce nie wiedzieli za kim i za czym mają się opowiedzieć. Stanowisko zdecydowanej większości swoich rodaków w dawnym Królestwie Polskim przedstawił Józef Spickermann, poseł z Łodzi na Sejm Ustawodawczy. Podczas posiedzenia parlamentu 7 marca 1919 r. powiedział: *My obywatele pochodzenia niemieckiego, uważamy Polskę za naszą Ojczyznę, albowiem tu jesteśmy urodzeni, tu spędziliśmy naszą młodość, z ziemią tutejszą jesteśmy związani całym swoim myśleniem; cała nasza psychika jest zupełnie inna niż u Niemców zagranicznych, całą naszą siłę moralną czerpiemy z tej naszej ziemi rodzinnej; tylko tu czujemy się w domu, tylko*

pierwsze kolumny

*tu jesteśmy zupełnie swobodni, dlatego chętnie ponosimy wszystko w ofierze dla dobra państwa. Mienie i życie gotowi jesteśmy oddać, ażeby i z naszej strony przyczynić się do stworzenia silnej i potężnej Polski. Jednego tylko musimy żądać: aby nam pozostawiono w szkole, w domu i kościele nasz język rodowity, w którym porozumiewamy się od urodzenia, w którym także chcemy umrzeć, bo nasza siła moralna związana jest z ziemią rodzinną takimi więzami, jak z językiem rodowitym, który uważamy za święty spadek po naszych ojcach i dziadach.*

Podpisanie traktatu wersalskiego w czerwcu 1919 r. i wejście w życie jego postanowień na początku 1920 r., wywołały zaniepokojenie niemieckiego mieszczaństwa w Łodzi. Zdawano sobie sprawę, że sytuacja ludności niemieckiej w Łodzi różni się zasadniczo od sytuacji Niemców zamieszkujących tereny zachodniego i północnego pogranicza II Rzeczypospolitej. Obawiano się, że „łódzka wyspa niemczyzny”, otoczona „słowiańskim morzem” zostanie zapomniana i nie znajdzie się nikt, kto chciałby jej pomóc. Uznano, że Niemcy łódzcy zdani są sami na siebie, muszą więc stanowić jedność pielęgnując język i kulturę. Właśnie w Łodzi zrodziła się idea wykorzystania czasu politycznych zawirowań budującej się państwowości polskiej i powołania do życia organizacji, jednoczącej pod jednym kierownictwem wszystkich Niemców w Polsce. Władze polskie nie wyraziły jednak zgody na utworzenie związku, który skupiałby ludność niemiecką z obszaru wszystkich trzech byłych zaborów. Ostatecznie w 1924 r. utworzony został w Łodzi *Deutscher Volksverband* (Niemiecki Związek Ludowy), jednoczący Niemców z byłego Królestwa Polskiego. Do czasu wybuchu wielkiego kryzysu gospodarczego w 1929 r. można mówić o nasileniu procesu akulturacji (polonizacji) zarówno w odniesieniu do elity społeczności niemieckiej, jak i środowisk robotniczych. Widoczny był on także wśród wiernych kościoła ewangelicko-augsburskiego w Łodzi, których spora część jeszcze w latach 30. deklarowała przywiązanie do polskości ponad miarę swojej rzeczywistej z nią identyfikacji. Jednocześnie w Radzie Miejskiej reprezentacja przedstawicieli społeczności niemieckiej, składająca się z dwóch radnych, nie była proporcjonalna w stosunku do odsetka Niemców wśród mieszkańców Łodzi. To „niedoreprezentowanie” Niemcy łódzcy odbierali jako negowanie ich zasług w budowie wielkości miasta.

### **Niemcy odchodzą**

Lata wielkiego kryzysu 1929–1933 spowodowały polaryzację postaw mieszkańców Łodzi. Nastąpił proces zamykania się we własnych kręgach narodowych. Niemcy łódzcy szczególnie boleśnie odczuwali skutki kryzysu gospodarczego, zwłaszcza wysokie bezrobocie, konfrontując swoje położenie z sytuacją rodaków w „starej ojczyźnie”, gdzie wcześniej uporano się z kryzysem. Za istniejącą wówczas sytuację Niemcy winili Polaków, Polacy Niemców, a jedni i drudzy zgodnie obarczali winą Żydów. Atmosferę niedomówień i podejrzliwości zaognił dodatkowo konflikt w Łódz-

kim Gimnazjum Niemieckim, z nagłośnionym przez prasę procesem sądowym. W takiej sytuacji, między Polakami a Niemcami przetrwały jedynie wcześniej zadziergnięte więzy sympatii na poziomie kontaktów sąsiedzkich lub zawodowych. Zaważalną tendencją był w latach 1929–1935 spadek liczby łódzkich ewangelików. Nastąpił ich odpływ do Niemiec, szczególnie po 1933 r., dyktowany przyczynami ideologicznymi i ekonomicznymi. Miała wówczas miejsce liczna emigracja bez paszportów, określana przez władze polskie jako nielegalna, podejmowana przez dwudziestolatków o niesprecyzowanej orientacji zawodowej lub o niepewnych dla siebie perspektywach w Łodzi.

Po 1933 r. nastąpił wyraźny wzrost nastrojów nacjonalistycznych pod wpływem ideologii narodowego socjalizmu, a później dumi z osiągnięć gospodarczych i mocarstwowych ambicji Niemiec. W Łodzi bardzo aktywne stały się *Deutscher Volksverband* i *Jungdeutsche Partei* (Partia Młodziemiecka), skupiająca młodych, akcentujących swą narodowość Niemców, przyciągająca nawet wielu wcześniejszych sympatyków *Deutsche Sozialistische Arbeitspartei* (Niemiecka Socjalistyczna Partia Robotnicza). Nastroje nacjonalistyczne wśród niemieckich mieszkańców Łodzi wzrosły jeszcze wyraźniej po anchlussie Austrii w marcu 1938 r.

W 1936 r. nastąpił formalny rozłam w łódzkim Kościele ewangelicko-augsburskim, poprzez utworzenie Polskiej Parafii Ewangelicko-Augsburskiej. Nasilił się konflikt między częścią duchowieństwa ewangelickiego, skupionego wokół *Arbeitsgemeinschaft der deutschen Pastoren innerhalb der Evangelisch-Augsburgischen Kirche in Polen* (Wspólnota Pracy Niemieckich Pastorów Kościoła ewangelicko-augsburskiego w Polsce) a zwierzchnikiem Kościoła bp Juliuszem Bursche i proboszczem Parafii Polskiej ks. Karolem Kotulą.

Silny dysonans i pogłębienie niechęci między społecznością polską i niemiecką spowodowało nowe ustawodawstwo szkolne wprowadzone w 1937 r. i odebrane przez społeczność niemiecką jako wybitnie restrykcyjne. Na terenie Łodzi nie obowiązywał artykuł dziewiąty traktatu o ochronie mniejszości narodowych z 28 czerwca 1919 r., ponieważ odnosił się tylko do tych obszarów, które przed 1 sierpnia 1914 r. należały do państwa niemieckiego. Oznaczało to m.in., że władze polskie nie były zobowiązane do utrzymywania w Łodzi szkół powszechnych dla mniejszości niemieckiej. W latach 1919–1938 liczba niemieckich szkół powszechnych w Łodzi zmalała z 40 do 9, liczba klas z 124 do 80, choć towarzyszył temu spadek liczby uczniów (z 5789 w 1919 r. do 5175 w 1938 r.). Konflikt wokół szkolnictwa niemieckiego stał się jednym z najważniejszych czynników narastania antagonizmu między Polakami a Niemcami w Łodzi.

W konsekwencji oddziaływania wyżej wymienionych czynników, w przededniu wybuchu II wojny światowej społeczność polska i niemiecka w Łodzi były zantagonizowane daleko bardziej niż w 1918 r.

### Czarna niedziela

Dojście Adolfa Hitlera do władzy w Niemczech zrodziło wśród Niemców łódzkich wiele wątpliwości. W rozmyślaniach o przyszłości pojawiały się zarówno nadzieje na długotrwały okres pokoju i dobrobytu, jak i niepewność oraz niepokój o to, co przyniosą najbliższe lata. Jako nieoczekiwane i niezawinione przyjęli Niemcy łódzcy gwałtowne wydarzenia Niedzieli Palmowej 1933 r. Zdemolowane zostały wówczas pomieszczenia redakcji i drukarni gazety „Freie Presse” przy ul. Piotrkowskiej 86. Wybito szyby w budynku gimnazjum niemieckiego przy al. Kościuszki i witrynach niemieckich księgarń. W wspomnieniowych relacjach o tych wydarzeniach niemieccy autorzy przemilczają powody, które wywołały polską agresję, wyraźnie przeciw czytelnym w doborze celów ataku. „Freie Presse” w pełni zasłużenie uważana była za tubę haseł nacjonalistycznych i hitlerowskich, natomiast wystawy księgarń niemieckich spełniały wydawnictwa, których legalny wwóz do Polski był zabroniony lub utrudniony, a mimo to trafiały tu drogą przez Wolne Miasto Gdańsk. Łódzkie Gimnazjum Niemieckie kojarzyć się musiało Polakom z „kuźnią kadr” zwolenników narodowego socjalizmu w Łodzi, co jednak w świetle dzisiejszej wiedzy, wydaje się nie w pełni prawdziwe. Warto wreszcie przypomnieć opinię Augusta Utty, niemieckiego senatora w parlamencie II Rzeczypospolitej, który wkrótce po wydarzeniach kwietniowych przyznał, że wśród ich uczestników przeważali Żydzi. Każę to wiązać łódzką „czarną Niedzielę Palmową” z nieco wcześniejszymi, ostrymi wystąpieniami antyżydowskimi w Niemczech.

Nie ulega wątpliwości, że po 1933 r. nastąpił wśród łódzkich Niemców wzrost sympatii dla ideologii narodowosocjalistycznej i do przywódców III Rzeszy. Można zaryzykować twierdzenie, że tak powszechny w życiu społecznym Niemiec proces „zglajchszaltowania” objął również Niemców łódzkich. Jeżeli nawet część z nich nie do końca podzielała poglądy narodowych socjalistów, to nie ujawniała tego na zewnątrz. Obie społeczności: polska i niemiecka zaczęły się nawzajem traktować jak dwa monolity. Miejsce zindywidualizowanych ocen zajęły generalizacje: „Niemcy” i „Polacy”. W relacjach polskich, odnoszących się do stosunków w miejscu pracy przyjmowało to postać takich np. opinii: *Czuliśmy się wszyscy jako pracownicy, jako koledzy. Zmieniło się po dojściu Hitlera do władzy. Miałem kolegów Niemców i to wielu. Spotykaliśmy się często. Tak było do 1933 r. Potem wszystko radykalnie się zmieniło. Niemcy zaczęli się dumnie nosić, afiszowali się, nie mieli dla mnie czasu.* Była to postawa dominująca, ale nie powszechna. Zwraca się uwagę, że swój otwarty i przyjazny stosunek do Polaków zachowali, także podczas okupacji, Niemcy-baptyści, musieli się z tym jednak kryć. Z kolei Niemcy czuli, że Polacy widzą w nich wszystkich zwolenników Hitlera. W Łodzi i woj. łódzkim kontakty na gruncie politycznym między społecznością polską a niemiecką nie układały się najlepiej. Bardzo żywa była w środowisku niemieckim działalność *Deutscher Volksverband*, który choćby w deklaratywnej formie nie propagował bliskiej współpracy z polskim otoczeniem.



Już w 1929 r. na zjeździe *Volksverbandu* wydano deklaracje utrzymane w tonie nacjonalistycznym. Dwa lata później zarząd tej organizacji wysłał petycję do Ligi Narodów, skarżąc się na ucisk narodowo-kulturalny mniejszości niemieckiej w Polsce środkowej. Problemy mniejszościowe były jednak tylko pretekstem i służyły wzmocnieniu argumentów do postulatu rewizji granicy polsko-niemieckiej. Po wystąpieniu niemieckiego polityka Gottfrieda Trevirianusa (10 sierpnia 1930 r.), w którym zakwestionował stałość polskiej granicy zachodniej, w dniu 31 sierpnia doszło w Łodzi do antyniemieckich demonstracji i awantur ulicznych.

W literaturze niemieckiej upowszechniany był pogląd, że w środowisku niemieckim, głównie wśród osób niezaangażowanych politycznie, z tygodnia na tydzień rósł niepokój i obawy o przyszłość. Łódzcy Niemcy czuli się opuszczeni i lekceważeni. Znikąd nie mogli oczekiwać ani nadziei na lepszą przyszłość, ani pocieszenia. Stanowisko władz polskich wobec mniejszości niemieckiej odbierano jako pełne podejrzliwości i niewolne od pogroźek. Do rangi masowego zjawiska urastają w niemieckich wspomnieniach mające w istocie miejsce, ale przecież nie w powszechnym wymiarze, przypadki szykanowania osób używających języka niemieckiego w miejscach publicznych. Odnotowano przypadki antyniemieckiej agitacji księży katolickich. Wydarzenia takie miały miejsce wiosną 1939 r. i pozostawały w ścisłym związku z pomijaną w niemieckich wspomnieniach eskalacją niemieckich żądań terytorialnych wobec Polski. Okrzyki: „Wy Szwaby, jazda do Berlina z wami!” nie są zmyśleniem, ale też nie są ilustracją powszechnej rzekomo postawy łódzian Polaków wobec ich niemieckich sąsiadów. W gorącej politycznie atmosferze sierpnia 1939 r. dochodziło do pikietowania przez polskich robotników bram fabrycznych, by nie dopuścić do pracy robotników Niemców. Nastroje antyniemieckie były już wówczas tak silne, że do pikiet przyłączali się członkowie klasowych związków zawodowych, odzegnujący się wcześniej od zasad odpowiedzialności zbiorowej. We wspomnieniach Niemców łódzkich o latach bezpośrednio poprzedzających wybuch wojny częste są wzmianki o wyjazdach do Rzeszy, podejmowanych ucieczkach z Polski do Niemiec przez „zieloną granicę”, wreszcie o tragedii internowania (także w osławionej Berezie Kartuskiej) w sierpniu 1939 r. Towarzyszy im twierdzenie o morderstwach dokonanych przez Polaków na setkach niewinnych i politycznie niezaangażowanych Niemcach. Wyniki najnowszych badań polskich historyków nakazują gruntownie zrewidować starą tezę o istnieniu w Polsce przed wybuchem II wojny światowej silnej „V kolumny”, złożonej z Niemców mieszkających w Polsce. Nie oznacza to jednak, że internowania przeprowadzone przez władze polskie w ostatnich dniach sierpnia 1939 r. były bezpodstawne. 28 sierpnia aresztowano w Łodzi dwadzieścia cztery osoby, członków *Deutscher Volksverband* i *Jungdeutsche Partei*, pod zarzutem organizowania grupy dywersyjnej. W mieszkaniach trzech spośród aresztowanych znaleziono małe składy broni i materiałów wybuchowych. Należy jednak zauważyć, że skuteczność władz polskich przy przeprowadzaniu internowania

osób najaktywniejszych w pracy propagandowej godzącej w polską rację stanu, pozostawiała wiele do życzenia. Wielu prominentnych, prohitlerowskich działaczy czynnych w środowisku niemieckim uniknęło aresztowania. Mimo to, „okrutny”, jak go nazywano, los zatrzymanych i internowanych przypominała łódzka prasa okupacyjna.

### Lepszy i gorszy okupant

W latach II wojny światowej, aż po wyzwolenie w styczniu 1945 r., wzajemne relacje między Polakami a ich niemieckimi sąsiadami obejmowały szeroką skalę postaw. Ze strony niemieckiej dominowała generalnie niechęć, często wrogość okazywana Polakom. Trudno dociec, w jakim stopniu uczucia te były autentyczne, a w jakim wynikały z uległości wobec panującej doktryny narodowosocjalistycznej. Istnieją dowody na to, że okazywana polskim sąsiadom wyższość rodziła się z obawy przed posądzeniem o propolskie sympatie. W miejscach publicznych z całą surowością przestrzegali Niemcy wprowadzonych przez władze okupacyjne zasad pozdrawiania, zdejmowania nakrycia głowy przed flagą niemiecką itp. Każde zaobserwowane uchybienie w tym zakresie, popełnione przez Polaka, było natychmiast karane, najczęściej biciem. Zdarzało się jednak, że Niemcy łódzcy nie wypełniali zarządzeń władz okupacyjnych godzących w instytucje polskie, jeżeli ich działalność służyła niemieckim interesom. Przykładem może być działająca nielegalnie polska średnia szkoła muzyczna Zofii Kijeńskiej, do której, z braku szkoły niemieckiej o odpowiednim poziomie, uczęszczały dzieci Niemców łódzkich. Wspomnienia o pracy przymusowej odbywanej przez młodzież polską w domach Niemców łódzkich (chroniła ona przez wywozem do Rzeszy), dowodzą też generalnie tolerancyjnego stosunku „pracodawców” do zatrudnionych. Często też były przypadki ostrzegania Polaków przed groźącymi im niebezpieczeństwami (łapanki, wywózki). W styczniu 1945 r., w atmosferze narastającej paniki, wielu Niemców jakby na nowo dostrzegło Polaków w swoim otoczeniu. Przygotowując się do wyjazdu na Zachód obdarowywali częstokroć swoim mieniem ruchomym polskich sąsiadów. Bardzo zróżnicowane były postawy Polaków wobec Niemców w ostatnich tygodniach okupacji. Można sądzić, że determinowały je osobiste doświadczenia czasu okupacji. Udokumentowane są przypadki agresywnej wrogości, okazywanej jako zadośćuczynienie własnych krzywd, ale także pomocy okazywanej Niemcom, którzy nie musząc obawiać się niczego, decydowali się na wyjazd-ucieczkę ze swojego miasta.

Wkroczenie wojsk hitlerowskich do Łodzi 8 września 1939 r. przedstawiane jest w relacjach polskich jako manifestacja radości Niemców łódzkich. Natomiast we wspomnieniach Niemców, ich ówczesne odczucia określane są jako *radosna ulga po psychicznym ucisku minionych miesięcy [...]*. W *jednym mgnieniu oka można było poczuć się wolnym i znów bez obawy demonstrować swoją niemieckość*. Opinie Niemców łódzkich o czasach okupacji są w pełni zbieżne z wynikami źródłowych badań nad tym okresem. Bardzo szybko pękła spistość środowiskowa

stworzona w atmosferze napięcia i poczucia zagrożenia w miesiącach poprzedzających wybuch wojny. Stało się to głównie za sprawą *Reichsdeutschów*, Niemców przybyłych z Rzeszy i obejmujących niemal wszystkie ważniejsze funkcje administracyjne. Tylko do lipca 1940 r. przybyło ich do Łodzi 15 tys., później liczba ta wzrosła do 19 tys. Niemcy łódzcy poczuli się niedocenieni i zlekceważeni. Trudno im było pogodzić się z myślą, że nowe władze nie chcą czerpać z ich doświadczeń długotrwałego kontaktu ze słowiańskimi sąsiadami. Liczne rozporządzenia były zupełnie niezrozumiałe, a zarozumiałość i buta nowych władz sprawiły, że Niemcy łódzcy nazywali tę grupę przybyszy *Reichsgermanen*. Szybko ujawniło się, że wiele odpowiedzialnych stanowisk obsadzali *Reichsdeutsche*, którzy w swych dawnych miejscach pracy byli najstarszymi urzędnikami, posiadającymi minimum wymaganej od nich wiedzy fachowej. Wielu z nich stało się w Łodzi karierowiczami pozbawionymi wszelkich skrupułów.

Antagonizm między Niemcami mieszkającymi w Rzeszy a mieszkającymi „na Wschodzie” (*Ostdeutschen*) miał znacznie głębsze źródła i nie zrodził się w latach II wojny światowej. Wynikał on z budowanego i utrwalanego przez dziesięciolecia przekonania, że wszystko, co znajduje się na wschód od „starej Rzeszy”, choćby nawet było niemieckie, jest gorsze, biedniejsze, opóźnione w rozwoju cywilizacyjnym. Nie mniej butnie poczynali sobie w Łodzi Niemcy przesiedlani już w pierwszych miesiącach okupacji z terenów Litwy, Łotwy, częściowo Estonii, tzw. *Baltendeutsche*. Wśród nich znajdowali się m.in. niedostatecznie przygotowani zawodowo lekarze, którzy podjęli pracę w stojącym przed wojną na bardzo wysokim poziomie szpitalu dziecięcym Anny Marii. Zastąpili oni miejscowy, doświadczony personel. Zwolnieni zostali m.in. dr Ludwig Gundlach i przełożona szpitala siostra Teichmann, najbliższa współpracownica fundatorki szpitala Matyldy Herbst, pracująca w szpitalu od chwili jego otwarcia. Gdy w 1942 r. wśród personelu lekarskiego pojawili się lekarze z Rzeszy, z hallu szpitala usunięto marmurową płytę poświęconą pamięci Matyldy Herbst, a z salki konferencyjnej zniknęły portrety fundatorki i pastora Rudolfa Gundlacha. Do opuszczenia ewangelickiego Domu Miłosierdzia zmuszony został jego zasłużony, wieloletni kierownik, znakomity lekarz, dr Alfred Tochtermann.

Nie wszystkie źródła ówczesnych konfliktów wśród niemieckich mieszkańców Łodzi są dzisiaj czytelne. We wspomnieniach łodzian wzmiankowane są stosunkowo liczne przypadki niechęci między *Reichsdeutschen* a Niemcami miejscowymi, głównie z wyżej wymienionych już przyczyn.

Odrębnym zagadnieniem, stosunkowo dobrze już rozpoznany, jest przyjmowanie przez Niemców łódzkich tzw. volkslisty, czyli niemieckiej listy narodowej. Ta swoista deklaracja narodowości była dla zdecydowanej większości Niemców łódzkich, pochodzących ze wszystkich środowisk, czymś zupełnie oczywistym. Dla najstarszego pokolenia, postępującego się na co dzień w kontaktach z Polakami co najwyżej łamaną polszczyzną, określenie się jako Niemiec nie budziło

żadnej wątpliwości. Podobnie było w licznych kręgach drobnej burżuazji, inteligencji, które świadomie pielęgnowały tradycję swojego niemieckiego pochodzenia. Atrakcyjność przyjęcia volkslisty wzmacniały też względy koniunkturalne: *zostawali volksdeutscheami; otrzymywali po latach bezrobocia nie tylko pracę, ale także mniej lub bardziej reprezentacyjne stanowiska i zadania. Do obsadzenia pozostawały tysiące stanowisk w NSDAP, jej przybudówkach, we władzach administracyjnych, na poczcie, na kolei, w urzędach pracy, itd.* Większość tych stanowisk objęli jednak Niemcy z Rzeszy. Bliska współpraca z władzami okupacyjnymi mogła przynosić też korzyści materialne, np. możliwość przejęcia mienia po zamordowanych lub wysiedlonych Polakach, bezpłatnie lub za znikomą opłatą. Liczne przypadki denuncjacji polskich sąsiadów stanowiły niejednokrotnie finał wcześniejszych, przedwojennych, na pozór niegroźnych waśni i sporów. Znane są przypadki wywierania presji wobec osób ociągających się z przyjęciem volkslisty. Z odmową przyjęcia niemieckiej listy narodowej kojarzona jest śmierć Roberta Geyera i Guido Johna, zastrzelonych przez gestapo jesienią 1939 r. Mimo to nieprzekonująco brzmi spotykane nieraz twierdzenie, że po zmianie nazwy miasta na *Litzmannstadt* (11 kwietnia 1940 r. na osobisty rozkaz Hitlera), łódzcy Niemcy poczuli się obco w swoim mieście. Należy odrzucić twierdzenie, jakoby Niemcy łódzcy nie mieli dość doświadczenia w realizowaniu założeń polityki władz hitlerowskich i byli tylko narzędziem w ich rękach. To ze środowiska Niemców łódzkich wyszła inicjatywa, a za nią szczegółowe wskazówki co do zmieniania nazw ulic miasta. Wyniki badań historyków niemieckich jednoznacznie potwierdzają szybki wzrost wpływów organów aparatu SS w środowiskach mniejszości niemieckiej.

### Luteranie tolerowani

Mało znane i niedostatecznie udokumentowane są przypadki udzielania przez Niemców łódzkich pomocy swoim polskim sąsiadom. Stosowanie przez władze hitlerowskie różnego rodzaju represji wobec Niemców utrzymujących kontakty z Polakami, nie mówiąc o pomocy, legło u podstaw zerwania większości wcześniej istniejących więzów. Nieliczne próby występowania w obronie Polaków, kończyły się udzieleniem policyjnego ostrzeżenia ze strony gestapo, grożącego zesłaniem do obozu koncentracyjnego, jeżeli będą zgłaszane zastrzeżenia co do polityki realizowanej wobec Polaków. Taką karą zagrożone były np. interwencje w sprawach osób wysiedlanych do Generalnego Gubernatorstwa lub deportowanych w głąb Rzeszy. Znane są nieliczne przypadki sprzedaży przez Niemców Polakom chleba za normalną cenę bez oddawania obowiązkowych kartek, udostępniania im mieszkań dla słuchania zagranicznych radiostacji, kupna dla nich biletów kolejowych bądź biletów do kina oraz niektórych artykułów niereglamentowanych; obdarowywania ich żywnością i odzieżą. Niemcy ujęci przez policję z powodu takiego postępowania przyplacili te czyny pobytem w więzieniu lub w obozie koncentracyjnym. Kary te uzasadniano „szkodze-

niem interesom niemczyzny”, „obniżaniem prestiżu niemczyzny”. Całkowicie zakazane były kontakty erotyczne między Niemcami/Niemkami a Polakami/Polkami. Ich ujawnienie prowadziło z reguły do dramatycznego finału. W tej sytuacji pomoc świadczona Polakom musiała być głęboko ukrywana, a najsilniejszą inspirację do niej stanowiły pobudki religijne lub humanitarne.

Szczególnie boleśnie odebrało środowisko Niemców łódzkich zarządzenia regulujące działalność Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Kraju Warty, zmierzające do włączenia jego wiernych w strukturę Kościoła ewangelicko-unijnego. Plany te były tym bardziej niezrozumiałe, że niemieccy luteranie w Łodzi włożyli wiele wysiłku w minimalizowanie wpływów powstałej w 1936 r. Polskiej Parafii Ewangelicko-Augsburskiej. Tymczasem władze okupacyjne zlikwidowały nauczanie religii w szkołach łódzkich, zabroniły kolekty i podwyższania podatku kościelnego, odebrały parafiom administrację cmentarzy. Zakaz kolekty obchodzono organizując samorzutnie zbiórki pieniędzy podczas uroczystości kościelnych. Nie powiodła się w 1942 r. próba ograniczenia swobody liturgii przez zabronienie odprawiania nabożeństw wielkopiątkowych. Łódzcy Niemcy gwałtownie zaprotestowali przeciw temu zamierzeniu. Poparli ich przesiedleńcy, głównie z Wołynia, którzy na zwoływanych wówczas zebraniach użyli następujących argumentów: *Straciliśmy ojczyznę, nasi synowie polegli, wszystko nam zabrano, ale nie wyrzekniemy się naszej wiary*. Władze ugięły się wobec tych żądań i kościoły pozostały otwarte. Chrztzy, śluby i confirmacje były zaledwie tolerowane przez władze dążące do zastąpienia ich uroczystościami świeckimi. W tej sytuacji wielu Niemców łódzkich odeszło od Kościoła wyznając zasadę: „Pozostaję dobrym luteraninem; idę tam, dokąd chcę”. Istnieją liczne dowody na to, że w latach okupacji systematycznie słabło przywiązanie ludności niemieckiej do wspólnot wyznaniowych, co odpowiadało polityce władz III Rzeszy. W 1943 r. większość niemieckich mieszkańców Kraju Warty określała się jako „wierzący w Boga” (*gottgläubige*), ale formalnie nie należała do żadnego z kościołów.

Jako szczególnie szykanującą i niezgodną z prawem odebrali łódzcy Niemcy rejestrację do rezerw Wehrmachtu, argumentując, że nie posiadali obywatelstwa niemieckiego. Czarę goryczy przepełniły coraz częstsze od początku 1942 r. wezwania mobilizacyjne. Pełnym zaskoczeniem była mobilizacja dzieci volksdeutschów. W małżeństwach mieszanych nierzadko dochodziło do tragedii rodzinnych z tego powodu.

16 stycznia 1945 r. miało miejsce pierwsze radzieckie lotnicze bombardowanie Łodzi. Przesądziło ono o podjęciu decyzji wyjazdu z miasta przez tych Niemców, którzy jeszcze tego nie uczynili. Niezależne od woli mieszkańców Łodzi wydarzenia Wielkiej Historii kładły kres istnienia „ziemi obiecanej”.

Krzysztof Paweł Woźniak  
– dr historii, publicysta.

# Zmurszałe epitafia

## *Złotno wobec wymogów historii*

*To był kiedyś niemiecki cmentarz, tu wszędzie mieszkali Niemcy. – Kobieta przez płot wskazuje sąsiednią kępę drzew obok szosy. – Ja tę chałupę kupiłam dopiero dwanaście lat temu, ale przed sześcioma laty przyjechał jeden mężczyzna i powiedział, że się tutaj urodził. Nazywał się chyba Sznajder, jak wszedł, to się bardzo wzruszył, że niewiele się pozmieniało. Pozwoliłam mu przenocować i wtedy powiedział, że jego rodzice pochowali tu swoich rodziców. A kto dziś tam rozpozna jaki grób, nie ma nic oprócz tego co straż pożarna musi sprzątać.*

Zza kępy drzew sterczą pokruszone filary od furty, a dalej za polem, kompleks niskich budynków mieszkalnych. Rąbieńska to dziś ruchliwa ulica, bo tak jak i Złotno czy Podchorążych prowadzi przez nowe osiedla do podmiejskich tras komunikacyjnych. Sporo tu jeszcze pól i wyrosniętych drzew, za to coraz mniej wolnych działek budowlanych. Małomiasteczkową sielskość dawnego przedmieścia psują sypiące się już kamienice i drewniaki na tle wypieszczonych willi wśród wymyślnych ogrodzeń. Nowe Złotno się zestarzało, za to Stare staje się nowoczesną kolonią mieszkalną.

Władysław Szewczyk urodził się przy ulicy Rąbieńskiej pod koniec pierwszej wojny światowej. Ojciec na początku dwudziestego stulecia przyjechał do Łodzi w poszukiwaniu pracy. W 1905 roku za pepeesowskie wyczyny aresztowała go policja i wysłała do dalekowschodniej guberni. On jednak uciekł, zamieszkał na Rąbieńskiej i założył rodzinę jeszcze przed wybuchem „wielkiej wojny”. Pan Władysław zaś od 1918 roku wyrastał już w centrum wolnej Polski – choć pośród Niemców. Co więcej, rodziny polskie na Złotnie Nowym i Starym były w zdecydowanej mniejszości od drugiej połowy dziewiętnastego wieku. Stało się tak, gdy doszło do rozparcelowania zadłużonego majątku Jagodnica. Część działek przejęli miejscowi chłopci, uwłaszczani przez carat pod presją Powstania Styczniowego, zaś na resztę znaleźli się kupcy właśnie z Niemiec, tacy jak Schmidt, Grunwald i Petrych, którzy okoliczne piaski postanowili wykorzystać do produkcji szkła. Zainwestowali w budowę huty i ściągnęli fachowców. Sam majątek z przyległymi działkami kupił niejaki Stendel, o którym mówiono, że pochodzenie i obyczaje miał szlacheckie. Schmidt za to nie poprzestał na hucie, lecz w sąsiednim Złotnie pobudował fabrykę włókienniczą nad rzeką Bałutką oraz domy dla rodzin niemieckich tkaczy. Za nimi przybyli inni rzemieślnicy, których od Łodzi po Zgierz zawsze brakowało i tak małe biedne wioski przemieniały się w ludne osiedla. Ponieważ sama Łódź też zaczęła puchnąć w szwach od najazdu chętnych do pracy w nowych



fabrykach i manufakturach, ilość osiedleńców w okolicach szybko się zwiększała. Na Złotnie i Jagodnicy ziemie były marne, więc i ich cena była niska i kształtowała się między 300 a 500 rubli za działkę budowlaną. Budowano się byle jak, czym rosyjskie władze zupełnie się nie interesowały.

Huta Jagodnica spłonęła z nieznanych dziś przyczyn, za to fabryka Schmidta przy Siewnej (dzisiejsze zakłady Vera) rozwijała się znakomicie. Nawet rodzinne tkalnie prosperowały na tyle dobrze, że ilość murowanych domów powiększała się z roku na rok, ale studnie wciąż gromadziły podskórne wody i brakowało gospodarskiego oka. Dopiero w 1920 roku polskie władze w nowym podziale administracyjnym włączyły obie, a raczej już jedną miejscowość, do bardzo rozległej gminy Brus, sięgającej od Lublinka po Teofilów.

Niebawem, bo już cztery lata później zaczęło się ożywienie. Na Lublinku pobudowano potężną jak na owe czasy oczyszczalnię ścieków, a płynącą do niej Bałutkę ujęto w solidny kanał, postawiono remizę strażacką i rozpoczęto żwirowanie dróg.

Wtedy Władysław Szewczyk i jego dwaj bracia zaczęli chodzić do polskiej szkoły. Początkowo lekcje odbywały w co większych prywatnych domach, wszak i dzieci polskich było niewiele, lecz niedługo społecznymi siłami stanęła szkoła przy Jagodnicy. W niej polskie dzieci od piątej klasy uczyły się wraz z niemieckimi, które do tego czasu uczęszczały do miejscowej *Kinderschule*. Życie toczyło się bezkonfliktowo, bo społeczność zrastała się harmonijnie. Bliżsi i dalsi sąsiedzi spotykali się nie tylko na piknikach nad stawami Bibela czy zabawach w remizie straży ochotniczej, ale również na ćwiczeniach tej straży, przy układaniu chodników albo sadzeniu kasztanowców wzdłuż głównych ulic Złotna. W 1925 roku powstał kościół katolicki pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela obok dwóch od dawna działających parafii ewangelickich z kaplicami nad piekarnią Wichego i w domu Stefana. Polacy żenili się z miejscowymi Niemkami i wzajemnie Niemcy z Polkami.

*Nie było różnic – wspomina pan Władek. – My uczyliśmy się niemieckiego, a oni polskiego. Raz byłem u kolegi w domu i on do matki przy stole odezwał się po niemiecku. Na to ona po polsku zwróciła mu uwagę, że przy gościu należy rozmawiać tylko w jego języku i choć zaprotestowałem, nie zmieniła zdania. Razem graliśmy w piłkę, prowadziliśmy loterie dla szkoły, chodziliśmy na ćwiczenia do Strzelca i zbiórki Sokoła. Loterie były często, bo latem co tydzień odbywały się tańce*





albo pikniki. Żyd Bibel miał dwa stawy, jeden nawet z rybami i łódkami, brał za wejście tylko po 20 groszy od łebka, więc chodziliśmy tam bardzo często. No i piasek miał zawsze czysty. Na pikniki teren wykupowali Niemcy, bo na ogół byli od nas bogatsi, ale bawili się wszyscy. Teraz tam stoi osiedle. – Spogląda na fotografię, która przedstawia grupę chłopców na boisku. W rozgrywkach między dzielnicami grał zawsze na pomocy – a ten i ten ożenił się z Polką. Później razem chodziliśmy na zajęcia TUR-u. Żyliśmy jak w rodzinie aż do 1936 roku, kiedy zaczęli zakładać Hitlerjugend. Młodzie zaczęli wyjeżdżać do Reichu i między nami zaczęły się kłótnie. Starzy nie chcieli się w to mieszać, byli tu żyłci i nieźle im się wiodło, mieli warsztaty, sklepy, piekarnie, masarnie. Samych rzeźników było z sześciu: Ingling, Schubert, Schram i jego syn, Jaskólski i Nawrocka – wszystko Niemcy. Byli też tacy, co się tu całkiem spolonizowali jak Millerowie, Wernerowie, czy Fuksowie; nawet nie chcieli mówić po niemiecku. A w innych oknach pojawiały się swastyki, polityka młodym przewracała w głowach.

Kiedy wybuchła wojna, pan Władysław walczył w obronie Warszawy. Potem znów wrócił na Rąbieńską, bo nikt nie spodziewał się tego, co miało nastąpić. W roku 1940 hitlerowcy urządzili na Żłotnie łapankę, ciężarówki zablokowały ulice i zaczęło się polowanie. Niektórych brali z „listy”, jak braci Szewczyków. Matka pobieгла do młodego Henzla, z którym Wladek grał w orkiestrze, żeby poświadczył ich niewinność. Henzel odparł, że w dzień – owszem, ale przecież nie może wiedzieć, co robią w nocy. Pewnie i tak by nie pomogło, bo ktoś musiał podać na gestapo, że Wladek



walczył we wrześniu. Droga Polaków ze Złotna powiodła przez Radogoszcz do obozów koncentracyjnych w Dachau, Mauthausen, Gusen i dla większości z nich stała się ostatnią podróżą w życiu.

Władysława z domu Markowska urodziła się tu w roku 1930 i, chociaż jest wiele młodsza od Władysława Szewczyka, czasy przedwojenne wspomina podobnie. Rodzice mieli na obrzeżu Nowego Złotna piętnastohektarowe gospodarstwo, z którego pozostał córce ładny, drewniany dom z ogródkiem. W malutkim oczku wodnym tuż za płotem pływa para dzikich kaczek w cieniu rozłożystych drzew i ma się wrażenie, że czas tu stoi w miejscu od lat. Ojciec Władysław Markowski pracował dawniej w majątku Stendela w Jagodnicy jako gajowy, a później wykupił od niego te grunty i przeszedł na własną gospodarkę. Aż do wojny Markowskim wiodło się dobrze, jeździli nawet własnym powozem i cieszyli się szacunkiem nawet samego Stendela. Markowski zresztą pomagał mu w organizacji polowań, gdyż znany był jako wytrawny myśliwy. Stendel często urządzał na swój koszt zabawy w remizie, co stało się przedwojenną złotnowską tradycją, a zagrodę wydzierzawił Żydom na hodowlę gęsi dla łódzkiej gminy. Raz Markowski zgodził się zawieźć z Niemcem Jaskólskim cały wóz mięsa na targ. Kiedy wjechali w las pod Teofilowem napadli ich bandyci z bronią. Jaskólski umarł na zawał serca, Markowski był lekko ranny w szyję, a całe zdarzenie opisał łódzki „Kurier”. Napastników jednak nie znaleziono. W czasie wojny ich gospodarstwo zajął Stefan – Niemiec z Rąbieńskiej, a Markowscy musieli się przenieść na jego, o wiele mniejszą, ziemię z piaszczystym poletkiem. Bywało im często głodno i chłodno, ale wobec tego co spotkało innych Władysława Markowska mówi, że wyszli obronną ręką. Miejscowi Niemcy również pomagali. Wielu młodszych *volksdeutschów* zabrano na *ostfront*, gdzie albo zginęli, albo utknęli w rosyjskiej niewoli. Ona, choć nie mieszka już w Łodzi, dom utrzymuje nadal i odwiedza go z mężem regularnie. – *Ale tego, co się działo zaraz po wojnie, też nie popieram.* – przyznaje Markowska. – *Całe rodziny niemieckie utrzymywały się tu z chałupnictwa od pokoleń, jak choćby liczna rodzina Gatke, czy właśnie ten Hentchke. W czterdziestym piątym przyszli zabrać mu warsztat. Jak wynosili maszyny, on ich zaklinał na wszystkie świętości, że przecież niczym w wojnę tak nie zawinił, żeby pozbawiali chleba jego rodzinę. Oni mu na to, że niech sobie jedzie do Niemiec. Gdy zapakowali wszystko, zaczęli go szukać; weszli do domu, a tam Hentchke już wisiał nieżywy na swoim pasku od spodni. Wysiedlone mieszkania i domy zajmowali zupełnie nowi ludzie, przyjezdni z całej Polski. Miejscowych było coraz mniej i wszystko się zmieniało. A przecież kiedyś było naprawdę dobrze, bo wszyscy się szanowali.* – Władysława Markowska zawiesza głos. Opowiedziała jeszcze o Schultzu, który na Złotnie miał skład opałowy, a w czasie wojny po cichu wspomagał węglem najbiedniejszych.

Pierwszy komendant posterunku Milicji Obywatelskiej nosił wprawdzie granatowy mundur po poprzedniku, ale zasłynął z tego powodu, że przed kościołem na oczach ludzi zastrzelił Schultza z małym synkiem. Widziała to na własne oczy i tak jak inni była przerażona. Milicja pobiła jeszcze rzeźniczkę Nawrocką.



Kiedy Władysław Szewczyk wrócił z obozu, rodzice i bracia już nie żyli. W pobudowanym przez ojca domu mieszkał niejaki Iwaniec z rodziną, więc zgodził się poczekać aż ich przekwaterują. Potem wreszcie znów był u siebie, ale bilans był gorzki. Dziś, mimo osiemdziesięciu siedmiu lat Władysław Szewczyk płynnie z pamięci wymienia nazwiska sąsiadów, bez których wrócił na Złotno: Mordzanowski, Grzybowski, Tripenfeld, Durko, Jóźwiak, Wiszniewski, Hejna, Peda, Karolak i Olczak. Widział też, jak kolejno znikają Niemcy, a w ich miejsce pojawiają się obcy. Nic już nie mogło być takie jak dawniej, ale przecież było ich żal. Fuksa też chcieli na siłę wysiedlić do Niemiec, on jednak się zaparł, że umrze tu, gdzie się urodził i w końcu jakoś zostawili go w spokoju.

Na początku lat osiemdziesiątych pod dom Szewczyków zajeżdżał samochód na rejestracji niemieckiej, z którego wysiadł starszy mężczyzna. W ogrodzie przed domem zastał córkę, więc zapytał po polsku: *czy tutaj mieszka Władek od gołębi?* Gołębie na dachu siedziały jak zawsze, a synowa pobiegła do domu po ojca. Obaj panowie przez dłuższą chwilę wpatrywali się w siebie w milczeniu, po czym ze wzruszeniem się przywitani. Był to Henzel od trąbki, z którym pan Władysław na skrzypcach przygrywał w orkiestrze. Chciał wiedzieć, czy Szewczyk ma wciąż żal o tamtą wojenną odmowę pomocy. Odwiedzili też kolegów, którzy po jego wyjeździe mówili: *porządny człowiek, ale Niemiec*. Pani Marciniak wspomina inne, o wiele wcześniejsze odwiedziny. Na początku lat siedemdziesiątych przyjechał Stendel na kilka dni. Odwiedził wszystkich dawnych znajomych, zaś przed odjazdem, tradycyjnie, urządził dla nich rodzinne przyjęcie w starej remizie OSP. – *Czy trzeba było ich wygnać wszystkich, tak bez różnicy?* – zastanawia się głośno kobieta pod swoim starym domem. – *To byli w większości naprawdę dobrzy ludzie, a wtedy liczyło się tylko, kto był jakim człowiekiem.* – Dodaje pan Władek, wpatrując się w fotografię z boiska. – *I żeby nie ta polityka...*

Ulica Cyganka swą nazwę zawdzięcza jednemu Cyganowi, który ponoć kiedyś, przed wielu laty, kupił tu dom i trzy dni świętował z radości wraz z sąsiadami. Tak przynajmniej głosi legenda, a stare domy, drzewa i wyboje ulicy zdają się istnieć tylko dla niej. Prawdziwi Romowie zamieszkali na innej ulicy dopiero po wojnie. Po stronie zdjętych torów tramwajowych Cyganka ma też nowe osiedle, pod płotem którego leży popękana płyta nagrobna z czytelnym napisem: „Aleksander Szmidt żył lat 60 zm. 1. 7. 41 pamięci rodziców dzieci”. Czy i gdzie dziś są z tą pamięcią? Przecież nie mogą wiedzieć, że ich epitafium udaje krawężnik. Na Cygance płyta nie przeszkadza, sąsiad zza płotu posiał przy niej trawę i może nawet zanucił cichutko starą, znaną niegdyś piosenkę – *Sagt mir, wo die Blumen sind....* Przecież jesteśmy już we Wspólnocie Europejskiej i język niemiecki to nie wstyd. Nawet tu, na Złotnie.

Piotr Werner  
– publicysta.

# Patrzmy przed siebie

## *Wspólny dom i dziedzictwo*

Koszmar ostatniej wojny długo nie zniknął mimo upływu lat. Przypominanie tego co odeszło, ale nie dawało się usunąć z pamięci dawnych Łódzian, choć stawało się przyczyną ich dalszych cierpień, nie mogło trwać w nieskończoność. Dlatego, zachowując pamięć o tragedii, coraz silniej poszukiwano dróg wiodących do pojednania i porozumienia. Do dialogu, który porównać można do przerzucania mostów między przepaściami. Przepaściami, które rozdzieliły Polaków i Niemców. Do apelu o pojednanie włączali się uczeni, ludzie kultury i duchowni, zaś wydarzeniem o wciąż nieprzemijającym znaczeniu stało się orędzie biskupów polskich do biskupów niemieckich z 1965 roku

Problem winy i kary nie dawał również spokoju Karlowi Dedeciusowi, którego cała działalność nakierowana została na wzajemne poznanie się i zrozumienie Niemców i Polaków. W wykładzie, którego w Giessen w 1988 roku wysłuchali polscy i niemieccy uczeni podczas uroczystości z okazji dziesięciolecia współpracy między tamtejszym uniwersytetem a Uniwersytetem Łódzkim, Dedecius mówił o poezji, ale także o wysiłku potrzebnym do zbudowania prawdziwego partnerstwa. Warto przypomnieć wypowiedziane wtedy słowa, nie straciły one bowiem, pomimo upływu lat, swej siły i znaczenia:

*(...)W rozmyślaniach nad Niemcami i Polakami, Polakami i Niemcami, pojawia się niestety także i niechybna, bolesna przeszkoda – jak upiorne ogrodzenie z drutu kolczastego – problem winy, pytanie o zbrodnię i karę. Kto jest bez winy, niech rzuci pierwszy kamieniem. Nikt nie jest – tak czy inaczej – bez winy, ponieważ w historii niewinni są również winnymi. W historii i wobec historii. Niechaj poetycki obraz z Biblii pomoże nam w dalszych rozważaniach: przypowieść o próbie ucieczki Lota i jego żony od okropności Sodomy i Gomory. Oboje pamiętali o niegodziwościach i oboje ponieśli ich konsekwencje, ale to, co udaje się Lotowi, nie udaje się jego żonie. On myśli o przyszłości i idzie dalej nie zbacając z drogi. Ona, w samoudręczeniu, nie może uwolnić się od przeszłości, zatrzymuje się, odwraca i zastyga w bolesny słup soli. Dwie szanse ucieczki z Sodomy i Gomory, ale tylko jedna możliwość przeżycia. Świadomi winy, ale bez kompleksów, a więc niesparaliżowani, lecz czynni. Moralnie poruszeni, oczyszczeni, ale nie moralnie szantażowani. Pierwsze umożliwia przeżycie, drugie jest zabójcze.*

Trudno nie uznać tego przesłania. Wynika z niego, że nie zapominając o Sodomie i Gomorze lat wojny, skupić powinniśmy się na tym co dzisiaj nas

łączy, pomaga lepiej się zrozumieć i żyć obok siebie we współczesnym świecie. Taki też cel przyświecał spotkaniu łodzian, którzy we wrześniu 1992 roku zostali zaproszeni do rodzinnego miasta przez ówczesnego prezydenta Łodzi – Grzegorza Palkę. Mottem spotkania stała się żartobliwa parafraza autorstwa Karla Dedeciusa: „**Łodzianie wszystkich krajów – łączcie się!**”

I Światowe Spotkanie Łodzian trwało zaledwie trzy dni – od 16 do 19 września 1992 roku, ale stało się wydarzeniem, które połączyło kilkadziesiąt minionych lat z łódzką współczesnością. Przyjechali na nie dawni łodzianie z siedemnastu krajów, nieraz bardzo odległych, jak Stany Zjednoczone, Australia, Izrael. Dla dawnych łodzian mieszkających za zachodnią granicą Polski przyjazd do rodzinnego miasta, za którym tęsknili, ale do którego wahali się przyjechać przez wiele lat, bo nie wiedzieli jak będą w nim przyjęci, spotkanie to było niczym życzliwe wyciągnięcie dłoni.



Jednym z nich był Karl Heinz Goepfert ze Stuttgartu. Na ewangelickim cmentarzu przy ulicy Ogrodowej szukał grobów swoich przodków – nie odnalazł. Odwiedził dawny dom rodzinny przy ulicy Głogowej 4, w którym mieści się teraz szkoła dla dzieci z problemami nerwicowymi. Odszukał dawną fabrykę kapeluszy Goepfertów przy dzisiejszej ulicy Marii Curie-Skłodowskiej, wędrował, jak przed wielu laty, „deptakiem” na Piotrkowskiej. Uczestniczył we wszystkich najważniejszych wydarzeniach. Był na otwarciu spotkania w pałacu Poznańskim, na które przybyła również premier Hanna Suchocka. Z uwagą przysłuchiwał się uroczystym obradom Rady Miejskiej, na której

ówczesny rektor Uniwersytetu Łódzkiego prof. Michał Seweryński przypomniał tradycje Łodzi wielonarodowościowej. Na tej samej sesji Honorowe Obywatelstwo Miasta Łodzi otrzymali m.in. Karl Dedecius i producent filmowy Artur Brauner, uciekinier z łódzkiego getta, od lat mieszkający w Berlinie.

Te trzy dni były świętem nie tylko dla przybyszów z różnych stron świata, ale także radosnym wydarzeniem dla wielu tysięcy współczesnych łodzian. Każdego dnia odbywało się dziesiątki imprez kulturalnych i sportowych, a huczny festyn na Piotrkowskiej trwał nieprzerwanie od piątku do niedzieli.

Karl Heinz Goeppert po powrocie do Niemiec przesłał podziękowanie prezydentowi Palce za zaproszenie na spotkanie. Odtąd przyjeżdżał do Łodzi prawie co roku. Nawiązał bliski kontakt ze szkołą przy ulicy Głogowej. Dzieciom, które się w niej uczyły, przesyłał podarunki na Boże Narodzenie, zachęcił też do odwiedzenia rodzinnego miasta wielu swoich kolegów. Jego kontakty z rodzinnym miastem stopniowo poszerzały się – był zapraszany i uczestniczył w konferencjach naukowych poświęconych przeszłości Łodzi organizowanych przez Instytut Historii Uniwersytetu Łódzkiego i Ośrodek Badań Niemcoznawczych. Jego wypowiedzi były drukowane w wydawnictwach zajmujących się pokłosem konferencji, nawiązał kontakt z kwartalnikiem „Tygiel Kultury”, na którego łamach przedstawił historię swojej rodziny i jej związków z Polską.

We wszystkich podróżach do miasta lat dzieciennych towarzyszyła mu żona Gisela, rodowita Niemka ze Stuttgartu. Łódź, wcześniej znana jedynie z opowieści męża, zauroczyła ją już podczas pierwszego pobytu w 1992 roku. W planie, dotąd niezrealizowanym, państwo Goeppertowie mają zamiar przyjechać do Łodzi z dziećmi – synem i córką. Nie są w tym zamiarze odosobnieni – niektórym innym dawnym łodzianom udało się namówić swoje dzieci na taką podróż sentymentalną.

Tak oto realizuje się hasło o jednoczeniu się dawnych łodzian i materializuje podpowiedź Dedeciusa przekazana kiedyś w Giessen, że należy iść przed siebie, pracować dla przyszłości i wspólnymi siłami ulepszać świat.

### **Budowanie na prawdzie**

Łódź przypomina sobie dzisiaj wielonarodowościową przeszłość – w której swoje miejsca mają Polacy, Żydzi, Niemcy, Rosjanie, ale także przedstawiciele innych nacji – jako bogactwo pozostawione miastu przez historię. To jednak, co dotyczyło udziału Niemców w dziejach miasta, było w pierwszych latach powojennych wstydliwie przemilczane. Przypomniał o tym profesor Janusz Dunin – bibliotekarz i bibliofil – w swojej pełnej anegdot opowieści o mieście zatytułowanej *Moja Łódź pełna ksiązek*. Po wojnie nie dopuszczano nawet myśli o żadnym przyszłym istnieniu w Łodzi kultury niemieckiej. Profesor zapamiętał protesty przeciw wykonywaniu w łódzkim radiu kompozycji Bacha jako niemieckich. Polityka władz i wielu ludzi kultury zmierzała do tego, aby zatrzeć ślady wieloletniego istnienia Niemców w mieście. Zwalczano nawet niewinne przyzwyczajenia łodzian używania lokalnych nazw, jeśli brzmiała w nich niemiecka nuta, np. trzeba było mówić park Źródlińska, a nie „Kwela” – nazwa tradycyjnie w Łodzi używana. Jeszcze w 1970 roku usunięto obwolotę książki Anny Rynkowskiej *Ulica Piotrkowska*. Zapomniano jednak na odwrocie karty tytułowej każdego egzemplarza tej książki usunąć zbędną już informację: *Ilustracja reprodukowana na obwolucie przedstawia dyplom tkacza z pierwszej połowy XIX wieku*. Wydrukowane egzemplarze z dyplomem decyzją cenzora

wycofano ze sprzedaży, a pozostały nakład książki ukazał się już bez tego dwujęzycznego dokumentu. Ilustrację ważną dla książki, zdaniem prof. Dunina, skazano na zagładę tylko dlatego, że pięknie litografowany dyplom był dwujęzyczny i obok polskiego nosił z prawej strony napis: *Das Amt der Aeltesten des Weber Gewerks in der Provinzial Stadt Lodz.*

Przytoczonych przejawów niechęci, a nierzadko nienawiści do Niemców i wszystkiego co niemieckie, można byłoby przytoczyć znacznie więcej. Miały one swoje przyczyny i długi żywot – zrodzone w latach hitlerowskiej okupacji – trwały jeszcze przez wiele powojennych lat. Łodzianie nie byli w stanie wymazać wspomnień przeszłości ze swej pamięci. Dotyczyło to zarówno garstki ocalałych z getta Żydów, jak i doświadczonych okupacyjnymi okrucieństwami Polaków. Jednak pragnienie dostrzegania tego wszystkiego, co łodzian łączyło ponad podziałami – narodowościowymi, religijnymi, wyznaniowymi, obyczajowymi, kulturalnymi – było silniejsze niż zasiana w latach wojny nienawiść.

Przypomnieć w tym miejscu też wypada doniosły dla kształtowania się stosunków między Polakami i Niemcami „Orędzie biskupów polskich do ich niemieckich Braci w Chrystusowym urzędzie pasterskim”, w którym padło znane do dziś sformułowanie: „Przebaczymy i prosimy o przebaczenie”. Odpowiadając na zmasowaną krytykę w prasie, radiu i telewizji kardynał Stefan Wyszyński pisał wtedy w liście pasterskim:

*Czy naród polski ma powód do tego, by prosić swych sąsiadów o przebaczenie? Zapewne nie. Jesteśmy przekonani, że jako naród nie wyrządziliśmy przez wieki narodowi niemieckiemu krzywd politycznych, gospodarczych i kulturalnych. Ale też wyznajemy chrześcijańską zasadę, tak podkreślaną ostatnio w niektórych dziełach literatury, że „nie ma ludzi niewinnych” (Albert Camus). Jesteśmy przekonani, że nawet gdyby jeden jedyny Polak okazał się człowiekiem niegodnym, gdyby jako jeden jedyny w ciągu historii spełnił czyn niegodny, to mielibyśmy powód do wyrażenia: „przepraszamy”, jeżeli chcemy być narodem ludzi szlachetnych i wielkodusznych; narodem lepszej przyszłości.*

Później były inne ważne wydarzenia: mający wartość historycznego symbolu – gest przekazania pokoju podczas nabożeństwa w Krzyżowej między premierem Tadeuszem Mazowieckim i kanclerzem Helmutem Kohlem, runięcie muru berlińskiego – co stało się również radosnym wydarzeniem dla Polaków – i wreszcie podpisanie porozumienia o dobrym sąsiedztwie między Polską a zjednoczonymi Niemcami. Można powiedzieć, że tak jak zmieniały się, w szerokim wymiarze państwowym, stosunki polsko-niemieckie, tak zmieniały się i normalniały stosunki łódzko-niemieckie.

Przykładem jak wiele w okresie minionych sześćdziesięciu lat zmieniło się w patrzeniu na niemiecką przeszłość Łodzi, ilustruje najlepiej los mauzoleum rodziny Scheiblerów na Starym Cmentarzu przy ulicy Ogrodowej.

Dewastacja jednego z najpiękniejszych zabytków cmentarza, arcydzieła architektury neogotyckiej w skali europejskiej, była świadectwem powojennej nienawiści do wszystkiego co niemieckie. Zniszczenia kaplicy były tak poważne, że obiektowi groziła całkowita dewastacja i rozbiórka. Dzięki historykowi sztuki, profesorowi Krzysztofowi Stefańskiemu, pastоровi Mariuszowi Wernerowi i grupie ludzi równie z nimi przejętych ideą ratowania kaplicy, w listopadzie 2003 roku powstała fundacja, która podjęła się wydawałoby się niewykonalnego zadania – uratowania kaplicy będącej wymownym symbolem niemieckiej przeszłości Łodzi. Na ten cel łodzianie corocznie podczas kwesty na Starym Cmentarzu dorzucają swoje złotówki. Fundacja broni kaplicy i broni honoru Łodzi.

### Pod patronatem św. Maksymiliana

Idea założenia stowarzyszenia „Maksymilian Kolbe – Werk” zrodziła się, kiedy grupa trzydziestu czterech Niemców wstrząśnięta wielkim procesem oprawców oświęcimskich udała się w czasie Zielonych Świąt w 1964 roku na pokutną pielgrzymkę do Oświęcimia. Pielgrzymów przyjął wówczas nowo mianowany arcybiskup krakowski Karol Wojtyła. Inicjator wyjazdu Alfons Erb, pracujący wcześniej w budowaniu pojednania między Francuzami i Niemcami, działacz „Ruchu Europejskiego” – organizacji zbliżenia narodów Europy, wiceprezes Katolickiego Ruchu Pokoju, napisał po powrocie:

*W tym wstrząsającym miejscu, gdzie Niemiec może stracić rozsądek, zetknęliśmy się wprost bezpośrednio z rzeczywistością najokrutniejszej nieludzkości reżimu hitlerowskiego. Nie mogłem wówczas znieść tej myśli, że przez tyle lat po wojnie nie dzieje się w Niemczech nic, by pomóc byłym polskim więźniom obozów koncentracyjnych.*





Uczestnicy pielgrzymki do Oświęcimia postanowili przyjść najpierw z pomocą dwojemu byłym więźniom – małżeństwu, z którym zetknęli się na terenie obozu. Krąg wspomaganych więźniów poszerzał się szybko o dziesiątki i setki ludzi w kolejnych latach. Środki na pomoc czerpano ze zbiorów ogłaszanych pod hasłem „Dar solidarności”. 19 października 1973 roku spontaniczną akcją udało się przekształcić w „Maksymilian Kolbe – Werk” z siedzibą we Freiburgu. Była to wspólna decyzja Centralnego Zarządu Niemieckich Katolików i trzynastu niemieckich organizacji katolickich. Przez pierwszych dziesięć lat stowarzyszeniem kierował jego założyciel – Alfons Erb, po nim dzieło ojca przejęła jego córka – Elisabeth Erb i prowadziła je do swojej śmierci w 2000 roku

W jednym z wystąpień w 1987 roku Elisabeth Erb wyznała jak wielkim przeżyciem stało się dla niej i kręgu jej współpracowników spotkanie z dawnymi więźniami obozów koncentracyjnych:

*Spotkanie z Wami trwale zmieniło i wzbogaciło moje życie i życie wielu Niemców. Wołanie o zemstę i odwet byłoby z Waszej strony czymś naturalnym, a przecież udaje się Wam niekiedy zastąpić starą nienawiść ostrożnym zbliżeniem się do Niemców i czasem nawet ideą współpracy. Jest to dla nas wciąż na nowo odkrywane, niezwykle i zarazem uszczęśliwiające przeżycie. Wiem, że jako Niemka nie mam prawa do próśb, ale pozwalam sobie przemawiać za kontynuowaniem wysiłków budowania pokoju między Wami i nami.*

Słowa te, choć trafiały do byłych więźniów obozów koncentracyjnych, nie przekonały ówczesnych władz polskich. Jednak stowarzyszenie „Maksymilian Kolbe – Werk” nie mogło działać tylko na terenie Niemiec, potrzebny był mu partner w Polsce, który przyjmowałby dary, organizował pomoc lekarską dla dawnych więźniów, przekazywał im, w różnej formie, pomoc materialną ze środków zebranych w Niemczech. Oferta „Maksymilian Kolbe – Werk” zawiązała wówczas w próżni. Nie powiodły się starania o utworzenie w Warszawie Centrum Pomocy Socjalno – Medycznej, finansowanego całkowicie przez „Maksymilian Kolbe – Werk”.

Na początku 1989 roku Elżbieta Erb przyjechała do Łodzi. Spotkała się z grupą dawnych więźniów obozów koncentracyjnych i przedstawiła im propozycję utworzenia centrum medycznego. Propozycja od razu spotkała się z życzliwym przyjęciem, szybko ustalono warunki współdziałania. Niektórzy z byłych więźniów, najbardziej zaangażowani w organizowanie ośrodka, wzywani byli na rozmowy przez Służbę Bezpieczeństwa, ale nie dali się zastraszyć. Wynajęli na prowadzenie działalności trzy pokoje przy ulicy Boya-Żeleńskiego, tam przyjmowali i rozdawali napływające dla więźniów obozów koncentracyjnych dary. Dzięki życzliwości parafii św. Maksymiliana Kolbego na Dąbrowie uzyskali teren, na którym mogli ustawić odkupione od Centrum Zdrowia Matki Polki kontenery, w których urządzili swoje biura i gabinety lekarskie. Mimo że ZBoWiD nie kwapił się z udostępnieniem akt, udało się zgromadzić dane osobowe 1850 byłych więźniów obozów koncentracyjnych.

Dzięki pomocy, która nieustannie płynęła z Freiburga, w Centrum Opieki Medycznej przy Tatrzańskiej 111 urządzono aptekę, trzy specjalistyczne gabinety lekarskie, gabinet rehabilitacyjny z wyposażeniem jakiego Łódź dotąd nie posiadała, gabinet kąpieli leczniczych, a także świetlicę. Podopiecznym ośrodka wydawano każdego roku tysiące paczek żywnościowych, apteka bezpłatnie przekazywała im leki, najbardziej schorowani otrzymywali sprzęt rehabilitacyjny, dla wielu osób kupowano bieliznę, setkom innych przekazywano zapomogi finansowe – jednorazowe i długookresowe. Fundusze przekazywane po dziś dzień polskim więźniom obozów koncentracyjnych przez „Maksymilian Kolbe – Werk” wynoszą każdego roku kilka milionów złotych, a przez te wszystkie lata uzbierało się dziesiątki milionów. Pomoc przesyłana przez „Maksymilian Kolbe – Werk” do Łodzi trafia stąd do wielu innych miejscowości w Polsce, a od kilku lat także za wschodnią granicę – do byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych mieszkających na Ukrainie, Białorusi, Rosji i w krajach nadbałtyckich.

Działalność „Maksymilian Kolbe – Werk” nie ogranicza się do sfery materialnej. Wolontariusze stowarzyszenia przyjeżdżają z Niemiec do Polski i odwiedzają więźniów obozów koncentracyjnych. Są wśród wolontariuszy siostry zakonne, osoby cywilne w średnim wieku, a także bardzo młodzi ludzie – uczniowie i studenci. Natomiast Polacy – dawni więźniowie – zapraszani są przez „Maksymilian Kolbe – Werk” na spotkania do szkół niemieckich i opowiadają uczniom o swoich przeżyciach w obozach hitlerowskich.

Stowarzyszenie noszące imię świętego, uznawanego za „świadka pojednania”, realizuje swoje cele unikając rozgłosu i spektakularnych dowodów uznania. Maksymilian Kolbe poprzez swoje dzieło odnosi jeszcze jedno zwycięstwo – miłości nad nienawiścią.

### **Dialog pomaga zrozumieć**

I Światowe Spotkanie Łodzian odbyło się w 1992 roku, następne zorganizowano dopiero osiem lat później – w 2000 roku. Jednak tylko dwa lata trzeba było czekać na narodziny wydarzenia kulturalnego, które „przebiło” poziomem artystycznym oraz zasięgiem oddziaływania wszystko co dotąd było organizowane w Łodzi – mowa o Festiwalu Dialogu Czterech Kultur. Organizuje go od 2002 roku, powstałe rok wcześniej, Towarzystwo na Rzecz Dialogu Kultur „Łódź Ziemia Przyszłości”. Powołane przy udziale wielu osób, ale przy wielkim osobistym zaangażowaniu i niespożytej energii zafascynowanego wielonarodowościową przeszłością miasta, łódzkiego adwokata – Witolda Knychalskiego.

Festiwal wspierają władze miasta, a prawdziwego blasku dodaje mu II program TVP, który przejmując sprawy programowe festiwalu, reklamuje go we wszystkich telewizyjnych kanałach. Rejestruje najciekawsze imprezy festiwalowe, później prezentując w programach ogólnopolskich, a za pośrednictwem Telewizji Polonia pokazuje szerokiemu światu.

Podczas kilku dni festiwalowych Łódź staje się nieformalną stolicą kulturalną kraju – występują tu najwybitniejsi artyści, chóry, zespoły muzyczne z Izraela, Niemiec, Rosji. W bloku imprez polskich, w których znaczny udział mieli czołowi artyści warszawscy, z roku na rok zwiększa się udział łodzian i łódzkich instytucji artystycznych – teatrów i muzeów.

Czwarta edycja Festiwalu Dialogu Czterech Kultur zaplanowana została od 26 sierpnia do 4 września 2005 roku, zaś z zapowiedzi wynika, że festiwal swoim poziomem nie będzie ustępować poprzednim. W programie 2005 roku znalazło się wiele akcentów niemieckich – ma wystąpić niemiecka grupa rockowa *Rammstein*, Teatr „Derevo” stworzony przez rosyjskich emigrantów mieszkających w Niemczech, na Starym Rynku ma zaprezentować się niemiecki teatr plenerowy i być może przyjedzie do Łodzi jeden z najwspanialszych współczesnych skrzypków – Gidon Kremer, urodzony w Rydze, studiujący w Moskwie, a od 1980 roku mieszkający w Niemczech. Gdyby marzenie organizatorów spełniło się, to razem z niezwykłym gościem przyjedzie jego sławna orkiestra – *Kremerata Musica*.

Inicjatywy przypominające tradycje Łodzi wielonarodowościowej organizowane od wielu już lat przez różne instytucje artystyczne, stowarzyszenia i placówki kulturalne, zachęciły władze miasta i województwa do wystąpienia z propozycją scalenia różnorodnych przedsięwzięć w długofalowe programy zaplanowane na kolejne lata. 25 listopada 2004 roku w Muzeum Kinematografii, dawnym pałacu Karola Scheiblera, podpisany został przez wojewodę łódzkiego Stefana Krajewskiego, marszałka województwa łódzkiego Stanisława Witaszczyka, prezydenta Łodzi Jerzego Kropiwnickiego oraz prezesa Fundacji na Rzecz Rozwoju Dialogu Kultur „Łódź Ziemia Przyszłości” – Witolda Knychalskiego list intencyjny, którego dwa pierwsze, związane paragrafy zasługują na przytoczenie:

1. Strony niniejszego listu intencyjnego deklarują wolę współpracy przy organizacji obchodów Roku Krajów Obszaru Języka Niemieckiego, Roku Żydowskiego i Roku Rosyjskiego i dołożą wszelkich starań, aby planowany z tej okazji cykl imprez stał się ważnym wydarzeniem kulturalnym podkreślającym wielokulturowy charakter województwa łódzkiego i miasta Łodzi.
2. Strony przez kolejne trzy lata będą wspólnie organizować Rok Krajów Obszaru Języka Niemieckiego w roku 2005, Rok Żydowski w roku 2006 i Rok Rosyjski w roku 2007.

*DAS JAHR DER DEUTSCHSPRACHIGEN LÄNDER*, po polsku „Rok Krajów Obszaru Języka Niemieckiego”, połączył w działaniu urzędników miejskich i wojewódzkich, dyrektorów muzeów, teatrów, prezesów fundacji i stowarzyszeń społecznych i kulturalnych, przedstawicieli wyższych uczelni. Rok trwa i wzbogaca życie kulturalne i naukowe Łodzi.

Kontakty łódzko-niemieckie obejmują handel, współpracę gospodarczą, wymianę naukową łódzkich uczelni, wspólne działania placówek kulturalnych i artystycznych.

\* \* \*

Od czterech lat działa w Łodzi konsulat honorowy Republiki Federalnej Niemiec. Konsulem Honorowym Niemiec jest Ewa Goczek. Konsulat mieści się w zabytkowym budynku przy ulicy Piotrkowskiej 111, ozdobionym niemiecką flagą państwową. Placówka pełni wiele zadań, ale na pierwszym miejscu pani konsul wymienia sprawy prozaiczne, takie jak pomoc obywatelom niemieckim w nieprzewidywanych, najczęściej kłopotliwych sytuacjach, jakie przytrafiają się im podczas pobytu na terenie naszego miasta i województwa. Okazuje się jednak, że wcale nie mniej energii placówka wkłada w promocję kultury niemieckiej. Ma się też czym pochwalić jeśli idzie o wspieranie polsko-niemieckich kontaktów gospodarczych.

W Roku Krajoów Obszaru Języka Niemieckiego nie sposób pominąć działalności Konsulatu Austrii w Łodzi. Konsulem honorowym Austrii jest prof. dr Szczepan Miłoś.

Dzisiaj w mieście i województwie łódzkim działa ponad czterdzieści firm austriackich – banków, firm ubezpieczeniowych i przedsiębiorstw. Od 1997 roku organizowane są w Łodzi Dni Austrii, które stały się ważnym wydarzeniem społecznym i kulturalnym. Obok polityków, przedstawicieli władz miasta i województwa w imprezach z udziałem artystów z obu krajów licznie uczestniczą łodzianie zapraszani w tych dniach do teatrów, filharmonii, Muzeum Historii Miasta Łodzi. W programie Dni Austrii, obok głośniejszych wydarzeń, znajdują się także imprezy kameralne, ale posiadające wiele swoistego uroku. Dość wymienić dwie ubiegłoroczne osobliwości: 12 października 2004 roku goście z Austrii i Polski oglądali inscenizację bajki *Czerwony Kapturek* w wersji niemieckiej w wykonaniu dzieci z przedszkola nr 156 w Łodzi przy ulicy Tatrzańskiej 59, a po południu tego samego dnia w Domu Kultury „502” na Widzewie można było bawić się na „Austriackim gadaniu” – gawędzie o Cesarstwie Austro-Węgierskim z udziałem dziennikarzy krakowskich – Leszka Mazana i Mieczysława Czumy.

Innym wydarzeniem towarzyszącym od początku Dniom Austrii jest Forum Gospodarcze „Polska – Austria”. Każdego roku jego tematem są aktualne problemy ważne dla obu krajów – ostatnio dyskutowano o energii ekologicznej, a także o doświadczeniach Austrii, konkretnie zaś regionu Styrii, w przygotowaniu programów dla Unii Europejskiej. Podczas Forum partnerzy austriaccy dzielili się doświadczeniami z realizacji tych programów oraz procedur rozliczania.

Interesująco zapowiadają się również tegoroczne Dni Austrii. Kierunek: Austria – Wiedeń to hasło w Łodzi zrozumiałe i coraz popularniejsze.

### Nie tylko nasz

Karl Dedecius jest Honorowym Obywatelem Miasta Łodzi, doktorem *honoris causa* Uniwersytetu Łódzkiego, posiada obok innych wielkich łodzian – Rubinsteina, Reymonta, Tansmana, Karskiego – swoją salę w Muzeum Historii Miasta Łodzi, a Gimnazjum nr 43 przy ulicy Powszechniej na Chojnach od trzech lat nosi imię Karla Dedeciusa. Takich honorów za życia nie doczekał się żaden ze sławnych łodzian. Słusznie się mu należą. Jest on Niemcem, z którym można swobodnie rozmawiać po polsku. Władza tym językiem niczym profesor Miodek. W Darmstadt, nazywanym miastem poetów, utworzył Deutsches Polen – Institut, czyli Instytut Kultury Polskiej w Niemczech. Dzięki instytutowi kultura niemiecka wzbogacona została o tłumaczenia wszystkich najwybitniejszych dzieł literatury polskiej. Wiele z nich, w szczególności utwory poetyckie, zostały w sposób genialny przetłumaczone przez samego Karla Dedeciusa. W Darmstadt organizowane były poświęcone kulturze polskiej sympozja, koncerty, wystawy, tu przybywali najślawniejsi polscy pisarze, poeci, dziennikarze, tłumacze, naukowcy. Karl Dedecius posiada najwyższe odznaczenia państwowe przyznane przez prezydentów Polski i Niemiec. Ale nie przypina ich nawet przy uroczystych okazjach. Jest ujmująco skromny, tak go wychowała rodzina i miasto rodzinne – Łódź.

pierwsze kolumny



W maju 1939 roku Karol Dedecius w polskim liceum im. Stefana Żeromskiego otrzymał świadectwo dojrzałości. Później podzielił gorzki los Niemca z Łodzi. Znalazł się na froncie pod Stalingradem, dostał się do rosyjskiej niewoli. Przeżył. Ocaliła go miłość narzeczonej z Łodzi, która wierzyła przez wszystkie lata

wojny, że do niej powróci. Dowiedziała się, że przebywa w rosyjskim obozie jenieckim i poprzez Międzynarodowy Czerwony Krzyż wydobyła go z niewoli. Zwolniony 13 grudnia 1949 roku z Rostowa nad Donem przejechał przez Polskę, w której nikt go nie czekał. Matka zmarła w 1942 r, ojciec został zamordowany w 1945 roku. Przyjechał do Weimaru, w którym oczekiwała go narzeczona. Po jakimś czasie oboje uciekli do Niemiec Zachodnich.

Praca jaką wykonał jako tłumacz i popularyzator kultury polskiej w Niemczech, zdaje się przerastać możliwości jednego człowieka. Jego imponujący dorobek, wielokrotnie przedstawiany i omawiany w wielu publikacjach, budzi podziw po obu stronach granicy.

W 1996 roku rodzinne miasto z okazji 75-lecia urodzin urządziło mu jubileusz jakiego dotąd nie miało. Był wówczas gościem uczelni artystycznych i honorową osobistością niezwyklej „Nocy Poetów” w Pałacu Poznańskim, z udziałem wielu wybitnych muzyków i licznego grona poetów, wśród których znalazła się także przyszła noblistka – Wisława Szymborska.

W 1998 roku Karl Dedecius wybrał się do Zelowa – gniazda jego rodziny przybyłej przed laty z Czech do Polski. Podczas przeglądania u pastora kościoła ewangelicko-reformowanego Mirosława Jelinka starych ksiąg parafialnych okazało się, że dziadek sławnego tłumacza podpisywał się trzema krzyżykami. Mistrz poetyckiego przekładu ze wzruszeniem przyglądał się zapisanych cyrylicą pożółkłym kartkom. W pobliskich zaś Pożdżenicach odnalazł zapadniętą w grunt starą chatę tkaczy – Dedeciusów.

W 1999 roku Uniwersytet Łódzki zaprosił Karla Dedeciusa na sesję naukową poświęconą jego twórczości, na którą zjechali znakomici poloniści i germaniści z całego kraju. W 2001 roku Łódź zorganizowała uroczyste obchody 80-lecia jego urodzin. Każdy przyjazd Dedeciusa do rodzinnego miasta jest zapowiedzią następnego. Zaprasza go nie tylko Łódź, ale wiele innych miast – Lublin, Kraków, Płock, Toruń, Warszawa, Wrocław. Ma przyjaciół jak Polska długa i szeroka. Dlatego chociaż uważamy, że jest nasz, łódzki, to musimy pogodzić się, że inni mają również do niego prawo.

Kilka lat temu jedna z czytelniczek emigracyjnego pisma na pytanie redakcji kto jest najlepszym Polakiem odpisała krótko: „Karl Dedecius, chociaż Niemiec”. Niemcy uważają go za swojego, Polacy – też. On sam zawsze podkreśla, że jest łodzianinem i Europejczykiem.

*Mieczysław Gumola*

Obszerny artykuł poświęcony Karłowi Dedeciusowi i utworzonemu przez niego instytutowi znaleźć można w nr 2/2002 „Kroniki miasta Łodzi”.

# nauka

## **Obraz na wskroś subiektywny**

*Stereotyp Niemca w Polsce*

Marek Strąkowski

str. 39

## **Znasz li ten... język?**

*Od przedszkola po uniwersytet*

Mieczysław Gumola

str. 44

## **„Odpowiednie dać rzeczy słowo”**

*Język niemiecki – inwestycja, która się opłaca*

Hanna Nowakowska-Pogodzińska

str. 52

## **Zostawione w słowach**

*Piśmiennictwo niemieckie*

*w zbiorach Biblioteki Uniwersytetu Łódzkiego*

Jerzy Andrzejewski

str. 56

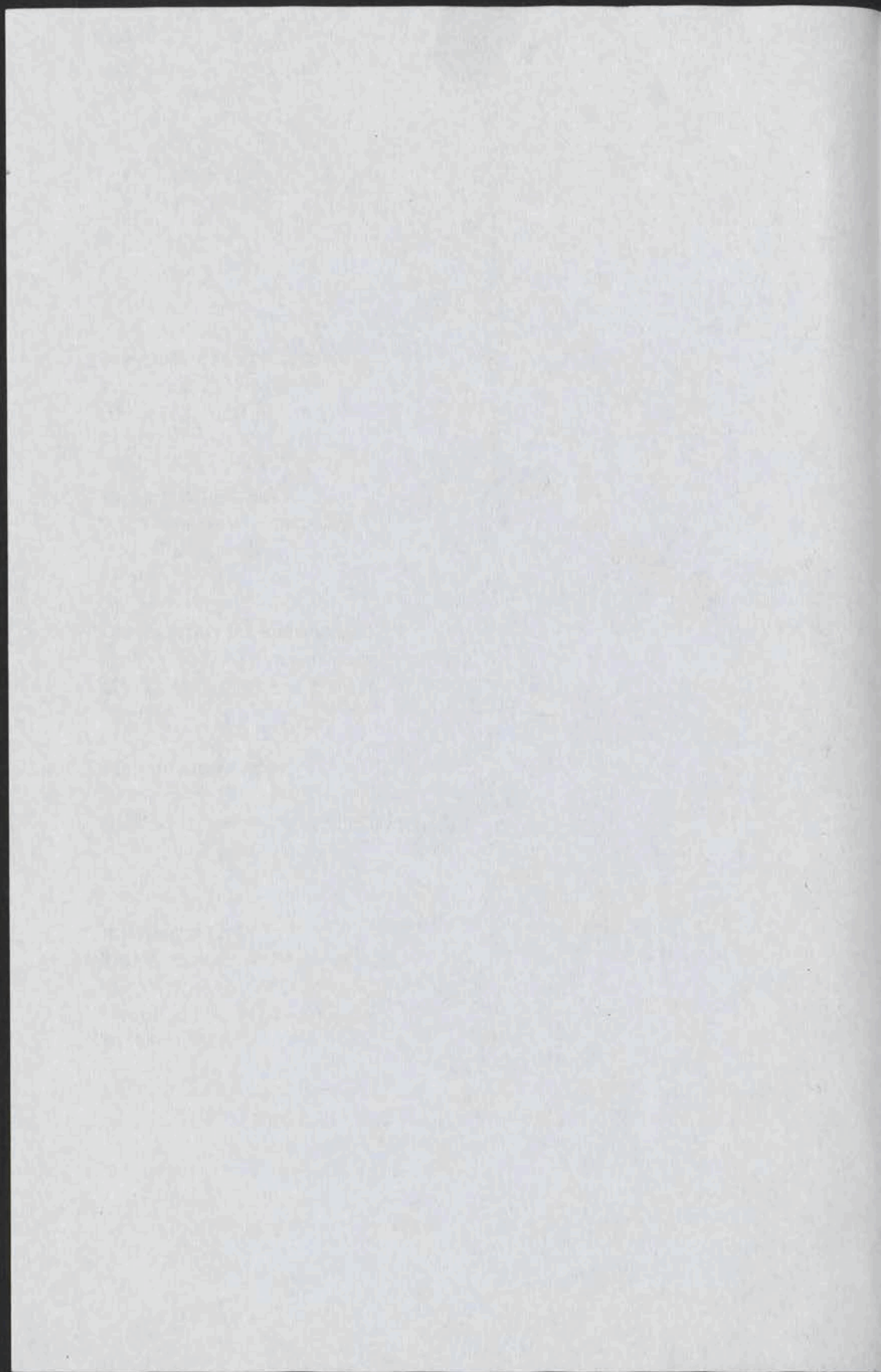
## **Pisane gotykiem**

*Druki niemieckie w zbiorach WIMBP*

*im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Łodzi*

Piotr Sętkowski i Piotr Boczkowski

str. 62





# Obraz na wskroś subiektywny

## *Stereotyp Niemca w Polsce*

nauka

Pojęcie stereotypu narodowego nie posiada jednoznacznej definicji. Stanowi przedmiot naukowych dyskusji i sporów kształtujących pogląd ogólny w konkretnym zakresie znaczeniowym. Zgodnie ze stanowiskiem Otto Klineberga narodowe stereotypy to wyobrażenia o cechach własnego charakteru narodowego lub cechach innych narodów – stąd auto – i heterostereotypy narodowe. Narodowy symbol, tak jak narodowy auto-stereotyp, jest wyrazem istniejących przekonań, opinii, doświadczeń – opisując je, omawiając i przetwarzając, tworzy jednocześnie ich kontekst i oddziałuje na ich interpretację.

Stereotyp Niemca w oczach Polaka posiada jedną cechę stałą: jest wolny od obiektywizmu. Negatywna figura Niemca ma trwałe miejsce w polskiej mentalności, wykształconej w obszarze wspólnych relacji sąsiedzkich na przestrzeni całej wspólnej historii. Historii, która związała ze sobą losy obu nacji na zawsze. Niemcy od pierwszych kontaktów z państwem Polan byli partnerem silniejszym. Posiadali sprawniej zorganizowaną strukturę społeczną i wyższy poziom cywilizacyjny. Pomimo tej przewagi Polska nie została włączona do Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego, a bilans zmagani wojennych państwa Piastów, a później Jagiellonów z Niemcami nie przynosi definitywnych rozstrzygnięć. Militarne zwycięstwo nad Zakonem Krzyżackim w wojnie trzynastoletniej gwarantuje Polsce spokój ze strony państw niemieckich – Marchii, Brandenburgii, Prus, Saksonii – aż do czasu rozbiorów.

Mimo prowadzonych wojen występowały kontakty handlowe i kulturalne. Dla Niemców, zamieszkujących centrum Europy i sąsiadujących od zachodu i południa z równie cywilizowanymi ludami, jedynym możliwym kierunkiem ekspansji terytorialnej był wschód. Po zajęciu Połabia osadnicy niemieccy zakładali miasta i tworzyli enklawy wiejskie na terenach ziem polskich, siedmiogrodzkich, aż do wybrzeży Morza Czarnego. To osadnictwo było dla samodzielnych państw słowiańskim zjawiskiem korzystnym. Wzmacniało je demograficznie, cywilizacyjnie i kulturowo. Osadnicy często faworyzowani przez miejscowych władców, łatwo asymilowali się z ludnością słowiańską. Inaczej wyglądała sytuacja na ziemiach polskich, które znalazły się w granicach Cesarstwa Niemieckiego i państwa Zakonu Krzyżackiego. Masowe kolonizatorstwo niemieckie na tych ziemiach połączone było z szybką germanizacją elit społecznych, co wpłynęło na całkowite zniemczenie całych regionów.

Powszechny wtedy stosunek do Niemców wyraża popularne w czasach Rzeczypospolitej szlacheckiej powiedzenie: *Nigdy w szczerzej nie żyli Polak z Niemcem zgodzie. Polaka pycha, Niemca wolność bodzie. Stąd przypowieści miejsce,*

*że póki świat światem. Nie będzie nigdy Niemiec Polakowi bratem.* Stwierdzenie to wyraźnie ilustruje stan ówczesnej świadomości. Ludność polska akceptuje osadników niemieckich, docenia ich pracowitość, obowiązkowość, porządek i układność. Samo państwo niemieckie w tamtym okresie było raczej przedmiotem kpin. Częściej budziło pogardę niż strach. W niedalekiej przyszłości sytuacja zmieni się nie do poznania.

Niemcy – będąc jednym z trzech zaborców – stali się w powszechnym odczuciu głównym sprawcą polskiej tragedii narodowej. Ten fakt wpłynął na trwale negatywną ocenę narodu niemieckiego. Pomimo tak zrodzonego antagonizmu w procesie kształtowania się stereotypu Niemca w świadomości polskiej pojawiło się ciekawe zjawisko: powstaje wyraźne rozróżnienie pomiędzy postrzeganiem narodu niemieckiego i Prus odgrywających w końcu XVIII i przez cały wiek XIX znaczącą rolę. Polacy podziwiali niemiecką kulturę. Jej dorobek powodował zazdrość i służył za wzór polskim intelektualistom. Niemiec – w odróżnieniu od Prusaka – opisywany był jako bezkonfliktowy, zajmujący się handlem człowiek, o otwartym umyśle i łagodnym usposobieniu. W wizerunku Prusaka zaznaczały się cechy negatywne: pycha, buta, brutalność, potrzeba dominacji. Po zjednoczeniu Niemiec wszystkie te pejoratywne walory zostały przypisane całemu narodowi.

Wiele przekazów z pierwszej połowy dziewiętnastego wieku potwierdza podwójne standardy w widzeniu i ocenie narodu niemieckiego. Maurycy Mochnecki był przekonany, że: (...) *trudno znaleźć na świecie ludzi poczciwszych i moralniejszych. Otwartość, gościnność, szczerota charakteryzują Niemców. Co w sercu, to w uśmiechu, co w myślach, to w sercu! Statek we wszelakim przedsięwzięciu, płochości żadnej w niczym; długi, powolny namysł, lecz od tego, co raz postanowili, nic ich nie odwiedzie.* Nie był to odosobniony sąd o przymiotach Niemców. Doświadczenia powstańców listopadowych emigrujących do Niemiec (głównie Saksonii i Brandenburgii) raczej potwierdzały taką opinię. Według relacji jednego z nich *Germania jest ojczyzną gospodarności, porządku, czystości i wielu innych cnót domowych, ale także jest siedliskiem wielu wad i ułomności naszej natury, między którymi obżarstwo bezspornie zajmuje pierwsze miejsce.* Dowody sympatii, z jakimi spotykali się polscy uchodźcy, nie przesłoniły spostrzeżeń o wiele bardziej dosadnych: *Niemcy są narodem potulnym, dopóki się nie zobaczą, przynajmniej dwóch przeciw jednemu i zbrojni od stóp do głów przeciw bezbronnemu; są przeto pokój lubiący, dopóki słabi, rządni, trzeźwi i pracowici, a szczególnie wkorzeniający się w ziemię jak bujny chwast, nurtujący grunt najtwardszy, któremu zaledwie ogniem można dać radę.*

Po roku 1870 ta dualistyczna percepcja uległa ujednoczeniu. Pruska natura zdominowała wszelkie pozytywne aspekty niemieckiej mentalności. Nacja niemiecka utożsamiona została z bezwzględną siłą, egoistyczną w swych działaniach, służących ekspansywnej polityce państwa pruskiego. Doświadczenia Polaków z okresu *Kulturkampf* i Hakaty wykształciły całkiem nowy wizerunek Niemca. Miejsce spokojnego chłopa zajął junkier, bez pardonu zagarniający polską ziemię. Pomagał mu w tym

bezwzględnie posłuszny władzy urzędnik oraz karny pruski żołnierz. Pomimo powszechnej do Prusaków niechęci ważną cechą, która nabrała ujemnej konotacji, była pracowitość oraz wyszydany niemiecki porządek. To wtedy właśnie powstał upowszechniony osąd kształtujący właściwości niemieckiego wizerunku. Zrodził się portret osobnika wyrachowanego, dbającego wyłącznie o własne interesy, obłudnego, pokornego wobec siły i unижonego w stosunku do władzy. Dwulicowego egoisty o relatywnej moralności, niegodnego zaufania. Niemcy w ogólnym odbiorze stali się ludźmi niosącymi zniszczenie i wojnę. Siła społecznych poglądów na temat Niemców odcisnęła się też na terenie działań politycznych. Roman Dmowski w książce *Niemcy, Rosja i kwestia polska* napisał, że główne niebezpieczeństwo zagraża Polakom ze strony Niemiec ze względu na ich większy potencjał gospodarczy i przewagę cywilizacyjną. Wybuch pierwszej wojny światowej potwierdził tezy Dmowskiego. Zaczął się kolejny etap w stosunkach polsko-niemieckich.

II Rzeczpospolita szybko stanęła wobec problemu niemieckiego. W wyniku restytucji państwa polskiego na jej terytorium znalazła się mniejszość niemiecka. W okresie międzywojennym wizerunek Niemca nie uległ zmianie. Od początku lat trzydziestych wzajemna nienawiść narastała. Niemca utożsamiano ze wszystkim, co najgorsze.

Wybuch drugiej wojny światowej potwierdził wszystkie obawy żywione wobec Niemców. Obraz Niemca stawał się coraz okrutniejszy. W polską mentalność wrósł portret aryjczyka w czarnym mundurze esesmana. Określenie „hitlerowiec” oznaczało mordercę, eksterminatora z obozów koncentracyjnych. Stosowane zamiennie „gestapowiec” i „nazista” wyrażały nienawiść ofiar do katów. Na zawsze niemiecki stereotyp wzbogacił się o takie określenia jak *Ordnung muss sein* czy *Befehl ist Befehl*, którymi faszyci tłumaczyli swoją brutalność. Przez długie lata po wojnie tkwiące w podświadomości narodowej powszechne poczucie krzywdy uniemożliwiało jakikolwiek akt indulgencji.

Powojenna rzeczywistość rozczepiła kwestię niemiecką na dwa różne organizmy polityczne. Powstały dwa państwa niemieckie, a komunistyczna propaganda usiłowała stworzyć dwa narody. Taka światopoglądowa indoktrynacja znalazła odbicie w polskim stereotypie Niemca. Obywatel NRD był jakby bliższy, bardziej przyjazny: niegroźny posiadacz trabanta, spędzający wolny czas na działce; gruby, łysiejący, ukontentowany życiem przy kuflu piwa. Niemiec z RFN był zły – bogatszy, więc bardziej obcy. To właśnie jego oficjalne czynniki władzy ludowej próbowały obarczyć odpowiedzialnością za wojenną hekatombę. W relacjach prywatnych nie było tak wyraźnego podziału. Przyporządkowano Niemcom te cechy, które wyróżniają ich spośród innych narodowości. Cechą najważniejszą – kojarzoną z Niemcem jednoznacznie – jest bez wątpienia pracowitość. Kolejne bezwarunkowo im przypisywane to: solidność, obowiązkowość, przywiązanie do porządku, karność. Pomimo szerokich kontaktów instytucjonalnych i towarzyskich w polskiej podświadomości społecznej

Niemiec pozostaje sąsiadem nieprzewidywalnym. I choć nikt już dziś nie traktuje poważnie tezy o uśpionym najeźdźcy, to lęk przed, jak to nazwał Kierkegaard „ranami negatywności” rozbudza naszą czujność. Stosunki polsko-niemieckie narodziły się i kształtowały poprzez hierokratyczną walkę dwóch etnicznie odrębnych grup narodowościowych. Dwóch narodów, które stanowią o własnej drodze ewolucji. Znana maksyma Platona mówi, że *we wszystkich rzeczach naturalnych i ludzkich początek jest najznakomitszy*. Początek, czyli *incipit*. Od tego łacińskiego słowa pochodzi wyraz „inicjał”, w którym pobrzmiwa echo prymatu. Władzy negacji nad refleksją. George Steiner obwieścił koniec początków – stereotypy pozostały.

\* \* \*

Lata 1821–1865 uważane są za okres narodzin Łodzi przemysłowej. Do miasta napływa ludność niemiecka wszystkich stanów i różnej kondyty. Najliczniejszą grupę zawodową stanowią rzemieślnicy związani z przemysłem włókienniczym. Poza nimi licznie przybywają kupcy, drobni przedsiębiorcy, rolnicy. Niemcy przynoszą ze sobą autostereotyp narodowy – *der deutsche Michel* – który w Łodzi znajduje uznanie i częściowe potwierdzenie wśród ludności polskiej i żydowskiej.

„Niemiecki Michel” zawiera w sobie, jako symbol słowny, odpowiedni kontekst pojęciowy, będący zestawem przekonań Niemców o cechach ich własnego charakteru narodowego. Stał się na długi czas oficjalnym autoportretem Niemców. W karykaturach jego tłusta sylwetka ze szlafmycą na głowie uosabiała niemiecką świadomość narodową. Jednak w odróżnieniu od innych narodowych symboli powszechnie zaaprobowanych na całym świecie, ten nigdy nie doświadczył międzynarodowej popularności. Wynikało to z dużej rozbieżności pomiędzy kreowanym stereotypem miłującego pokój, marzycielskiego poczciwca a zapadłym w pamięć pokoleń obrazowi barbarzyńcy i oprawcy. Taki wizerunek pozostawał też w wyraźnej opozycji do nadanego Niemcom przez Madame de Staël określenia narodu „poetów i myślicieli”.

„Niemiecki Michel” przeszedł wiele wcieleni, a jego symbol przybierał różne funkcje, dopasowując się do potrzeb chwili i odpowiedniego zadania propagandowego. W XVI wieku był symbolem prostego, niewykształconego chłopca, odpowiednikiem polskiego „głupiego Jasia”. W wieku XVII jako monogłota znający tylko mowę rodzinną, stał się symbolem walki z cudzoziemskimi nawykami szlachty i zagraniczną kulturą dworską. W czasie Wiosny Ludów przyjmuje postawę apolitycznego filistra, występującego w obronie praw ludu, dążącego do zjednoczenia Niemiec. Przed wybuchem I wojny światowej socjaldemokratyczna prasa niemiecka pokazywała go jako uciemiężony przez rząd lud niemiecki, potępiający politykę militarystyczną i imperializm. W roku 1919 Michel stał się niewinną i bezbronną ofiarą państw zwycięskich. Po roku 1933 – w prasie polskiej i francuskiej – symbolizował „naród bydłocy”, uległych i pokornych Niemców, potrzebujących wodza z twardą ręką.

Właściwym komentarzem jest *Hymn Hitlera* wydrukowany w polskim piśmie satyrycznym „Mucha”:

*Der deutsche Michel, on nie zna się nic,  
Ein Viehvolk, jak mawiał der alte Fritz,  
Gdy walić, a dobrze, Niemiec jest rad,  
Ja właśnie na niego chwyciłem bat.*

„Niemiecki Michel” miał bez wątpienia Janusowe oblicze. Łatwo poddawał się manipulacji ideologicznej, pozwalając na dużą dowolność w interpretowaniu swojej symbolicznej roli. Okazywało się wtedy, że jest on tylko na pozór ślamazarnym marzycielem. Że drzemie w nim potężna siła, a jego naiwność może gwałtownie przemienić się w gniew. Ikona Michela została dopasowana do przeświadczenia Niemców o dwoistości ich natury. Romantyczna, wrażliwa na piękno i sentymentalna, kiedy trzeba było stawała się bezkompromisowa w działaniu, przyjmując prymitywną zasadę walki za nadrzędną formę społecznej realizacji celów.

Po II wojnie światowej sylwetka Michela uległa transfiguracji. Stracił swoje podwójne oblicze o rysach hedonisty na rzecz symbolu groźniejszego, budzącego jednoznacznie negatywne odczucia.

\* \* \*

Koegzystencja Polaków i Niemców w Łodzi, która trwała z górą sto lat, wykształciła postawy wzajemnej identyfikacji z uwzględnieniem weberowskich „idealnie typowych pojęć”. Fizyczne istnienie Niemców w obszarze relacji bezpośrednich potraktowane zostało jako opis tego, co empirycznie istnieje. Zastosowane do wytworzenia lokalnego stereotypu porównawcze instrumenty pojęciowe nabrały znacznej heurystycznej wartości. W ten sposób spełniły swoje zadanie – podporządkowały funkcję weryfikacji założeniom idei. Powiązanie rzeczywistości z ideami wartości poprzez nadanie im znaczeń stabilnych, uogólniło stereotyp Niemca na czas sąsiedzkiej koincydencji.

Zewnętrzny wizerunek Niemca w społeczeństwie polskim nie ulega zmianie. Nie znika obawa przed narodem niemieckim, przy jednoczesnej akceptacji pokojowego obrazu Niemca jako jednostki. Polacy doceniają pracowitość i styl życia Niemców. Imponuje ich zamożność. Nie bez znaczenia pozostaje fakt wyjazdów do Niemiec w poszukiwaniu pracy i wynikające z tego konsekwencje osobistego poznania sąsiadów. Stereotyp Niemca w świadomości Polaka ukształtowało kilka przełomowych wydarzeń historycznych. Prawdą jest, że wyobrażenia stereotypowe o innej nacji budują się długo, gwałtowne zwroty mocno konstruują ich schemat, a sam stereotyp mówi równie dużo o tym, który go tworzy, jak i o tym, którego dotyczy.

Marek Strąkowski

# Znasz li ten... język?

*Od przedszkola po uniwersytet*

## **Najlepiej *ab ovo***

Kiedyś naukę języków obcych rozpoczynano w starszych klasach szkoły podstawowej. Obecnie uczy się ich coraz młodsze dzieci. Angielski w przedszkolu nikogo nie zaskakuje. Nie słyszało się o tym, aby ktoś próbował uczyć niemieckiego w przedszkolu. A jednak znalazło się takie...

Przedszkole Miejskie nr 156 otaczają widzewskie bloki, ale zieleni mu nie brakuje: posiada duży ogród, w pobliżu znajduje się Park Podolski oraz ogród działkowy. Przedszkole współpracuje z wieloma instytucjami, w tym z Wojewódzkim Ośrodkiem Doskonalenia Nauczycieli, Widzewskim Domem Kultury, Uniwersytetem Łódzkim. Inicjatywa nauczania niemieckiego wyszła od dyrektora przedszkola Elżbiety Janczak. W 2000 r. poznała konsula honorowego Austrii – Szczepana Miłosza, który przybył na spotkanie do Widzewskiego Domu Kultury. Wyraziła wówczas zamiar wprowadzenia języka niemieckiego do zajęć przedszkolnych.

Pomysł konsula zainteresował, lecz decyzja w tej sprawie należała do Wydziału Edukacji Urzędu Miasta Łodzi. Na oświatę pieniędzy brakuje, wyciągnięcie dodatkowych groszy okazało się niemożliwe.

Bezpłatnie prowadzone są w Przedszkolu nr 156 tylko zajęcia z religii, zaś za wszystkie inne dodatkowe: gimnastykę korekcyjną, język angielski, taniec towarzyski, zajęcia logopedyczne, lekcje umuzykalniające, zajęcia z twórczości teatralno-plastycznej, karate tradycyjne płacić muszą rodzice. Dodać trzeba, że w zajęciach dodatkowych uczestniczy tylko część przedszkolaków. Elżbiecie Janczak zależało na tym, by języka niemieckiego uczyły się wszystkie dzieci, czyli musiałyby to być zajęcia bezpłatne. Mimo ponawianych starań Wydział Edukacji dodatkowych pieniędzy na język niemiecki dla przedszkola nie znalazł. Bezpłatne zajęcia z języka niemieckiego należało opłacić z budżetu przedszkola. W placówce pracuje dziewięć nauczycielek. Oprócz podstawowego wymiaru godzin pracy miały one jeszcze godziny nadliczbowe za dyżury. To była jedyna rezerwa finansowa, po którą dyrektorka mogła sięgnąć. Musiała jedynie do takiego rozwiązania przekonać swoją kadrę pedagogiczną. I to jej się udało.

Od 1 stycznia 2004 r. Przedszkole nr 156 zatrudniło w wymiarze siedmiu godzin tygodniowo Agnieszkę Sakowicz, nauczycielkę przedszkolną, posiadającą licencjat z języka niemieckiego. Dwie najmłodsze grupy, dzieci w wieku 3–4 lat, mają dwa razy w tygodniu spotkania z językiem niemieckim, starszaki uczą się języka codziennie. Innowacja wprowadzona w Przedszkolu nr 156 wywołała duże zainteresowanie wśród



nauka

pedagogów i rodziców. Na przedstawienie *Czerwonego kapturka* w języku niemieckim, zaprezentowanego w październiku 2004 r., przyjechali do przedszkola goście niezwykajni: konsul honorowy Austrii, dyrektorka Wojewódzkiego Ośrodka Doskonalenia Nauczycieli, przedstawiciele kuratorium i Wydziału Edukacji. Były oklaski dla małych artystów i pomysłodawców przedsięwzięcia.

Czy do Przedszkola nr 156 dołączą inne? Ponoć podobne zajęcia prowadzi już jedno z przedszkoli prywatnych. Być może więc niemiecki trafi do innych przedszkolaków. Nie wszystko jest jednak takie proste. Nie zawsze przecież wychowawczynie zechcą zrezygnować z dodatkowych zajęć i zarobków. Jeśli zaś przedszkole nie wygospodaruje z własnego budżetu potrzebnych funduszy, to bezpłatnych zajęć językowych nie będzie. Istnieje jeszcze jeden problem – zapewnienie ciągłości nauczania języka. W najbliższej Szkole Podstawowej nr 149 nauka języka niemieckiego rozpoczyna się już w IV klasie, ale jest to dla dzieci z Przedszkola nr 159 o trzy lata za późno. One powinny kontynuować naukę już w trzech pierwszych klasach, aby nie zapomnieć tego, czego nauczyły się w przedszkolu. Nie wiadomo jak trudność tę pokonać. Jednak nowość wprowadzona przez Przedszkole nr 156 nazwana: „Nauczanie języka niemieckiego dzieci w wieku przedszkolnym oraz wyrabianie w nich tolerancji kulturowej w perspektywie integracji z Unią Europejską” zasługuje na poparcie władz oświatowych.

### „Czerwony Kapturek” po niemiecku

Prywatna szkoła podstawowa i gimnazjum Krzysztofa Augustyniaka w Łodzi przy ul. Deotymy ma dobrą opinię, dlatego z naborem nie ma kłopotów. Dyrektor Augustyniak jest nauczycielem z powołania, a praktykę pedagogiczną zdobywał również w Niemczech i Holandii. Jakość, bezpieczeństwo, zaufanie – te trzy hasła ilustrują dobitnie co dla

placówki jest najważniejsze. Klasy liczą od dziesięciu do czternastu uczniów. Język niemiecki pełni w szkole ważną rolę. To nie tylko jeszcze jeden przedmiot, ale szeroko pojmowane wprowadzenie w kulturę niemiecką. Świadczy o tym choćby Festiwal Małych Form Teatralnych w Języku Niemieckim.

Zamierzenie zaczęło się skromnie – w 1998 r. Krzysztof Augustyniak i nauczycielka języka niemieckiego Joanna Miksa rozesłali do znajomych nauczycieli pobliskich szkół zaproszenie na prezentację na scenie przedstawień przygotowanych przez dzieci w języku niemieckim. Na przegląd w kwietniu 1999 r. do Domu Dziecka przy ulicy Dąbrowskiego zgłosiły się cztery szkoły i wszystkie pokazały *Rotkappchen*, czyli nieśmiertelnego *Czerwonego kapturka*. Były tylko skromne dyplomy uczestnictwa wypisane przez germanistkę szkoły, ale pomysł „chwycił”, dlatego zdecydowano się zorganizować następny przegląd. W 2000 r. zgłosiło się już trzynaście szkół z 230 uczestnikami. Znalaziono większą scenę w bursie przy ulicy Przyszkołe. Było już większe jury, porządnie wypisane dyplomy i skromne nagrody. Na trzeci przegląd w 2001 r., który nazywał się już Festiwalem Małych Form Teatralnych w Języku Niemieckim, zgłosiło się trzydzieści jeden szkół i 500 uczestników. Bursa nie wystarczała, przedstawienia były więc prezentowane na jednej ze scen dawnej Wytwórni Filmów Fabularnych przy ulicy Łąkowej. Kiedy na IV Festiwal zgłosiło się pięćdziesiąt jeden szkół i blisko tysiąc uczestników, trzeba było szukać placówki, która mogłaby dopomóc w przeprowadzeniu tak wielkiego przedsięwzięcia. Udało się ją szczęśliwie znaleźć – od 2002 r. festiwal odbywa się w Centrum Kultury Młodych przy ulicy Lokatorskiej 13 w Łodzi.

W następnych latach nie chodziło już o ilość uczestników, lecz o jakość przedstawień. Dlatego dokonuje się wstępnej selekcji wśród zgłoszonych





zespołów i tym samym liczba uczestników kolejnych festiwali maleje, ale impreza nabiera większej rangi artystycznej i znaczenia w środowisku. Trwa cztery dni, odbywa się w trzech kategoriach – szkół podstawowych, gimnazjów i liceów. W 2005 r., od 18 do 20 kwietnia, odbywały się prezentacje przedstawień, a 25 kwietnia wystąpili na scenie Centrum Kultury Młodych laureaci festiwalu.

Warto wymienić tegorocznych laureatów festiwalu i nauczycieli przygotowujących przedstawienia:

W kategorii szkół podstawowych:

SP nr 48 w Łodzi, Ewa Józwiak i Bożenna Pustelnik, przedstawienie: *Die Bremer Stadtmusikanten*, SP nr 23 w Łodzi, Sylwia Małek, *Gute Nacht Flori*, SP Montessori w Łodzi, Urszula Lech, *Zweimarkharry*.

W kategorii gimnazjów:

Gimnazjum nr 2 w Zgierzu, Anna Palmowska, Jadwiga Cyganiak, *Prometheus*, Gimnazjum nr 3 w Zgierzu, Joanna Bakalarz, Małgorzata Rakowiecka, *Die Schone und Bestie*, Gimnazjum nr 42 w Warszawie, Elżbieta Herse, Katarzyna Przybylska, Eva Albert, *Schneewittchen 2005*.

W kategorii liceów:

XXIV LO w Łodzi, Hanna Rozentrytt, *Lohengrin*, XXXII LO w Łodzi, Grażyna Klimczak, Izabela Jaworska, *Stiftungsfest*, VI LO w Kielcach, Magdalena Fogiel-Litwinek, *Konig der Lowe*.

W jury festiwalu teatralnego znaleźli się pracownicy naukowcy Uniwersytetu Łódzkiego, germaniści Polskiego Stowarzyszenia Nauczycieli Języka Niemieckiego, przedstawiciele Okręgowej Komisji Egzaminacyjnej w Łodzi, nauczyciele – metodycy języka niemieckiego. Najwięcej punktów przyznawano za sprawność językową młodych wykonawców, ale oceniano także dekoracje i kostiumy, choreografię, oprawę muzyczną oraz warsztat aktorski.

Festiwal ma również gorącego zwolennika poza granicami Polski – Karlaheinz Goepperta, który został przedstawiony wcześniej w materiale poświęconym I Światowemu Spotkaniu Łodzian. Dowiedział się on o festiwalu z artykułu jaki Krzysztof Augustyniak zamieścił w czasopiśmie „Polen und wir”. Karlheinz i Gisela Goeppertowie przyjechali na jedną z edycji festiwalu, zaprzyjaźnili się z Krzysztofem Augustyniakiem i jego żoną Dorotą. Dziś korespondują i odwiedzają się wzajemnie.

### **Pomiędzy Łodzią a Barsinghausen**

Jedenaście łódzkich liceów realizuje poszerzony program nauczania języka niemieckiego. Wszystkie nawiązały partnerskie kontakty ze szkołami po zachodniej stronie granicy. Dziś współpraca taka wydaje się sprawą prostą, zależną tylko od dobrych chęci obu szkół, ale nie tak dawno była to sprawa niezwykle trudna do załatwienia, wymagająca zgody władz szczebla państwowego.

III LO im. Tadeusza Kościuszki było pierwszą w Łodzi i jedną z pierwszych szkół w Polsce, która nawiązała współpracę z partnerem w Niemczech zachodnich. „Trójka” dopięła swego, chociaż nie uczono w niej języka niemieckiego i z partnerem niemieckim porozumiewano się po angielsku. Wszystko zaczęło się jeszcze w NRD, w mieście Zwickau, w którym III LO od 1984 r. współpracowało ze szkołą średnią im. Kathe Kollwitz. Tamże wiosną 1986 r. odbywał się przegląd chórów szkolnych, w którym uczestniczył chór III LO z Łodzi. Do Zwickau przyjechał też chór z gimnazjum z Barsinghausen koło Hanoweru. Doskonały zespół z Łodzi, pod kierunkiem Krzysztofa Kozłowskiego, podobał się wszystkim, duże wrażenie wywarł także na gościach z Barsinghausen. Gimnazjum niemieckie już wcześniej szukało dla siebie szkoły partnerskiej w Polsce. Renomowane III Liceum Ogólnokształcące z wielkiej Łodzi wydawało się być dla zadbanego i z długoletnimi tradycjami gimnazjum z małego miasta niemieckiego odpowiednim partnerem.



W maju 1986 r. do Łodzi nadszedł list z propozycją nawiązania współpracy między szkołami. Dyrektor „Trójki” Radzisław Olbrychowski należał do ludzi działających szybko i zdecydowanie. Ówczesnym władzom tłumaczył, że obie placówki znajdują się w grupie szkół stowarzyszonych w UNESCO. Dla całkowitego rozwiania wątpliwości decydentów w pismach zapewniał, że współpraca opierać się będzie na wychowywaniu młodzieży „w duchu pokoju, poszanowania godności ludzkiej i wzajemnej współpracy między narodami”. Taki to wtedy był język i oczekiwania władz. Mimo że nawiązanie współpracy nie wydawało się grozić nieprzewidzianymi dla strony polskiej problemami, dyrektor Olbrychowski musiał dwa lata czekać na zielone światło, które pozwoliłoby mu podpisać porozumienie z Barsinghausen. Podpisane zostało chyba nieprzypadkowo 1 maja 1988 r., jest krótkie i konkretne – wymiana obejmuje chóry, zespoły muzyczne, drużyny sportowe i wybrane klasy szkolne; głównym celem wszystkich działań miał być osobisty kontakt między gośćmi a gospodarzami. Goście mieli być

zakwaterowani w domach rodzinnych osób zapraszających. W porozumieniu strony ustaliły, że pod koniec każdego roku szkolnego opracowywany będzie program kontaktów na następny rok.

Dyrektor Radzisław Olbrychowski i jego odpowiednik w Barsinghausen dr Wilhelm Wortman dobrze porozumiewali się po angielsku i niemiecku, nic więc dziwnego, że współpraca szybko stała się konkretem. W marcu 1989 r. odwiedził zaprzyjaźnione gimnazjum w Barsinghausen chór dziewczęcy III LO, w czerwcu rozgrywała tam mecze koszykówki drużyna „Trójki”, a w lipcu uczniowie gimnazjum niemieckiego gościli 37-osobową grupę licealistów z Łodzi. Miesiąc później trzydziestu trzech gimnazjalistów z Barsinghausen po czternastu godzinach jazdy autokarem znalazło się w Łodzi. Obszerną relację ze zdjęciami z tej podróży zamieścił miejscowy dziennik „Die Deister-Leine-Zeitung”. Wynika z niej, że Łódź przyjęła swoich niemieckich kolegów w sposób imponujący. W programie pobytu znalazło się zwiedzanie Warszawy, wyjazd do Zakopanego i wędrowki górskie. W drodze powrotnej grupa niemiecka poprosiła, aby nie omijać Oświęcimia. Zwiedzenie obozu koncentracyjnego było przeżyciem, które na zawsze pozostanie w pamięci niemieckich uczniów. Później w programie znalazły się też wędrowki po Łodzi i udział w uroczystej inauguracji roku szkolnego w III LO 1 września 1989 r. – w 50. rocznicę wybuchu II wojny światowej. Do uroczystości tej przygotowywały się obie strony. Zebranie wszystkich uczniów i nauczycieli w auli, wkroczenie pocztu ze sztandarem szkoły, odśpiewaniu hymnu narodowego wywarło na gościach z Niemiec ogromne wrażenie. Na uroczystość tę przyjechał dyrektor Wortmann z żoną. Przemawiali obaj dyrektorzy zaprzyjaźnionych szkół, w programie artystycznym zaprezentowały się połączone współpracujących placówek.

W 2003 r. obie szkoły świętowały 15. rocznicę podpisania porozumienia o współpracy. Opiekę nad nią przejął w III LO fizyk Bogdan Later. Świetnie spisuje się w tej roli pod względem organizacyjnym i językowym – nie znał wcześniej języka niemieckiego, teraz posługuje się nim biegle. Co roku jesienią grupa z Barsinghausen odwiedza Łódź, na wiosnę podobna liczba licealistów wędruje do Niemiec. Są to kontakty, które nie kończą się na pojedynczych odwiedzinach, pozwalają się poznać prywatnie, podczas wspólnego mieszkania w domu kolegi czy koleżanki, zawiązać znajomości, które mogą przerodzić się w przyjaźnie wykraczające poza lata nauki szkolnej.

Język niemiecki jest dziś w „Trójce” równie popularny jak angielski. Szkoła proponuje do wyboru – klasy z rozszerzonym programem języka angielskiego lub niemieckiego. Godzin niemieckiego jest wtedy w tygodniu trzynaście, zakres podstawowy przewiduje ich dziewięć. Wybierając język niemiecki nie trzeba wcale rezygnować z angielskiego. Uczniowie polscy i niemieccy mogą więc porozumiewać się teraz w jednym i drugim języku. Kto wie, może kiedyś w Barsinghausen spróbują uczyć się polskiego? Wydaje się to co prawda trudniejsze niż wejście języka niemieckiego do III LO, ale we wspólnej Unii Europejskiej jest to przecież całkowicie możliwe.

### Partnerstwo uniwersytetów

Umowa o współpracy między Uniwersytetem Łódzkim a *Justus-Liebig-Universität* w Giessen zawarta została 3 listopada 1978 r. Podpisy pod nią złożyli: prof. dr Romuald Skowroński, rektor UŁ i ze strony niemieckiej prof. dr Karl Alewell. Rozpoczął się nowy rozdział w dziejach obu uczelni, ożywiły się również kontakty między Łodzią i Giessen, miastem położonym w Hesji, znanym przede wszystkim dzięki uniwersytetowi. Uczelnia została otwarta w 1607 r. z inicjatywy księcia Ludwika V, panującego w Hesji – Darmstadt. Utworzył on uniwersytet pragnąc, by młodzież kształciła się na miejscu zamiast wyjeżdżać do Erfurtu, Pragi, Włoch czy Francji. Książę – zwolennik Lutra – nadał uczelni charakter ewangelicki.

W XVII i XVIII wieku była to tylko prowincjonalna szkoła z czterema fakultetami – teologicznym, prawnym, medycznym i filozoficznym, a wiedzę zgłębiało w niej kilkuset studentów nauczanych przez dwudziestu profesorów. W XIX wieku uczelnia nabrała blasku, a jej profesorowie, tacy jak chemik Justus Liebig i fizyk Wilhelm Conrad Rontgen, stali się sławni w Niemczech i świecie. Powstały liczne nowe wydziały, do tradycyjnej uczelni wkroczył duch nowoczesności, rosła liczba studentów, których na początku XX wieku było już ponad tysiąc. Wywodzili się oni z dobrze sytuowanych rodzin i przygotowywali się do objęcia stanowisk urzędniczych albo duchownych w parafiach ewangelickich.

Po zakończeniu I wojny światowej i nastaniu Republiki Weimarskiej zmienił się model społeczny studentów – w murach uczelni znaleźli się przedstawiciele klas niższych: dzieci drobnomieszczan, rzemieślników, chłopów. Liczba studentów wzrosła do dwóch i pół tysiąca.

W 1933 r. władzę na uniwersytecie przejęli narodowi socjaliści. Zaprowadzili w nim swoje porządki. Dwanaście procent profesorów, głównie filozofów, zostało zwolnionych. Pozostawionych na uczelni wykładowców i studentów poddano narodowo-socjalistycznej indoktrynacji.

W końcowej fazie II wojny światowej, 11 grudnia 1944 r., zbombardowane zostało śródmieście Giessen i zniszczone prawie wszystkie gmachy uniwersyteckie. Przez kilkanaście powojennych lat uniwersytet nie był zdolny się odrodzić. W 1946 r. powołana została do życia szkoła wyższa: *Justus-Liebig-Hochschule* z wydziałami: gospodarczym, weterynarii, biologii, a od 1950 r. medycyny. Dopiero jedenaście lat później szkoła otrzymała statut uniwersytetu i przekształciła się w *Justus-Liebig-Universität*. Rozpoczął się dynamiczny rozwój uczelni – po siedmiu latach liczba profesorów wzrosła dziesięciokrotnie, studentów – dwudziestokrotnie. W 2004 r. na uniwersytecie w Giessen uczyło się ponad dwadzieścia dwa tysiące osób. Był to drugi, pod względem liczebności i znaczenia uniwersytet w Hesji.

Można przypuszczać, że w 1978 r. dla chemika, profesora Romualda Skowrońskiego, rektora UŁ, zachętą dla wybrania właśnie uniwersytetu w Giessen jako uczelni partnerskiej nie małe znaczenie miało nazwisko jej patrona – Justusa Liebiga,

również chemika, nazywanego „królem nauk”. Prof. Skowroński w jednym z artykułów w 1998 r. przypomniał nazwiska ludzi, dzięki którym dwadzieścia lat wcześniej doszło do podpisania porozumienia: *Dzisiaj to porozumienie o bardzo szerokim interdyscyplinarnym zasięgu wydaje się czymś naturalnym i normalnym, ale pod koniec lat siedemdziesiątych doprowadzenie do podpisania formalnego aktu o współpracy pomiędzy uczelnią polską a niemiecką, było wydarzeniem niecodziennym. Dzięki uporowi i ogromnemu zaangażowaniu garstki profesorów z obu uczelni, o różnych poglądach i orientacji, udało się uzyskać to, co wydawało się niemożliwe. To dzięki takim postaciom jak profesorowie Alewell, Boner, Hahn, Dauzenroth, Schultz, kanclerz Wolf, a ze strony polskiej – profesorowie Welfe, Kortan, Tylman, Górski, Skowroński, udało się ominąć wszelkie rały ówczesnego MSZ, Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego i Nauki oraz władz politycznych i doprowadzić do podpisania umowy w roku 1978.*

Efektom współpracy jest wymiana pracowników obu uczelni – corocznie uczestniczy w niej po pięćdziesiąt osób z obu stron, organizowane są wspólne seminaria i konferencje, wydawane monografie i publikacje, aktywnie współpracują ze sobą biblioteki uniwersyteckie. Odwiedzają się nie tylko profesorowie i asystenci, w wyjazdach do Giessen uczestniczą studenci i pracownicy merytoryczni administracji uczelnianej. W latach stanu wojennego z Giessen do Łodzi płynęła do uniwersytetu pomoc.

Uczelnie opracowują roczne plany współpracy, występują o przyznanie odpowiednich środków na ich realizację, wyznaczają pełnomocników do współpracy między uczelniami. W Łodzi przez szereg lat był nim prof. Romuald Skowroński, obecnie zadanie to powierzone zostało germaniście prof. Zenonowi Weigtowi. Po stronie niemieckiej pełnomocnikiem, który niezwykle aktywnie zaangażował się we współpracę, był prof. Erich Dauzenroth.

Efekty dziesięciu lat współpracy uczelni przedstawiono na uroczystym spotkaniu w czerwcu 1988 r. w Giessen. Karl Dedecius wygłosił wtedy wykład *Partnerstwo i poezja*, który później opublikowały oba uniwersytety. W Łodzi wykład ten w wyszukanej formie graficznej, w dwu wersjach językowych, dotarł do kilkuset osób zainteresowanych obchodami jubileuszowymi w Giessen. Po następnych dziesięciu latach uroczystości jubileuszowe odbyły się w Łodzi w maju 1998 r., a w połowie listopada tego samego roku w Giessen. Wzięły w nich udział trzydziestoosobowe grupy z jednego i drugiego uniwersytetu, liczni przedstawiciele miejscowych władz, studenci. W obu ośrodkach zorganizowane zostały też konferencje naukowe na temat roli uniwersytetu we współczesnym świecie, otwarto wystawy obrazujące dorobek dotychczasowej współpracy.

Dziś trudno sobie wyobrazić łódzką wyższą uczelnię bez partnerskiej współpracy z uczelnią w którymś z krajów Europy zachodniej. Najwięcej kontaktów podtrzymywanych jest z Niemcami. Uniwersytet Łódzki przetań szlak i udowodnił, że wybór ten przynosi korzyści obu współdziałającym stronom.

Mieczysław Gumola

# „Odpowiednie dać rzeczy słowo”

*Język niemiecki  
– inwestycja, która się opłaca*

Każdy z nas zetknął się z językiem niemieckim – na ulicy lub w pracy, dzięki literaturze, sztuce, a ostatnio chociażby przez pierwszego Niemca Rzeczypospolitej, Steffena Moellera.

Znajomość języków obcych uwrażliwia nas na problemy innych ludzi; dzięki niej poznajemy ich kulturę i tradycje oraz przełamujemy stereotypy i otwieramy się na inne narody.

Znając język kraju, do którego wybraliśmy się na wycieczkę, czujemy się pewniej, nie jesteśmy wyizolowani, nie boimy się nieporozumień i nie czujemy obaw przed niezrozumieniem nas wtedy, gdy poszukujemy noclegu lub zdarzy nam się awaria samochodu.

Mieszkańcy naszego miasta i województwa mówiąc „język obcy”, mają na myśli zwykle język angielski. Często słyszę: języków niemieckiego, francuskiego, hiszpańskiego i rosyjskiego niech uczą się inni, ja wybieram angielski. Ja zaś chciałabym przekonać do uczenia się języka naszych zachodnich sąsiadów.

To goście z Niemiec, Austrii i Szwajcarii stanowią największą i najważniejszą grupę turystów w wielu krajach. Znajomość języka niemieckiego jest zatem atutem ludzi pracujących w turystyce. Chęć Niemców do podróżowania jest znana na całym świecie, dlatego też umiejętność posługiwania się językiem Goethe’go w branży turystycznej przynosi wielkie korzyści. Wiemy przecież, że tylko ten, który czuł się gdzieś na obczyźnie dobrze, powróci w to miejsce. A przecież dobre samopoczucie zależy m.in. od tego, czy w obcym kraju można się bez problemu porozumiewać.

Warto podkreślić, że pod względem turystycznym Niemcy są bardzo atrakcyjnym krajem. Na liście światowego dziedzictwa kulturowego znajduje się 77 miejsc i pomników, które w tym kraju warto zobaczyć. Znając język niemiecki, łatwiej podróżuje się po Europie i prościej jest nadać tej podróży ciekawy kształt. Lepiej jest się rozumianym w miejscowościach wypoczynkowych Włoch, Francji, Hiszpanii, Portugalii, Turcji czy Grecji. Skąd się to bierze? W latach 60. i 70. na terenie

Austrii, Szwajcarii i Niemiec pracowali mieszkańcy Europy południowej, którzy wrócili do swoich ojczyzn i obecnie pracują w turystyce z nastawieniem na niemieckojęzycznych turystów.

Język niemiecki jest nie tylko istotny w dziedzinie turystyki, ma on także wielkie znaczenie w gospodarce światowej. Niemcy są piątym co do wielkości partnerem handlowym Stanów Zjednoczonych. Język niemiecki, po angielskim, jest drugim najczęściej spotykanym językiem w internecie. Dysertacje naukowe wydawane są najpierw po niemiecku i publikowane w sieci internetowej. Zainteresowani nimi ludzie poszukują takich nowości na stronach internetowych i czytają je w oryginale. Kto rozmawia po niemiecku, ten poprawia swoje stosunki handlowe z trzecim co do wielkości krajem przemysłowym i jednym z najważniejszych krajów eksportujących świata. Wiele firm chce, aby ich pracownicy znali język niemiecki. Niemieckim jako językiem ojczystym posługuje się więcej Europejczyków niż angielskim, francuskim, hiszpańskim czy włoskim. W dziedzinie gospodarki, turystyki i dyplomacji niemiecki jest drugim pod względem ważności językiem. Jego znajomość zwiększa szanse na rynku pracy, w szczególności w takich obszarach jak biologia, dyplomacja, finanse, elektrotechnika, budowa maszyn, chemia, farmacja, sport, transport, budowa pojazdów. Jest to zatem ważny język, który stanowi o kwalifikacjach młodych ludzi i ma ogromne znaczenie w poszukiwaniu pracy.

Wiele niemieckich firm za granicą i dużo zagranicznych firm w Niemczech, jak i te mające ścisłe kontakty gospodarcze z krajami niemieckojęzycznymi, poszukuje współpracowników z kwalifikacjami językowymi. Wewnątrz Unii Europejskiej znajdują specjalistów ze znajomością języka niemieckiego. Zagraniczni studenci i naukowcy korzystają z wielu ciekawych form dokształcania. Rynek niemiecki nie tylko oczekuje, lecz również zabezpiecza prawo człowieka do kształcenia się.

Położenie naszego kraju ma niewątpliwie wpływ na to, jakich języków obcych powinniśmy się uczyć. Język niemiecki wraz z językiem rosyjskim jest najczęściej spotykanym językiem w Europie i należy do dziesięciu najczęściej używanych języków na świecie. Stanowi most z Europy zachodniej przez środkową do wschodniej, gdzie powstają nowe rynki zbytu, pracy i częściej też język niemiecki odgrywa tam większą rolę niż angielski. Na wielu obszarach Polski, Węgier, Rumunii, Ukrainy, w krajach nadbałtyckich i Republice Czeskiej język niemiecki jest ważnym środkiem komunikowania się w interesach.

Językiem niemieckim w Europie porozumiewa się ponad 120 milionów osób! Do nich należą mieszkańcy Austrii, Lichtensteinu, Luksemburga, Niemiec, Szwajcarii, niektórych rejonów Belgii, północnych Włoszech oraz wschodniej Francji. Język niemiecki jest kluczowym językiem w Unii Europejskiej. Przystąpienie nowych krajów do Wspólnoty ostatecznie zlikwidowało podział Europy na Wschodnią i Zachodnią, na skutek czego i my Polacy włączeni zostaliśmy w struktury gospodarcze, polityczne oraz kulturalne.

W Łodzi o tym, jakiego języka będą się uczyć dzieci, decydują najczęściej ich rodzice, używając niekiedy nieprzemyślanych argumentów, kierując się stereotypami i uprzedzeniami oraz od lat panującą modą na angielski. Zadaniem nauczycieli języka niemieckiego jest pokonanie tych nieuzasadnionych przekonań. Pozyskiwanie uczniów, chętnych do nauki języka zachodnich sąsiadów, to nie lada wysiłek. Aby zajęcia lekcyjne z języka niemieckiego mogły skutecznie konkurować z lekcjami angielskiego, muszą być atrakcyjne, powinny mieć odpowiednią oprawę.

Kiedy zmienia się zainteresowanie rodziców na korzyść języka niemieckiego? Wtedy, jeżeli szkoła najlepiej podstawowa, proponuje w swojej ofercie innowację pedagogiczną w postaci nauki języka niemieckiego w wymiarze pięciu godzin tygodniowo z atrakcyjnym programem nauczania. Jeśli szkoła ma ambitnego nauczyciela, który chce realizować innowacyjny program nauczania zatwierdzony przez władze szkolne, to i tak nie jest to koniec jego trudności. Rodzice nieznający procedur pytają zwykle dlaczego na język niemiecki, a nie angielski szkoła przeznaczyła dodatkowe godziny? Wynika stąd, że nauczycielom germanistom nie było i nie jest łatwo odnaleźć się na łódzkim rynku oświatowym.

Zainteresowanie uczniów językiem naszych zachodnich sąsiadów wzrasta. Tę tendencję zauważyć można obserwując rosnące zainteresowanie wokół Konkursu Języka Niemieckiego, organizowanym od trzech lat przez Łódzkiego Kuratora Oświaty we współpracy z Wojewódzkim Ośrodkiem Doskonalenia Nauczycieli. W pierwszych eliminacjach konkursowych wzięło udział 1400 uczniów, w drugiej edycji konkursu 1700, a w bieżącym roku szkolnym 2067 z Łodzi i województwa łódzkiego. Należy podkreślić fakt ogromnego zaangażowania się w to przedsięwzięcie nauczycieli germanistów, którzy pracują z uczniami również poza obowiązkowym pensum dydaktycznym, nauczając, utrwalając, powtarzając i przybliżając uczniom nie tylko trudne zagadnienia gramatyczne, ale również wybrane teksty literackie i realioznawcze. Sukces ucznia jest równocześnie sukcesem jego nauczyciela, który nie posiadając odpowiednio wyposażonej pracowni językowej, pokonuje tę trudność, współpracując z księgarniami, wydawnictwami lub Instytutem Goethego, zabezpieczającymi go w potrzebne pomoce dydaktyczne lub wizualne.

Istnieje wiele możliwości nauczenia się języka niemieckiego – oczywiście im wcześniej ją rozpoczniemy, tym łatwiej się nauczymy – dzięki nowoczesnym, komunikacyjnym metodom nauczania. Dzięki nim zdobywamy umiejętności porozumiewania się z innymi w bardzo krótkim czasie, pod warunkiem odpowiedniej liczby godzin w tygodniu. Skuteczne nauczanie to prowadzenie zajęć wyłącznie w języku niemieckim i rozpoczęcie nauki od najniższego poziomu. To oswaja słuchaczy z językiem, a także zmusza do większej aktywności na zajęciach. Metoda ta eliminuje tworzenie konstrukcji zdań w języku ojczystym, bo poprzez tłumaczenie zdań z języka ojczystego na obcy w pewien sposób tworzymy kalkę konstrukcji składniowej, która w języku niemieckim jest zupełnie inna niż ojczysta.



Tego właśnie należy unikać i dlatego stworzenie naturalnego środowiska językowego, w którym mówi się wyłącznie po niemiecku, służy lepszemu przyswajaniu zarówno słownictwa jak i zasad gramatycznych. Na początku jest to szok i pewna trudność dla uczących się, która znika po kilku zajęciach, kiedy w sposób bezstresowy i naturalny każdy oswoi się z językiem.

Współczesny nauczyciel czy lektor języka niemieckiego wie, że już od kilkunastu lat nie może zdarzyć się tak, że przed klasą stoi człowiek, który nieustannie zadaje pytania, daje wskazówki, czegoś żąda, poprawia, pozwala powtórzyć, podaje przykłady, przy okazji pochwali, najczęściej zgani, zada pracę domową i w końcu zniknie. Do lat dziewięćdziesiątych nauczyciel był źródłem wiedzy – tylko on znał nowe słówka, potrafił wyjaśnić ich znaczenie w języku ojczystym, jedynie on wiedział, jak je prawidłowo wymawiać i dlatego stał przed klasą.

Obecnie, wiedzą o tym wszyscy pracujący lektorzy: lekcja języka niemieckiego nie powinna być dobrze przygotowaną inscenizacją z nauczycielem jako autorem scenariusza i jego reżyserem. Nauczycielowi nie wolno stać na scenie, gdyż nie jest również aktorem pierwszoplanowym, powinien tylko grać za kulisami. Rolą nauczyciela jest zaplanowanie poszczególnych scen, zainscenizowanie przebiegu akcji, ale działania należy pozostawić uczniom. Pedagog powinien obserwować, pomagać, podpowiadać kiedy jest to konieczne. Działania i aktywności językowe pozostawiamy uczącym się. Dajemy im czas i przestrzeń, pozwalamy popełniać błędy językowe, rezygnując czasami z nieustannego poprawiania. Lekcja to inscenizacja wymagająca odpowiedniego, trzymającego w napięciu scenariusza, jeśli tego zabraknie, uczniowie będą się nudzić. Brak odpowiedniego rytmu lekcji, często zmieniających się technik uczniowskiej pracy i zbyt często mówiący, a niedziałający nauczyciel, nie przekonają uczących się do nauki języka niemieckiego. Germaniści nauczyli się milczeć na lekcjach. Mając do dyspozycji dwie lub trzy godziny w tygodniu na nauczanie uczniów mówienia po niemiecku, sami musieli nauczyć się milczeć. Dlaczego? Klasy trzydziestoosobowe, dwie lub trzy godziny w tygodniu po czterdzieści pięć minut z czego 40% zabiera nauczyciel mówiąc, 30% to pisemna faza lekcji. Pozostaje około czterdziestu minut, które przeznaczamy na mówienie dla trzydziestu uczniów (1,3 minuty na jednego ucznia) w tygodniu. Nauczyciel musi więc radykalnie zmniejszyć czas przeznaczony dawniej dla niego. Mówić musi uczeń, aby nauczył się języka obcego.

Myśląc o przyszłości naszych dzieci uczmy ich języka niemieckiego.

*Hanna Nowakowska-Pogodzińska  
– germanistka, nauczyciel – metodyk  
w Wojewódzkim Ośrodku Doskonalenia Nauczycieli  
w Łodzi.*

# Zostawione w słowach

## *Piśmiennictwo niemieckie w zbiorach Biblioteki Uniwersytetu Łódzkiego*

Łódź przemysłowa swój rozwój zawdzięcza osadnikom niemieckim przybyłym tu po 1823 roku. W ponad 185-letniej historii „Wschodniego Manchesteru”, miasta czterech kultur, niemiecka diaspora odegrała niepoślednią rolę. W łódzkim tyglu spotykały się – choć nie stapiały – różne kultury nacji żydowskiej, niemieckiej, rosyjskiej i polskiej.

W XIX wieku w rozwoju Łodzi przemysłowej dominującą rolę odegrała kultura niemiecka, ze swoją narodową specjalnością – drukarstwem i zamiłowaniem do książki. Louis Geyer w swoim skromnym bagażu osadnika przywiózł do Łodzi 74 książki. To dzięki niemieckiej diasporze powstawały i rozwijały się stowarzyszenia zawodowe, charytatywne i kulturalne, bractwa, chóry, orkiestry, teatry, prasa i drukarstwo. Do 1939 roku istniało w Łodzi w sumie ponad 95 różnych organizacji (instytucji dobroczynnych i społecznych, śpiewaczych i muzycznych, sportowo-gimnastycznych, szkolno-oświatowych, młodzieżowych i innych). Ukazywało się ponad 36 tytułów prasowych, nie licząc wielu periodycznie wydawanych kalendarzy i informatorów. Bez przerwy działał teatr niemiecki.

W dorobku łódzkiej produkcji wydawniczej (w latach 1863–1939), który liczy ponad 6800 tytułów, prawie 800 to wydawnictwa w języku niemieckim (w tym 23% do 1918 roku i ponad 7% do 1939 roku).

Wszystkie wymieniane tutaj instytucje i organizacje posiadały zapewne swoje biblioteki czy podręczne księgozbiory. Istniały także większe czy mniejsze biblioteki prywatne, o czym może świadczyć zakupione ostatnio do zbiorów biblioteki uniwersyteckiej egzemplarze z biblioteki rodziny Biedermannów (z przeznaczeniem, aby zapełniły szafy pomieszczeń biblioteki w ich pałacu – siedzibie UŁ). Istniały także biblioteki publiczne, największa z nich to ksiąźnica Łódzkiego Niemieckiego Towarzystwa Szkolno-Oświatowego (*Lodzer Deutscher Schul- und Bildungsverein*) założona w 1909 roku (ul. Nawrot 38), z księgozbiorem liczącym 2500 tomów, która przed 1939 rokiem zgromadziła zbiory liczące 30 tys. jednostek i posiadała siedem filii oraz księgozbiór ruchomy (bibliotekę objazdową). Placówka ta organizowała corocznie wiosenny Tydzień Książki.

Biblioteki posiadały niemieckie szkoły powszechne i średnie. Męskie Niemieckie Gimnazjum (*Das Lodzer Deutsche Gymnasium*) posiadało bibliotekę dla uczniów i nauczycieli liczącą prawie 2500 tomów, wypożyczającą rocznie prawie 6000 woluminów. Także żeńska szkoła – Gimnazjum A. Rothert – prze-

kształcone później w Gimnazjum Żeńskie (*Luisengymnasium*), posiadało swoją bibliotekę.

Naturalnym procesem było sprowadzanie piśmiennictwa niemieckiego spoza granic Polski, głównie z Niemiec, Austrii i Szwajcarii. Można zatem stwierdzić, że niemiecka diaspora w Łodzi licząca prawie 70 tys., co stanowiło prawie 9% 680-tysięcznej ludności miasta, przed 1939 rokiem miała dostateczny dostęp do literatury niemieckiej.

Wybuch II wojny światowej, okupacja niemiecka miasta spowodowała prawie całkowitą zagładę polskiej książki. Łódź przyłączona do Rzeszy, do tzw. Kraju Warty, znalazła się pod wpływem działania niemieckich instytucji zarządzających kulturą. Polskie (także łódzkie) biblioteki publiczne i prywatne zlikwidowano jeszcze za czasów zarządu wojskowego. W celu fachowego przeprowadzenia grabieży w grudniu 1939 r. w ramach Głównego Urzędu Powierniczego – Wschód, utworzono Urząd Generalnego Powiernika dla Zabezpieczenia Niemieckich Dóbr Kulturalnych na Ziemiach Wcielonych (*Generaltreuhänder für Sicherstellung deutschen Kulturgutes in den eingegliederten Ostgebieten*), z oddziałem w Łodzi. Większość książek polskich wywożono na przemiał do papierni w Pabianicach lub palono w rowach przeciwczołgowych. Na terenie miast tworzone składnice (*Buchsammlungstelle*), później przekształcane w *Stadtsbibliothek* (Biblioteki Miejskie), gdzie zwożono wszystkie polskie księgozbiory. W Łodzi taką rolę pełnił niewykończony gmach Biblioteki Miejskiej przy ulicy Gdańskiej 102. W mieście utworzono sieć bibliotek niemieckich (8–10 filii) z centralą powstałą na bazie istniejącej przed wojną biblioteki DSBV, nazwaną Miejską Biblioteką Publiczną (*Städtische Volksbücherei*) liczącą pod koniec wojny ponad 50 tys. woluminów.

Działalność Niemców w dziejach Łodzi została dokładnie opisana i posiada bogatą literaturę przedmiotu – zarówno polsko – jak i niemieckojęzyczną. Zestawiona przez Krzysztofa Kuczyńskiego bibliografia na ten temat liczy prawie 300 pozycji<sup>1</sup>. Także inne aspekty działalności kulturalno-oświatowej łódzkiej społeczności niemieckiej stały się przedmiotem opracowania Doroty Sztobryn<sup>2</sup>.

II wojna światowa dokonała olbrzymiego spustoszenia i zagłady polskiej kultury – a w niej i polskiej książki. Opracowany w 1994 roku raport *Straty bibliotek polskich w czasie II wojny światowej* przez Biuro Pełnomocnika Rządu ds. polskiego Dziedzictwa Kulturalnego Za Granicą podaje także dane dotyczące Łodzi i powiatu łódzkiego. Ogółem w czasie wojny poważnego uszczerbku doznało 275 bibliotek łódzkich tracąc 2049029 jednostek bibliotecznych (wśród nich przestały istnieć biblioteki prywatne, m.in.: Antoniego Remiszewskiego, Ludwika Stolarzewicza, Zygmunta Hajkowskiego, Przeclawa Smolika, Józefa Śmigielskiego, Józefa Kusia). Sama Miejska Biblioteka straciła ponad 30% swoich przedwojennych zbiorów.

Po wyzwoleniu Łodzi w styczniu 1945 roku ludność pochodzenia niemieckiego w większości opuściła miasto, pozostawiając znaczną część swego

dobytku, w tym także książki. Można zatem powiedzieć, że wobec braku polskich książek, miasto posiadało spore zasoby pozycji niemieckich.

Biblioteka Uniwersytecka w Łodzi powstała 11 lutego 1945 roku i zaczynała od zera. Pierwszym zadaniem pięcioosobowego zespołu pracowników było zbieranie książek. Na podstawie upoważnienia Pełnomocnika Rządu R. P. zabezpieczali porzucone, niczyje, ponemieckie i żydowskie książki w Łodzi i w okolicach. Z początkiem 1946 roku rozpoczęto akcję ściągania zbiorów (tzw. zabezpieczonych) z Ziemi Zachodnich i Odzyskanych (Śląska, Pomorza, Prus). W wyniku wielu eskapad trafiły do Łodzi księgozbiory: von Ostenów z Płotów (13 tys.), hrabiego Hochenberga z Wierzchowic, z Radem (12 tys.), Marzyna (56 tys.), Koszalina, Kostrzyna, Jeleniej Góry, Gródka, Parsowej, Głębczyc, Wrocławia. Trafił tu także fragment zbiorów berlińskich bibliotek (Państwowej, Pruskiej i Miejskiej). Wyniki tej olbrzymiej akcji „zbierania książek” przeszły wszelkie oczekiwania, w roku akademickim 1946/1947 zbiory biblioteki liczyły 320 tys. tomów, w tym 250 tys. ze zbiorów zabezpieczonych. Biblioteka Uniwersytecka w Łodzi w ciągu swego istnienia zgromadziła olbrzymi zbiór dokumentów liczący obecnie prawie trzy miliony woluminów. Znajduje się tu piśmiennictwo ze wszystkich dziedzin i zagadnień, zarówno polskie, jak i zagraniczne, poczynając od XIII wieku aż po dzień dzisiejszy. Oprócz pozyskanego z terenów Łodzi i ze zbiorów zabezpieczonych piśmiennictwa niemieckojęzycznego, biblioteka przez ponad 60 lat systematycznie i planowo zabiegała o pozyskiwanie literatury i publikacji naukowych niemieckiego obszaru językowego dla zaspokojenia potrzeb badawczych, dydaktycznych i dokumentacyjnych własnej uczelni.

Zbiory niemieckiego piśmiennictwa stosunkowo wcześniej zostały dostrzeżone przez zagranicę, bo już w końcu lat 50. słało liczne kwerendy i zapytania, szczególnie z niemieckiego obszaru językowego. Pozycje wykorzystywane były w postaci mikrofilmów, kopii i innych form reprograficznych, zarówno na miejscu, jak i w trakcie wypożyczeń międzybibliotecznych czy przesyłek dokumentujących odpowiedź na kwerendy. W 1965 roku w ramach akcji *Ri-Be-Pol* (*Rückführung der Bestände aus Polen*) część zbiorów (głównie gazety berlińskie i inne, w sumie 33000) zostało zwrócone do Berlina.

**Der Deutsche Schul- und Bildungsverein**  
lädt ein zur

**Woche des deutschen Buches**  
vom 28. Oktober bis 3. November

Montag, den 28. Oktober, 8,30 Uhr abds.:  
Eröffnungsgottesd. Prof. mag. phil. Magdalena Schwarz spricht über Hans Carossa.

Dienstag, den 29. Oktober, 8,30 Uhr abds.:  
Prof. Dr. Eise Strauch spricht über das deutsche Märchen und liest aus „Stärne und Gelächter“ von Hans Reichels Wand.

Mittwoch, den 30. Oktober, 8,30 Uhr abds.:  
Dr. Ernst Werner spricht über Stefan George.

Donnerstag, den 31. Oktober, 8,30 Uhr abds.:  
Helfer Otto Wolf spricht über das Vermächtnis Rulphers an den deutschen Menschen der Gegenwart.

Freitag, den 1. November, 8,30 Uhr abds.:  
Oberlehrer Heinrich Eppa spricht über Walter Giffers Witke.

**Die Ausstellung der Woche**  
bringt eine Uebersicht über das billige deutsche Buch, sowie eine Zeitkürstentzhan.  
Sie ist geöffnert vom 28. Oktober bis 3. November, von 3 bis 8 Uhr.  
Alle Vorträge sowie die Ausstellung finden im Raum des Vereins, Petrisauer Straße 111, statt.

Wiedza o zasobach niemieckiego piśmiennictwa w Polsce oraz duże zainteresowanie badaczy tym tematem, przyczyniły się do opracowania szczegółowego informatora o zasobach bibliotecznych. W wyniku wieloletnich prac w 1999 roku ukazał się tom szósty: *Handbuch der deutscher historischer Buchbestände in Europa*, poświęcony Polsce<sup>3</sup>. Został w nim dokładnie opisany cały zbiór piśmiennictwa niemieckiego w zbiorach Biblioteki Uniwersyteckiej w Łodzi. Według szacunków informatora około 10 % całości zbiorów stanowią zbiory piśmiennictwa niemieckojęzycznego, czyli w sumie około 300 tys. jednostek bibliotecznych. W samej kolekcji starych druków mamy ich prawie 7 tys., w muzykaliach przeszło 5 tys., w zbiorze czasopism około 2 tys. tytułów. Dalsze wyliczanie ilościowe różnych kategorii dokumentów traci sens, gdyż opiera się na danych szacunkowych, ponieważ biblioteka nie prowadzi szczegółowych statystyk ilościowych dotyczących piśmiennictwa poszczególnych narodów czy w danym języku.

Scharakteryzowanie całości zasobów piśmiennictwa niemieckiego w zbiorach tak dużej ksiąźnicy jest dość trudne, bo wymagałoby żmudnych i pewnie wieloletnich prac badawczych. Można zatem pokusić się na dość ogólne przedstawienie ważniejszych czy ilościowo większych zespołów. Łatwo stwierdzić, że zbiory ponemieckie łódzkiej proweniencji to głównie liczne wydania klasycznej literatury niemieckiej, lektur szkolnych, propagandowe wydawnictwa hitlerowskie, informatory, literatura popularna, broszury, piśmiennictwo zawodowe i dotyczące gospodarstwa domowego oraz łódzkiej produkcji wydawniczej drukowanej w języku niemieckim.

BUŁ-a posiada takie kolekcje jak:

- bibliotekę rodziny Bismarck-Osten z Płotów, jedną z bogatszych w zbiór piśmiennictwa pomorzoznawczego;
- fragment biblioteki rodziny York z Oleśniczki;
- bibliotekę *Wallenberg-Bibliothek* z Kamiennej Góry;
- *Carolath-Beuthen* z Siedliska;
- biblioteki szkolne (niekiedy i książkami z bibliotek miejskich) z Królewca, Nysy, Głogowa, Koszalina, Stargardu, Szczecina, Wrocławia;
- zespół XVIII-wiecznych opisów podróży.

Biblioteka posiada trzy unikatowe (w skali światowej) zespoły:

- zbiór pierwodruków Marcina Lutra i piśmiennictwa reformacyjnego;
- kolekcję muzykologiczną Philippa Spitty;
- zbiór druków, ulotek, plakatów, afiszy i czasopism Georga Friedländera z okresu Wiosny Ludów.

Największe ilościowo wydają się zasoby dotyczące starszej literatury z zakresu medycyny, filologii klasycznej i neofilologii (w tym także niemieckiej), historii i teorii literatury, piśmiennictwa religijnego, bibliistyki, źródeł historycznych, opracowań z zakresu historii i literatury dotyczącej Francji, Włoch i Szwajcarii, a także

opracowań poświęconych różnym zawodom i rzemiosłom, prawu pracy, polityce (w tym także historyczne piśmiennictwo socjalistyczne), filozofii, dzieł treści ogólnej, w tym okazały zasób słowników językowych, piśmiennictwa księgoznawczego, opracowań dotyczących sztuki. Zgromadzone zostały także warte zainteresowania zbiory niemieckich atlasów historycznych i map. Ciekawy i wielotematyczny jest



zespół czasopism wydawanych w języku niemieckim (zarówno historycznych, jak i współczesnych), taki jak choćby wytworny „PAN”.

Ponadto biblioteka może się pochwalić:

- niemieckim wydaniem kompendium historycznego Hartmanna Schedla *Liber Chronicorum* (*Kronika świata*), wydanym u A. Kobergera w 1493 r., z ręcznie kolorowanymi drzeworytami;
- egzemplarzem Nowego Testamentu w tłumaczeniu Lutra z oryginalnymi grafikami Cranacha i braci Holbeinów z 1524 r.;
- pierwodrukami utworów Johanna Wolfganga Goethego.

Zbiory piśmiennictwa niemieckiego dobrze służą w pracy dydaktycznej studentom germanistyki oraz jako warsztat pracy badawczej kadrze naukowej UŁ. Są przedmiotem licznym prac naukowych, jak choćby wspomniana już kolekcja Spitty, opracowana przez profesora Oxfordu Christopha Wolffa. Aktualnie zbiory przemieszczone, a pochodzące z bibliotek berlińskich, stały się przedmiotem współpracy BUŁ z Biblioteką Uniwersytetu Sztuki i *Zentral und Landesbibliothek* z Berlina, w ramach wspólnych projektów badawczych mających na celu udostępnienie światowej nauce te rozdzielone kolekcje (Spitty i Friedländera).

Biblioteka Uniwersytecka w Łodzi jest powszechnie dostępna i otwarta na wszelkie propozycje współpracy i pomoc w wykorzystaniu posiadanego piśmiennictwa niemieckiego do celów dokumentacyjnych, propagandowych, dydaktycznych, popularyzatorskich, oświatowych, wystawienniczych i badawczych.

Jerzy Andrzejewski

– dr Jerzy Andrzejewski, zastępca dyrektora  
Biblioteki Uniwersytetu Łódzkiego.

#### Przypisy:

1. Por.: K. A. Kuczyński, *Bibliografia publikacji związanych z tematem „Niemcy w Łodzi do 1945 r.”*, (wybór): w: *Niemcy w dziejach Łodzi do 1945 r.*, Łódź 2001, s. 369–386.
2. D. Sztobryn, *Działalność kulturalno-oświatowa diaspory niemieckiej w Łodzi do 1939 roku*, Łódź 1999.
3. *Handbuch deutscher historischer Buchbestände in Europa: eine Übersicht über Sammlungen in ausgewählten Bibliotheken*. Bd.6: [Polen], Bearb. M. Zacharska i in., Hildesheim 1999, 327 s.

# Pisane gotykiem

*Druki niemieckie w zbiorach WiMBP  
im. Marszałka Józefa Piłsudskiego  
w Łodzi*

Druki niemieckie od początku istnienia Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Łodzi stanowiły znaczącą część jej zbiorów. Sposoby pozyskania publikacji niemieckich czy też niemieckojęzycznych do księgozbioru Książnicy, wpisują się bezpośrednio w jej historię.

Powołana w październiku 1917 roku Biblioteka Publiczna od pierwszych swoich dni korzystała z „Zarządzenia o dostarczaniu egzemplarzy obowiązkowych bibliotekom publicznym” niemieckiego Jenerała-Gubernatora von Beselera, które obowiązywało na terenie gubernatorstwa warszawskiego od 29 listopada 1916 roku. Na mocy tego dokumentu do 1918 roku pięć polskich bibliotek (trzy warszawskie oraz po jednej z Płocka i Łodzi) otrzymało przywilej nieodpłatnego otrzymywania wszystkich druków z terenu objętego zarządzeniem. Do końca wojny z tego źródła wpłynęły do łódzkiej biblioteki 2074 dzieła. Znaczną część zbiorów biblioteki stanowią dary od jej czytelników, wydawców, naukowców, przemysłowców, towarzystw i instytucji. Z liczby 65 tysięcy tomów biblioteki zgromadzonych tuż przed rozpoczęciem II wojny światowej w 1945 roku pozostało 70%.

W 1945 roku zabezpieczono zbiory *Stadtbücherei Litzmannstadt* – niemieckiej biblioteki publicznej z okresu okupacji oraz część księgozbioru prywatnego rodziny Biedermannów. W latach pięćdziesiątych ze stu pięćdziesięciotysięcznego zbioru książek ponemieckich znaczną część druków wprowadzono do zasobów bibliotecznych, część przekazano do centralnej składnicy w Katowicach, a resztę wyselekcjonowano jako makulaturę. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego stulecia znaczną część dokumentów nabywano z rynku antykwarycznego i aukcyjnego, dokonywano też licznych zakupów zagranicznych. Z obu ówczesnych republik niemieckich sprowadzano słowniki, leksykony, albumy oraz monografie dotyczące historii, literatury, teatru i sztuki. Obecnie kontynuowany jest zakup wydawnictw encyklopedycznych; warto w tym miejscu wspomnieć dwudziestoczterotomową, wraz z sześcioma tomami uzupełnień, encyklopedię wydawaną w latach 1986–1996 w Mannheim przez wydawnictwo Brockhaus czy też pomnikowe dzieło *Allgemeine Kunst Lexicon* – Saura, stanowiące kopalnię wiedzy o sztuce,



malarzach i artystach. Wydawnictwo ukazuje się od 1992 roku i do tej pory biblioteka zgromadziła 37 tomów, z których ostatni doprowadzono dopiero do litery F. Innym źródłem wpływu druków niemieckich jest wymiana krajowa i międzynarodowa, chociażby z *Martin-Optiz-Bibliothek* z Herne, dzięki której uzyskano ostatnio kilka niemieckich książek, głównie Heikego i Kossmanna.

W murach biblioteki znajdują schronienie stare druki wydawane przez niemieckich drukarzy i wydawców, monumentalne wydawnictwa encyklopedyczne czy informacyjne, nuty i czasopisma, a przede wszystkim źródła do dziejów regionu łódzkiego dokumentujące aktywność społeczności niemieckiej, dzięki której niewielkie miasteczko, zamieszkiwane w 1820 roku przez 767 mieszkańców, zostało przekształcone, w zaledwie kilkadziesiąt lat, w potężny ośrodek przemysłowy liczący w 1914 roku ponad 550 tysięcy mieszkańców.

Katalog starych druków z XVI wieku przechowywanych w WiMBP wymienia książki pochodzące z warsztatów drukarskich z Frankfurtu nad Menem, Ingolstadt, Kolonii, Królewca, Mainz i Wirtembergii. Znajdujemy tu książki sygnowane przez Arnolda Myliusza z Kolonii, Andreasa Wechela czy Jana Daubmanna z Norymbergii. Jednym z najcenniejszych druków muzycznych znajdujących się w Dziale Zbiorów Muzycznych jest *Männerchöre zum Gebrauch der evangelischen Missionschule in Basel* Ernsta Hauschilda z 1868 roku. Ten zbiór pieśni na chór męski wyróżniają pieczęcie prowienencji Towarzystwa Śpiewaczego Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego św. Trójcy w Łodzi, zaś odręczny zapis wskazuje rok 1870 na ten, w którym pozyskano nuty do zbiorów Towarzystwa. Z 1821 roku pochodzi podręcznik do nauki śpiewu: *Chorgesangschule* Michaela Traugotta Pfeiffera i Hansa Georga Rageli, zaś z 1776 roku dramat muzyczny: *Abraham auf Moria* Johanna Heinricha Rolle.

Zbiór czasopism biblioteki, liczący ponad trzysta tysięcy tytułów, obejmuje 847 pozycji, w których głównym językiem jest język niemiecki. Pięćdziesiąt cztery z nich to czasopisma dziewiętnastowieczne, w tym także te, które na stałe wpisały się w historię Łodzi i jej okolic. Niemieckie czasopisma wydawane w Łodzi to dzienniki i pisma społeczne, urzędowe, polityczne, gospodarcze, religijne, szkolne, kulturalne oraz naukowe. Stanowiły one znaczący element opiniiotwórczy, kształtujący postawy Niemców wobec władz rosyjskich, niemieckich, a następnie polskich. W zbiorach Książnicy znajdują się między innymi: *Lodzer Anzeiger* z 1863 roku gazeta założona i wydawana przez Jana Petersigle; „*Evangelisch-Lutherisches Kirchenblatt*” pastora Wilhelma Petrusa Angersteina; „*Handels- und Industrieblatt. Neue Lodzer Zeitung*” organ mniejszości niemieckiej, partii *Konstitutional-Liberale Partei Deutschsprechender*, założony w 1902 roku przez Alexisa Drewinga i Alexandra Milkera; z 1910 roku pochodzi dwutygodnik „*Lodzer Textilmarkt*” Związku Przemysłowców Łódzkich; czasopisma kulturalne reprezentuje „*Freie Bühne*”, miesięcznik poświęcony literaturze i teatrowi; „*Deutsche Post*” wydawał w czasie I wojny świa-

towej Związek Niemiecki dla Łodzi i Okolic, założony przez Adolfa Eichlera, przywódcy Aktywistów Niemieckich; „Deutsche Lodzer Zeitung” wydawany przez Georga Cleinowa; „Freie Presse” („Lodzer Freie Presse”) gazeta powstała w 1918 roku w wyniku zaangażowania środków finansowych pochodzących z Rzeszy. Z okresu między wielkimi wojnami pochodzą także: polityczno-gospodarcza gazeta „Der Volksfreund” i „Lodzer Volkszeitung” oraz pismo Niemieckiego Związku Narodowego „Der Deutsche Weg”. Ze współczesnych i prenumerowanych na bieżąco tytułów biblioteka udostępnia tygodnik „Stern” oraz dwutygodnik „Deutschland”.

Katalog komputerowy książek ([www.wimbp.lodz.pl](http://www.wimbp.lodz.pl)) obejmujący ponad 103 tysiące rekordów najnowszych publikacji przechowywanych w bibliotece (katalog rejestruje obecnie około 25 % z blisko 500 tysięcy książek), wykazuje 2003 pozycje w języku wyłącznie niemieckim na 2835 takich, w których język niemiecki współwystępuje także z innymi. Należy jednak podkreślić, że katalog ten obejmuje w większości wpływy do biblioteki z końca lat osiemdziesiątych do dzisiaj, a więc jedynie najnowsze nabytki z ostatnich dwudziestu lat. Większość wydawnictw niemieckich wprowadzano w latach wcześniejszych, nieobjętych obecnie jeszcze komputerową rejestracją. Historyczny już, lecz wciąż użyteczny, kłamrowy katalog systematyczny książek obejmujący swym zakresem sygnatury księgozbioru zasadniczego od nr 1 do 100.000, rejestruje w czterech kłamrach dotyczących druków łódzkich 176 niemieckich książek związanych z Łodzią i województwem łódzkim.

Do najcenniejszych niemieckich publikacji, z punktu widzenia roli jaką pełnią one jako dokumenty i źródła do dziejów oraz historii miasta należą te, które przechowywane są w Dziale Zbiorów i Bibliografii Regionalnej, gdzie gromadzone i udostępniane są najważniejsze wydawnictwa dotyczące regionu łódzkiego. Wśród ponad sześciu tysięcy woluminów znajduje się tam miejsce dla 134 książek niemieckich, stanowiących oczywiście tylko część zbiorów WiMBP z tego obszaru. Pozostałe przechowywane są w księgozbiorze zasadniczym lub też w księgozbiorach wydzielonych wchodzących w skład zbiorów specjalnych biblioteki.

#### **Książki niemieckie przechowywane w DZBR WiMBP wg daty wydania:**

<b>Data wydania</b>	<b>Liczba tytułów</b>
XIX wiek	5
1901–1918	31
1919–1939	34
1940–1944	35
1945–2000	23
XXI wiek	8

**Książki niemieckie przechowywane w DZBR WIMBP  
wg miejsca wydania:**

Miejsce wydania	Liczba tytułów	Miejsce wydania	Liczba tytułów
Berlin	11	Marburg	1
Bonn	1	Monachium	1
Dortmund	2	Monchen- gladbach	5
Drezno	1	Norderstedt	1
Düsseldorf	1	Oldenburg	1
Essen	1	Olsztyn	1
Frankfurt nad Menem	3	Osnabrück	1
Frankfurt nad Odrą	1	Pabianice	3
Göttingen	2	Plauen	2
Hamburg	1	Poznań	16
Hanower	1	Rypin	1
Herne	2	Tomaszów Mazowiecki	2
Jena	2	Troisdorf	1
Korschenbroich	1	Viersen	1
Kraków	1	Warszawa	1
Lipsk	5	Wrocław	2
Lüneburg	1	Würzburg	1
Łódź	52	Zduńska Wola	2

nauka

**Książki niemieckie przechowywane w DZBR WIMBP  
wg treści:**

Zakres tematyczny	Liczba tytułów
Geografia fizyczna / Geologia	4
Gospodarka / Finanse / Przemysł	31
Historia / I i II wojna światowa	15
Informatory / Księgi adresowe	8
Literatura / Teatr / Sztuka	7
Ludność / Osadnictwo / Biografie	26
Szkolnictwo	13
Wydawnictwa jubileuszowe i okolicznościowe	23
Wydawnictwa religijne i kościelne	21

Najstarszym jest zaledwie siedmiostronicowy druczek okolicznościowy *Gesang zur Weihe des neuerbauten Meisterhauses der Löblichen Weberinnung zu Lodz am 3ten September 1839* pastora Friedricha Gottlieba Metznera z 1839 roku wydany przez *Evangelischen Gemeinde* w związku z oddaniem do użytku Domu Tkacza.

Wśród książek poświęconych gospodarce i finansom trzeba wymienić statuty i sprawozdania z działalności banków, towarzystw kredytowych i akcyjnych, opracowania dotyczące historii przemysłu, jego struktury i organizacji produkcji.

Do najciekawszych należy publikacja *Die polnische Textil-Industrie (ihre Entwicklung von 1816–1927)* autorstwa Edmunda Fuchsa wydana w Kolonii w 1928 roku. Jest ona dokładnym opisem historii przemysłu od jego początków w 1816 roku, do roku 1927. Podzielona ona została na poszczególne okresy ze względu na warunki polityczne panujące na terenie Polski. Każdy z okresów 1816–1831–1863–1914–1927 opisany został tak, by uzyskać klarowny obraz rozwoju gospodarczego. Odnajdziemy tutaj także historie poszczególnych miast, między innymi Łodzi, Zgierza, Pabianic, Zduńskiej Woli, Aleksandrowa, Konstancyna, Tomaszowa Mazowieckiego i Ozorkowa, stosunek administracji państwowej do bieżących wydarzeń politycznych, aspektów finansowych, handlowych, prawnych, konkurencji, dotyczących transportu, zatrudnienia, organizacji pracy, postępu oraz powstawania nowych i upadku starych gałęzi przemysłu tekstylnego. Każdy dział poszerzony został o czytelne dane statystyczne.

Szereg publikacji z okresu pierwszej połowy XX wieku porusza zagadnienia migracji ludności z Niemiec skuszonej polityką osadniczą prowadzoną na terenach wokół Łodzi. Charakter tych opracowań pokazuje jak tereny te w krótkim okresie czasu stały się dla osadników nową ojczyzną. Do najważniejszych można zaliczyć: *Das deutsche Polen, Deutsche Gaue in Mittelpolen, Das alte deutsche Lodz, Pabianitz: Geschichte des Deutschtums einer mittelpolnischen Stadt und ihrer Umgebung, Ein Lodzer Heimatbuch* oraz *Lodz Gelobtes Land: von deutscher Tuchmachersiedlung zur Textilmetropole im Osten* z 1988 roku.

Pomocą w poszukiwaniach genealogicznych mogła służyć książka Alfreda Lattermanna: *Einführung in die deutsche Sippenforschung in Polen* z 1937 roku. Zawiera ona szereg wskazówek pomocnych w ustalaniu historii rodzin niemieckich, wskazując miejsca przechowywania źródeł i dokumentów z nimi związanymi.

Trudne sąsiedztwo głównych nacji budujących potęgę przemysłową Łodzi opisuje blisko siedmuset stronicowa praca *Eichlera Deutschtum im Schatten des Ostens* wydana w Dreźnie oraz publikacja *Polen, Deutsche und Juden in Lodz 1820–1939: eine schwierige Nachbarschaft* z 1999 roku pod redakcją Jürgena Hensela. Na uwagę zasługuje także tom *Lodzer Typen* autorstwa

Berty Teplitzkiej z 1913 roku przedstawiający w barwny sposób sylwetki i postawy *lodzermenschów*. Z 1979 roku pochodzi opracowanie Margot Pfannstiel *Łódź mehr denn je gelobtes Land* prezentujące współczesną i literacką panoramę miasta. Społeczeństwo niemieckie zawsze dużą wagę przywiązywało do kultury i ceniło sobie dobrą rozrywkę jaką był wówczas teatr, którego historię omawia rozprawa Leo Müllera, wydana w 1965 roku w Monchengladbach: *Das Deutsche Theater in Lodz 1867–1939: ein Zeugnis Schicksalhafter Deutscher Kulturpflege*.

Najliczniejszą grupę z przełomu XIX i XX wieku stanowią druki okolicznościowe związane z jubileuszami przeróżnych stowarzyszeń, instytucji i organizacji. Publikacjami swoje rocznice świętowały między innymi: towarzystwa śpiewacze: *Pabianicer Männer-Gesang-Verein*, *Evangelisch-Augsburgischer Kirchengesangverein zu Pabianice*, *Zgierzer Gesangverein*, *Evangelisch-Lutherischer Kirchengesangverein „Harmonia“ in Konstatynow*, *Lodzer Männer-Gesang-Verein*, *Kirchengesang-Verein der St. Trinitatis-Gemeinde zu Lodz*, *Kirchengesangverein der Evangelisch-Lutherischen St. Johannis Gemeinde zu Lodz*; cech tkaczy: *Webermeister-Innung*; towarzystwo dobroczynne: *Lodzer Christlicher Wohltätigkeits-Verein*; dom dziecka: *Evangelische Waisenhaus*; straż pożarna: *Lodzer Freiwillige Feuerwehr*; kościoły i parafie: *Evangelisch-Augsburgische Gemeinde zu Zduńska Wola*, *Evangelisch-Lutherische Parochie Alexandrow*, *Evangelisch Lutheranische Gemeinde zu Pabianice*, *Evangelisch-Lutherische Kirche in Brzeziny*, *Evangelische St. Trinitatisgemeinde zu Lodz*; szkoły: *Lodzer Deutsche Gimnasium*, *Gymnasium von A. Rothert*, *Rey-Volksschule nr 5 zu Tomaschow-Mazowiecki*.

Wśród wydawnictw informacyjnych znajdujemy tom pierwszy bibliografii Kraju Warty w opracowaniu Hansa M. Meyera z 1943 roku, cztery książki telefoniczne głównie dotyczące Łodzi z roku 1940, 1942 i 1944, w tym *Amtliches Fernsprech-Verzeichnis für das Ortsnetz Litzmannstadt* oraz *Fernsprechverzeichnis der Verwaltungen und Betriebe der Stadt Litzmannstadt*. Opublikowaną przez Hansa Schwarza księgę adresową Pabianic: *Amtliches Strassen-Verzeichnis der Stadt Pabianice* oraz *Polen Adressbuch* liczącą ponad tysiąc stron księgę adresową przemysłu, handlu i rolnictwa z 1917 roku wydaną w Berlinie w oficynie Rudolfa Mosse. Wspomnieć warto także księgę adresową firm niemieckich zajmujących się sprzedażą książek *Adressbuch des Deutschen Buchhandels* z 1914 r. Zawiera ona nie tylko bardzo obszerny spis firm z obszaru niemieckojęzycznego w Europie zajmujących się handlem książkami, ale i również przeróżnych firm specjalistycznych, które rozwinęły się w oparciu o przemysł drukarski i ówczesny ruch wydawniczy. *Katalog der deutschen Bücher der Leihbibliothek von Ludw. Fischer* to spis w większości niemieckich książek, z księgarni i wypożyczalni znajdujących się przy ulicy Piotrkowskiej nr 48. Zawarto w nim także krótką informację o zasadach ich wypożyczenia.

Publikacje z geografii i geologii to publikacje z okresu wcielenia Łodzi i obszarów wokół niej do III Rzeszy. Przedmiotem prac Waltera Geislera czy

Hermann Schütze jest geografia fizyczna tych terenów, zaś autorstwa Paula W. Thomsona geologia historyczna Kraju Warty oraz dorzecza rzeki Warty. Odmienny charakter ma publikacja *Land an der Warthe* Huberta Mullera-Schwanneke w poetycki sposób przedstawiająca wschodnie tereny Rzeszy. Malarską wizję Kraju Warty znajdujemy w albumie *Der Warthegau Landschaft und Siedlung in Werken Deutscher Maler* wydanym w 1943 roku. Spojrzenie Niemców na współczesną Łódź prezentuje wydawnictwo *Łódź eine Stadt zwischen Mythos und Realität* autorstwa Tanji Elm i Gerta Limberga. Fotografowie spojrzeli na miasto jesienią 2003 roku, w szczególnie sposób dostrzegając jego piękno, jak również istniejące kontrasty, gdzie przeszłość zaniedbana i ta odrestaurowana zderza się z rozmachem nowoczesnych budowli i nędzą dnia obecnego, której nie sposób przed dociekliwym obserwatorem z zagranicy ukryć. Ciekawostką jest to, że dla niemieckiego wydawnictwa Blickfett druk tego dwujęzycznego albumu wykonano w Łodzi.

Okresu I wojny światowej dotyczą pisane gotykiem: *Der Durchbruch bei Brzeziny* Ernsta Eilsbergera wydane w 1939 roku, *Der Löwe von Brzeziny* Jakobsa z 1938 roku oraz *Die Schlacht bei Lodz* von Wulffena z 1918 roku. Eilsberger opisując wydarzenia z listopada 1914 roku szczegółowo przedstawia działania poszczególnych oddziałów i jednostek wojsk niemieckich, bitwy i potyczki toczone z wojskiem rosyjskim oraz rejestruje miejsca pochówku poległych żołnierzy. Do książki dołączone są szczegółowe mapy poszczególnych bitew. *Bitwa pod Łodzią* von Wulffena została napisana niedługo po zakończeniu działań wojennych na zlecenie niemieckiego sztabu generalnego w celu przybliżenia wydarzeń toczących się w czasie walk w okolicach Łodzi. *Lwem spod Brzezin* nazwał w swej książce Jakobs hitlerowskiego patrona Łodzi generała Litzmanna, opisując jego wkład w walki o tereny wokół miasta.

Zupełnie odmienny charakter od tych gloryfikujących niemieckiego żołnierza, mają publikacje dotyczące II wojny światowej, których głównym akcentem jest martyrologia ludności żydowskiej, cygańskiej i polskiej oraz pragnienie rozliczenia się z przeszłości. Z okazji wystawy jaka odbyła się we Frankfurcie nad Menem w 1990 roku poświęconej *Litzmannstadt Ghetto* w latach 1940–1944 *Jüdisches Museum* wydało w Wiedniu obszerną pracę zbiorową: *Unser einziger Weg ist Arbeit* pod redakcją Hanno Loewy i Gerharda Schoenbernera. W tej bogato ilustrowanej publikacji, wśród fotografii przedstawiono szczegóły ówczesnego życia i gehenny ludności żydowskiej i cygańskiej. Książką ukazującą codzienność tamtych lat w Łodzi jest zbiór reportaży i esejów zamordowanego w 1944 roku w Auschwitz-Birkenau Oskara Singera zatytułowany *Im Eilschritt durch den Ghetto...* Singer został w 1941 roku deportowany z Pragi do *Litzmannstadt Ghetto*, gdzie rozpoczął pracę przy redagowaniu „Kroniki Getta Łódzkiego”. W 2004 roku w Göttingen wydano *Letzte Tage. Die Łódzer Getto-Chronik Juni/Juli 1944*, zawierającą kronikę jego ostatnich miesięcy. W tym miejscu warto wspomnieć o innych edycjach „Kro-

niki” dostępnych w bibliotece, w szczególności o wersji angielskojęzycznej z 1984 roku wydanej przez Uniwersytet Yale pod redakcją Lucjana Dobroszyckiego, obejmującej wszystkie lata istnienia getta oraz o polskim dwutomowym wydaniu z lat 1965–1966, w opracowaniu Danuty Dąbrowskiej i Dobroszyckiego, obejmującym okres styczeń 1941– grudzień 1942. Praca zbiorowa *Chelmno / Kulmhof. Ein vergessener Ort des Holocaust?*, wydana przez Manfreda Strucka w 2001 roku w Bonn poświęcona jest historii obozu zagłady w Chełmnie nad Nerem. W publikacji tej znajdujemy próby odpowiedzi na pytanie co legło u źródeł niemieckich planów eksterminacji podbitych narodów. Odnajdziemy tu również historię żydowskiego uciekiniera Szlamka, który z narażeniem życia dotarł do getta w Warszawie, by powiadomić o prawdziwych celach wywozu ludności do obozów. Praca zawiera relacje z przesłuchań odpowiedzialnych za masowe likwidacje Żydów, listy uwięzionych, plan obozu. *Wenn sich Vergangenes zunehmend mit Nacht bedeckt... Gdy przeszłość coraz bardziej oddala się w noc* Silki Berg to wydane we Frankfurcie nad Menem w 2000 roku niemiecko-polskie wydawnictwo poświęcone społeczności żydowskiej, językowi, gminie i jej losom sprzed i w trakcie II wojny światowej. Praca zawiera także historyczne fotografie Litzmannstadt Ghetto zestawione ze współczesnymi zdjęciami tych samych miejsc.

Osobną kategorię stanowi literatura wspomnieniowa, wśród której warto odnotować autobiografię łódzkiego dziennikarza Otto Heikego zatytułowaną *Leben im deutsch-polnischen Spannungsfeld*, a także nadbitkę *Das Stadtarchiv in Lodz, insbesondere während der Jahre 1939–1945* omawiającą jego działalność w tym okresie. *Es begann in Polen: Erinnerungen eines Diplomaten und Ostforschers* to autobiografia nauczyciela, geografa i dyplomaty Eugena Oskara Kossmanna. Wśród jego piętnastu książek biblioteka posiada również pracę doktorską *Lodz: eine historisch-geographische Analyse* opublikowaną w 1966 roku w Würzburgu, po trzydziestu czterech latach od jej obrony na Uniwersytecie Jagiellońskim w 1932 roku. Wspominając Kossmanna należy wymienić także dwutomowy zbiór artykułów i rozpraw z lat 1929–1995 wydany w 1997 roku przez *Heimatkreisgemeinschaft der Deutschen aus dem Lodzer Industriegebiet*, stanowiący przegląd jego piśmiennictwa. Zupełnie inny charakter mają wspomnienia Oskara Rosenfelda opisane w *Wozu noch Welt* z 1994 roku, który razem z Singerem tworzył zapisy „Kroniki Getta w Łodzi” czy też Aurelii Scheffel *Lodź– Geschichte (n)* z 2004 roku sięgającej pamięcią okresu swego dzieciństwa spędzonego w przedwojennej i wojennej Łodzi do dnia swych osiemnastych urodzin w 1946 roku, kiedy to opuszcza miasto uciekając do Niemiec.

Na koniec warto wspomnieć także o tłumaczeniach powieści Reymonta: pochodzącym z 1916 roku wydaniu *Ziemi obiecanej*, które zostało opublikowane w Monachium w oficynie G. Müllera oraz o *Chłopach* z 1912 roku z wydawnictwa Eugena Diedericha z Jeny.

Biblioteka od kilku już lat poddaje zapisowi cyfrowemu swoje najcenniejsze zbiory. Wśród publikacji przeniesionych techniką skanowania na nośnik elektroniczny i zarejestrowanych w standardzie PDF znajdują się także te, które zostały opisane w niniejszym artykule. Obecnie w wersji zdigitalizowanej dostępne są między innymi: *Amtliches Fernsprechbuch für den Bezirk der Reichspostdirection Posen*; *Illustrierte Beilage zur Freien Presse*; *Informationsbuch für den Lodzer Geschäftsverkehr*; *Lodzer Informations und Haus Kalender für das Jahr...*; *Łódzkie Ogłoszenia = Łodzer Anzeiger, Lodzer Zeitung, Neue Lodzer Zeitung: Illustrierte Sonntags-Beilage: Handels-und Industrieblatt, Verwaltungsbericht der Stadt Lodz, Geschichte der evang.-augzburgischen Gemeinde zu Zduńska-Wola: aus Anlass der Hundertjahrfeier der Gemeinde; Bericht über Entstehung, Entwicklung und gegenwärtigen Stand wie auch Tätigkeit der evangelisch-lutherischen Gemeinde zu Pabianice während des Jahres 1904; Festschrift zur 50-jährigen Jubiläumsfeier der Fahnenweihe des Evangelisch-Augsburgischen Kirchen-Gesangvereins zu Pabianice; Fest-Schrift zur 40-jährigen Jubiläums-Feier der Fahnenweihe der Evangelisch-Augsburgischen Kirchengesangvereins zu Pabianice.*

Piotr Sętkowski  
– młodszy bibliotekarz,  
przy współpracy Piotra Boczkowskiego  
– kierownika działu gromadzenia i opracowania zbiorów  
WiMBP w Łodzi.



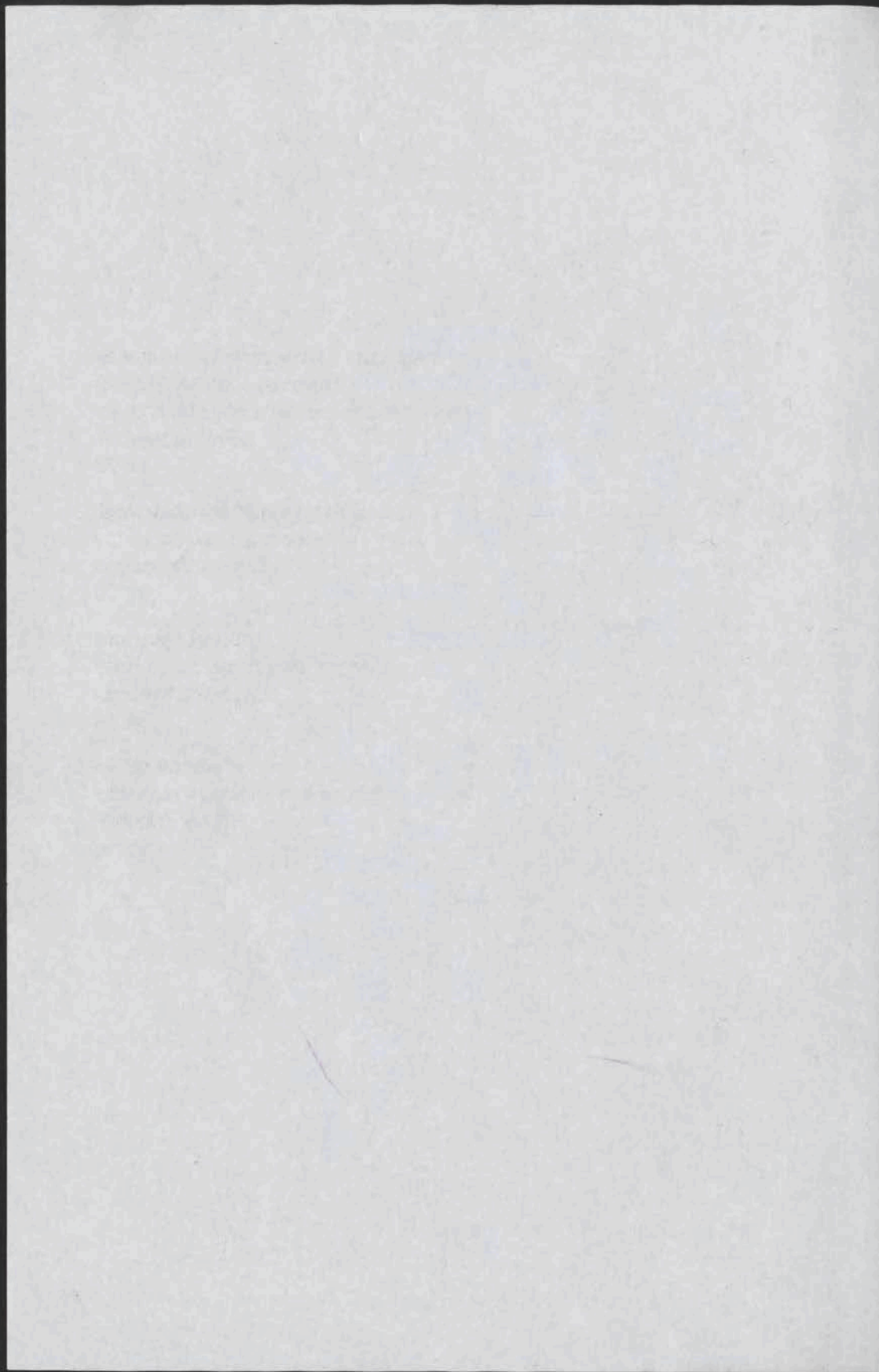
# kultura

**Landschaft z fabrycznym kominem w tle**  
*Środowisko artystów łódzkich  
pochodzenia niemieckiego przed 1918 rokiem*  
Łukasz Grzejszczak  
str. 73

**Wzloty i upadki technoideologii**  
*Łódzkie propozycje popkultury*  
Zuzanna Ogorzewska  
str. 79

**Ścieżka poznania**  
*O Niemce, która przyjeżdża do Polski*  
Magdalena Starzycka  
str. 84

**Wiedeński spleen**  
*Z Ewą Kają wywiad przeprowadził*  
Darek Kędzierski  
str. 90



# Landschaft z fabrycznym kominem w tle

*Środowisko artystów łódzkich  
pochodzenia niemieckiego  
przed 1918 rokiem*

kultura

Fenomen Łodzi wielonarodowej i wielokulturowej wzbudza od szeregu lat zainteresowanie nie tylko autorów prac historycznych, ale także pisarzy, dziennikarzy, etnologów, socjologów, czy wreszcie historyków sztuki. Z ciekawością, ale też z pewnym zdumieniem przyglądano się temu fascynującemu zjawisku, stanowiącemu ewenement w europejskim kręgu kulturowym.

W tradycji i przekazach literackich utrwał się wizerunek Łodzi jako „polskiego Manchesteru”, „złego miasta” i „ziemi obiecanej” dla napływającej tu masowo ludności niemieckiej, żydowskiej i polskiej. Na przełomie XIX i XX w. Łódź była największym ośrodkiem przemysłu i drugim co do wielkości, po Warszawie, miastem Królestwa Polskiego. Współcześni obserwatorzy uznawali ówczesną Łódź za centrum życia politycznego, gospodarczego i kulturalnego Niemców w Królestwie Polskim. Swoisty skład narodowościowy dawnej Łodzi nie pozostawał bez wpływu na obraz jej sztuki.

Początki kształtowania się środowiska plastycznego w naszym mieście sięgają lat 90. XIX wieku. Nie były one jednak łatwe, gdyż porównując dynamikę jego rozwoju ze środowiskiem muzycznym, teatralnym czy literackim, stwierdzamy, że życie plastyczne w „fabrycznym mieście” kształtowało się z pewnym trudem. Określenie składu narodowościowego naszej „kolonii Apellesowej” pozostaje zaledwie hipotetyczne i trochę ryzykowne. Trudno bowiem mówić o jednoznacznej przynależności kulturowej z uwagi na asymilacyjne skłonności artystów.

Z grupy najbardziej znanych twórców pochodzenia niemieckiego, działających lub urodzonych w Łodzi, jako pierwszego należy wymienić grafika i ilustratora **Fryderyka Krzysztofa Dietricha** (ur. 3.IV.1779 Oehringen/Wirtembergia – zm. 25.V.1847 Łódź). Na okres pobytu w naszym mieście przypadł ostatni etap działalności twórczej tego niezwykłego artysty, uchodzącego w historii grafiki polskiej za pioniera techniki akwatinty. Kiedy w 1838 roku opuszczał Warszawę, przekazując założoną przez siebie sztycharnię wraz z tajemnicami warsztatowymi synowi Adolfowi Fryderykowi, widział w Łodzi nowe możliwości zapewniające stabilizację i zabezpieczenie materialne jego licznej rodzinie.

Na „ziemi obiecanej” w osadzie Łódka, na otrzymanej parceli nazwanej Lamusem, uruchomił małą fabrykę. Rozpoczął w niej produkcję chustek jedwabnych i płóciennych, które zdobił nadrukami w technice miedziorytu. Dysponował bowiem w owym czasie kompletnym zakładem miedziorytniczym i litograficznym. Udzielał też – jak sam wspominał – „tkaczom i innym cechom, bezpłatnych, niedzielnych lekcji rysunku”. Wspomniany warsztat zawiódł jednak jako źródło utrzymania i dlatego też w 1842 roku Dietrich przyjął posadę zarządzającego lasami i parkami w fabrykach Ludwika Geyera. Ponieważ praca ta nie zapewniała mu świadczeń na starość, chciał powrócić do służby państwowej. Jednak nagła śmierć w czasie epidemii tyfusu w Łodzi pokrzyżowała jego plany. Oprócz Adolfa Fryderyka wykształcenie graficzne otrzymali także pozostali dwaj synowie Fryderyka Krzysztofa Dietricha – Edward Marian i Maurycy, który był związany z naszym miastem. **Maurycy Dietrich** (ur. 8.IV.1823 – zm. 19.III.1898 Łódź) złożył egzamin do Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie, później zaś otworzył w Łodzi zakład litograficzny, który odziedziczył po nim jego syn **Władysław Dietrich** (ur. 1859 – zm. 1906), zajmujący się także malarstwem na porcelanie. Wykonał on między innymi *Widok Łodzi* na porcelanowej plakiecie, widoki fabryk Ludwika Geyera na doniczkach i półmiskach.

W rozwoju życia artystycznego znaczącą, chociaż dotychczas niedocenianą rolę, odegrali litografowie prowadzący drukarnie. Pierwszym po Dietrichach znanym twórcą był **Feliks Gotz** (ur. 1833 Warszawa – zm.?) uczeń Maksymiliana Fajansa, który w 1859 roku otworzył zakład litograficzny działający do 1864 roku.

W 1860 roku Zakład Drukarsko-Litograficzny założył drukarz **Jan Petersilge** (ur. 1830 Drezno – zm. 22.II.1905 Łódź). W zakresie techniki litografii kształcił się w Warszawie pod kierunkiem Juliusza Volmara Flecka, a następnie w drezdeńskiej Szkole Przemysłowej Kunsztu Artystycznego.

Obok Gotza i Petersilgego znane Zakłady Artystyczno-Litograficzne prowadzili także Rudolf Luther (XIX/XX w.) i Leopold Zoner (zm. 24.IX.1915 Łódź). Produkcja tych firm poza drukiem gazet, książek, kalendarzy i broszur rządowych, ograniczała się do tego, co określibyśmy dziś mianem grafiki użytkowej. Zwrócić należy jednak uwagę na dbałość o układ typograficzny i stronę artystyczną większości z tych druków.

W gronie koryfeuszy palety wyróżniał się natomiast **Oscar Edwin Adalbert Mayer Elbing** (ur. 24.VII.1866 Elbing – zm.?). Malarz i pisarz będący jedną z ciekawszych indywidualności artystycznych. Kształcił się pod kierunkiem Emila Neide, Carla Gustawa Hellqvista, Paula Meyerheima. W Łodzi osiadł około 1901 roku, zajmując początkowo pracownię przy ul. Orlej 19, a następnie przy ul. Widzewskiej (obecnie ul. Kilińskiego) kolejno pod numerami 122 i 117. Przed osiedleniem się w naszym mieście Meyer Elbing odbywał w latach 1889–1896 liczne podróże plenerowe do krajów orientu. Znajomość tamtejszych realiów zaowocowała w jego malarstwie licznymi scenami o tematyce bliskowschodniej, które ugruntowały jego sławę. Jednak w środowisku



Łódzkich elit finansowych i urzędniczych był on przede wszystkim cenionym portreciście. Twórczość Oscara Meyera Elbinga cieszyła się wśród miejscowych kolekcjonerów dużą popularnością, a około 1905 roku blisko sto jego obrazów znajdowało się w zbiorach prywatnych. Jego okazałe, z przepychem urządzone atelier pełniło funkcję otwartej pracowni, w której artysta udzielał lekcji rysunku i malarstwa. Warto także przypomnieć zaangażowanie twórcy w działalność miejscowego środowiska plastycznego. W 1903 roku brał on bowiem udział w Wystawie Okrężnej zaś w 1905 roku w Wystawie Wiosennej zorganizowanej przez Jana Grodka w lokalu przy ul. Piotrkowskiej 15. Wspólnie z nim w ekspozycji tej uczestniczył między innymi Otto Edward Poppel. Po opuszczeniu Łodzi Oscar Edwin Adalbert Meyer Elbing osiadł w Wiesbaden.

Pokolenie artystów urodzonych w Łodzi w latach 70. XIX stulecia reprezentuje malarka **Fryda (Frieda) Biedermann Frankowska** (ur. 7.XI.1872 Łódź – zm. 27. X.1957 Aix-en-Provence). Była córką Adelmy Emmy i Roberta Biedermannów. Początkowo studia artystyczne odbyła w Paryżu, a od 1904 roku studiowała równocześnie z Henrykiem Haydenem, z którym była zaprzyjaźniona w warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych. Do wybuchu pierwszej wojny światowej mieszkała w Warszawie. Następnie przebywała w Paryżu pracując jakiś czas w *Academie la Palette*, gdzie mieściła się jej pracownia. W latach 30. XX wieku kupiła posiadłość Orcel w Aix-en-Provence. Wspólnie z mężem Bronisławem Frankowskim podróżowała po Grecji, Włoszech, Hiszpanii, Anglii, Finlandii i na Krym. Była związana z francuskim środowiskiem artystycznym, a wśród malarzy, z którymi utrzymywała kontakty, byli Pablo Picasso, Henri Matisse, Georges Braque, Marie Laurencin. W latach 1919, 1920, 1922 wystawiała w Paryżu. Uczestniczyła w 1920 roku w I Wystawie Towarzystwa Franco-Pologne. Brała też udział w wystawie Młodej Polski w *Musee Crillon* w 1922 roku. Podtrzymywała artystyczne kontakty z krajem. Oprócz licznych pejzaży, martwych natur,

aktów i scen rodzajowych jakie malowała, zajmowała się tkaniną (batikiem) i projektowała kostiumy dla lalek.

Niemal rówieśnikiem Frydy Frankowskiej, który również odnosił sukcesy artystyczne poza naszym miastem, był malarz dekorator, twórca polichromii **Robert Laub** (ur. 10.II.1874 Gersbach/Turyngia – zm. 6.XI.1930 Łódź). W 1895 roku rozpoczął pracę w pracowni dekoracyjno-malarskiej Filipa Schweikerta w Łodzi. Tam też odebrał podstawy edukacji zawodowej, a wkrótce zaczął wykonywać samodzielne prace. W 1900 roku wyjechał do Kijowa, gdzie ożenił się z Idą Brandt z domu Reitzig. W cztery lata później przeniósł się do Moskwy, gdzie do 1914 roku kierował pracownią zatrudniającą sześćdziesięciu malarzy wykonujących obrazy świętych i polichromie w cerkwiach i kościołach. Okres I wojny światowej Laub spędził na zesłaniu w guberni Ufa. W 1918 roku wyjechał na krótko do Niemiec, a w 1920 roku zamieszkał koło Łęczycy w majątku Uwielinek. Do Łodzi powrócił dopiero w dwa lata później. W naszym mieście powstała większość dzieł Lauba, głównie olejnych pejzaży, które wystawiał kilkakrotnie w latach 1925–1929 w składzie przyborów malarskich i antykwaracie Hermana Kunerta w Łodzi przy ul. Piotrkowskiej 87. Jednak najśłynniejszym jego dziełem są wykonane w latach 1926–1928 sceny Drogi Krzyżowej w prezbiterium i pozostały wystrój malarski kościoła ewangelicko-augsburskiego pod wezwaniem św. Mateusza w Łodzi.

Odmianą stylistycznie twórczość reprezentuje **Otto Bauer** (ur. 25. II. 1878 Tomaszów Piotrkowski – zm. 1910 Kalifornia) malarz, rysownik, grafik, ilustrator, scenograf, karykaturzysta.

Po ukończeniu szkoły średniej w Łodzi rozpoczął studia artystyczne w Norymberdze, a następnie kontynuował je w Akademii Sztuk Pięknych w Monachium. Uczęszczał tam na zajęcia do pracowni Carla von Marra i autora scen historycznych Wilhelma von Dieza. Uprawił malarstwo portretowe i pejzażowe. Zajmował się także rysunkiem, ilustratorstwem książkowym i czasopiśmienniczym,



karykaturą oraz grafiką, w której z upodobaniem stosował technikę autolitografii podejmując w tych pracach tematykę narodową (*Portret Fryderyka Chopina*, *Portret Adama Mickiewicza* z 1904 roku). Wystawiał w Wiedeńskiej Secesji, Glasspalast w Monachium, Berlinie, Dreźnie, Kolonii, warszawskim Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych (1905, 1911 – pośmiertnie), Salonie Aleksandra Krywulta w Warszawie (1904 *Portret Fryderyka Chopina* – autolitografia oraz rysunki). W 1904 roku brał udział w wystawie Dwór Polski, a w rok później w wystawie karykatur w Warszawie, gdzie prezentował m.in. prace: *Batalista*, *Aktor prowincjonalny*, *Po powrocie z Paryża*, *Prerafaelita*, *Po trzech latach na bruku warszawskim*.

W Łodzi miał wystawy w 1902 i 1910 roku (pośmiertna). Ekspozował pejzaże miejskie w Salonie Eustachego Pietkiewicza przy ul. Dzielnej 7 (obecnie ul. Narutowicza). W 1903 brał udział w Wystawie Okrężnej w Łodzi.

Jego pracownia mieściła się w reprezentacyjnym, eleganckim domu Mendla Pinkusa u zbiegu ul. Spacerowej (obecnie al. Kościuszki) i ul. Zielonej. Miał również wspólną pracownię z Leopoldem Pilichowskim przy ul. Piotrkowskiej 107. Otto Bauer był znanym i cenionym w mieście twórcą włoskich pejzaży i portrecistów zamożnej burżuazji. W 1901 roku bezinteresownie podjął się wykonania kurtyny dla Teatru Polskiego mieszczącego się w gmachu Teatru Wielkiego Fryderyka Sellina przy ul. Konstantynowskiej 14 (obecnie ul. Legionów). Miała ona zastąpić skromniejszą kurtynę autorstwa dekoratora tegoż teatru – Wieczorkowskiego, a szkice i projekt Bauera świadczyć miały zdaniem publicysty Władysława Ratyńskiego, że „będzie to dzieło dużej wartości artystycznej, które znacznie przyczyni się do ozdobienia teatru”. Był także współpracownikiem redakcji, autorem okładki i winiet książki *Scena Polska w Łodzi 1844-1901*. Winiety, przerywniki oraz ogólny układ typograficzny pracy zostały utrzymane w duchu secesji, zaś w kompozycji oprawy wprowadził inspirowaną antyką postać kobiety-kapłanki, która nad tłacym się świętym ogniem sztuki unosi maskę teatralną. Ze względu na zły stan zdrowia Bauer wiele podróżował w celach leczniczych. Mieszkał nawet czasowo w Zakopanem i we Florencji. W 1905 roku odbył podróż artystyczną po Włoszech, dzięki której zyskał popularność jako malarz italianista. Po zawarciu małżeństwa z Amerykanką Inez Kaster, zdecydował się w 1907 roku przenieść na stałe do Stanów Zjednoczonych.

Do grona wybitnych pejzażyistów łódzkich, których talent i dojrzałe lata twórcze rozkwitały po opuszczeniu naszego miasta, należy **Otto Edward Pippel**. Sylwetkę artysty przedstawiamy w odrębnym artykule tego numeru *Kroniki*.





Kolejnym znanym malarzem był **Karol Ende** (ur. 27.II.1881 Bełchatów – zm. 11.IV.1962 Łódź). Początkowo uczęszczał do szkół ogólnokształcących, zaś od 1887 roku rozpoczął samodzielną naukę malarstwa. Chcąc doskonalić warsztatowe umiejętności, po 1907 roku pobierał prywatne lekcje u Stanisława Witkiewicza w Zakopanem i w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych w pracowni Leona Wyczółkowskiego. Odbił też liczne podróże artystyczne zatrzymując się na dłużej w Monachium, Dreźnie, Charkowie i Odessie. W 1907 roku eksponował prace w krakowskim Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych, a w rok później wszedł w poczet członków Towarzystwa Artystycznego w Warszawie i wystawił na Salonach zorganizowanych przez Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych. Karol Ende należał także do grona pierwszych promotorów sztuki w naszym mieście. Był współorganizatorem Salonu Jesiennego w salach Muzeum Miejskiego przy ul. Piotrkowskiej 91, a w kwietniu 1914 roku otworzył przy ul. Ewangelickiej 5 (obecnie Roosevelta) Salon Sztuki, który miał charakter wystawienniczo-handlowy. W okresie międzywojennym wspierał organizacyjnie liczne przedsięwzięcia kulturalne. Był jednym z najaktywniejszych członków Związku Zawodowego Łódzkich Artystów Plastyków, uczestniczył w licznych wystawach. Tworzył realistyczne pejzaże w duchu malarstwa akademickiego, w których w malowniczy sposób utrwalił wiele podłódzkich okolic oraz martwe natury, z dominacją kompozycji kwiatowych. Mimo iż należał do stosunkowo płodnych twórców, niewiele z tych dzieł jest dziś powszechnie znanych.

Podobnie zapomniana jest obecnie twórczość rówieśnicy Karola Endego – **Teodory Trenkler Skotnickiej** (ur. 1881 – zm. 1963), córki fabrykanta łódzkiego Teodora Trenklera i pasierbicy przemysłowca, kolekcjonera i mecenas sztuki Henryka Grohmana. Była ona absolwentką szkoły malarstwa i rysunku Witolda Wołczaskiego w Łodzi. Jako malarka zaistniała na szerszym forum w 1900 roku na wystawie prac uczniów szkoły w Salonie Józefa Pawłowskiego. Otrzymała wówczas drugą nagrodę za dwa portrety (olejny i rysunkowy) oraz martwą naturę.

Będąc żoną malarza i grafika, promotora sztuki Jana Skotnickiego, Teodora Trenkler zrezygnowała z własnych ambicji artystycznych pozostając niejako „w cieniu” wybitnej indywidualności męża.

*Łukasz Grzejszczak*  
– historyk sztuki,  
nauczyciel akademicki,  
członek Stowarzyszenia Historyków Sztuki.



# Wzloty i upadki technoideologii

## *Łódzkie propozycje popkultury*

kultura

Z Niemiec przyszła muzyka techno do Polski. Niemal natychmiast zadomowiła się w Łodzi – mieście, w którym ogromne, opustoszałe hale fabryczne pozwalały na urządzenie spektakularnych imprez. Nie minęło wiele czasu, gdy szare miasto fabryk zaczęło nazywać polską stolicą techno. A wszystko zaczęło się od otwartego w 1994 roku klubu New Alcatraz.

Chociaż gdyby się nad tym zastanowić głębiej, to wszystko zaczęło się od pewnego muzyka, który tam pracował. Didżej Tornado urodził się w Łodzi, choć później przez wiele lat mieszkał na zachodzie kraju, nieopodal niemieckiej granicy. Obserwował stamtąd nowe trendy w muzyce u zachodnich sąsiadów. Powrócił jednak do miasta fabryk, by studiować na tutejszej Akademii Muzycznej. Wraz z podjęciem studiów podjął pracę w nowo otwartym pubie New Alcatraz. Urządzał tam imprezy poświęcone zupełnie nowym jak na polskie realia rytmom. Były to imprezy tego rodzaju, który w Niemczech stał się już całkiem głośny i rósł coraz bardziej w siłę decybeli. Nie inaczej stało się tutaj.

Ale właściwie dlaczego? Co takiego jest w muzyce techno, co przyczyniło się do jej niezwyklej popularności? Wielu ludzi nawet nie nazwałoby techno muzyką. Padają ironiczne określenia w stylu „łup – łup – łup” na określenie męczących i monotonnych dźwięków generowanych przez komputery. I być może właśnie... o to chodzi!

Techno przywodzi na myśl bicie plemiennych bębnów. Transzwariowanego tańca przypomina jakieś dawno zapomniane obrzędy i rytuały, gdy na twarzach uczestników porwanych szaleńcem bongosów i piszczałek migoczą blaski płonącego ogniska. Obecnie bębny i flety zastąpiła elektronika, zaś płomień ogniska – potężne stroboskopy. Idea jednak wydaje się pozostawać ta sama. Chodzi o swoisty powrót do korzeni, do podstaw, tyle że w sposób dostosowany do warunków nowego tysiąclecia. Muzyka oraz przeróżne środki wyrazu ekspresji idą z duchem czasu tworząc po drodze różne, bardziej i mniej ciekawe oblicza współczesnej kultury.

### **Plemienna elektronika miasta**

A jednak nowa elektroniczna muzyka nie wszędzie upowszechniała się tak szybko. Co sprawiło, że akurat Łódź była dla niej tak podatnym gruntem?

Przede wszystkim miłośnicy techno potrzebują na swe transowe spotkania przestrzeni. Natężenie dźwięków, skomplikowane operowanie światłami, które pomimo zimnego neonowego blasku kreują dość mistyczny nastrój, wymaga odpowiedniego miejsca zupełnie tak, jak obrzędy wymagają świątyni. Łódź ze swoim mnóstwem wolno stojących i pustych fabryk włókienniczych nadawała się idealnie. Można powiedzieć, że miasto samo przydawało nowemu prądowi kultury dodatkowych atutów. Nic tak nie pociągało młodych ludzi jak oferta wielkiej przestrzeni nasyconej efektami mocno oddziaływującymi na zmysły. Przestrzeni, gdzie można było bawić się razem i w zupełnie wygodnych warunkach dzielić się niezapomnianymi wrażeniami.

Z czasem potrzeba zrzeszania się, wspólnego tańca „technomaniaków” przerosła warunki wielkich budynków. Trudno powiedzieć, by niemieckie sale koncertowe nie mogły pomieścić samych imprezowiczów. To, czego nie dało się raczej zamknąć w czterech ścianach, było rodzajem niespożytej pierwotnej energii płynącej nie tyle z jednostajnych rytmów czy kolorowych pokazów laserowych świateł, ale z ludzi i być może – z zaspokojonej aż do przesyty – ludzkiej potrzeby afiliacji. W każdym razie owa energia wylała się na ulice.

Po raz pierwszy coś takiego stało się w Berlinie. Raz do roku na kilka dni miłośnicy techno opanowywali miasto, by cieszyć się wspólnym tańcem i muzyką rozchodzącą się na wszystkie strony świata bez ograniczeń murów. Odwołując się do łatwo wyczuwalnego nastroju, jaki zawiadnął w Niemczech fanami techno, ową gigantyczną imprezę nazwano Love Parade. Określenie zabawy miłością nie było wcale pustym hasłem. Uczestnicy robierali się równie chętnie jak za dawnych czasów hippisi na Woodstock, przy czym bez żadnego skrępowania, a wręcz przeciwnie – z ogromnym zapałem i radością – cieszyli się tańcem i własnym towarzystwem.

### **Grzeczni technomaniacy**

Ponieważ Łódź dała się już wtedy poznać jako polska stolica techno, niemal natychmiast narodził się pomysł zorganizowania podobnej imprezy u nas. Łódzka parada nazwano jednak Paradą Wolności, co miało odwoływać się do ogólnej tolerancji. Chodziło tu jednak bardziej o tolerancję wobec ekscentrycznego wyglądu. Tolerancja wobec zachowań, jakie zwykle za takim wyglądem się kryją, pozostawała jedynie w domyśle, toteż łódzka Parada Wolności pozostawała raczej grzecznym, choć głośnym spotkaniem, jeśli porównać ją do berlińskiej Parady Miłości. Technomaniacy z Łodzi wyróżniali się swym wizerunkiem, szokowali zwariowanymi, kolorowymi strojami i fryzurami, ale ich zabawa raczej nie przekraczała społecznie dopuszczalnych norm. Gdyby było inaczej ostatnia Parada Wolności w Łodzi nie odbyłaby się pewnie w ramach Festiwalu Dialogu Czterech Kultur.

To ciekawe połączenie pozornie sprzecznych przedsięwzięć w istocie jest bardzo logicznym i racjonalnym pomysłem. Stanowi swego rodzaju

pomost między historią i teraźniejszością. W końcu kultura techno jest być może szczególnym wyrazem współczesnej i młodej kultury niemieckiej, żywym świadectwem panujących w Niemczech nastrojów nowej generacji.

A jaką właściwie kulturą jest techno? To bardzo ciekawe pytanie. Podług różnych definicji nauk psychologicznych i społecznych najważniejszymi składowymi zjawiska jakim jest kultura są przekonania, wierzenia, zwyczaje oraz język, wspólne dla danej grupy ludzi żyjącej w określonej czasoprzestrzeni.

Jakie są przekonania fanów techno, ich wierzenia i zwyczaje? Wiadomo, że w tym przypadku językiem jest muzyka.

Chyba najtrafniejszym określeniem przekonania tej grupy ludzi jest daleko posunięty liberalizm poglądów. Co to znaczy „daleko posunięty”? To oznacza, że sięga on nieraz tematów i spraw kontrowersyjnych, a czasami nawet – niebezpiecznych. O ile dobrze jest propagować wolność osobistą, równość, tolerancję dla wszystkich ludzi odmiennych pod jakimś względem od standardowej większości – w przypadku imprez techno chodzi na przykład o swobodne zachowanie osób należących do mniejszości seksualnych i przyzwolenie na te zachowania – o tyle eskalacja używania środków odurzających oraz opowiadanie się za ich legalizacją nie jest już wcale do przyjęcia ani zaakceptowania. Jakkolwiek warto pamiętać, że to nie muzyka – nawet najbardziej prymitywna – działa w ten sposób na ludzi, lecz głupota dążąca do zintensyfikowania niewłaściwych wrażeń.

### **Ekscentryzm zorganizowany**

Czemu zaś tak łatwo się upowszechnia? Ponieważ, jak pisał już Le Bon w *Psychologii Tłumu* zbiorowisko ludzi jest łatwowierne, szybko podlega sugestii, zniekształca fakty zgodnie z wyznawanymi ideami. Łatwo zmieniające się emocje obejmują wszystkich członków tłumu, którego idee i uczucia poddane są jednemu kierunkowi. Czy ten opis nie przypomina atmosfery panującej w Niemczech jeszcze kilkadziesiąt lat temu, tuż przed oraz w latach totalitarnych rządów Hitlera? Czy zatem nie muzyka – lecz kultura techno – niesie ze sobą pewnego rodzaju zagrożenie dla humanistycznej wartości jaką jest indywidualizm? Fan techno ma oczywiście sterzące kolorowe włosy, odblaskowe ubranie, nierzadko mnóstwo kolczyków. Ale czy rzeczywiście się wyróżnia? Absolutnie nie. Ponieważ na imprezach techno w istocie wszyscy wyglądają tak samo. Wspólny kamuflaż bywa nie tylko barwnym bałem przebierańców – formą zabawy, ale też próbą ukrycia się, schronieniem, w którym można przez chwilę poczuć się silnym dzięki obecności wielu zewnętrznie podobnych sobie jednostek.

Z obrazem tym w pełni koresponduje liberalizm miłośników techno w kwestii wyznania. Różne są źródła tolerancji, jednak jej samej nie można odmówić pozytywnego aspektu, dobrego wpływu na innych i ogólną atmosferę. Fani techno wcale nie są ateistami, bezbożnikami pozbawionymi szacunku dla bardziej konserwatywnych sposobów życia. To zupełnie zwyczajni ludzie pragnący się zabawić

i korzystający niejako z propozycji, którą składa im pewne społeczne zjawisko. Nie mieszają do swej zabawy religii, gdyż byłoby to zwyczajnie nie na miejscu, jednak w podtekście całej kultury techno pośród nakazu tolerancji dla wszelkich odmienności zawiera się także nakaz tolerancji religijnej.

Z kulturą tą wiąże się zatem ciekawy problem. Paradoks polega na tym, że bez przerwy szafuje ona hasłem „nie szufladkuj” i zachowuje przy tym pełną niewinną szczerość, sama jednocześnie stanowiąc obszerną i przepastną szufladę, do której można wrzucić niemal wszystko i – ujednoczyć. Można nadać sobie zwariowany wygląd, który łatwo staje się uniformem oraz jednakowy sposób i kierunek poruszania się za pomocą ogłuszającej muzyki. Czy to jest dobre? Czy też stanowi zagrożenie? A może po prostu raz na jakiś czas jest świetną zabawą, z której częstotliwością nie powinno się przesadzać. W końcu każdy ma swój rozum i wolną wolę, które należy mu pozostawić do pełnej dyspozycji.

Parada Wolności po raz pierwszy odbyła się w Łodzi w 1998 roku. Już wtedy zjechało na nią kilkanaście tysięcy osób w tym także gości spoza zachodniej granicy. I choć łódzka impreza nie była może tak spektakularna jak ta organizowana co roku w Berlinie, na twarzach wszystkich uczestników widać było zadowolenie i uniesienie charakterystyczne dla elektronicznego transu, zwłaszcza gdy przez ulice Piotrkowską przejeżdżały kolorowe, rozhuśtane ciężarówki ze sprzętem muzycznym i najbardziej niekonwencjonalnie ubranymi uczestnikami zabawy. Największy uśmiech u młodych gości z Niemiec wywoływał naturalnie pojazd będący ukłonem w stronę berlińskiej Love Parade czyli platforma miłości – odkryta ciężarówka, na której tańczyły skąpo ubrane i bardzo zmysłowe fanki techno. Na ową platformę mogła również wsiąść każda para pragnąca zademonstrować publicznie swój miłosny afekt w konwencji zabawy.

Ostatnia łódzka parada techno odbyła się dwa lata temu. Przez pięć lat miała się tutaj bardzo dobrze nie tylko dzięki dobrej organizacji i entuzjazmowi młodych ludzi. Był to bowiem także efekt wywierany przez samą specyfikę miasta Łodzi. Zwariowane, pstrokate stroje nadzwyczaj dobrze komponowały się z wszechobecną szarością murów, dopełniając się nawzajem na zasadzie kontrastu. Puste hale i nowo tworzące się kluby w latach dziewięćdziesiątych, sprzyjały popularyzacji techno wśród bywalców różnych imprez. Zaś sama ulica Piotrkowska była doskonała pod względem położenia i architektury do przeprowadzenia dokładnie czegoś takiego jak techno pokaz. Chyba nie ma drugiego miejsca w Polsce tak doskonale nadającego się na muzyczny korowód.

Techno było jak marsz z ziemi zachodniej, przede wszystkim niemieckiej do polskiej, a raczej – do łódzkiej. Marsz jednak dość szybko słabnący. Obecnie bowiem nastąpiło coś w rodzaju generalnego odwrotu i to nie tylko u nas. Jak widać tego typu zjawiska chadzają parami. Kulturowe zgranie, klimatyczna symbioza są na tyle silne, że zakłócenia na końcu linii mogą korelować ze zmianami

u samego źródła. Nie odbędzie się więc również tegoroczna Love Parade. Urzędnicy z Berlina umotywowali swoją decyzję zbyt wysokimi kosztami sprzątnięcia miasta po imprezie. Dziś więc możemy tylko zastanowić się nad społeczno-kulturowym fenomenem jaki przez dobre kilka lat stanowiły przeróżne zloty i spędy fanów techno, a zwłaszcza dwa największe – Parada Miłości i Parada Wolności. Równie interesujące jest też to, jak atmosfery poszczególnych miast kreują takie przedsięwzięcia i co nieświadomie dodają do nich od siebie aż do nieuchronnego wyczerpania pomysłów. Przyglądając się dzisiaj temu, co właśnie zamyka się na kształt pewnego etapu zarówno w niemieckiej, berlińskiej jak i w polskiej, łódzkiej popkulturze można z całą pewnością stwierdzić jedno: jeśli Berlin był mekką miłośników techno, to Łódź ich odnowioną ziemią obiecaną.

*Zuzanna Ogorzewska*  
– studentka psychologii w UŁ.

kultura

# Ścieżka poznania

## *O Niemce, która przyjeżdża do Polski*

Należę do pokolenia, którego budzenie się świadomości w najwcześniejszym dzieciństwie przypadło na mroczny czas okupacji. Świat jawił się jako czarno-biały, a na granicy tych barw tkwiła żółta tabliczka z groźnym napisem: NUR FÜR DEUTSCHE.

Z tego względu niedługo po wojnie, kiedy usłyszałam od ojca słowa: „To jest porządny Niemiec” – poczułam zdziwienie i zachwianie tego naturalnego porządku świata – słowa te odnosiły się do lekarza, który uratował moją matkę od niechybnej śmierci. To było zaledwie dwa lata po wojnie, nazwisko lekarza pamiętam, nazywał się Probst i sądzę, że powinnością Łodzian byłoby ocalić tego człowieka od zapomnienia. Mieszkał na Julianowie, w jednym z domków przy ulicy Skarbowej. Musiał być człowiekiem niezwykle odważnym i zdeterminowanym, skoro zdecydował się na pozostanie w Łodzi w momencie, kiedy ludzie nie byli zdolni kierować się rozumem, a jedynie emocjami. Jego dom znajdował się od mojego w równej odległości do tej, która dzieliła mnie od sławnej fabryki na Radogoszczu. Stosów spalonych ciał już nie było, teren uprzętnięto, ale ten mord tkwił ostro w mojej pamięci i tym bardziej słowa „porządny Niemiec” zdawały się czymś nielogicznym, pojęciami wykluczającymi się wzajemnie.

Życie tak się ułożyło, że nie miałam przez długi czas kontaktu z Niemcami, aż do drugiej połowy lat osiemdziesiątych, kiedy w moim lizbońskim mieszkaniu pojawiła się jako współlokatorka romanistka z Niemiec Zachodnich. Nieoczekiwanie zaprzyjaźniłyśmy się i mogłam obserwować jej stosunek do przeszłości, poczucie winy niezawinionej. Była przecież młodsza ode mnie o całe pokolenie, a wiedziałam, że nie była wyjątek, bowiem sprawy przeszłości zaważyły w społeczeństwie niemieckim na kontaktach pokoleniowych, a nawet rodzinnych. Brat mojej przyjaciółki przygotował pracę dyplomową z psychologii, która traktowała o urazach psychicznych byłych więźniów obozów koncentracyjnych. Dowiedziałam się, że wybór tego tematu doprowadził do ostrego konfliktu ze starszym pokoleniem w rodzinie. Młodzi obwiniali pokolenie ojców o wszystko co się zdarzyło w niechlubnej przeszłości, nie pytając o winy jednostkowe. Kto wówczas żył, już był uznany za winnego, bo wszystko działo się za milczącym przyzwoleniem społecznym – uważali. Rodziny były rozdarte. Pojęłam wówczas jeszcze inny rozmiar niegodziwości, rozległość zbrodni hitlerowskiej wobec własnego społeczeństwa, tej duchowej, wykraczającej daleko poza czas dokonań.

Potem po latach, już w Łodzi, zadzwonił do mnie nieodżałowanej pamięci poeta i redaktor „Tygla Kultury” Zbigniew Dominiak i niemal nakazał przyjść na spotkanie z niemiecką pisarką, która będzie w Domu Kultury Nauczyciela prezentować swoją książkę *Niemka jedzie do Polski* (Wydawnictwo Struktura, Katowice 2000r.). Sugerował, że na pewno znajdziemy wspólny język, że wiele nas łączy. Myślał też o młodszym pokoleniu, które może nie dostrzec ogromu pracy Tiny Stroheker, dokonań wykraczających daleko poza normalną pracę pisarską, wielkiej siły użytej dla przewycięzania nawyków myślowych swojego środowiska, doszukiwania się przyczyn narosłych latami negatywnych stereotypów. Wówczas, nie wiedząc jeszcze o tym wszystkim, poszłam po prostu z ciekawości. Zobaczyłam wysoką blondynkę o sportowej sylwetce, co jeszcze podkreślały krótko, po chłopięcemu ostrzyżone włosy. Wydawała się nieco stremowana, odpowiadała na pytania czytelników, którzy już książkę przeczytali i tych którzy nie czytali, a uważali, że wszystko wiedzą. Rozmawiała poprzez tłumacza, ale widać było, że rozumie polszczyznę. Nie odzywałam się, bo dopiero wzięłam do rąk jej książkę. Potem było mniej formalne spotkanie w redakcji „Tygla”. Tu już mówiła po polsku, robiła bardzo sympatyczne wrażenie osoby bezpośredniej, wrażliwej i bezpretensjonalnej, rozumiejącej nad podziw nie tylko to, o czym się mówiło, ale także pojmującej tę rzeczywistość, w której żyliśmy. Intrygowała swoją polszczyzną. Dopiero lektura jej książki wyjaśniała jej zainteresowania Polską. Jest to dziennik z zapiskami ułożonymi w dwóch częściach. Pierwsza obejmuje czas od 20 lutego do kwietnia 1995 roku pisany głównie w domu w Eislingen, a druga obejmuje czas spędzony w Strzelcach Opolskich na Śląsku od 1 października do 2 listopada 1995. Było to coś w rodzaju stypendium dla pisarki. Dziennik odnosi się do współczesności, a rozrzucone gęsto w tekście retrospekcje z dzieciństwa wynikają z naturalnego prawa skojarzeń. Można je ułożyć chronologicznie i w ten sposób prześledzić budzenie się zainteresowań różnymi ludźmi i powstawanie refleksji nad stereotypami. Oto jedna z najwcześniejszych zarejestrowanych scen wiążących się z pojęciem krajów wschodnich, miejscem jeszcze niezupełnie kojarzonym z Polską, scena ta pokazuje nienawiść dziecięcą wynikającą jedynie z niezrozumiałej inności ludzi i znajduje się pod nagłówkiem *Spotkania* (taki nagłówek posiadają refleksje dotyczące spraw społecznych, a drugi rodzaj uwag dotyczących języka nosi nazwę *Mowy, języki*):

*Wspomnienia z Ulm, z Eselsberg, dzielnicy nowych domów z lat 50. Nie cierpimy Markowitze. Musi ściągać za krzakiem majtki, znęcamy się nad nią rozkazami i spojrzzeniami. Jestem przy tym, stoję drżąca nieco z boku. Markowitze szpetnie wykrzywia usta, wyje, grozi starszym bratem, którego nie ma. Lamentuje w dialekcie, z którego powodu musi cierpieć.(...) Musi cierpieć z powodu końcówki „-itz”. Na „-itz” kończą się nazwiska wszystkich uchodźców, tych ze wschodu. Co to jest „wschód”? Markowitze nie jest przecież z Rosji, gdzie „pozostał” nasz dziadek oficer. Markowitze nie pochodzi z tak daleka. Pochodzi stamtąd, gdzie teraz jest*

*Polska. Ma tylko jedną babcie, nikt z nas jej nie zna. Nie znamy również jej imienia. Przeszkadza nam w tym „-itz”; przeszkadza sposób, w jaki mówi. Nie zadajemy się nią.*

Wydaje się uzupełnieniem tego konfliktu opis rodzinnego miasta:

*Tak, tam mieszkają ludzie. Dwa rzędy szop, wydeptana droga, śmietniki, zaparowane okna. Tu mieszkają ludzie. Gotują. Też chcą coś jeść, jak ludzie. Naprawdę przygotowują sałatę na słodko i mają tylko jedną płytę kuchenną? Na skrzynkach pocztowych, jeśli takie w ogóle są, widzimy nazwiska: Lacia i Klosa, Sogawe i Endrikat. Häfele wydaje się nam normalne. Szybko idziemy dalej. Moją najlepszą przyjaciółką w trzeciej klasie będzie Elke Lorkowski. Końcówka „-ski” brzmi podobnie jak „-itz”. Ale Elke urodziła się już w Niemczech.*

Te dwa przytoczone obrazy zdają się różnić. Widać tu przejście od grupowej, chyba nawet trudno motywowanej nienawiści, do ciągłego jeszcze poczucia obcości wobec przybyszów, ale i zainteresowania, a nawet współczucia. „Czy tam mieszkają ludzie?” Z tego zdania wyczuwa zdziwienie, ale i zgroza. Te schowane przez tak długo w pamięci kadry z miejsc rodzinnych autorki dają do myślenia, mówią o dramatycznym położeniu uchodźców, ludzi siedzących na miedzy pomiędzy polskością a niemieckością. Mogli to być Mazurzy albo Ślązacy u nas uchodźcy za Niemców, wygnani albo tacy, którzy sami dokonali wyboru i znaleźli się w pułapce. Wszędzie byli obcy.

W spisie pierwszych rzeczy znalezionych w lekturach, a związanych z Polską, odnajdujemy jakiś wizerunek powstańca polskiego z 1830 roku, któremu niemieccy studenci zgotowali owację solidaryzując się z jego ideami, tudzież jakąś piękną w naiwności bożonarodzeniową piosnkę kaszubską, a także *Anielkę* Prusa (ta przywędrowała ongiś w paczce z tych drugich Niemiec, do babki pisarki, jakieś kontakty babki ze wschodem musiały istnieć, skoro pochodziła z Prus Wschodnich). Polska więc musiała wydawać się dziewczynie zamieszkałej w okolicach Stuttgartu bardzo odległą, mgławicową. Pamiętajmy, że jej kraj był oddzielony od naszego jeszcze podwójnym kordonem wynikającym z istnienia tzw. Niemiec Demokratycznych. Polska pojawia się w świadomości dopiero, gdy jej pokolenie zaczyna interesować się przeszłością polityczną ojczyzny:

*Odkąd zaczęły się nasze pytania o czasy faszystów, Polska kojarzyła mi się nieomal obowiązkowo z Auschwitzem. Pochłaniałam literaturę o obozach koncentracyjnych. Tym bardziej ten kraj nie mógł stać się dla mnie zrozumiały. Nie widziałam go na własne oczy: nasi rodzice nigdy nie wpadliby na pomysł, żeby pojechać do Polski. Nie było po temu powodów, na przykład krewnych, i panowała zimna wojna. (...) Wtedy usłyszałam plotkę, że babcia, w swoich czasach zagorzała narodowa socjalistka, badając, jak to było wtedy w zwyczaju, swoją genealogię, natknęła się w rodzinie na „polskiego robotnika rolnego”, co wprawiło ją w olbrzymie zakłopotanie.*



Późniejsze głębsze studia nad historią Polski przerodziły się po latach w pewnego rodzaju fascynację. Przyczyniła się do tego z całą pewnością literatura – zachwyty nad poezją Herberta, kontakt z Ficowskim, z którym wymieniała się tomikami poezji, jak i kontakt najpierw z książkami Jacka Bocheńskiego, a potem już osobisty, co zaowocowało jego przedmową do wydania polskiej wersji *Polnisches Journal*. Podziw, nawet zachwyty nad naszą literaturą, jest widoczny z kart książki. Wiele tu cytatów wierszy, wiele mówi się o pysznych przekładach na niemiecki Karla Dedeciusa, którego praca nad popularyzacją polskiej kultury w Niemczech jest podkreślana i doceniana. Pamiętając, że książka była przede wszystkim adresowana do Niemców, obfitość przywoływanych przykładów literackich ukonkretnia obraz polskiej myśli poetyckiej.

Wśród wspomnień tych fascynacji naszym krajem wyróżnia się śmieszący dziś samą autorkę sentymentalizmem pomysł, żeby wziąć ślub z ukończonym w Polsce, w Warszawie. Kiedy nie uzyskują odpowiedzi na swoje pismo od władz polskich, próbują szukać pomocy u żony Willy Brandta. Nic z tego, żeby wziąć ślub w Polsce, jeden ze współmałżonków musi mieć obywatelstwo polskie.

Pierwszy przyjazd do Polski nastąpił w 1977 roku. Obserwując życie w Polsce i dociekliwie starają się otrzymać sprawiedliwą odpowiedź na pytanie co z dziwnych rzeczy w tym kraju jest wynikiem gospodarki socjalistycznej, a co tzw. polskiej gospodarki (to sławne *Polnische Wirtschaft* ongiś często przywoływanej przez babkę w różnych sytuacjach). Jako nauczyciele przyjeżdżają do Polski z uczniami do Oświęcimia, ale także, żeby nawiązać współpracę z polskimi szkołami. Tak zaczyna się przyjaźń z ludźmi w Strzelcach Opolskich. Małżeństwo pomaga im w stanie wojennym. Ze względu na specyfikę Śląska w naturalny sposób stykają się z mieszkańcami polskimi jak i niemieckimi, obserwują narosłe latami konflikty, wzajemne pretensje podnoszone bez cienia chęci zrozumienia strony przeciwnej. To musiały być bardzo wyczerpujące kontakty dla pisarki. Jednak gdy zajmuje się tymi sprawami, to zawsze z intencją łączenia, godzenia zwaśnionych. Czasem daje świadectwo uświadamia nieprzyjemnych spraw rodakom, tym którzy pozostali po wojnie po stronie polskiej i pamiętali jedynie o swoich krzywdach. Ujawnia się to w liście otwartym skierowanym do członków Niemieckiego Koła Przyjaźni w Strzelcach Opolskich w związku ze sposobem odczytywania przez nich, na swój nacjonalistyczny sposób, poezji śląskiej Eichendorffa. Tina Stroheker przestrzega: *My ludzie żyjący pod koniec XX wieku, musimy przede wszystkim obchodzić się ze słowem „niemiecki” inaczej niż Eichendorff i jemu współcześni (którym nawiasem mówiąc, ten śląski pisarz już za życia wydawał się nieco staroświecki; nazywano go mianowicie „ostatnim rycerzem starej gwardii”), a dalej powołuje się na słowa polityka Petera Glotza: Kto w przyszłości nie chce popełniać takich samych błędów, jakie popełniły europejskie narody w przeszłości, musi uznać, że „czystki narodowe” były straszliwie błędną drogą. Odnosi się to zarówno do dążeń germanizacyjnych narodowych*

*socjalistów, ale i do osiągnięcia „czystości etnicznej” przez inne narody. Zjednoczona Europa ma szansę na powstanie wyłącznie wtedy, gdy ludzie nauczą się tolerować etniczną różnorodność oraz komentarz autorki odnoszący się do cytowanych słów: Tak – czy owa różnorodność etniczna nie jest i nie była już od wieków codziennością na takich terenach jak Górny Śląsk, i to przez długi czas wcale nie najgorszą? Z pewnością większość członków Waszych rodzin może coś na ten temat powiedzieć!*

Autorka książki uświadamia, że zwykle dokonujemy wyboru i pozostawiamy na wierzchu pamięci to, co nam odpowiada, chowając na dno sprawy niewygodne czy też nieprzystające do przyjętego światopoglądu.

Wiersze Tiny Stroheker były tłumaczone na język polski. Ukazały się także w łódzkim czasopiśmie „Tygiel Kultury”. Wielokrotnie nagradzano ją jej kraju, a jak sama autorka stwierdza, najbardziej znanym jej wierszem jest ten, który łączy się tematycznie z pasją publicystyczną: sprzeciwem wobec wszelkich przejawów rasizmu, otwartością wobec tego innego.

Kiedyś Markowitz bez imienia była skazana na cierpienie, bo mówiła inaczej. Dziś mowa innych jest wyrazem szacunku i fascynacji, mimo, że kiedyś wydawała się jedynie „kompletnie zagmatwanym gąszczem syczących głosek”.

*Eislingen, sobota, 4 czerwca: Mowy, języki. Dni mają swoją miarę: „Uczyłaś się już dzisiaj polskiego?”, to jest miara. Najpierw formy. Przy biurku, w ogrodzie, czekając na pociąg na dworcu: zawsze powtarzam formy. Codziennie wypowiadam je na głos. Rzeczownik, przymiotnik, niektóre zaimki, liczba pojedyncza, liczba mnoga, siedem przypadków. Potem czasowniki, czasy. Zawsze mam przy sobie tabele.*

Chętnie czytam na głos, przeważnie wiersze, których rytm mnie niesie. Przechytrzam opieszały język językowymi smakołykami.

Jednak już po niecałym miesiącu pod datą 27 czerwca w tym samym dziale *Mowy, języki* mniej radosna reakcja: *Może moja nauka polskiego jest błędem (nawet jeśli sympatycznym)? Wszystko to kosztuje mnie zbyt dużo. Nie tylko te dwie do trzech godzin dziennie, które spędzam na nauce. O wiele więcej. Czasami czuję się na swojej polskiej wyspie prawie obco wśród przyjaciół. Od dawna jestem w tamtym kraju. Nie jestem już wolna z powodu chęci do nauki, ze świadomości obowiązku. „Uczyłaś się już dzisiaj polskiego?” – szczególnie brakuje mi wewnętrznej pustki, z której może powstawać liryka.*

Lekcja języka polskiego ma zatem cenę nienapisanego wiersza. To drogo!

Moja relacja z książki Tiny Stroheker oczywiście nie wyczerpuje tematów poruszanych przez autorkę, jest tu wiele wierszy poetów niemieckich i polskich. Są cytowane poezje Staffa, Iwaszkiewicza, Miłosza, mamy zapisy rozmów z Jackiem Bocheńskim, są liczne wspomnienia dotyczące tłumaczy Dedeciusa i jego centrum studiów nad polszczyzną. Jest wiele odniesień do dawniejszej historii Polski,

do polityki, przecież książka powstała z przeznaczeniem dla czytelnika niemieckiego i musi opowiadać o rzeczach, które dla nas Polaków są oczywiste. Skupiam się natomiast na tym, co nie jest napisane, ale wygląda spoza słów – to osobowość autorki umiejącej patrzeć na ludzi i oceniać ich jedną miarą, odrzucać trudno usuwalne ze świadomości stereotypy i dążyć do pogodzenia wielkiej rodziny ludzkiej. Autorka zauważa także wiele cech ksenofobii wśród Polaków, a jednym z dowodów jest to, że Polska wydaje się jej egzotycznym krajem, niebędącym kolorową mieszanką ludzi, jakimi stały się ostatnio społeczeństwa krajów Europy Zachodniej!

I jeszcze jedna refleksja wracająca do doświadczeń mojego pokolenia: nienawidziliśmy Niemców, co było naturalne i usprawiedliwione po wojnie. Byliśmy w tym solidarni i od nikogo to uczucie nie wymagało odwagi. Myślę, że Tina Stroheker poprzez swoją pracę ukazuje niezwykłość osoby nieulegającej nigdy złudzeniom łatwych uogólnień, jeśli są fałszem. Ta właściwość musiała wymagać i hartu ducha i wielkiej odwagi, a nie było to takie łatwe, jak nasza nienawiść.

Wiele jeszcze dróg pozostało „nieprzejezdnych” pomiędzy naszymi krajami, trzeba zachęcać do podróży w jedną i drugą stronę. Dobrze, że ta Niemka **przyjechała** do Polski. (Pamiętasz Tino: to czasownik dokonany, taki na które narzekałaś, ale jeszcze gorszy, bo należy do czasowników ruchu, których skomplikowanie jest znacznie większe, ale przyjeżdż, wytłumaczę, jeśli jeszcze nie wiesz).

*Magdalena Starzycka*  
– filolog polski, publicystka.

# Wiedeński spleen

*Z Ewą Kają wywiad przeprowadził  
Darek Kędziński*

**Darek Kędziński:** *Jesteś łodzianką?*

**Ewa Kaja:** Urodziłam się w Łodzi, w szpitalu na Bałutach. Chodziłam do Szkoły Baletowej – wtedy przy Teatrze Wielkim – potem do Liceum Plastycznego. Studiowałam na Wydziale Edukacji Wizualnej w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych. Dyplom zrobiłam w pracowni grafiki prof. Tomasza Chojnackiego. W Łodzi spędziłam 25 lat.

*Jakie znaczenie dla Ciebie miały studia w Wiedniu?*

W Wiedniu studiowałam rzeźbę w akademii w klasie profesora Michelangela Pistoletta – to bardzo znany włoski artysta, teraz około 70-letni. Dyplom uzyskałam w 1992 r. Studia u Pistoletta pozwoliły mi pozbyć się łódzkich kompleksów. Wydział Edukacji w PWSST był zawsze kopciuszkim: po pierwsze w osobnym budynku, po drugie kształcono tu przyszłych nauczycieli – wszyscy czuliśmy się trochę „mniej zdolni”. Najbardziej elitarna w szkole była grafika. Nie znaczy to jednak, że miałam złych nauczycieli. Najmilej wspominam Tomasza Chojnackiego, który postawił mnie na nogi jako człowieka i jako artystę. Wyciągał z nas bezwzględnie wszystko i nie tolerował tandety, tzn. kompromisu. Projekt można było powtarzać u niego miesiącami, póki był dobry.

*Wyjechałaś z Polski zaraz po otrzymaniu dyplomu.*

*Miałaś w ręku zawód grafika, a wydaje się, że takie umiejętności dają duże możliwości w sensie artystycznym i praktycznym.*

*Ty jednak zdecydowałaś się na dalsze studia za granicą.*

*Dlaczego?*

W Austrii jestem z prywatnych powodów, moja emigracja nie była planowana. Poszłam na studia, żeby nie być osobą z zewnątrz i mieć taką samą pozycję jak wiedeńska elita. I tak nie bardzo wiedziałam co mam ze sobą i z polskim dyplomem w kieszeni zrobić. Na studiach u Pistoletta prawie nie było Austriaków, za to nieomal wszyscy byli w tej samej sytuacji co ja: wielu nie miało nawet wizy, brakowało forsy, itd. To podobieństwo sytuacji pomogło mi się zaaklimatyzować.

*Przeszłaś przez dwie artystyczne szkoły, ukończyłaś grafikę w łódzkiej i rzeźbę w wiedeńskiej. Na czym polegają różnice, nazwijmy to, pomiędzy szkołą łódzką a wiedeńską?*

Właściwie najbardziej na studiach w Wiedniu brakowało mi tego, do czego byłam przyzwyczajona w Łodzi – intensywnej analizy moich prac przez osobę, której ufam i którą cenię. W Austrii nikt się specjalnie nie przejmował tym co robię, a nawet jeśli, to nie oceniał tego bezpośrednio. Po latach razi mnie parę rzeczy w łódzkiej szkole, szczególnie profesorowie na dożywocie, to że wykładają tam ciągle ci sami ludzie, niezależnie od tego jak się rozwijają ich własne kariery artystyczne. W Łodzi brakuje świeżej krwi, nowoczesnych artystów na międzynarodowym poziomie, otwartych, odważnych, mających własne zdanie. Łódzka szkoła nie stara się specjalnie o interesujące osobowości. Myślę, że wykładowcy boją się konfrontacji z własnym wydumanym wizerunkiem. To, co blokuje postęp, to patologiczne trzymanie się formalnych przeżytków np. wszechobecny kult Strzemińskiego – to źle robi młodym ludziom. Uważam, że powinno się im udostępniać jak najwięcej informacji na temat sztuki współczesnej i nie kontrolować każdej kreski zanim jeszcze zostanie narysowana. W Łodzi uczy się techniki,

kultura



co jest ważne, za to indywidualność każdego studenta nie jest specjalnie rozwijana. Powstają „szkoły”, pracownia tego czy tamtego, gdzie wszyscy robią podobne prace, a profesor tego nie widzi. Asystenci robią to samo, co profesorowie, a profesorowie już od lat niczego nie robią, bo sztuka na pół etatu tak naprawdę nie istnieje. Każdy kto się wyróżnia, jest bojkotowany, ignorowany lub intensywnie formowany.

*Przypomnijmy, że studiowałaś w łódzkiej PWSSP na przełomie lat 80. i 90. Jednak szłaś do tej szkoły z określonymi nadziejami.*

Studiowanie w Łodzi było bardzo przyjemne, byliśmy młodzi, z nadziejami na przyszłość. Nikt mi nie powiedział ani w jednej, ani w drugiej szkole, że inni artyści to zazdrośni konkurenci, że tak na dobrą sprawę nikogo nie obchodzi to, co robię, że ciągle będę musiała wybierać między stabilizacją a własnym zdaniem i pewnie nigdy nie będę sławna i bogata. Tak naprawdę tylko około dwóch procent wszystkich artystów może żyć ze sztuki. W Łodzi produkuje się rocznie około setki absolwentów, z których każdy sam musi po studiach znaleźć własny sposób na przeżycie. W Austrii możesz dłużej ludzić się, że jesteś artystą, bo to bogatsze państwo i jest parę instytucji, które ci pozwolą parę lat funkcjonować. Uważam, że to dziwny zawód, którego nikt nie potrzebuje, bo czy można uczyć bycia artystą?

*Na pewno znasz dokonania ludzi, z którymi studiowałaś w PWSSP. Jak w tym porównaniu wypada Twoja pozycja jako artystki?*

Znam to, co robią moi koledzy i koleżanki i wcale nie uważam, że to, co ja robię, jest lepsze. Raczej wszyscy jesteśmy zawieszani w próżni i od czasu do czasu komuś uda się coś zrobić. Trochę świeżego powietrza by im w Łodzi nie zaszkodziło, bo tam, jak wszędzie, są kliki artystyczne – w Łodzi złożone głównie z facetów. Jeżeli chodzi o ludzi z mojego roku to może trzy osoby „robią sztukę”, a szkołę skończyło około dwudziestu pięciu. W Austrii jest lepiej, z mojego rocznika ponad połowa jest dalej na rynku.

*Odwiedzasz Łódź, widzisz zmiany, które tu zachodzą. Czy jest to daleka europejska kulturalna prowincja? Czy może czuje się tu specyficzny klimat, o którym niektórzy mówią? Jaka jest Twoja ocena?*

Łódzki specyficzny klimat polega na dużej ilości wypijanej wódki. Trudno powiedzieć czy to kulturalna prowincja, na pewno nie jest to Nowy Jork. Raczej Austria jest kulturalną prowincją, lekko ksenofobiczną. Zachodzących zmian specjalnie nie czuję, raczej trochę na gorsze, bo ludzie więcej muszą zasuwać. Myślę, że dużo



artystów z tzw. „zachodu” chętnie widziałoby Polskę jako kulturalną prowincję, żeby lepiej się poczuć jako pępek świata. Przecież tak naprawdę miejsce, w którym się żyje w żaden sposób nie wpływa na jakość twórczości artystycznej, po prostu trudniej być artystą przymierając głodem w Afryce. Mój problem polega na tym, że funkcjonuję pomiędzy dwoma krajami i nie należę do sceny polskiej ani do warszawki, ani do Łodzi. W Austrii też jestem sama z tym co robię, czasami uda mi się to pokazać w lepszym albo gorszym miejscu, nie wiem czy to można nazwać karierą. Cały mój sukces polega na tym, że nie pracuję tu, jak wiele Polek, jako sprzątaczką, tylko próbuję robić swoje rzeczy.

*Czy możesz stwierdzić, że istnieje – nazwijmy to – „wiedeńska artystyczna Polonia”?*

Polonia austriacka nie jest awangardowa, to emigranci z lat 80., wszyscy po pięćdziesiątce, nie ma o czym mówić.

*Masz dużo wystaw, szczególnie w Austrii. Jakie znaczenie dla odbiorców może mieć fakt, że są to wystawy artystki pochodzącej z Polski?*

Szczerze mówiąc trudno mi powiedzieć jakie znaczenie moja narodowość ma dla odbiorców, czasami mam wrażenie, że mój język artystyczny jest bardziej zrozumiały dla Polaków. Za mało miałam wystaw w Polsce, żeby dokładnie odpowiedzieć na to pytanie.

*Czy można powiedzieć, że Polska sztuka w Austrii jest modna?*

Możliwe, że zacznie się moda na sztukę polską albo chociaż z czasem nastąpi równouprawnienie sztuk. Ja osobiście mam trudności z wrzucaniem ludzi i ich indywidualnych prac do jednego worka np. sztuka polska, sztuka kobiet, sztuka gejów, itd. Oczywiście są tzw. modne państwa, parę lat temu Rosja, przez chwilę Jugosławia. Kiedy Polska zacznie być w modzie, na pewno parę osób okaże się wybitnymi artystami, co jest też między innymi kwestią kontaktów.

*Czy Austria daje większą swobodę w kreowaniu własnych wizji artystycznych?*

Tutaj wolność artystyczna jest tak szeroko pojęta, że ludzie boją się mieć swoją własną opinię na temat konkretnego dzieła, żeby nie być posądzonym o zazdrość lub brak kompetencji. Zresztą tyle się różnych rzeczy dzieje we wszystkich możliwych kierunkach, że trudno wszystko analizować.

*Mieszkasz w Austrii i tam spełniasz się artystycznie.  
Czy mieszkając w Łodzi nie miałabyś tych możliwości?  
Z czego czerpiesz inspirację?*

To trudne pytanie, bo to, co przeżywam, ma wpływ na to, co robię. Naturalnie inspirują mnie ludzie, sytuacje. Prawdopodobnie gdybym została w Polsce miałabym mniejszy dystans do tego, czego nauczyli mnie w szkole łódzkiej, tutaj jestem trochę jak na wyspie. Moje prace ilustrują tematy, które w danym momencie mnie poruszają. Przez dłuższy czas np. śmierć, resztki, ślady. Ostatnio zastanawiam się nad stosunkami rodzic-dziecko, miłość i władza, co też wynika z mojej bieżącej sytuacji. Nie trzymam się jednej techniki, nie wstaję rano z myślą, żeby namalować obraz, to raczej tematy podsuwają mi rozwiązania techniczne. Ogólnie wolę nie omawiać zbyt intensywnie tego, co robię, bo jak zaczynam o tym mówić to wszystko wydaje mi się przerażająco banalne.

Miałam taki moment, który trwał dwa lata, gdy przestałam absolutnie wierzyć w sens robienia sztuki. Potem powoli do niej wróciłam, dlatego że traktuję to, co robię, jako moją wolność, której sama sobie udzielam, robię to, co chcę, bez wpływu z zewnątrz. To jest mój komentarz, mój sposób widzenia świata, niezależny od innych.

*Czy jest może coś ważnego, co chciałabyś powiedzieć na koniec?*

Coś ważnego na koniec – cytat, nie wiem czyj, *don't cry, work!*  
Z czasem ważniejsze się staje nie to, co się robi, tylko że dalej coś robisz.



# historia

## **Zło niekończące**

*Poza obiektywnym punktem widzenia*

Marek Budziarek

str. 97

## **Wyrwane korzenie**

*Bilans niezawinionych krzywd*

Joanna Podolska

str. 102

## **Tory, które wiodły do końca**

*Krótką historią Kolei Scheiblerowskiej*

Mariusz Z. Szczepaniak

str. 110

## **Die Linien des Lebens**

*Codziennosc w rezydencji nad Jasieniem*

Małgorzata Wysocka

str. 118

## **Pierwsze gimnazjum niemieckie w Łodzi**

*Nauczyciele i uczniowie*

Andrzej Kempa

str. 126

## **Pionierzy Teofilowa**

*Cmentarz bez pamięci*

Mateusz Sidor

str. 132



**Bractwo kurkowe 1824–1939**

*Lodzer Bürger Schützengilde*

Mirosław Jaskulski

str. 137

**Stuttgart – samo sedno Europy**

*Partner solidny jak mercedes*

Katarzyna Juszczyk

str. 146

**Chemnitz – miasto otwarte**

*Na wschód od Łaby*

Michał Wawszczak

str. 150

**Wśród sukienników i tkaczy**

*Konstantynów „Berlinkiem” zwany*

Monika Pietras

str. 153

# Zło niekonieczne

## Poza obiektywnym punktem widzenia

Zjednoczone po 1989 roku Niemcy chcą dokonać pojednania z własną historią. Po okresie powojennego podziału terytorialnego, kiedy funkcjonowały dwa różne odniesienia do najnowszej historii współczesne społeczeństwo niemieckie zmierza do odsłonięcia tego, co do tej pory było ukryte lub pokornie było przemilczane. Chcą wydobyć z zapomnienia te fragmenty swych narodowych dziejów, które pozwolą zrozumieć ich miejsce w Europie, zwłaszcza Europie zjednoczonej. Ale w procesie tworzenia zintegrowanej świadomości narodowej zaczynają posługiwać się faktami specyficznymi interpretowanymi. W tym dziele zaczynają się posługiwać niedomówieniami lub też zwykłym fałszowaniem historii. Nie inaczej należy ocenić akcję zmierzającą do powstania Centrum Przeciwko Wypędzeniom.

Po 1980 roku, a zwłaszcza po zmianie systemu politycznego panującego w Rzeczypospolitej Polsce, także Polacy pragną na nowo spojrzeć w swą nie tak odległą przeszłość. Odrzucić propagandowe naleciałości, przeanalizować pomijane fakty będące integralną częścią narodowej historii, stworzyć nowoczesną polską świadomość narodową odwołującą się do najszlachetniejszych, ale prawdziwych faktów i zjawisk. W działaniach tych żywo reagujemy na pomysły niektórych kręgów społeczeństwa w ocenie zjawisk jakie miały miejsce w ostatnich latach II wojny światowej, jak również tuż po jej zakończeniu. Jednakże polskie reakcje na niemiecki pomysł stworzenia ośrodka rejestrującego i prezentującego „wysiedlenia” Niemców mają charakter nad wyraz alergiczny i bardzo wrywkowy. Na działania te odpowiadamy natychmiast i ostro, zapominając, że głównych ich adresatem (choć nie wymienianym przez stronę niemiecką) jest ZSRR. Wysuwamy argumenty natury bardziej dyplomatycznej (akty zwycięskich mocarstw co do kształtu Europy środkowo-wschodniej) niż historycznej. Pozwalamy podciągać pod wspólny mianownik ewakuację administracyjną, ucieczkę przed wrogiem, przymusowe wypędzenia z rodzinnych stron. Ograniczamy dość często zakres tego zagadnienia do dawnych wschodnich kresów III Rzeszy, przemilczając wywózki Niemców z Górnego Śląska i Polski centralnej. W tej ostatniej przede wszystkim z Łodzi.

### Historia Niemców łódzkich

może nie jest zbyt długa, ale jest charakterystyczna dla nowo tworzących się wielkich ośrodków przemysłowych. Przybysze z krajów niemieckich stworzyli Łódź fabryczną, przez długi czas stanowili jej *establishment* społeczny, stanowili istotny element

miejscowej kultury, stopniowo polonizowali się, zapisując swoją obecność w narodowych dziejach złotymi zgłoskami. Kres tym procesom położyła II wojna światowa i okupacja hitlerowska. Nazizm wymuszał na łódzkich Niemcach jednoznaczne deklaracje narodowe i polityczne. Tylko nieliczni wytrzymali te naciski, większość pozostała bierna i dała się ponieść ideologii hitlerowskiej. Co więcej, została zdominowana przez kolejną migrację niemiecką ze Starej Rzeszy i krajów nadbałtyckich, która miała stworzyć podstawy miejscowej administracji okupacyjnej. A ta, pomiędzy 1939 a 1945 rokiem, wcielała w życie narodowosocjalistyczne koncepcje tworzenia nowego ładu. Nie kto inny jak obywatele III Rzeszy stosowali pośrednią i bezpośrednią eksterminację narodu polskiego i żydowskiego. Zamienili Łódź w doświadczalne poletko polityki ekonomicznej, kulturalnej, kościelnej. Chcieli mieć nie Łódź tylko Litzmannstadt, gdzie społeczność żydowska została fizycznie wyeliminowana, a Polacy mieli stanowić element kolonialnego wyzysku. Symbolem zbrodniczych działań nazistów stało się spalenie tysiąca pięciuset Polaków w więzieniu na Radoszcu w przeddzień zakończenia okupacji.

Czy jednak należało odpowiadać złem za zło? To pytanie coraz częściej jest stawiane w kontekście pierwszych lat powojennych i losów miejscowej ludności niemieckiej, której przypisano wszelkie zło dokonane przez nazistów. Ślepa sprawiedliwość dotknęła bez mała wszystkich Niemców łódzkich, bez względu na ich rolę i funkcję podczas okupacji hitlerowskiej. A trzeba pamiętać, że po styczniu 1945 roku w mieście pozostali praktycznie rodowici łodzianie w wielu wypadkach niewiele mających wspólnego z nazistowską polityką eksterminacyjną. Ten, kto miał uciec uczynił to znacznie wcześniej.

### **Masowa ewakuacja ludności niemieckiej**

z Łodzi rozpoczęła się już jesienią 1944 roku. Ucieczka nazistowskich aktywistów partyjnych i funkcjonariuszy władz III Rzeszy była czymś zupełnie naturalnym. Natomiast rodowity łódzki Niemiec jeśli uciekał z miasta, to czynił to nie dlatego, że uważał się za Niemca, lub czuł się związany z państwem niemieckim, ale czynił to z powodu wszechogarniającego strachu przed Sowiecami. W mieście zostawiał wszystko co posiadał, także wspomnienia z dzieciństwa oraz groby ojców i dziadów, którzy przybyli wiek wcześniej nad Łódkę zwabieni mirażami „ziemi obiecanej”.

Akcję ewakuacyjną przygotowywały i organizowały miejscowe władze hitlerowskie i objęły nią w pierwszej kolejności przybyszów ze Starej Rzeszy, przesiedleńców z krajów nadbałtyckich i znamienitszych obywateli niemieckich. W początkach stycznia 1945 roku akcję tę planowano kontynuować, jednakże szybkość ofensywy sowieckiej całkowicie ją zdeorganizowała. Z tych też powodów ok. 35 tysięcy Niemców było w Łodzi, kiedy 19 stycznia 1945 roku pojawiły się na ulicach miasta czołgi radzieckie. Na miejscu pozostali w przeważającej większości kobiety, dzieci i starcy.

Po zakończeniu okupacji nazistowskiej stosunek Łodzian do pozostałych w mieście Niemców był niejednorodny. O ile zdarzały się sytuacje brania w obronę niektórych znanych Łodzian (by wspomnieć choćby strajk pracowników zakładów Geyera z powodu uwięzienia właściciela fabryki i jego dwóch córek, czy „list żelazny” dla Bruno Biedermanna), to jednak widoczne były akty rewanzu. Miejscowy „Express Ilustrowany” pod hasłem „Ani jednego Niemca na ziemi polskiej!”, nawoływał do wydawania ukrywających się osób narodowości niemieckiej. Akcja zapewne musiała nie przynosić odpowiednich rezultatów, jako że ostrzegano przed grożącymi za opieszałość karami. A warunki bytowania ok. 35 tys. Niemców w Łodzi powojennej dalekie były od normalności.

Nastawienie Łodzian wobec miejscowych Niemców nie było jednolite. Oczywiście pierwsze dni po wkroczeniu Sowietów do miasta naznaczone były mordem dokonany przez uciekających hitlerowców na Radogoszczu. Jednak z biegiem czasu, a zwłaszcza po zakończeniu działań wojennych, odwetowe nastroje zaczęły przygasać. Podosycały je jednak artykuły w lokalnej prasie, a także działania lokalnej administracji. Niemców stopniowo pozbawiać zaczęto kierowniczych stanowisk w miejscowym przemyśle. Przesiedlano ich do mieszkań o znacznie niższym standardzie niż te, które uprzednio zajmowali. W urzędowej dokumentacji termin „Niemiec” i jego odpowiedniki pisano małą literą „n”. Wprowadzono administracyjny nakaz pracy.

Zakłady przemysłowe, pałace fabrykanckie, wille i kamienice należące do łódzkich Niemców jako „dobra poniemieckie” przejął skarb państwa. Posługując się prostą zbitką pojęciową „Polak – katolik, Niemiec – protestant”, protestantom zabrano kilka obiektów sakralnych i przekazano je katolikom, zaś obiekty użyteczności publicznej przejął skarb państwa. Luterańskie zbory: Świętej Trójcy na Placu Wolności przekazano parafii garnizonowej, a św. Jana przy ul. Sienkiewicza przejęli jezuici. Zbór baptystów przy ul. Rzgowskiej oddano do dyspozycji franciszkanów konwentualnych, zaś w znanym zborze przy ul. Nawrot Milicja Obywatelska urządziła kino. Luterański przytułek dla starców Res Sacra Miser przy ul. Narutowicza zamieniono na Collegium Anatomicum, a państwowa służba zdrowia przejęła szpital przy ul. Północnej, prowadzony przez luterańskie diakonise, a także szpital „Betlejem” należący do baptystów.



Z kolei drukarnię baptystycznego wydawnictwa „Kompas” zamieniono na Drukarnię Wojskową. (Notabene kwestie prawne dotyczące tych nieruchomości uregulowano dopiero po 1989 roku).

Obóz na Sikawie, od lata 1945 roku podległy Departamentowi Więziennictwa i Obozów Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, zaliczany był do trzech największych obozów dla Niemców w Polsce centralnej. Przechowywano w nim jednorazowo ok. 2 tysięcy osób. Komendantura i załoga obozu, sposób ich zachowania się i traktowania przetrzymywanych w nich Niemców, warunki bytowe, sanitarne i aprowizacyjne pozostawiały wiele do życzenia, często były katastrofalne i karygodne. Na Sikawie wyżywienie było fatalne. Jeśli wierzyć oficjalnym sprawozdaniom w obozie pomiędzy czerwcem a październikiem 1945 roku zmarło 161 osób. Tymczasem tylko w listopadzie 1945 roku aż 188 więźniów zmarło w wyniku panującej tam epidemii. Według zestawień ostatnio opracowanych na Sikawie zmarło 1078 internowanych.

Przez obóz musieli przejść wszyscy Niemcy zakwalifikowani do przymusowego wyjazdu z Polski, a rozporządzenie Ministerstwa Administracji Publicznej z 14 grudnia 1945 roku było podstawą prawną do przeprowadzania systematycznych wywozek Niemców. W styczniu następnego roku odjechał z Sikawy do Niemiec pierwszy transport łodzian pochodzenia niemieckiego, ale „część internowanych nie wyrażała zbytnej chęci opuszczania kraju” – odnotowano w raporcie Wydziału Zdrowia Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. W transportach liczących około tysiąca osób wysyłano przede wszystkim tzw. „element słaby” (tj. kobiety, starców i dzieci). Pozostali przetrzymywani byli w obozie, gdyż powszechnie wykorzystywano ich jako przymusową siłę roboczą.

Równocześnie prowadzono akcję rehabilitacyjną Niemców, którzy podpisali Volkslistę, choć lokalne władze bardziej sprzyjały jak najszybszemu „usunięciu niewygodnego elementu”. W marcu 1947 roku rozpoczęto akcję pozbawiania obywatelstwa, którą objęto kilka tysięcy osób. Efektem procedury pozbawiania obywatelstwa, jak również procesu wysiedlania, było odesłanie do punktów zbornych na Śląsku 6500 Niemców łódzkich. Wywózki trwały do końca 1950 roku, a ostatnie transporty kierowano już do Niemieckiej Republiki Demokratycznej poprzez punkty



zborne w Gdyni, Nakle, Psim Polu i Głubczycach. Były przyzwoicie zorganizowane, zwalnianych z pracy wcześniej zawiadamiano, regulowano świadczenia pieniężne, pozwalano zabierać przedmioty osobistego użytku i „rzeczy niezbędnych do urzędzenia się w miejscu osiedlenia”, podstawiano wagony osobowe. Samą akcją określano „repatriacją”, a dawnymi łódzkimi Niemcami (pisanymi już dużą literą) opiekował się Główny Delegat do Spraw Repatriacji Ludności Obcej.

W styczniu 1951 roku w Łodzi nie było już Niemców. Oczywiście można powiedzieć, że

### **Niemcy Niemcom zgotowali ten los.**

Rozpętana przez III Rzeszę II wojna światowa pociągnęła za sobą ogromne ofiary. Wśród nich są miliony Niemców. Miliony także doznały cierpienia po jej zakończeniu. „Wypędzenia” były elementem tychże cierpienia. Ale nie my jesteśmy temu winni. Czy jednak przestał istnieć problem Niemców wysiedlonych z ziem polskich? Czy kara, jaka spotkała Łódzian niemieckiego pochodzenia, była konsekwencją ich postaw w czasie wojny i okupacji? Nie chcę stawiać na tej samej płaszczyźnie ofiar oraz oprawców z czasów okupacji hitlerowskiej i prześladowanych przez administrację polską po zakończeniu wojny. Ale czy rzeczywiście należało złem odpłacać za wyrządzone zło? I czy należało stosować zasadę odpowiedzialności zbiorowej?

Słusznie uważają ci spośród Niemców, którzy chcąc budować przyszłość, pragną rozliczyć się z przeszłością. Uzasadnione jest także ich wołanie o pamięć tych, którzy ucierpieli na skutek „wysiedleń” w 1945 roku i latach późniejszych. Natomiast nie można zgodzić się z wybiórczym traktowaniem tych zagadnień. Skutki nie mogą przesłaniać przyczyn. Jednak w dziele wznoszenia nowego porozumienia Niemcy i Polacy muszą dokonać obustronnej oceny historii. Z tym, że widząc braki u innych, my sami musimy dostrzec swoje. My sami musimy rozliczyć się z przeszłością i zlikwidować polskie białe plamy okresu powojennego. Nawet wówczas kiedy przeszłość jest bolesna.

Kształtując rozumnie stosunki z naszymi zachodnimi sąsiadami musimy wzajemnie rozliczyć się z naszej narodowej przeszłości. Jest to trudne zadanie, tak trudne, jak ekshumacja ciał zmarłych w obozie na Sikawie, która przypomniana na początku lat 90. ubiegłego wieku, po dziś dzień nie doczekała się realizacji. Domagając się wybaczenia, trzeba też samemu umieć i chcieć wybaczyć. A to wymaga rzetelnego ocenienia tego wszystkiego, co było dawniej. Oczekując od strony niemieckiej uczciwej oceny wydarzeń z lat 1939–1945, sami musimy rozliczyć się z okresu powojennego. Także z tragicznych „wysiedleń” Niemców łódzkich.

*Marek Budziarek*

*– doktor teologii, historyk, publicysta;  
kustosz Muzeum Historii Miasta Łodzi.*

# Wyrwane korzenie

## *Bilans niezawinionych krzywd*

Gertrudę Stemarski spotkałam w Stuttgarcie na wernisażu wystawy o łódzkich Niemcach. Wysoka, szczupła, trudno było określić jej wiek. Czy w ogóle ma jakieś związki z Łodzią? Na moje pytanie zadane po polsku odpowiedziała płynną polszczyzną. Te kilka zdań, które zamieniłyśmy, przekonały mnie, że jej historia warta jest opowiedzenia. Umówiłyśmy się kilka dni później w tym samym miejscu, w stuttgardzkim ratuszu.

*– Nie mogłam pani zaprosić do siebie, bo mieszkam w domu opieki społecznej – powiedziała, gdyśmy się spotkały. – Wiem, że dla Polaków to brzmi okropnie. To u was prawdziwa klęska, jak ktoś na starość trafia w takie miejsce. Ale ja nie mam dzieci, brat mieszka daleko, a ja nie chciałam być dla nikogo ciężarem – mówi. To bardzo miły dom – dodaje. Tak ułożyło jej się życie.*

### **Z domu nazywam się Pfau –**

co po polsku to znaczy paw. Choć przed wojną prawie wszyscy w Łodzi dobrze mówili po niemiecku i tak zwykle źle pisano moje nazwisko.

Mój ojciec był Szwabem. W Polsce to słowo źle się kojarzy, ale jego pradziadkowie pochodzili po prostu ze Szwabii, a konkretnie ze Szwarcwaldu. Matka była z Saksonii, ale niewiele o niej wiem. Nazywała się Emma Świderek. Jej przodkowie byli Słowianami. W niektórych miejscach w Saksonii nadal mówi się językiem łużyckim, to coś pomiędzy czeskim a polskim. Ulice zawsze były tam pisane w dwóch językach, nawet za Hitlera. To stamtąd pochodzi nazwisko Świderek. Pradziadkowie matki na początku XIX wieku osiedlili się we wsi Żabieniec pod Łodzią. Babcia opowiadała mi, że jak była mała i szła do Łodzi na rynek, to mijala same puste pola. Nie było jeszcze ani Bałut, ani Julianowa. W okolicznych wsiach mieszkali wtedy sami Niemcy. Były niemieckie szkoły, niemieckie kościoły, niemieckie sklepy. Przez długie lata Niemcy w ogóle nie uczyli się polskiego. Nie potrzebowali. Babka, choć już urodzona w okolicach Łodzi, nie mówiła słowa po polsku.

Mój ojciec, Mateusz Pfau, urodził się w 1894 roku w Jeziorku, w okolicach Kuluszek. Na te tereny dotarli jego przodkowie po wojnie napoleońskiej. Prababcia była Francuzką. Ojciec uczył się w gimnazjum w Piotrkowie. Znał świetnie rosyjski, mówił bardzo dobrze po polsku. Po I wojnie światowej poznał moją mamę i przeprowadził się pod Łódź. W domu rozmawialiśmy po niemiecku. Matka znała polski słabo, choć wszystko rozumiała. Musiała się jakoś porozumiewać z polskimi



pracownikami. Na zakupy chodziło się do Łodzi. Tam było pełno Żydów, którzy mówili w jidisz. My ich rozumieliśmy i oni nas. Wielu Żydów znało też niemiecki. Ja urodziłam się 26 marca 1928 roku we wsi Żabieniec.

### **Mieliśmy sporo ziemi,**

las, dwa stawy, własny torf do ogrzewania oranżerii, ale byliśmy chłopami. Pracowaliśmy na 20 morgach. Przez naszą ziemię płynęła rzeka. Nie pamiętam jak się nazywała. Była brudna, ale i tak się w niej kąpaliśmy. W stawach były karpie.

Ojciec hodował kwiaty, owoce, jarzyny. Jako dziewczynka musiałam pracować i pomagać starszym. Tak nas wychowywano. Każdy miał coś do zrobienia w domu. Pikowałam begonie piórkami od gęsi.

Prawie codziennie przychodzili do nas różni handlarze i kupowali jarzyny, ogórki. Pamiętam, że nieraz nas okradano. Parę psów nam potruili, żeby coś ukraść! Między cegielnią w Żabieńcu a Bałutami stała fabryka gumy, tam produkowano kalosze. W tamtej okolicy mieszkowało dużo takich asocjalnych ludzi, złodziei i bandziorów. Oni wszystko kradli i kwiaty, i warzywa, i torf. Co popadło.

Siostra ojca miała trzech synów. Kiedy jej mąż umarł, mój ojciec powiedział, że jak chcą się zająć ogrodnictwem to ich wszystkiego nauczy. I powstało wspólne duże gospodarstwo na Orlej. To była ulica na Żabieńcu. Mieliśmy dom przy Szkolnej 3, ciocia – przy Szkolnej 5. Tam nie było kanalizacji, światła ani telefonu. Studnia była w podwórku. Ale to były porządne domy. W latach 30. – jak był wielki kryzys – to ludzie parcelowali ziemię na działki. Ojciec też sprzedał kilka działek na Orlej Polakom. Miał dużo długów, bo siostrzeńcy przegrali w karty sporo pieniędzy, a on musiał je spłacać.

Zaraz po I wojnie ojciec zajmował się handlem. Często podróżował na trasie Warszawa – Kuluszki. Świetnie sobie radził, miał nawet dom na warszawskiej Pradze, gdzie było sześćdziesięciu trzech lokatorów. Potem sprzedał ten dom i kupił gospodarstwo w Jeziorku. Wśród swoich znajomych miał wielu Żydów. Odwiedzał ich, oni do nas zaglądali. Był zapraszany na wesela żydowskie. Kiedy przyszedł kryzys na początku lat 30. to niemal z dnia na dzień wszystko stracił i musiał zaczynać od początku. Wtedy Żydzi pożyczili mu pieniądze. Przypominam sobie, że przychodzili do nas panowie Silberberg i Klein. Wiem, że ojciec spłacał im pożyczkę nawet jak już byli w getcie. Żydzi nosili najpierw żółtą opaskę, a potem gwiazdę. Pamiętam, że Klein przyszedł do nas kiedyś już z opaską na rękę i ojciec mu dawał pieniądze. Widziałam jak powstawało getto. Sama o mało nie zostałam tam zamknięta jak stawiali płot.

### **Niedaleko naszego domu**

w Żabieńcu stał budynek szkoły. To była szkoła niemiecka, ale w czasach, kiedy ja tam chodziłam, uczyły się w niej również dzieci polskie. Niedaleko była ulica św. Teresy, gdzie były domy Polaków. Ta okolica należała kiedyś do Ernsta Langa. On

sprzedał działki Polakom. Obok była ulica Brukowa, ziemia Arnoldów i ich stawy. Pamiętam, że kierownikiem naszej szkoły był pan Rymkiewicz. Pochodził gdzieś z Prus Wschodnich. Jego wnuk jest podobno teraz biskupem ewangelickim na Mazurach.

Pamiętam różne rzeczy ze szkoły, na przykład, że za karę kłęczą-  
łam na grochu i dostawałam po łapach linijką. Że niemieckiego uczyła Wiesia Plesińska. Że religia była oddzielna dla ewangelików i katolików. Jakieś 300 metrów od szkoły był cmentarz ewangelicki. Tam została pochowana po wojnie moja matka. Słyszałam, że już nie ma tego cmentarza. Nie mam więc już tam rodzinnych grobów.

Przed wojną żyliśmy z Polakami w wielkiej zgodzie. Nie przypominam sobie żadnej dyskryminacji, nie mam żadnych złych wspomnień z tamtego okresu. Może dlatego, że żyliśmy na wsi i wśród sąsiadów nie było większych konfliktów. Polacy przychodzili do nas w odwiedziny, pracowali u nas. Mieliśmy zameldowanych siedemnastu pracowników polskich na stałe, a jak było kopanie ziemniaków czy żniwa, to jeszcze więcej przychodziło pomagać.

#### **Łódź poznałam dopiero w roku 1941,**

bo wcześniej mieszkałam na wsi. Moje ulubione miejsca to Helenówek i park Poniatowskiego. Zawsze lubiłam też z koleżankami chodzić wzdłuż toru kolejowego na Żabieniec i machać do przejeżdżających pociągów.

W czasie wojny chodziłam do szkoły średniej na Wólczańskiej, niedaleko Andrzeja. To była szkoła powszechna niemiecka. Wtedy polskie dzieci nie mogły się uczyć, w klasie były same Niemki. Jedna była katoliczką, reszta ewangeliczki. W Polsce mówiło się wtedy: co Polak to katolik, co Niemiec – ewangelik, ale w Łodzi było też sporo niemieckich katolików. Pamiętam, że często chodziłyśmy na spacery ulicą Piotrkowską. Naprzeciwko Grand Hotelu było lodowisko. Chodziłyśmy do kina. Kartki były na chleb, ale zawsze można było dostać zamiast chleba ciastko. Tramwaj przejeżdżał przez plac Wolności. Pierwszy wagon był tylko dla Niemców. Mnie to oburzało, ale była wojna. W dyktaturze pewne rzeczy przyjmuje się bez słowa. Czasami ze szkoły wracałam na Żabieniec pieszo, a można było iść różnymi drogami do mojego domu. Nieraz przechodziłam obok getta. Nie wiedziałam, co tam się dzieje, bo skąd. W szkole dostałyśmy mundurki, miałyśmy też sportowe ubranie. Było mnóstwo zabaw, imprez, gdzie śpiewało się hitlerowskie piosenki i różne ludowe niemieckie pieśni. Wyjeżdżało się na obozy. Oczywiście była wojna i o tym się pamiętało cały czas. Na froncie byli nasi bracia, ojcowie, sąsiedzi. Wszyscy słuchali wiadomości z niepokojem. Nie muszę mówić, że woleliśmy, jak Niemcy wygrywali. To chyba naturalne. Ale od Stalingradu wszystko się odwróciło. Problemy były coraz większe. Zaczęliśmy szyć plecaki, gdyby trzeba było uciekać. Coraz więcej rzeczy było na kartki, nawet podpaski i mydło. U nas w domu i tak nie było najgorzej. Mieliśmy swoje mleko i jarzyny, mąkę, ziemniaki, chleb. Za mleko dostawaliśmy masło. Inni mieli dużo gorzej. Polacy mieli gorsze kartki od naszych.

W szkole miałyśmy za zadanie odwiedzać rannych żołnierzy. Cerowałyśmy im skarpety albo robiłyśmy na drutach szaliki. Byłyśmy w to wszystko zaangażowane. Z każdej rodziny był przecież ktoś na froncie.

Najgorszy był los tych, co nie byli stuprocentowymi Niemcami. Oni chcieli udowodnić swoją wierność wobec Rzeszy. Wśród nas tego nie było. Na Żabieńcu prawie wszyscy byli Niemcami i zawsze trzymali się swojej narodowości, choć byli obywatelami polskimi.

Na Piramowicza miałam ciocię. Jej mąż Koss Gotlib był przed wojną komendantem straży pożarnej. To była zupełnie spolonizowana rodzina. Ich córki chodziły przed wojną do polskiego gimnazjum. Ale jak weszli hitlerowcy, stali się Niemcami. W 1944 roku wujek wyjechał na front. Wrócił do Polski w lecie 45 roku, bo jego córka spodziewała się dziecka. Ale Polacy nie chcieli zrozumieć jego tłumaczenia. Wzięli go do więzienia na ulicy Kopernika i tam został zabity. Mimo tego jego żona do końca życia mieszkała w Łodzi.

#### Tylko Niemcy z Reichu

zdążyli wyjechać przed wejściem Rosjan. Wiedzieli, co się dzieje i udało im się opuścić Łódź na czas z całym dobytkiem. Na Julianowie domy po Niemcach zostały puste. Nas nikt nie ostrzegł, że front jest tak blisko. To było kompletne zaskoczenie. Nie zdążyliśmy uciec, choć mieliśmy cztery konie i dałoby się wiele uratować. Wszystko jednak działo się za szybko. Miałam wyjechać z Arnoldami, Niemcami z sąsiedztwa. Oni załadowali dobytek i mogli mnie zabrać, ale chciałam zostać z rodzicami. Nie mam pojęcia, czy oni się przedostali, czy przeżyli. Były straszne jatki na drogach, zginęło mnóstwo ludzi. Z wszystkich stron parli już Rosjanie. Nikt nie wiedział, którądy uciekać. Jedyne wyjście było przez Pabianice. Ale sytuacja bardzo szybko się zmieniała. Zanim się zorientowaliśmy Rosjanie już byli wszędzie i działy się rzeczy okrutne. Bardzo często cierpieli ludzie, którzy nic złego w czasie wojny nie zrobili. Ci, którzy mieli coś na sumieniu, uciekli wcześniej.

Polacy pokazywali Rosjanom, gdzie mieszkają Niemcy. Ruscy żołnierze wchodzili do niemieckich domów, bili ludzi, gwałcili Niemki. To nie były jednorazowe przypadki. Moi znajomi Frankowie mieli na Radogoszczu sklep kolonialny. Urszulę Frank wzięli do koszar i po kolei ją gwałcili. Zanim trafiła do szpitala, chciała odebrać sobie życie. Nie chciała już żyć. Takich sytuacji było dużo. Obóz w Radogoszczu podpalili naziści, ale potem to Niemcy, którzy zostali w Łodzi, musieli gołymi rękami zbierać kości tych ludzi. Nawet małe dzieci i młode dziewczyny sprzątały spalone ciała.

#### W styczniu 45 roku,

jak weszli Rosjanie, ukryłam się u polskich sąsiadów. Oni u nas pracowali przed wojną i w czasie wojny. Potem role się odwróciły. Zamieszkałam u nich. Córka sąsiadów miała bliźnięta i potrzebowała pomocy, a ja tym sposobem byłam ochro-

niona przed Ruskimi. Opiekowałam się dziećmi i pracowałam w polu. Mama jakiś czas pracowała w ogrodnictwie, prała też ruskim żołnierzom bieliznę, ale wreszcie zabrali ją do obozu pracy na Sikawie. Ja się uchowałam. Wiosna była coraz bliżej. Myślałam, że najgorsze minęło, ale ktoś doniósł, że jesteśmy Niemcami. 15 kwietnia przyszła po mnie milicja.

Myślę, że zrobili to ci sami sąsiedzi. Musiałam iść z milicją, ale nic z sobą nie zabrałam. Nie miałam pojęcia, że już nie wrócę do domu, miałam się tylko zarejestrować. Tymczasem zabrano mnie z Żabiańca do Zgierza. Przez trzy dni byłam tam przetrzymywana w jakiejś szkole. Moja ciocia trafiła tam razem ze mną. Ale ja miałam więcej szczęścia niż ona. Jakiś Polak przyszedł z zapytaniem, czy ktoś umie opiekować się niemowlętami. W czasie wojny w wakacje pracowałam w żłobku. Zawsze bardzo lubiłam dzieci, sama chciałam mieć szóstkę. Dlatego zgłosiłam się. Ciocię jednak zabrali na Sikawę. Przeszła tam straszne rzeczy, ale ani ona, ani mama, nie chciały o tym opowiadać. Wiem, że warunki były tam okropne. Dużo ludzi umarło na tyfus.

Ciotka nazywała się Berta Schindler. Jej nazwisko pisze się tak samo jak nazwisko tego Niemca od listy Schindlera. Na Sikawie była do 1948 roku, potem przewieziono ją do więzienia na Mokotowie. Tam była ponad rok. Dziwię się, że tam ją zamknęli. Ona była prostą kobietą, chłopką, półanalfabatką, a to było więzienie dla politycznych. Jakimś cudem przez cały ten czas udało jej się zachować przy sobie Biblię i album rodzinny. W ten sposób uratowała się jakaś rodzinna pamiątka. Reszta rzeczy zaginęła. Nawet złoty pierścionek, który dostałam na confirmację od matki oddałam gospodarzom i nigdy go nie odzyskałam. Tylko tego jednego nie mogę odżałować. Moja mama z obozu wróciła bardzo chora. Zmarła niedługo potem w 1948 roku.

### **Zabrano mnie do Rudy Pabianickiej**

do polskiej rodziny Nowaków. On był działaczem partyjnym. Objął mieszkanie po Niemcu, u którego pracował w czasie wojny w zakładzie wulkanizacyjnym. To była zdaje się ulica Andrzeja. Niedługo potem ci Niemcy wrócili. Nie udało im się przedrzeć na Zachód. Przenieśliśmy się do mieszkania na ulicę Kolejową. Pracowałam u Nowaków cały rok. To byli porządni ludzie. Bardzo dobrze mnie traktowali. Nie dostawałam co prawda wynagrodzenia, ale nikt wtedy nie płacił Niemcom. Mieszkałam u nich i niczego mi nie brakowało. Opiekowałam się Wojtusiem i Ewunią, gotowałam, sprzątałam, pracowałam w ogrodzie.

Na Kolejowej mieszkały też dwie Polki z Warszawy. Po powstaniu warszawskim w stolicy wszystko było zbombardowane, a w Łodzi było dużo mieszkańek polniemieckich. Pani Bielawska, której mąż zginął w powstaniu, była bardzo miła. Na drutach zrobiła mi sweter. Do 1965 roku byliśmy w kontakcie. Po jej śmierci córka odnalazła mój adres. Mieszkała w Poznaniu i napisała do mnie. Potem jej syn – Tomek

– studiował w Dreźnie. W 1981 czy 1982 roku przyjechał do mnie na trzy tygodnie. W latach 90. okazało się, że jego dziecko ma skazę genetyczną i konieczne jest bardzo kosztowne leczenie. Wtedy wnuk pani Bielawskiej przyjechał do Niemiec na zarobek, pomagałam mu znaleźć pracę. W końcu został w Niemczech na stałe. Mieszka dziś w Chemnitz i czasami do mnie pisze. Tak to się dziwnie plotą losy ludzkie. Jak by to było w filmie, nikt by nie uwierzył, że to prawda. Na Żabieniec już nigdy nie wróciłam. Ludzie wszystko rozebrali.

### **Ojciec nie przypuszczał,**

że tak się sprawy potoczą po wojnie. Mieszkaliśmy na Żabieńcu od wielu lat. Wszyscy nas znali. To była nasza ziemia. Nic złego nikomu nie zrobiliśmy. Ale w 45 roku, zaraz po wkroczeniu Ruskich, wszystkich mężczyzn w wieku 16–60 lat zebrano i wysłano do Związku Radzieckiego, trafili na Sybir albo do kopalni. Niektórzy przeżyli i wrócili, inni zmarli w transporcie, wielu zaginęło bez wieści. Kobiety zabrali do różnych obozów. Mój brat Oskar miał w 1945 roku dwanaście lat, ja – 17. Kiedy nas wszystkich zabrali, on został sam w domu na Szkolnej i tam się pałętał. Za kolejną na Grabieńcu mieszkali do wojny prawie sami Niemcy, tak więc zrobiło się nagle wkoło pusto. Nikt z mieszkańców się nie uchował. Na szczęście niedaleko nas na Szkolnej mieszkał pan Pawlak, Polak. On zaopiekował się bratem.

Wśród Polaków była wtedy wielka nienawiść do Niemców i Pawlak bał się, że zrobią mu krzywdę. Dlatego wysłał go do swojego brata do Szadka. Tam było gospodarstwo. Nikt nie znał Oskara, nie wiedzieli, że to Niemiec, więc nic mu nie groziło. Zmienili mu tylko imię na Janek, żeby nie rzucano się w oczy. Myśmy mówili dobrze po polsku, wychowaliśmy się z dziećmi polskimi, tylko ze sobą rozmawialiśmy po niemiecku i w domu.

Ten gospodarz miał syna w podobnym wieku co Oskar i przez jakiś czas razem się wychowywali. Jak matka została zwolniona z Sikawy, wrócił do Łodzi na Grabieniec. Pracował trochę u piekarza. Po śmierci mamy i powrocie cioci z więzienia wyjechali transportem do Niemiec. To był rok 1950. Trafili do francuskiej strefy okupacyjnej. W 1990 roku, kiedy nie potrzeba już było wiz, brat postanowił zobaczyć to miejsce, które może ocaliło mu życie. Pojechał do Szadka i odnalazł syna gospodarza, u którego mieszkał. Dowiedział się, że jego rówieśnik jest teraz w Kaliszu. Od tego czasu odwiedzają się, piszą listy, utrzymują serdeczny kontakt.

### **Mój ojciec nie był na wojnie,**

bo miał kłopoty ze zdrowiem. Nie był też w żadnej służbie, ale zaraz w styczniu Polacy zabrali go do pracy. Musiał sprzątać śnieg i lód, potem zniknął bez śladu. Przez wszystkie te lata próbowałam się dowiedzieć, co z nim się stało. Poszukiwałam go przez Czerwony Krzyż, ale nic to nie dało. 15 lat temu był zjazd łodzian w Münster, tam spotkałam syna naszego sąsiada. Nazywał się Artur Cerecki. Jego ojca Teodora

zabrali razem z moim ojcem. Wiem, że był w Warszawie, a potem w łagrze w ZSRR. Opowiadał, że mojemu ojcu jeszcze w Warszawie skradziono buty i musiał zostać. Tu się ślad urywa. Do dziś nie wiem, co się z nim stało, gdzie i jak zginął. Niemcy, cokolwiek złego i niechlubnego robili, to wszystko rejestrowali. A po tych ludziach, którzy zaginęli w 45 roku, nawet śladu nie ma.

Zaraz po wejściu Rosjan na polskie ziemie, jeszcze nim wojna się skończyła, zapanowało tu całkowite bezprawie. Każdy mógł zabić Niemca i żaden kogut by nie zapiał na naszą obronę. O tych rzeczach zupełnie się zapomina. Nie ma na to dowodów i dokumentów. A zbrodnia jest zbrodnią, niezależnie, kto ją czyni. Skoro ludzi zabierano z domu oficjalnie i wywożono do łagru, to powinien zostać jakiś ślad w dokumentach. A po moim ojcu nie ma niczego.

### **Pracowałam u Nowaków**

do lata 46 roku, ale bardzo chciałam wyjechać do Niemiec. To już nie był mój kraj. Wiedziałam, że ze Szczecina i Wrocławia odjeżdżają transporty i często udawało się uciec nawet ludziom bez dokumentów. Pojechałam do Wrocławia pociągiem. Powiedziałam swoim gospodarzom, dokąd jadę, ale oni mówili wszystkim, że uciekam przez Szczecin, żeby w razie czego nikt się nie zorientował. Miałam dokąd jechać. Weisigowie z Rudy Pabianickiej wyjechali wiosną 1946 roku. Nie chcieli mnie zabrać ze sobą, bo mieli dwoje małych dzieci i bali się, że ze mną będzie im jeszcze trudniej się przedostać. Dojechali do Friedlandu koło Hanoveru. Tam w pierwszej kolejności trafiali wszyscy przesiedleńcy z Polski. Zaraz jak dotarli na miejsce napisali, żebym przyjechała. Wyruszyłam dopiero w czerwcu, może nawet w lipcu. Trzeba było jeszcze kartofle posadzić i wszystko uporządkować. Obiecałam to swoim gospodarzom. I to był błąd. We Wrocławiu musiałam czekać w obozie przejściowym na transport. Kiedy już wreszcie siedziałam w wagonie i czekałam na odjazd pociągu do Niemiec, pojawili się polscy żołnierze. Wybierali młodych Niemców do pomocy przy żniwach. Miałam 18 lat i nadawałam się do pracy. Wróciliśmy niewielką grupką do tego pustego obozu. Byłam zrozpaczona. Zostało nas osiem, może dziesięć osób. Chciałam uciekać wszystko jedno jak i z kim. Ktoś mi poradził, żebym kupiła bilet i wsiadła do pociągu jadącego do Nysy, a stamtąd już pieszo przeszła przez zieloną granicę. Ale właśnie wtedy ktoś mi ukradł wszystkie pieniądze. Zostałam bez grosza. Nie miałam nikogo i niczego.

Pamiętam, że pocieszała mnie jakaś zakonnica. Mówiła mi, że na pewno niedługo przyjedzie tu wielu Polaków ze Lwowa i z Wilna i będzie dla nich potrzebne miejsce. Wtedy nas wypuszczą. Zaproponowała mi pracę w szpitalu klinicznym na ul. Dyrekcyjnej. Byłam tam przez kolejny rok. Choć pracowałam dzień i noc, nic nie zarabiałam. Żyłam jak zakonnice. Któregoś dnia kobieta na porodówce zapytała mnie, czy nie chciałabym u niej pracować. Wiedziałam, że tylko w ten sposób mogę zaoszczędzić jakieś pieniądze. Trafiłam do rodziny Biełasów. On był prawnikiem ze Lwowa.

W 1948 roku, kiedy mama wróciła z Sikawy, pojechałam do Łodzi. Mój brat też się odnalazł. Zamieszkali na Grabieńcu w starej lepiance. Ale mama była bardzo chora i niedługo umarła. Ja poznałam we Wrocławiu przyszłego męża i zaczęłam się wahać. Brat z ciotką zdążyli wyjechać tuż przed zamknięciem granic w 1950 roku. Kolejna możliwość wyjazdu pojawiła się dopiero w 1956 roku. Jak Adenauer pojechał do Chruszczowa, nasi mogli wrócić z niewoli do Niemiec. Ja też chciałam wyjechać, ale mąż nie zamierzał opuszczać Polski. Budował socjalizm.

W 1957 roku pojechałam jeszcze raz do Łodzi na grób mamy, żeby się pożegnać. Tam spotkałam ciocię Splecel, naszą daleką krewną, która mieszkała w lepiance na Grabieńcu. Rosjanie tak ją pobili w 1945 roku, że dostała raka piersi, ale bardzo długo się męczyła. Namawiała mnie, żeby z Polski uciekać. Mimo oporów męża podjęłam decyzję o wyjeździe na stałe. Kilka razy się spotykaliśmy w Niemczech, bo mógł wyjeżdżać z Polski, ale nigdy już razem nie zamieszkaliśmy. Dla niego ważniejszy był komunizm niż nasze małżeństwo. Potem żył z inną kobietą. Ja jestem chrześcijanką, nie uznaję rozwodów. Zostałam sama.

#### **W 1958 roku wyjechałam**

wreszcie z Polski. Miałam 30 lat. Zaczęłam jeździć po moich krewnych. Chciałam zobaczyć, jak jest w tych Niemczech. Wcześniej nigdy w tym kraju nie byłam. Zastanawiałam się, gdzie się osiedlić. Ale krewni przyjmowali mnie niechętnie. Bali się, że chcę im się zwalić na głowę. To nie było przyjemne. Tułałam się, pracowałam w różnych miejscach, wreszcie trafiłam do Stuttgartu. Do dziś nigdzie nie czuję się jak u siebie w domu. Wielu ludzi, którzy tak jak ja pochodzą z Polski, nie odnaleźli swojego miejsca. Mnóstwo moich znajomych rozjechało się po świecie, bo w Niemczech też nie czuli się u siebie. Dopiero ich dzieci albo wnukowie zapuszczają korzenie. Moje korzenie zostały wyrwane. Jeśli myślę o Łodzi to wracam wspomnieniami do czasów dzieciństwa, kiedy żyliśmy tam szczęśliwi i nikt nikomu krzywdy nie robił.

*Joanna Podolska*

*– dziennikarka łódzkiej „Gazety Wyborczej”.*

# Tory, które wiodły do końca

## *Krótką historią Kolei Scheiblerowskiej*

Upadek Łodzi przemysłowej pociągnął za sobą skutki nie tylko ekonomiczne i społeczne, na co dzień jesteśmy świadkami także ogromnych przekształceń funkcji całych rejonów miasta. Niestety, brak kompleksowej i realistycznej wizji przyszłości w połączeniu ze zwykłą ignorancją i błędną oceną dorobku minionych pokoleń powoduje, iż na naszych oczach w niebyt odchodzą obiekty będące świadectwem kultury, tradycji, myśli technicznej. Miasto, które odcina się, bądź w sposób wybiórczy traktuje swe industrialne korzenie, pozostawiając jedynie luźno związane z sobą fragmenty, częstokroć tandetnie i naprędce przerabiane, staje się miastem bezbarwnym, pozbawionym swoistego kolorytu, nijakim.

Bezcenny kompleks przemysłowo-mieszkalny, dawne „królestwo Scheiblerów” Księży Młyn powoli, acz nieuchronnie, wchodzi w fazę agonii. Surrealistyczne wręcz pomysły przekształcenia tego przestrzennie zwartej wycinka miasta na osiedle oferujące lokale o podwyższonym standardzie, miejsce artystyczno-akademickie, pełne pracowni, galerii, hoteli i *odlotowych* klubów w mieście zżeranym strukturalnym bezrobociem, prozaiczną biedą, nie mogą być traktowane poważnie. Hasła rewitalizacji obszarów postindustrialnych mają się dokładnie nijak do możliwości finansowych miasta. Gdzieś na marginesie, zupełnie niepostrzeżenie, dokonała się zagłada kolei przemysłowej, jednej z nielicznych w świecie, stworzonej do obsługi przemysłu tekstylnego, kolei, która na dodatek docierała do samego serca miasta, przebijając się przez gęstą zabudowę Księżego Młyna, aby zakończyć swój bieg tuż przy ul. Piotrkowskiej.

### **Geneza**

Dynamiczny rozwój łódzkiego przemysłu w II połowie XIX wieku zrodził potrzebę rozwiązania bardzo istotnych problemów transportowych. Przewóz surowców wozami konnymi ze stacji Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej w Rokicinach stawał się hamulcem rozwoju przemysłu, był coraz droższy i wymuszał specyficzną organizację ruchu kołowego na terenie miasta. Ulicą Przejazd (obecna Tuwima) odbywał się ruch w kierunku centrum, Nawrotem zaś zwracano. Projekt połączenia Łodzi z Koleją Warszawsko-Wiedeńską zrodził się jeszcze przed powstaniem styczniowym, jednakże późniejsze wypadki i przejściowy regres w produkcji opóźniły prace nad jego realizacją. Istniały dwa zasadniczo różne projekty: pierwszy – Kronenberga – przewidywał budowę linii z Rokicin, drugi zaś – Blocha – z Koluszek. O wyborze drugiego wariantu zdecydowały względy ekonomiczne



i prawdopodobnie strategiczne, gdyż już wówczas istniał projekt doprowadzenia do Kuluszek odnogi Kolei Dąbrowsko-Iwanogrodzkiej (Dąbrowa Górnicza – Dęblin, d. Iwanogród, z odgałęzieniem Bzin, dziś Skarżysko-Kamienna – Słotwiny). Linię zaprojektowano jako jednotorową o prześwicie 1435 mm. Była to jedna z trzech linii Królestwa Polskiego o szerokości normalnej, poza kolejami Warszawsko-Wiedeńską, Bydgoską i Fabryczno-Łódzką wszystkie inne posiadały szeroki, *imperialny* rozstaw torów – 1524 mm.

Budowę rozpoczęto 1 września 1865 r. pod kierunkiem inż. Hipolita Cieszkowskiego. Pomocnikami jego byli: Antoni Łukaszewski, Franciszek Grabowski i Teodor Schlesinger. Tempo robót było wręcz oszałamiające i już 19 listopada 1865 r. dwudziestosiedmiokilometrową trasę pokonał pierwszy pociąg towarowy. Oficjalne otwarcie ruchu nastąpiło 1 lipca 1866 r. W momencie otwarcia aktywa kolei wynosiła blisko 90 tys. rubli.

W latach 1861–1864 przemysł nie tylko łódzki, ale całego Królestwa Polskiego, przeżywał głęboki kryzys surowcowy, określany w literaturze przedmiotu mianem „głodu bawełny”. Surowiec ten trafiał do Łodzi z wielkich plantacji amerykańskich, ze stanów Arkansas, Georgia, Teksas, Luizjana. Pośrednikami były specjalistyczne firmy z Liverpoolu, Hamburga, Bremy i Gdańska. Wojna secesyjna wiele z tych firm przywiodła na skraj bankructwa.

### Jurydyka Księży Młyn

Historia tego jedyne w swoim rodzaju „miasta w mieście”, zwarte i jednolite „królestwa Scheiblerów” doczekała się wielu poważnych opracowań i wydaje się rzeczą zbyt częstą przywoływanie kolejnych faz jego rozwoju. Aby jednak uzmysłowić sobie znaczenie kolei przemysłowej wymienić wypada najważniejsze choćby obiekty produkcyjne. W roku 1873 uruchomiono monumentalną przędzalnię parową, którą systematycznie rozbudowywano. Przedsiębiorstwo rozrastało się w szybkim tempie, kolejno oddawano do użytku oddziały mechaniczny, zespół magazynów, farbiarnię, tkalnię, gazownię, drukarnię tkanin. Spiętrzana rzeka Jasień nie była w stanie napędzać istniejących maszyn, imperium Scheiblera zużywało coraz więcej wody, stąd poziom Jasioni ulegał powolnemu, lecz ciąglem obniżaniu. Jeszcze w czasach ks. Stanisława Staszica była to wartka rzeka, głębokością sięgająca 1,15 m, o spadku wód przekraczającym 17 m na długości 2 km. Jasień zasilala co najmniej pięć kół młyńskich: Lamus, Młyna Wójtowskiego, Arasza i Księżego, wyposażonego w dwa koła. Patrząc dziś na tę rachityczną i mulistą strużkę trudno to sobie wyobrazić.

Wobec wykarczowania okolicznych lasów i postępującej ekspansji maszyn parowych, przemysł łódzki zaczął odczuwać kolejny głód – głód węgla. W roku 1867 ruszyła gazownia Williama C. Holmesa, połączona bocznica z układem torowym Łodzi Fabrycznej. Był to jedyny zakład produkujący coraz bardziej poszukiwane paliwo – koks. Należy dodać, iż bocznica gazowni przetrwała do roku 1991 w niezmiennym kształcie.

Wizje Karola Wilhelma Scheiblera I (1820–1881) wykraczały daleko w przyszłość, wiedział, że bez rozwiązania problemów transportowych przedsiębiorstwo nie będzie miało szans rozwoju. A rozwiązaniem mogłoby być jedynie połączenie zakładów z Koleją Fabryczno-Łódzką. Przemysłowiec podjął starania w roku 1870, gdy potrzeby transportowe nie były jeszcze tak wielkie. „Jurydyka Pfaffendorf” oddalona była od linii kolejowej około 2 km, ale to właśnie ta niewielka odległość była źródłem niepokojów Scheiblera. W grę wchodziły nie tylko koszty związane z przeładunkiem – po uwłaszczeniu w 1864 r. rąk do pracy nie brakowało; nade wszystko nie udawało się opanować plagi kradzieży. Każda posada „przy kolei” związana była z rozmaitymi „beneficjami”, od łapówek za zaniżanie masy towarowej, po udział w zorganizowanych gangach kolejowych.

Rzecz interesująca – podobne zjawiska były zupełnie niezbrane na kolejach pruskich czy galicyjskich. Specjalne komisje do zwalczania nadużyć przewozowych, całe zastępy skorumpowanych kontrolerów i rewizorów są specyfiką rosyjskich żelaznych szlaków.

Oczekujące na bocznych torach wagony, rozległe place ładunkowe tonące w błocie, prymitywne i źle zabezpieczone magazyny, swoiste kurioza kolejowej architektury, których bodaj ostatni przedstawiciel dotrwał schyłku lat 80. XX wieku przy ul. Węglowej, były stałym przedmiotem wnikliwego zainteresowania łódzkiego półświatka. Najdotkliwiej odczuwano kradzieże wyrobów gotowych.

W roku 1875, a więc po pięciu latach starań, a jeszcze przed uruchomieniem drugiej przędzalni, Scheibler wystąpił do władz miejskich z wnioskiem o wykup terenów pod przyszłą kolej. Wniosek odrzucono, proponując w zamian „konną kolej uliczną”, na dodatek o dziwnym przebiegu. Po wielu dyskusjach wyrażono zgodę na kolej wąskotorową, wchodzącą potężnym łukiem od strony południowej. Tego rodzaju pomysły jednoznacznie świadczą o dość ograniczonym poziomie umysłowym ówczesnych urzędników. Na takie rozwiązanie Scheibler przystać nie mógł. Kolej wąskotorowa nie eliminowała kłopotów z przeładunkiem. Nadto przepisy dotyczące budowy kolei wąskotorowych w Imperium zezwalały na budowę wyłącznie linii o prześwicie 750 mm. Patriotyzm polskich inżynierów wyrażał się między innymi w umiejętnym obchodzeniu tych wymogów. Jaskrawym przykładem były warszawskie koleje dojazdowe: żadna nie odpowiadała wymaganym normatywow. I tak Kolej Grójecka miała prześwit 1000 mm, Wilanowska, Marecka i Jabłonowska – rzadką w świecie – 800 mm. Problematyczna stawała się też lokalizacja stacji stycznej z Koleją Fabryczno-Łódzką oraz zapewnienie odpowiedniej zdolności przeładunkowej.

W roku 1878 konsekwencja i upór przemysłowca zostały uwieńczone sukcesem – Kolej Scheiblerowska ostatecznie powstała w niemalże pierwotnym kształcie. Przebieg kolei był następujący: linia rozpoczynała się w obrębie torów stacyjnych Łodzi Fabrycznej, między obecnym wiaduktem a kładką dla pieszych do Parku 3 Maja. Następnie biegła skrajem Lasu Widzewskiego, po czym przecinała szosę



rokicińską. Duży ruch kołowy spowodował konieczność budowy strażnicy przejazdowej. Budynek ten, jakkolwiek wielokrotnie przebudowywany, zachował się do dziś i jest to pawilon handlowy przy ul. Piłsudskiego 79. Tam też mieścił się posterunek zwrotnicowski, na odgałęzieniu do zakładów Heinzla i Kunitzera. Po przecięciu ul. Fabrycznej kolej docierała do starej fabryki przy Wodnym Rynku, od południa zaś do Nowej Tkalni. Linia kończyła się na terenie zakładowej elektrowni, tuż obok stawu przy ul. Piotrkowskiej. Po północnej stronie ul. Fabrycznej, równolegle do Parku Źródlika wybudowano parowozownię oraz zaplecze taborowe. W roku 1879 linia wyposażona została w wewnętrzną, wydzieloną łączność telefoniczną, na wzór kolei użytku publicznego. Kolej Scheiblerowska początkowo posiadała dwa nieduże parowozy beztendrowe na parę nasyconą, zbudowane przez słynną firmę Krauss w Linzu. Nosiły one nazwy „Felix” i „Emil”. Cały tabor oznaczony był cyrylicą: *А. М. К. Р. – (B.M.K.Sz.) – Baumwoll – Manufaktur von Carl Scheibler*.

Specyfiką tej kolei była własna sygnalizacja, kształtowe dwukierunkowe semafony ramienne nastawiane lokalnie, które oddzielały poszczególne rejony manewrowe i umożliwiały prowadzenie ruchu przy pomocy kilku lokomotyw jednocześnie. Świadczyć to może pośrednio o natężeniu ruchu, bardzo dużym jak na kolej przemysłową. Od granicy wyłączenia, a więc zapewne od posterunku przy szosie rokicińskiej, linia posiadała własny kilometr, prawdopodobnie wiorstowy. Ostatni *Regulamin transportu kolejowego* z okolic roku 2000 nie był w stanie uporać się z wyznaczeniem lokat poszczególnych torów czy rozjazdów.

### Szerokim torem w wielki świat

W roku 1898 Towarzystwo Akcyjne Scheiblerowskie założyło własne plantacje bawełny na Zakaukaziu, w ten sposób całkowicie uniezależniając się od dostaw północno-amerykańskich i zachodnioeuropejskich pośredników. Pojawił się ponownie problem przeładunków, tyle, że z dala od Łodzi.

Po oddaniu do użytku w roku 1903 Kolei Kaliskiej zaistniała konieczność połączenia obu systemów komunikacyjnych. Wybudowano dwutorową linię Widzew – Karolew, przez Chojny, o jednym torze posiadającym prześwit normalny, drugi zaś szeroki. Stacja Karolew uzyskała dwa połączenia z Koleją Kaliską – jedno wprost ze stacją Łódź Kaliska, drugie zaś umożliwiające pominięcie tejże stacji i wylot we wsi Retkinia wprost na szlak w kierunku Kalisza i granicy z Prusami w Nowych Skalmierzycach.

W tym samym roku Łódź uzyskała połączenie torem szerokim z końcową stacją Kolei Dąbrowsko-Iwanogrodzkiej w Słotwinach, pierwotnie zwanych Koluškami Drugimi. Tor szeroki od Gałkówka biegł równolegle do torów Kolei Fabryczno-Łódzkiej, do Łodzi Fabrycznej wchodząc południowym skrajem normalnego układu torowego. Wprowadzenie toru szerokiego w obręb grupy zdawczo-odbiorczej Kolei Scheiblerowskiej było początkiem nowej stacji towarowej – Polesie Widzewskie. Historia stacji Polesie Widzewskie należy do najbardziej niejasnych kart dziejów łódzkiej kolei, niestety wydaje się, że jest to temat tyleż niewdzięczny, co ezoteryczny. Zachowało się bardzo niewiele oryginalnych planów, poza tym nie bardzo można odróżnić projektów od dokumentów przedstawiających stan faktyczny. Jako stacja obsługująca zespół bocznic przemysłowych ulegała rozlicznym zmianom i przeobrażeniom w miarę rozbudowy poszczególnych podmiotów gospodarczych.

Odtworzenie pierwotnego układu torowego jest dziś niemożliwe, stacja zajmowała obszar ograniczony obecnie ulicami Wydawniczą, św. Kazimierza i Niciarnianą od wschodu. Około 1906 roku powstała tu murowana dwustanowiskowa parowozownia szerokotorowa, obsługująca parowozy prowadzące pociągi ze Słotwin, a kończące bieg na Polesiu Widzewskim. Wiązało się to zapewne z zamknięciem małej parowozowni zwrotnej na Widzewie w rejonie obecnej ulicy Maszynowej. Po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku wszystkie układy torów szerokich przekuto na prześwit normalny. Prawdopodobnie wówczas zamknięto wjazd z kierunku Łodzi Widzewa, zlikwidowano też parowozownię. Jej ślady były jeszcze widoczne podczas wznoszenia hipermarketu Geant. Obsługa Kolei Scheiblerowskiej odbywała się wyłącznie z kierunku Łodzi Fabrycznej. Jej początkiem był teraz ukres rozjazdu nr 63 stacji Łódź Fabryczna. Punkt zdawczo – odbiorczy zlokalizowano między ulicami Rokicińską a Żelazną. Składał się on z trzech torów i czterech rozjazdów pojedynczych. W dalszym ciągu istniało jednak połączenie z układem torowym reszty Polesia Widzewskiego torami Nr 725 i 738.

Kolej Scheiblerowską przystosowano do ruchu szerokotorowego poprzez wplecenie tzw. trzeciej szyny. Rozwiązanie takie stosowane często na kolejach

użytku publicznego (w tym na węźle warszawskim w rejonie zakończenia Kolei Petersburskiej) wiązało się z koniecznością zastosowania zupełnie odmiennych elementów nawierzchni kolejowej, dziś całkowicie nieznanymi. W praktyce prowadzenie ruchu na splocie torów na Kolei Scheiblerowskiej okazało się bardzo trudne, szczególnie utrzymanie i naprawa rozjazdów o trzech ruchomych iglicach nastręczało sporo problemów natury technicznej. Tabor szerokotorowy zupełnie odmiennie wpisywał się w łuki, powodując znaczne zużycia boczne stalowych części rozjazdowych. Budowa drugiego toru wzdłuż ul. Zagajnikowej (później Kopcińskiego) i przecięcie szosy rokicińskiej nie wchodziło w grę, toteż w roku 1910 Towarzystwo Akcyjne zakupiło od niejakiego Gniotka *dwie parcele ziemne rozmiarów słusznych, z osadą Widzew graniczące*, celem wyprowadzenia szerokotorowej bocznicy szlakowej z prawego toru łącznicy Widzew – Chojny. Tym samym przez układ torowy zakładów Kunitzera i Heinzla Kolej Scheiblerowska uzyskała dwa niezależne połączenia z siecią kolei użytku publicznego. Prawdopodobnie w roku 1911 w rejonie rezydencji Scheiblerów przy Wodnym Rynku oddano do użytku foksal prywatny, „dworzec” z zadaszonym peronem i torem postojowym dla wagonu salonowego. Towarzystwo Akcyjne eksploatowało prawdopodobnie dwie salonki, szerokotorową i normalnotorową, co trudno jednoznacznie zweryfikować. Istnienie salonki na tor imperialny jest jednak niezaprzeczalne. Udokumentowany jest bardzo ciekawy incydent z września 1914 roku. Zarząd firmy w ścisłym porozumieniu z Karolem Scheiblerem II, przebywającym w dobrach rycerskich (*Rittersgut*) w Kwietnie, biorąc pod uwagę dramatyczną sytuację w Łodzi, zdecydował się wywieźć Annę z Wernerów Scheibler oraz skarbiec rodzinny do Kwietna, na Śląsk. Z uwagi na front rosyjsko-niemiecki ustalono okrężną drogę ewakuacji – Koleją Kaliską, dalej Terespolską do Finlandii, następnie zaś via Szwecja i Niemcy na Śląsk. Wiadomo, iż salonka, bez Anny Scheibler, za to z ładunkiem kilkunastu (?) skrzyń z dziełami sztuki, papierami wartościowymi i złotem dotarła do Moskwy, gdzie została przejęta przez senatora Everta. Według wspomnień Karola Bajera (maszynopis w Muzeum Historii Miasta Łodzi) dobra te zostały zdeponowane w moskiewskim oddziale *Credit Lyonnais Banque*. Zapewne przepadły w bolszewickiej zawierusze. Dla naszych rozważań istotne jest to, iż do Moskwy ładunek dotarł bez przeładunku, wprost z rezydencji przy Wodnym Rynku.

### Czas wielkich inwestycji

Rozwój miasta, a nade wszystko przebiecie ulic Promińskiego (obecna Śmigłego-Rydza) i dalej Kopcińskiego, wymusiły zmianę przebiegu Kolei Scheiblerowskiej. W roku 1971 zlikwidowano przejazd przez dawną szosę rokicińską, noszącą nazwę Armii Czerwonej. Wiadukt na ul. Kopcińskiego odciął wjazd od strony Łodzi Fabrycznej, bocznice „Monopolu Spirytusowego” przejęło Polesie Widzewskie, które także uległo znacznemu przeobrażeniu. Imperium Scheiblera i Grohmana przemianowano najpierw na Zakłady im. Józefa Stalina, później zaś, po komasacji kilku przedsiębiorstw, od roku 1962 zakład

przyjmuje nazwę Obrońców Pokoju *Uniontex*. Praktycznie wewnątrzzakładowy układ torowy pozostał niezmienny od II wojny światowej, przez długie lata nawet tabor zakładowy nosił niemieckie oznaczenia.

Bocznica *Uniontexu*, poprzez część dawnego torowiska fabryki Kunitzera, łączyła się z rozbudowaną siecią Zakładów Włókien Chemicznych *Anilana* i początek swój brała na posterunku odgałęźnym Łódź Dąbrowa. W okresie II wojny światowej wybudowano tam grupę torów, która dała początek istniejącej do dziś, a eksploatowanej przez zespół elektrociepłowni stacji Łódź Dąbrowa Przemysłowa. Bezkolizyjne wprowadzenie toru komunikacyjnego w rejon ul. Przędzalnianej zapewnił solidny wiadukt na ul. Promińskiego.

Wielkie inwestycje lat 70. ominęły jednak wewnątrzzakładową sieć bocznic, tak więc dawna Kolej Scheiblerowska aż do końca swoich dni zachowała swój niepowtarzalny koloryt.

Z uwagi na charakter artykułu szczegółowa analiza techniczno-ruchowa bocznic, z uwzględnieniem specyficznych parametrów, jest zbędna w niniejszym opracowaniu. Taki opis mógłby zainteresować jedynie wąskie grono czytelników. Oto kilka najistotniejszych informacji przedmiotowych.

Największe wzniesienie występowało na torze 321 i osiągało wartość 25‰ na długości 130 m. Na całą linię składało się 49 torów o różnym przeznaczeniu, w tym 23 tory zakończone kozłami oporowymi. Maksymalna pojemność bocznic, oprócz torów komunikacyjnych, dojazdowych, łącznikowych i trakcyjnych wynosiła 287 wagonów dwuosioowych. W torach zabudowane były dwa rozjazdy krzyżowe podwójne, 37 rozjazdów pojedynczych, 6 wykolejnic. Na terenie zakładu zlokalizowano aż 17 punktów ładunkowych. Kolej Scheiblerowska w kilku miejscach przecinała ruchliwe ulice, szczególnie newralgicznym punktem było skrzyżowanie toru 324 z ul. Kilińskiego, w tym przecięcie w poziomie szyn z linią tramwajową. W ostatnim okresie funkcjonowania na stanie bocznic znajdowały się dwie lokomotywy spalinowe: SM – 42 i SM – 30. Całkowita długość torowiska wynosiła około 11 km, w tym prawie 8 km w środku miasta!

### Agonia

Jest czerwcowe, upalne popołudnie. Opustoszały ulice, umilkły ptaki, kurz beznamiętnie osiada na rażonych słońcem kwiatkach bezgłośnie wołających o wodę, samotnie walczących na maleńkich enklawach zieleni Księżego Młyna.

Nikt mnie nie zatrzymuje, nikt z mną nie woła, gdy przekraczam rozwalone bramy, zdewastowane portiernie, ziejące pustką rozwarte trzewia półmrocznych hal. Beznamiętnie lustrują mnie wyłupione oczodoły okien, nisko zwieszają pokaleczone głowy fabryczne latarnie. I oto jest – rdzawa nitka ginąca w perspektywie górujących czerwieni murów. Rampa trwa niezmiennie w strasznej ciszy agonii. Po zwrotnicy ślad tylko, zagłębienia w ziemi wyznaczają miejsca po wyciągniętych podkła-



dach. To tu, to tam szyna sterczy samotnie, niewyrwana jeszcze z torowiska. Semafor samotnie w niebo wołający, niepotrzebne już nikomu ramiona rozłożył, stłuczoną latarnią na świat złowrogo spogląda. Dzień gaśnie, mrok nadciąga. Wtem ciszę przerywa bełkot pijacki i huk o bruk roztrzaskanej butelki. Postacie szare a przygięte wózek żelastwa przed siebie pchające, gęby triumfu pełne, a potem wózków więcej i więcej, zda się świat cały pomieścić by mogły. Dalej, naprzód, ku wyłomowi w murze fabrycznym, ku krainom szczęśliwym, ku skupom, ku sklepom, ku odmętom zapomnienia w szkłe zielonkawym, jako ta toń fabrycznego stawu zaklętym. Może to tak właśnie dokonuje się akt dziejowej sprawiedliwości, może to tak właśnie ilość w jakość dialektycznie przechodzi, za stulecie wyzysku, za niebo dymem spowite, za papierowe łódki w toń rynsztoka puszczane?

Mrok nadchodzi i wracać już trzeba. I tylko nie wiedzieć czemu po głowie błąkają się słowa poety:

*Nad nami – noc. Goreją gwiazdy,  
Dławiący, trupi nieba fiolet  
Zostanie po nas złom żelazny  
I głuchy, drwiący śmiech pokoleń.<sup>1</sup>*

Mariusz Z. Szczepaniak  
– teolog; pracownik Polskich Linii Kolejowych S.A.

1. Tadeusz Borowski, *Pieśń*.

# Die Linien des Lebens

## *Codziennosc w rezydencji nad Jasieniem*

Wiek XIX to dla liczącej ledwie kilkaset lat Łodzi moment przełomowy, wyznaczający kierunek rozwoju miasta, stanowiący o jego przemysłowym charakterze. Kiedy w roku 1820 niewielką mieścinę Łódź przekształcono w osadę fabryczną, nikt nie przypuszczał, że z końcem wieku miasto nabierze tempa rozwoju, a tętniący w jego obrębie Księży Młyn stanie się na długo wyznacznikiem dobrobytu, finansowej potęgi i symbolem łódzkiego stylu życia kształtowanego wokół włókienniczej gałęzi przemysłu. To właśnie przemysł był *spiritus movens*, który zdecydował o niezwykłym rozwoju naszego miasta. Już w roku 1853 Oskar Flatt w książce zatytułowanej *Opis miasta Łodzi pod względem historycznym, statystycznym i przemysłowym* zauważył, iż: *Nie mamy w całym kraju miasta, któreby tyle co Łódź zawdzięczało przemysłowi – miasta, któreby przez przemysł z zupełnego zapomnienia, z zupełnej nicości, podniosło się na ten stopień zamożności i rozwoju; miasta, w któreby wydatniej przejawiało się życie fabryczne – słowem, miasta więcej typowo-fabrycznego. Łódź przoduje u nas całemu przemysłowi bawełnianemu i przez to na szczególną zasługuje uwagę (...)*<sup>1</sup>.

Jedne z większych zasług w zakresie industrializacji i modernizacji miasta przypisuje się Karolowi Scheiblerowi, potentatowi przemysłu bawełnianego, należącemu do najbogatszych ludzi dawnej Łodzi, będącemu właścicielem jednego z największych przedsiębiorstw włókienniczych Królestwa Polskiego w trzeciej ćwierci XIX stulecia. To on powołał do życia Księży Młyn wraz z zabytkową rezydencją Herbstów, wybudowaną dla najstarszej córki Matyldy i zięcia Edwarda.

To „miasto w mieście”, choć formalnie nie stanowi samodzielnej dzielnicy, jest odrębnym fragmentem miasta, sprawiającym wrażenie jakby czas zatrzymał się tu przed ponad stu laty. Olbrzymia bryła fabryki przędzalni, przypominająca kształtem monumentalne średniowieczne budowle z charakterystycznymi elementami obronnego zamczyska, przedstawia większą część zamierzenia architektonicznego, najprawdopodobniej jednego architekta Hilarego Majewskiego. Będący swoistym wyobrażeniem twierdzy kapitału, wyrażającej potęgę fabrykanckiego potentata, gmach zakładu zapewniał pracę i zarobek wielu łódzkim rodzinom. Dla nich właśnie, w trosce o dobro swoich pracowników, wybudował Karol Scheibler zespół charakterystycznych dla Księżego Młyna domów rodzinnych zwanych „famułami”, związując tym samym los robotnika z miejscem pracy. Mieszkalnym i fabrycznym budowlom towarzyszyły ponadto: konsum fabryczny, budynek straży pożarnej, szkoła i pierwszy w Łodzi szpital fabryczny. W ten sposób kompleks rezydencyjno-fabryczny



tworzył zamkniętą, całkowicie samowystarczalną całość, dodatkowo zamykaną na noc ogrodowym żelaznym parkanem od ul. św. Emilii (dziś ul. Tymienieckiego). Ta specyficzna, zainspirowana przez właściciela i pomysłodawcę planu Księżego Młyna konstrukcja „miasta w mieście” została wysoko oceniona przez „Przegląd Techniczny” (1882 r.), w którym podkreślano *dbałość Karola Scheiblera o dobrobyt swoich pracowników*. Pięć lat później realizację owego założenia nagrodzono honorowym dyplomem pierwszej klasy na wystawie „hygienicznej” w Warszawie<sup>2</sup>. Fabrykanci manifestacyjnie zaznaczali swoją więź z pracownikami. Przejawiało się to w usytuowaniu willi i rezydencji stawianych w pobliżu przędzalni, stanowiących element dopełniający całości założeń architektonicznych zespołów pałacowo-fabrycznych, charakteryzujących Łódź i niespotykanych nigdzie w kraju. Imponujący swymi rozmiarami kompleks Księżego Młyna był tożsamy z założeniami budownictwa europejskich projektów, powstających w tym samym czasie, co łódzkie „miasto” Scheiblera przy Wodnym Rynku. Pierwsze próby stworzenia takich przemysłowo-mieszkalnych osiedli podjęte zostały w Anglii (pod Londynem stanął zespół architektoniczny Bedford Park), następne na terenie Niemiec (przykład zakładów Kruppa w Essen)<sup>3</sup>. Mimo iż wielki potentat Karol Scheibler nie był odosobniony w swych dążeniach do stworzenia zwartej kompleksu fabryczno-mieszkalnego, to jednak właśnie rezydencja Herbstów wraz z okolicznymi famułami tworzącymi całość architektoniczną, stanowi po dziś dzień perłę XIX-wiecznego życia i obyczajowości.





Zbudowana z przeznaczeniem na prezent ślubny dla młodej pary Matyldy i Edwarda Herbstów willa na Księżym Młynie w założeniu architekta nawiązywała stylistycznie do włoskiego renesansu. Nieobce są jej i elementy ówczesnych tendencji podyktowanych modą i swoistą więzią fabrykanta z fabryką, przejawiającą się w alegorycznej ornamentyce. Często pojawiają się zdobienia nawiązujące do tematyki związanej z przemysłem włókienniczym i handlem: młot, kowadło, wrzeciono, szpula itp. Zastosowanie tychże detali zarówno w architekturze wnętrza, jak i na zewnątrz budynku (w rezydencji Herbstów we froncie domu skierowanym ku przedziałni znajduje się prządka z motkiem przędzy w dłoniach) stanowiło niezmienny element całości układu kompozycyjnego.

A jak było naprawdę? Możemy jedynie wysnuwać hipotezy w oparciu o znikome informacje o życiu rodziny Herbstów, podpierając się znajomością XIX-wiecznej obyczajowości i sytuacji życia w tamtych czasach. Rewolucja przemysłowa zapoczątkowana w XIX stuleciu przyniosła bowiem olbrzymie przemiany społeczno-gospodarcze, doprowadzając do jeszcze wyraźniejszego podziału społeczeństwa na klasę panującą i bogaczącą się inteligencję przemysłową, na której drugim biegunie ledwie funkcjonowała ludność robotnicza pracująca w wielkopańskich fabrykach. Z jednej strony żyjący w biedzie podwładni wielkiego potentata, z drugiej zbytek i luksus życia fabrykanckiej rodziny, obserwowany chociażby na przykładzie wystroju wnętrz pałacowych – same przez się rysują obraz złożoności oceny.

### Fabryczny szyk

Usytuowana nad dawną rzeką Jasięnią rezydencja Herbstów w układzie kompozycyjnym wewnątrz realizowała założenia funkcjonalności. Ku wygodzie mieszkańców jednopiętrowy budynek willi przy ul. Przędzalnianej stanowił wyraz bogactwa, przepychu i umiłowania sztuki graniczący niekiedy z przytłaczającą różnorodnością stylów. Eklektyzm pałaców i willi łódzkich przemysłowców kpiarskim tonem potraktował na kartach *Ziemi obiecanej* Władysław Reymont: (...) *domy ogromem i wspaniałością podobne do muzeów, a które były składami gotowego towaru; domy przeładowane ozdobami w różnych stylach, bo na parterze renesansowe kariatydy podtrzymywały murowany ganek w staroniemieckim stylu, nad którym drugie piętro ę la Louis XV wdzięczyło się falistymi liniami w obramowaniu okien, a zakańczyły je facjatki pękate, podobne do pełnych szpułek (...). Była to zbieranina, śmietnik wszystkich stylów, stosowanych przez murarzy, najeżona wieżyczkami, oblepiona sztukateriami, które wciąż oblatywały(...)*<sup>4</sup>. To, co tak szyderczo zarysował noblista, w owych czasach było symptomem wyszukanej kultury właścicieli czy parwienusowego bogactwa, a nie – jak twierdzą niektórzy – dowodem braku dobrego smaku i artystycznego bezguścia.



historia



Parter domu zajmowały pomieszczenia o charakterze recepcyjnym, których stylizacje cechowała większa dbałość o detale. Najważniejsze wnętrza na parterze stanowiła jadalnia, w której spędzano większość czasu, w myśl panujących podówczas przyzwyczajzeń i gustów smakowych, które nie odbiegały zasadniczo od staropolskich wzorów. Mimo iż już druga połowa XVIII wieku przyniosła tradycyjnej polskiej kuchni, pełnej ostrych przypraw i tłustych potraw, nowe reformatorskie tendencje kulinarne, rezygnujące z dotychczasowych przyzwyczajzeń graniczących z obżarstwem, trwający nieraz kilka długich godzin pierwszy posiłek przeciągał się do pory obiadowej z deserem i poczęstunkiem w innych pokojach. Tak postępowano zazwyczaj jedynie w dni wolne lub w obecności gości, bowiem codzienny tryb życia domowników nie pozwalał na biesiadowanie do późnego wieczora. Na dużym, rozsuwanym stole zmieniały się kolejno coraz nowsze dania. Twaróg z kminkiem będący ulubionym dodatkiem do chleba ustępował miejsca potrawom z *mięś rozmaitych komponowanym, pasztetom*

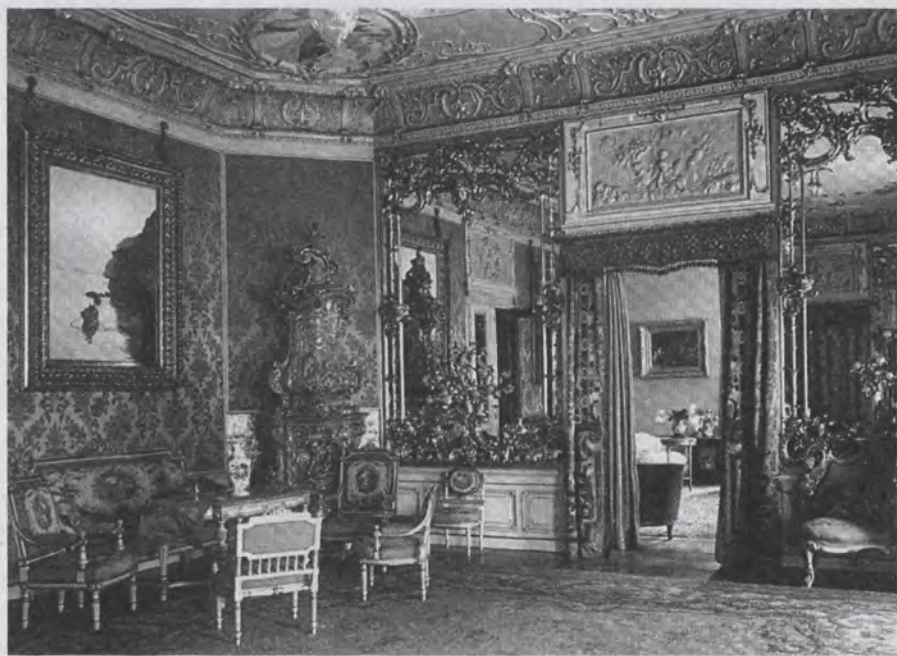
*przewybornym*<sup>5</sup>, pierogom nadziewanym różnymi specjałami. Gustowano także w kołaczach, podplomykach, farszach różnorodnych, bulionach i francuskich ciastach. Wszystko to zakrapiane dobrymi trunkami lub w przypadku dam -napojami słodzonymi już nie miodem, a cukrem – nie zniechęcało do staropolskiej kuchni z żurem, barszczem, kapuśniakiem czy grochówką ze słoniną, a w gorące letnie dni – chłodnikiem lub zupami owocowymi. Po posiłku panie udawały się do salonu zwanego środkowym (ze względu na jego usytuowanie), gdzie delektowano się w czasie rozmowy kawą lub herbatą z dodatkiem sucharków. Neorokokowy wystrój wnętrza z miłym ciepłem płynącym z kominka i malarskimi ujęciami przedstawiającymi *putta*, wygodne kanapy i fotele sprzyjały relaksowi po ciężkostrawnym posiłku, przy okazji służąc wymianie towarzyskich nowinek, wieści z zakresu mody i sztuki lub stawianiu, bardzo modnej wówczas w kręgach towarzyskich, kabały z kart. Niekiedy pani domu zapraszała gości do salonu orientalnego, charakterystycznego dla rezydencji z tego okresu. Umiłowanie sztuki japońskiej przez bogatych fabrykantów wyrastało w większej mierze z panującej ówczesnie mody, niż z własnego gustu. Tę tendencję, zakrawającą na ślepe przejmowanie wzorów, jeden z ówczesnych francuskich krytyków sztuki określił słowami: *To już nie moda, lecz zaślepienie. To szaleństwo*<sup>6</sup>. Utrzymane w stylu *empire* wnętrza, wypełnione orientalnymi zdobyczami właścicieli pochodzącymi z Dalekiego Wschodu, służyło celom reprezentacyjnym, eksponując kolekcje sztuki japońskiej; były tu wazony, talerze, orientalne meble czy barwne japońskie drzeworyty. Panowie udawali się zaś do salonu myśliwskiego. Tam, przy fajce lub cygarze, toczyli rozmowy o polityce, myślistwie i interesach lub spędzali czas przy karcianych stolikach, grając w wista (prawnik brydża), bilard lub niewyparte nawet przez modną podówczas grę w karty – szachy. Zdobiące wnętrza sceny z polowań i pejzaże rodzajowe dopełniały klimatu pomieszczenia. Wraz z nadejściem pory podwieczorku goście na powrót zbierali się przy stole, w salonie lustrzanym lub w cieplejsze dni w ogrodzie, gdzie podawano różne gatunki serów twardych i suszonych jako przystawkę przed ciastami i owocami. Przepych i elegancję neorokokowego salonu z elementami klasycyzmu, dopełniały ściany zdobione olbrzymimi lustrami potęgującymi wrażenie bogactwa. Meble w stylu Ludwika XV i XVI, kanapy w stylu *confident* sprzyjające poufnym rozmowom, wszystko to tworzyło niepowtarzalny klimat, uzupełniany włoskim malarstwem zaczerpniętym ze źródeł mitologicznych.

Wizyty gości rzadko przeciągały się do późnego wieczora, gdyż pan domu, zajmujący stanowisko dyrektora naczelnego zarządzającego scheiblerowskim przedsiębiorstwem, wczesnym rankiem rozpoczynał pracę w przędzalni swego teścia. Edward Herbst zasiadał ponadto w zarządach, pełniąc funkcję członka w wielu gospodarczych instytucjach. Był Prezesem Miejskiego Łódzkiego Towarzystwa Kredytowego, a także piastował z nominacji godność radnego w łódzkim magistracie. Liczne obowiązki wiążące się ze sprawowaniem tychże urzędów nie przeszkadzały Herbstowi w umiejętności rozgraniczania spraw osobistych od zawodowych. Stąd rzadko gościł interesantów w prywatnej posiadłości, większość z nich przyjmując w biurze fabryki.

Posiadał jednak w swojej rezydencji gabinet do tego celu przeznaczony. Neorenesansowy wystrój pomieszczenia z dębowym biurkiem i skórzanymi fotelami tworzył klimat chłodnej elegancji, wskazany przy rozmowach o interesach. Jednak i tu znać ślady czy kobiecej ręki pani Matyldy, czy sentymentu pana domu, w postaci rodzinnych fotografii zdobiących ściany gabinetu, zdjęć przedstawiających fabrykę Scheiblera i jego marmurowe popiersie.

Godziny popołudniowe aż do kolacji spędzali Herbstowie zazwyczaj w gronie najbliższych. W salonie rodzinnym, usytuowanym w części mieszkalnej rezydencji na pierwszym piętrze, spotykano się w celu wspólnej lektury czy muzykowania przy akompaniamencie fortepianu. Edward Herbst zasiadał z książką w bibliotece, podczas gdy jego żona oddawała się bardzo popularnym w XIX stuleciu robótkom ręcznym czy pisaniu listów w jednym ze swoich prywatnych apartamentów.

Codziennie życie rodziny niemieckich fabrykantów toczyło się własnym torem, niekiedy zakłócanym wizytami towarzyskimi znajomych, którzy przyjeżdżali w odwiedziny na przysłowiową kawę, czy spraszanych spotkań o charakterze rodzinnym. Zdarzało się zapewne czasami, iż rezydencja Herbstów przez chwilę bardziej niż zwykle tętniła życiem, odmiennym od codzienności. W dzień powszedni pełniąca funkcję przestronnego salonu recepcyjnego – sala balowa – stała się wówczas miejscem rozbrzmiewającym tonami muzyki, wypełnionym gwarem rozmów i tańcem. Rozmieszczeni na balkonie muzycy przygrywali zgromadzonym gościom do tańca, zazwyczaj rozpoczynając bale słynnym *Polonezem As-dur* Fryderyka Chopina. Szukający odpoczyn-



ku goście znajdowali chwilę wytchnienia bądź na świeżym powietrzu w otaczającym posiadłość przyległym parku, bądź w chłodniejsze dni w ogrodzie zimowym, sąsiadującym z pomieszczeniem sali balowej. Tam przechowywano przez zimę drzewka pomarańczowe lub inne sadzonki, zdobiące parkowe alejki porą wiosenno-letnią.

Stan wyposażenia powozowni rodziny Herbstów pozwalał mieszkańcom odbywać przejażdżki powozami po mieście. W okresie zimowym, zwykle w ostatnim okresie karnawału, popularny był również kulig, organizowany przez kilka zaprzyjaźnionych rodzin.

### Sokolniki i „Korczak”

Jednak nie tylko na zabawie i przyjemnościach upływał czas członkom fabrykanckiej rodziny. Herbstowie znani byli ze swojej hojności, raz po raz wykazując się filantropijną działalnością na rzecz swoich pracowników, szczególną opieką otaczając dzieci. Zwłaszcza Matyldę Herbst uznawano za kobietę o złotym sercu. Po jej śmierci odnotowano w „Kurjerze Warszawskim”: *Była to indywidualność niepospolita i niezwykle popularna dzięki swej hojności, osobistej skromności i dbałości o potrzeby szerokiej mas<sup>7</sup>*. To właśnie za sprawą rodziny Herbstów powstał pierwszy w kraju szpital dziecięcy w Łodzi, nowoczesna, doskonale wyposażona placówka, której fundatorami byli w głównej mierze Edward i Matylda, wspomagając tym samym wieloletnie starania doktora Karola Jonschera stworzenia instytucji o takim charakterze. Szczególnie wrażliwi na los dzieci po śmierci swojej jedynej i najmłodszej z czworga pociech dziesięcioletniej córki – Anny Marii, zaopatrzyli Herbstowie szpital, noszący początkowo imię ich zmarłej córki (dziś bardziej znany Łodzianom jako szpital im. Janusza Korczaka) w instytut ortopedyczny, aparat rentgenowski i bibliotekę. Jednakże pamięć o pierwszej patronce placówki i rodzinie Herbstów będących jej fundatorami, do dziś jest kultywowana. W setną rocznicę powstania szpitala na honorowym miejscu zawisły pamiątkowe tablice ku czci Anny Marii i jej rodziców, dotychczas przechowywane w pomieszczeniach magazynowych. Z tej okazji, dla uczczenia jubileuszu, 22 maja 2005 r. odbył się koncert w kościele pod wezwaniem św. Mateusza (w którym kaplicę zwaną kaplicą Mateusika także ufundowali Herbstowie), a 4 czerwca – uroczystości w rezydencji niemieckich fabrykantów, upamiętniające powstanie sto lat temu szpitala dziecięcego im. Anny Marii<sup>8</sup>.

Doceniając zasługi niemieckiego małżeństwa fabrykantów dla Łodzi, ufundowano specjalnie dla nich pamiątkową kasetę z portretem Anny Marii i figurkami donatorów ze złoczonego brązu, stanowiącą wyraz wdzięczności za ich wkład w rozwój miasta i pomoc socjalno-medyczną zagwarantowaną robotnikom scheiblerowskich zakładów bawełnianych. Matylda i Edward Herbstowie nie ograniczali się jedynie do finansowego wsparcia placówki. Pod koniec XIX stulecia Matylda Herbst, z myślą o dzieciach robotników zatrudnionych w fabryce swego ojca, zakupiła posiadłość w Sokolnikach, stwarzając możliwość wypoczynku najbardziej potrzebującym.

Działalność Herbstowej uhonorował rząd Rzeczypospolitej Polskiej przyznając jej Złoty Krzyż Zasługi. Ponadto Edward Herbst wspomagał wydawanie „Dziennika Łódzkiego”, stanowiącego kolebkę życia literackiego Łodzi lat 80. XIX w.

Na przykładzie obserwacji życia małżeństwa Herbstów, mając na uwadze ich wkład w prace na rzecz społeczeństwa, można zweryfikować wizerunek złego fabrykanta. Pomimo iż ówczesne warunki egzystencji ludności pracującej na rzecz potęgi fabrykanckich przemysłowców odbiegały od ideału, to jednak familia Herbstów włożyła dużo starań w poprawę sytuacji życia robotniczych rodzin. W świetle dzisiejszej wiedzy trudno dopatrywać się w poczynaniach małżeństwa Herbstów pobudek wyższego rzędu, idei na miarę rewolucji światopoglądowej. Mimo to ich egzystencja i filantropijna działalność potwierdzają tezę świadczącą o tym, iż jednak nie taki fabrykant straszny, jak go malują...

Małgorzata Wysocka  
– absolwentka filologii polskiej.

**Przypisy:**

1. O. Flatt, *Opis miasta Łodzi pod względem historycznym, statystycznym i przemysłowym (z planem miasta i ośmiu rycinami)*, Warszawa 1853, [w:] *Przedstowie*, s. VI.
2. *Łódź*, oprac. T. Karpiński, J. Szymański-Glanc, M. Z. Wojalski, Łódź 1998, s. 71.
3. *Ibidem*, op. cit. s. 70.
4. Wł. St. Reymont, *Ziemia obiecana*, Łódź 1987, t. 1, s. 99.
5. Informacje o polskich tradycjach kulinarnych i obyczajowości zaczerpnęłam z książki: T. Rojek, *Polski savoir-vivre*, Warszawa 1984.
6. *Rezydencja „Księży Młyn (dawny pałac Herbstów)”*, oprac. D. Berbelska, Muzeum Sztuki, Łódź, s. 25.
7. *Ibidem*, op. cit., s. 13.
8. Informacje z: „Dziennik Łódzki”, Nr 117, z dnia 20 maja 2005 r., s. 7.

# Pierwsze gimnazjum niemieckie w Łodzi

## *Nauczyciele i uczniowie*

Istniejąca w Łodzi Szkoła Powiatowa Specjalna, wcześniej znana jako Szkoła Powiatowa Niemiecko-Rosyjska, nie zapewniała wychowankom wystarczającej wiedzy ogólnej i zawodowej. Dawała ona abiturientom jedynie prawo dalszego kształcenia się w gimnazjum, którego Łódź wówczas nie posiadała.

Po upadku powstania styczniowego rosyjskie władze oświatowe zamierzały z Instytutu Politechnicznego i Rolniczo-Leśnego w Puławach wydzielić Instytut Politechniczny i przenieść go do Łodzi. Rozpisano konkurs na budowę gmachu Instytutu Politechnicznego, jako uczelni z trzema wydziałami: inżynierii cywilnej, mechaniczno-technologicznym i górniczym, remontowano tymczasowe pomieszczenia w budynku szkoły powiatowej i domu Jana Petera przy ul. Piotrkowskiej 13.

Inicjatywę, zgodną z życzeniami mieszkańców Łodzi, popierał namiestnik Królestwa Polskiego hr. Fiodor Berg. Suplika trafiła do gabinetu nowego rosyjskiego ministra oświaty hr. Dmitrija Tołstoja. Minister, negatywnie ustosunkowany do projektu przeniesienia Instytutu Politechnicznego do Łodzi, cofnął wcześniejsze gwarancje, utrzymał jednak w mocy statut łódzkiego niemieckiego gimnazjum realnego, zatwierdzony 17 stycznia 1866 roku. Namiestnik Berg wydał polecenie zamknięcia szkoły powiatowej z dniem 1 lipca 1866 i tymczasowego umieszczenia w jej gmachu przy Rynku Nowego Miasta (pl. Wolności) gimnazjum niemieckiego. Sprawę doboru kadry pedagogicznej władze oświatowe Królestwa powierzyły naczelnikowi Łódzkiej Dyrekcji Naukowej **Ernestowi von Bergowi** (ur. 11 listopada 1824 – zm. 26 listopada 1888).

Ten Infantczyk z pochodzenia nie był spokrewniony z hrabiowską rodziną von Bergów: Fiodor był namiestnikiem Królestwa, a Aleksander carskim szambelanem. Ernest Berg studiował medycynę i mineralogię na uniwersytecie w Dorpacie, a w czasie pobytu w Łodzi stał się gorącym zwolennikiem zorganizowania w tym mieście Instytutu Politechnicznego, pozyskując dla tego pomysłu urzędnika Komisji Rządowej Oświecenia Publicznego Królestwa Polskiego Fiodora Wittego.

Gdy jednak okazało się, że sprawa przeniesienia Instytutu Politechnicznego spaliła na panewce, naczelnik Berg rozpoczął intensywne poszukiwania odpowiedniej kadry pedagogicznej. Postanowił przyjąć sześciu nauczycieli z roz-



wiązanej szkoły powiatowej z dotychczasowym inspektorem, radcą dworu **Stanisławem Pragłowskim** na czele.

Pragłowski (ur. 1810) pochodził z Galicji, studiował filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim, od 1835 r. był nauczycielem gimnazjalnym w Łukowie i w szkole powiatowej w Siedlcach i Lublinie, a w latach 1862–1866 oprócz nauki języka polskiego pełnił obowiązki inspektora szkoły powiatowej w Łodzi. Berg zaproponował mu etat nauczyciela i pensję w wysokości tysiąca rubli.

**Robert Minkwitz** (ur. 1831 w Petersburgu) miał wykształcenie prawnicze, wcześniej był nauczycielem języka rosyjskiego w rosyjskich szkołach wojskowych, w łódzkim gimnazjum powierzono mu nauczanie języka i literatury rosyjskiej, geografii i historii Rosji i Polski, z pensją 1500 rubli, ale pracował krótko, bo brak jego nazwiska w spisie nauczycieli szkoły z roku 1868.

Naukę religii katolickiej przyjął ks. **Feliks Wabner** (ur. 1831), pochodzący z Wielkiego Księstwa Poznańskiego, nauczyciel szkoły powiatowej w Łodzi od 1862 roku. Cenili go bardzo łódzcy Niemcy. Zabiegali oni w Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych, Duchownych i Oświecenia Publicznego o powierzenie temu duchownemu zarząd parafią łódzką po zesłaniu dotychczasowego proboszcza Wojciecha Jakubowicza w głąb Rosji za popieranie powstania styczniowego. Jednak ks. Wabner naraził się władzom za odmowę wysłuchania przedślubnej spowiedzi katolickiej, która chciała wyjść za prawosławnego, sztabskapitana stacjonującego w Łodzi 6 Głuchowskiego Pułku Dragonów. Został za to ukarany grzywną w wysokości 25 rubli, co pozbawiło go możliwości objęcia zarządu nad łódzką parafią katolicką.

Nauczycielem religii mojżeszowej był **Jecheskiel Caro**, urodzony 26 listopada 1844 r. w Pniewach w Poznańskim. Był synem egzegety i homiletycznego pisarza Józefa Chaima Caro, rabina Włocławka. Kształcił się w gimnazjum w Bydgoszczy, ukończył seminarium rabiniczne we Wrocławiu (1861), studiował na uniwersytecie we Wrocławiu (1862–1865), uzyskał doktorat filozofii na uniwersytecie w Heidelbergu (1867). Przez pewien czas mieszkał w Łodzi, gdzie pełnił obowiązki kaznodziei tutejszej gminy niemiecko-żydowskiej i w pierwszym półroczu wykładał w łódzkiej szkole powiatowej, skąd przeszedł na etat nauczyciela religii mojżeszowej w gimnazjum niemieckim. Po zamknięciu gimnazjum wyjechał do Niemiec, gdzie zdobył uznanie jako pisarz historyczny. W łódzkim gimnazjum zarabiał tylko 300 rubli, w przeciwieństwie do prefekta Wabnera, który za takie samo pensum 14 godzin tygodniowo otrzymywał 800 rubli.

**Emanuel Raubal** (ur. 1820 na Górnym Śląsku) studiował we Wrocławiu (1842–46), później zaś był nauczycielem prywatnym w Poznaniu i od 1856 r. w Królestwie Polskim, w 1862 r. wykładał matematykę w szkole powiatowej i przeszedł do gimnazjum niemieckiego z pensją 1000 rubli. Nauczał tu arytmetyki w klasie I (8 godz.) oraz niemieckiego i polskiego w klasie II (7 godz.).

Ostatnim z sześciu nauczycieli, uprzednio zatrudnionych w szkole powiatowej, był **Michał de Gueldre** (ur. 1821 w Montjoie), absolwent konserwatorium w Brukseli, po 1840 nauczyciel muzyki w Królestwie Polskim, od 1862 nauczyciel śpiewu w szkole powiatowej w Łodzi. W gimnazjum niemieckim prowadził lekcje śpiewu w klasie IV z pensją 200 rubli za trzy godziny zajęć.

Berg odmówił zatrudnienia nauczycielom przedmiotów filologiczno-historycznych: **Felikswi Pajewskiemu**, **Józefowi Kornackiemu** i **Konstantemu Balczewskiemu**, nie zatrudnił też dotychczasowych nauczycieli przedmiotów fizyko-matematycznych: **Franciszka Rybki**, **Franciszka Dmowskiego**, rysunków i kaligrafii **Karola Frantza** oraz nauczyciela języka niemieckiego **Ludwika Smogorzowskiego**. Prawdopodobnie uznał za stosowne przyjąć do pracy pewniejszych politycznie od Polaków nauczycieli pochodzenia niemieckiego.

Sprowadził z Kurlandii **Fryderyka Beckmanna** (1818–1885), absolwenta farmacji uniwersytetu w Dorpacie (1842), powierzając mu stanowisko nauczyciela przyrody i chemii z pensją 1200 rubli i dodatek 300 rubli za pełnienie obowiązków inspektora gimnazjum oraz zwrot kosztów podróży i przeprowadzki.

Stanowisko nauczyciela języka i literatury niemieckiej objął **Karol August von Duisburg** (ur. 1831), który po odbyciu studiów uniwersyteckich we Wrocławiu i Berlinie, uwieńczonych doktoratem filozofii (1862), był nauczycielem prywatnym w Rydze (1864–1866). W łódzkim gimnazjum wykładał w klasach III–VII.

Z Kijowa pochodził **Antoni Jurkowski**, absolwent tamtejszego uniwersytetu, nauczyciel łaciny, w łódzkim gimnazjum wykładał rosyjski, geografii i historię. Szybko jednak zrezygnował z pracy.

Ofertę pracy złożoną przez Berga przyjął **Rudolf von Grofe** (ur. 1831 w Warszawie), absolwent uniwersytetu moskiewskiego, kandydat nauk fizyko-matematycznych (1852), ostatnio nauczyciel gimnazjum w Piotrkowie. W łódzkim gimnazjum wykładał mechanikę w klasach VI i VII. Piastował też stanowisko inspektora gimnazjum, odpowiadające stanowisku zastępcy dyrektora.

Po wyczerpaniu wszystkich możliwości pozyskania innych członków zespołu pedagogicznego, Berg udał się do Niemiec, gdzie znalazł kilku stosunkowo młodych kandydatów do podjęcia pracy w łódzkim gimnazjum.

Nauczanie matematyki powierzył **Johannowi Heinrichowi Benthinowi** (ur. 1831 w Holsztynie), absolwentowi politechniki w Dreźnie i Lipsku, gdzie niedawno otrzymał stopień doktora i później przez rok był zastępcą profesora w politechnice drezdeńskiej.

Doktorat posiadał również **Louis Burmester** (ur. 1840 w Holsztynie), absolwent politechniki w Hamburgu oraz uniwersytetów w Getyndze i Heidelbergu. Ukończył też kursy dla nauczycieli matematyki i nauk przyrodniczych na politechnice w Dreźnie. W Łodzi wykładał w wyższych klasach geometrię, stereometrię i fizykę.

Z Turyngii pochodził **Heinrich Balduin Weidner**, który studiował teologię i filozofię w Jenie (1863–1866). Został zatrudniony przez Berga jako nauczyciel geografii i historii Niemiec, Szwajcarii, Belgii, Holandii i Danii. Wszyscy trzej otrzymywali w Łodzi pobory w wysokości 1200 rubli każdy.

Z Fryburga z Badenii Berg sprowadził do Łodzi pastora **Friedricha Schneidera** urodzonego w 1840 r. w Dyminku (Demmin) w powiecie człuchowskim na Pomorzu, studiującego teologię w Erlangen i Halle, powierzając mu nauczanie religii ewangelickiej.

Do prowadzenia zajęć z kaligrafii i rysunków oraz gimnastyki zatrudniony został **Rudolf Alder** (ur. 1829 w Kłodzku), który po studiach w Akademii Sztuki w Pradze (1845–1847) i Berlinie (1850–1855) był nauczycielem rysunków i gimnastyki w Salzwedel i Ohrdruf w księstwie Sachsen-Coburg-Gotha.

Dość krótko był nauczycielem łaciny w łódzkim gimnazjum kandydat filozofii **Heinrich Boblenz** (ur. 1843 w Weimarze), absolwent uniwersytetu w Jenie. Zastąpił go na tym stanowisku sprowadzony później do Łodzi **Teofil Krasnosielski** (ur. 1841) z Poznańskiego, który studiował na uniwersytetach we Wrocławiu i Berlinie, a w latach 1862–65 był nauczycielem łaciny w gimnazjum kaliskim. 26-godzinne pensum lekcji z tego przedmiotu dzielił z **Karlem Schmidtem** (ur. 1823), absolwentem uniwersytetu we Wrocławiu, a później nauczycielem szkół powiatowych w Częstochowie i Wieluniu.

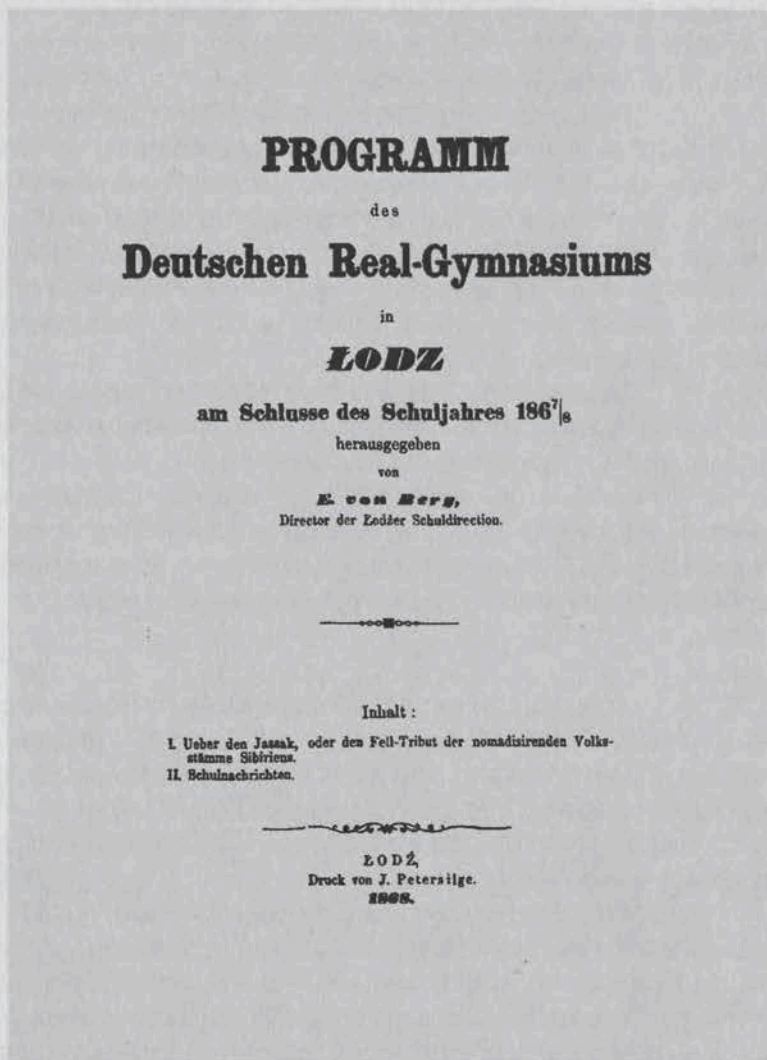
Nauczycielem rosyjskiego był w łódzkim gimnazjum **Jan Lebidinski** (ur. 1822 w Kijowie), absolwent Instytutu Pedagogicznego w Petersburgu, a później nauczyciel tegoż języka w wielu gimnazjach Moskwy i Petersburga. Pobierał aż 1500 rubli. Ponieważ etat nauczyciela języka rosyjskiego nie przewidywał zwiększenia pensum, w II klasie gimnazjum wykładowcą języka rosyjskiego został **Aleksander Plitsch** (ur. 1838), Łotysz, absolwent seminarium grecko-katolickiego w Rydze i Akademii Duchownej w Moskwie, późniejszy sekretarz arcybiskupa w Rydze i Mitawie.

Biblioteka szkolna nie była imponująca. Na koniec roku szkolnego 1867/68 liczyła zaledwie 196 książek i czasopism w 298 tomach. Najliczniej reprezentowane były książki dotyczące: nauki języka i literatury niemieckiej, rosyjskiej, geografii i historii powszechnej, geografii i historii Rosji i Polski, teologii, matematyki i mechaniki, kaligrafii i rysunków. Siedem książek w 21 tomach przekazał bibliotece dowódca głuchońskiego pułku dragonów.

Wśród uczniów gimnazjum przeważali łodzianie (150), pięćdziesięciu pochodziło z okolicznych miejscowości: Zgierza (25), Konstancyńska (12), Pabianic (8), Ozorkowa (5), kilku zamieszkiwało w wioskach wchodzących dziś w obręb miasta: Radogoszcz, Doły, Brus, Stoki. Byli przeważnie synami średnio zamożnych rzemieślników, właścicieli fabryk, nauczycieli, duchownych protes-

tanckich, ziemian, a wśród nich dwaj bracia Stokowscy ze Stoków. Większość uczniów była narodowości niemieckiej i wyznania ewangelickiego, sporą grupę stanowili katolicy, stosunkowo niewielu było wyznawców religii mojżeszowej. Pod koniec roku szkolnego 1867/68 wśród 219 uczniów było 130 ewangelików, 64 katolików i 25 Żydów.

Języka polskiego nauczano z klasach I-III z gramatyki polskiej Teodozego Sierocińskiego i wypisów z pisarzy polskich Maksymiliana Łyszkowskiego, wykład historii powszechnej, historii Rosji i Polski prowadzono na podstawie odkrytych złą sławą podręczników Dmitrija Howajskiego.



Z 362 uczniów, którzy w ciągu dwóch lat zostali przyjęci do gimnazjum, 215 dotrwało do końca drugiego roku istnienia gimnazjum, 143 opuściło mury szkolne, a spośród nich zaledwie ośmiu przeniosło się do innych szkół, zaś 135 rozpoczęło pracę zawodową. Rezygnacja z dalszej nauki tak wielkiej liczby uczniów nie tyle była związana z podwyższeniem czesnego z 12 do 20 rubli rocznie, ile z wysokimi wymaganiami ze strony grona pedagogicznego.

W ostatnim roku istnienia gimnazjum niemieckiego świadectwa maturalne otrzymało zaledwie czterech uczniów. Wilhelm Tydelski rozpoczął studia w Instytucie Inżynierów Cywilnych w Petersburgu, Władysław Knapski na politechnice w Rydze, Aleksander Bajer również udał się do Petersburga z zamiarem podjęcia studiów wyższych. Inni wychowankowie łódzkiego gimnazjum, po dokończeniu edukacji w Wyższej Szkole Rzemieślniczej, studiowali w petersburskim Instytucie Technologicznym chemię (Jakub Landau, Wincenty Bednarzewski, Marek Łudzki), mechanikę (Gustaw Hesse, Władysław Magnuski), w Instytucie Inżynierów Cywilnych (Henryk Drozdowski), w Cesarskiej Akademii Sztuk Pięknych (Józef Dietrich), w Instytucie Górniczym w Petersburgu (Leon Olex), w monachijskiej Akademii Sztuk Pięknych (Strzeżymir Adam Rawicz Pruszyński).

Wiosną 1868 r. wizytował łódzkie szkoły rosyjski minister oświaty hrabia Tołstoj i zapoznawszy się z programem nauczania łódzkiego gimnazjum niemieckiego zarządził przekształcenie Niemieckiego Gimnazjum Realnego w sześcioklasową Łódzką Wyższą Szkołę Rzemieślniczą z wykładowym językiem rosyjskim. Większość uczniów gimnazjum kontynuowała naukę w nowo powstałej uczelni. Mieściła się ona nadal w lokalu byłego gimnazjum.

Program nauczania nie odbiegał od norm wymaganych w szkołach realnych, ale uzupełniony był przedmiotami zawodowymi, takimi jak: nauka o maszynach, technologia chemiczna zastosowana do farbiarstwa i technologia mechaniczna, ze szczególnym uwzględnieniem metod przędzalnictwa i tkactwa.

W latach 1869–1904 opuściło tę szkołę blisko 750 absolwentów, którzy pracowali w przemyśle łódzkim oraz w innych miastach imperium rosyjskiego. Niektórzy z nich osiągnęli znaczne sukcesy w życiu zawodowym i społecznym. W nekrologach rodziny częstokroć z dumą podkreślały, iż zmarły syn, ojciec lub brat był wychowankiem Niemieckiego Gimnazjum Realnego i Łódzkiej Wyższej Szkoły Rzemieślniczej.

Wkrótce po przekształceniu gimnazjum realnego w szkołę rzemieślniczą władze oświatowe przeniosły von Berga na stanowisko kuratora do Kalisza. Po przejściu w stan spoczynku zamieszkał początkowo w Warszawie, a następnie w Rydze, gdzie zmarł 26 listopada 1888 r.

*Andrzej Kempa*

*– bibliotekarz, starszy kustosz dyplomowany; publicysta.*

# Pionierzy Teofilowa

## *Cmentarz bez pamięci*

Niemieckie cmentarze w Łodzi to głównie nekropolie parafii ewangelickich. Dzisiaj czynne są dwa, a zarządza nimi parafia św. Mateusza – przy ul. Ogrodowej i na ul. Sopotkiej. Przed wojną ewangelików chowano jeszcze na Dołach, przy ul. Chocianowickiej i przy ul. Skrzywana, gdzie dziś na miejscu cmentarza jest park.

W 1945 roku władze Łodzi rozpoczęły projekt pod nazwą „Wielka Łódź”, który przyłączył do miasta tereny sąsiadujące. W granicach znalazły się m.in. Ruda Pabianicka, osada karczemna Retkinia, wieś Lublinek, folwark Stoki, cała gmina Radogoszcz oraz Widzew. Powierzchnia Łodzi wzrosła blisko pięciokrotnie, choć ludności przybyło tylko 76 tys., gdyż w nowym obszarze znalazły się tereny przeważnie wiejskie. „Wielka Łódź” wchłonęła również przedwojenne osady niemieckie, rozlokowane na zachód od miasta. W 1945 roku były to tereny opustoszałe. Niemcy, którzy nie zdołali uciec, byli pozbawiani majątku i wysiedlani, a wszelkie ślady ich życia i pracy na tych obszarach zostały zarte. Nowa władza starała się zapomnieć o wcześniejszych gospodarzach. Ludność polska, która zaczęła napływać do nowych osiedli, nie interesowała się po kim zajęła miejsce.

Dzisiejszy Teofilów jest dzielnicą, której rogatki powstawały w latach 70. Rojna, jedna z jej ulic, biegnie wzdłuż czteropiętrowych bloków, przetykanych wieżowcami oraz małymi parkami. Socjalistyczni architekci stawiali na funkcjonalność osiedli-miasteczek, tak aby nie trzeba było jeździć do centrum Łodzi – są tu sklepy, szkoły, przychodnie, place zabaw. Kilkaset metrów później Rojna zamienia się w główną ulicę osiedla domków jednorodzinnych. Po lewej stronie stoją nowsze szeregowce, po prawej zbudowane z tej samej co bloki betonowej płyty rzędy domków. W przeciwieństwie do blokowiska, osiedle jest ciche i nikt nie obawia się tu spacerować po zmroku. Rojna dobiega do ulicy Szczecińskiej, za którą staje się luksusową dzielnicą willową. Jadąc wzdłuż ulicy, na krótkim odcinku jak na syntetycznej prezentacji, obserwować można ewolucję urbanistyczno-ekonomiczną Łodzi – od gierkowskich bloków z „warzywniakami” i maglem do strzeżonych posiadłości i prywatnych przychodni. Jednak niewielu mieszkańców wie, że ulica, która teraz nazywa się Rojna, miała już swój okres *prosperity* i istniała na mapach sto pięćdziesiąt lat temu, w obecnym kształcie przeprowadzona w końcu XVIII wieku przez osiedlających się tutaj kolonistów z Niemiec.

### **Legendy ulicy**

Zachodnie tereny dzisiejszej Łodzi podlegały napływowi niemieckich kolonistów od lat 80. XVIII wieku. W Europie zachodniej trwał wtedy gospodarczy *boom*, który spowodował

wzrost cen żywności oraz ziemi. Szczególnie przeludnione rejony północno-zachodnich Niemiec i Holandii zmusiły młodych rolników do emigracji. Polska, kraj ziem i lasów leżących odłogiem była dla nich idealnym miejscem do osiedlenia, wcześniejszą od przemysłowej „ziemią obiecaną”. Właściciele ziemscy zabiegali o kolonistów, dając im na kilkanaście lat w dzierżawę tereny na zagospodarowanie, czasem obarczając symboliczną, parodniową w ciągu roku, pańszczyzną. Osadników nazywano „olędrami” lub „holendrami”. Nie było to związane bezpośrednio z ich narodowością, ale umiejętnościami osuszania terenów podmokłych i lasów łęgowych położonych blisko rzek. Pustkowie, jakim były wówczas tereny wokół Łodzi, gdzie w 1793 roku mieszkało 190 osób, zaczęło zaludniać się niemieckimi kolonistami wyznania luterańskiego. Najstarszą osadą była Ruda Bugaj koło Aleksandrowa (1782 r.), następnie założono Pustkową Górę (1783 r.), Świędów (1792 r.) i należące dziś do miasta Żabieniec (1793 r.) i Radogoszcz (1794 r.).

Idąc ulicą Rojną dochodzi się do ulicy Wici. Po lewej stronie, pomiędzy barem piwnym i supermarketem jest porośnięty wysokimi lipami i dębami skwer o wielkości pięćdziesiąt na pięćdziesiąt metrów. Terenem nikt się nie opiekuje; zagospodarowali go na spacerów właściciele psów oraz klienci sklepu, którzy lubią kosztować tu piwo. Natomiast niektórzy mieszkańcy powiedzą coś więcej: tu był kiedyś niemiecki cmentarz. Wiedza ta funkcjonuje na osiedlu niczym lokalna legenda. Wiadomo, że cmentarz był, ale od kiedy i kto go założył? Znający skwer przypominają sobie jeszcze stojące dwadzieścia lat temu nagrobki. Nie ma po nich dzisiaj ani śladu. Uważny spacerowicz dostrzeże jednak pewne szczegóły; z leśnego runa wyłania się sieć alejek zbiegających się w półkolistym placu. Do dzisiaj przetrwały betonowe krawężniki ścieżek wyrzynających ślad w trawie niczym nekrolog zapomnianej nekropolii.

O zabytku nie wie Wojewódzki Konserwator Zabytków, mimo że w swoich rejestrach posiada wykaz wszystkich cmentarzy, które były na terenie Łodzi i województwa. Działka należy do gminy, na której mapach działka oznaczona jest jako teren rekreacyjny. Łatwiejsze okazało się ustalenie, czy rzeczywiście istniała tu jakaś niemiecka osada. Już *Mapa jeneralna woj. Mazowieckiego, ułożona według najlepszych źródeł przez Juliusza Colberg z 1826 roku* zaznacza Łódź oraz osadę Grabieniec, która według innych przekazów powstała przed 1796 rokiem. Wieś łatwo na starych mapach zidentyfikować, ponieważ sieć dróg nie zmieniła się od początku XIX wieku – tak samo biegła wtedy trasa Zgierz -Konstantynów (dziś ul. Szczecińska), istniały drogi ulic Rąbieńskiej i Aleksandrowskiej. W niezmiennym kształcie biegł przez wieś Grabieniec trakt, który dziś jest ulicą Rojną. Istnieje też zapis encyklopedyczny w *Słowniku Geograficznym Królestwa Polskiego z 1881 roku*, mówiący, że w 1827 roku we wsi Grabieniec, gmina Rąbień, powiat Zgierz, były 43 domy i 348 izb mieszkalnych. Dokumenty Zarządu Miejskiego, który po II wojnie światowej organizował „Wielką Łódź” wymienia Grabieniec jako teren przyłączony do powiększonego miasta. Dla Łodzian nazwa osady może być myląca, ponieważ dzisiejszy Grabieniec to osiedle przy ulicy Traktorowej, którego obszary wtedy były wsią Żabieniec.

### Zgierski ślad

Wsie w okolicach Grabieńca jak Rąbień, Kochanówka, Kały były pod jurysdykcją kościelną Aleksandrowa. Jednak Grabieniec należał do odleglejszej parafii zgierskiej. Powstała ona w 1822 roku, dwa lata później wzbogacając się o kościół i pastora, którym został Henryk Bando. Badania dotyczące zgierskich ewangelików są jednak utrudnione, gdyż we wrześniu 1939 roku bezpośrednio na kościół spadła bomba *Luftwaffe*, grzebiąc w ogniu dokumenty parafii. Odtwarzając losy niemieckich osadników-luteran na dzisiejszym Teofilowie, wesprzeć się można jedynie książką napisaną przez zgierskiego pastora Eduarda Kneiffa, który opiekował się zbozem w latach 1941–1945. W *Die evangelisch-angsburgischen Gemeinden in Polen 1555–1939* wlicza wieś Grabieniec jako filiał zgierskiej parafii. Innym ciekawym dokumentem jest zachowany w Archiwum Państwowym dziennik nauczyciela szkoły powszechnej w Grabieńcu Władysława Szrama, pisany w okresie międzywojennym. Jednak dokumentacja potwierdzająca samo istnienie cmentarza jest bardzo skąpa. Z dostępnych dowodów można wymienić tylko dwa. Jest to rosyjska mapa administracyjna i gminna z 1882 roku, używana później przez polskie ministerstwo rolnictwa i następnie przez Niemców w czasie wojny. Na jej kartach działka przylegająca do drogi opisana jest jako *kładbiszcze* (cmentarz) i należy do Wintera Gotlieba. W dzienniku Szrama nie ma jednak ani jednej wzmianki o cmentarzu, mimo że jak wynika w rosyjskiej mapy, szkoła z nim sąsiedowała. Drugim dokumentem jest wzmianka o cmentarzu zamieszczona w krótkiej nocie historycznej o wsi Grabieniec spisanej przez pastora Kneiffa, a opartej na ustnych przekazach.

### 3 maja kolonistów

Jak podaje Kneiffel w 1793 roku osiemnastu niemieckich osadników ewangelików nabyło od właściciela majątku J. Wyrzykowskiego z miejscowości Kały Duże 17 włók polskiego gruntu i założyło osadę Grabieniec. Z zapisków nauczyciela Szrama oraz księdza Kneiffa wynika, że Niemcy przede wszystkim zatroszczyli się o szkołę. Na darowanej przez właściciela majątku ziemi postawiono kryty strzechą budynek i w 1820 roku zatrudniono pierwszego nauczyciela nazwiskiem Buchholz. Szkoła ta spłonęła w 1863 roku, po czym została odbudowana jako murowany budynek. Niemiecki charakter wsi i okolic podkreśla Szram przytaczając liczby: po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w roku szkolnym 1919/20 zapisało się do szkoły 88 dzieci, wszystkie wyznania ewangelickiego; wieś miała 64 mieszkańców, w tym 17 Polaków. Spis powszechny przeprowadzony w Polsce w 1921 roku określa, że mieszkańców wyznania ewangelickiego było w gminie Rąbień 1363, a rzymskokatolickiego 1615. Silna mniejszość niemiecka właśnie w religii wyrażała swoją odrębność. Nawet władze gminne były w rękach Niemców – w 1927 roku wójtem Rąbienia został grabieniecki działacz i właściciel ziemski Daniel Goltz, a radnymi Robert, Jan i Gotfryd Kwastowie. Po 1918 roku jedynie szkoła powszechna utrzymywała łączność kolonistów z polską kulturą i historią. Niemieckie dzieci uczestniczą w obchodach polskich świąt narodowych organizowanych przez szkołę, mimo że brak w niej uczniów Polaków.





Szram opisuje uroczystość obchodów 3 Maja w 1925 roku, podkreślając zasługi Goltza w jej organizowaniu. Na uroczystej mszy odprawianej po niemiecku dzieci machają białoczerwonymi chorągiewkami, a nabożeństwo kończy się „okrzykiem na cześć Najjaśniejszej Rzeczypospolitej”. Następnie odbywa się pochód z pieśnią *3 Maj do Kochanówka* „gdzie w zakładzie dla umysłowo chorych przed każdym pawilonem odbyła się defilada”. Polskie święto niemieckich dzieci kończy się w Mikołajewie u Ernesta Golca, który częstuje uczestników pochodu „suto zastawionym stołem, kawą i ciastkami”. Już w 1927 roku (dwa lata wcześniej powstało Polskie Radio) szkoła

zakupiła radio Philips, dzięki któremu w czerwcu tego roku *obserwowano uroczystości przeniesienia prochów wielkiego wieszcza Polski Juliusza Słowackiego ze statku na Wiśle na łód w Warszawie*. Strzeliste lipy, które ocieniają dzisiaj ulicę Rojną, posadziły dzieci kolonistów w ramach corocznej akcji zalesiania okolicy. Niewielki Grabieniec organizuje, jak na swoje skromne możliwości, prężne życie społeczne. Istnieje kantorat, czyli ewangelickie miejsce spotkań i modlitwy założone w prywatnym domu. Tu powstaje w latach 30. chór męski – choć o takiej działalności już w XIX wieku pisze Kneifel. W 1932 roku trzydzieści dwie gospodynie z Grabieńca, w związku z kryzysem gospodarczym, zraszają się w stowarzyszenie Kobiet Ewangelickich. Organizują zbiórki dla najbardziej potrzebujących gospodarzy, przekazując im 150 sztuk odzieży, obuwie i 201 zł. Władysław Szram w swoim diariuszu chwali tutejszą, zdyscyplinowaną młodzież: *Zaznaczyć należy, że wśród tutejszej młodzieży nieznane są pijatyki, bijatyki lub rozprawy nożowe*.

Niekompletna i dość wrywkowa historia małej wsi Grabieniec, która dziś stanowi gęsto zaludnione osiedle łódzkie, jest pouczającym świadectwem współżycia niemiecko-polskiego w okolicach ówczesnej Łodzi. Można powiedzieć, że koloniści nie interesowali się krajem, w którym żyli, zamknięci w swojej społeczności wiejskiej i wyznaniowej. Polacy nie odgrywali w ich pracy i działalności żadnej roli. Pierwszy Polak, z którym mieli styczność, mógł być zgierskim urzędnikiem lub komisarzem szkolnym z Łodzi. Jednak o dobrym sąsiedztwie polsko-niemieckim świadczy właśnie swoboda, z jaką mogli pracować i organizować się podłódzcy Niemcy. Jedynie w szkole powszechnej młodzi koloniści mieli styczność z Polską. I uważali ją za swoją ojczyznę. Jak wynika z zapisków Szrama uczestnictwo kolonistów w polskim święcie narodowym było radosne i niewymuszone, tak jak słuchanie polskich audycji i wycieczki do łódzkich muzeów. Akcje sadzenia drzew to przecież wkład w bogactwo i dbanie o środowisko wspólnej ojczyzny pracujących na tej ziemi Polaków i Niemców.

### Historia zatacza koło

W połowie lat 80. w sąsiedztwie cmentarza spółdzielnia rozpoczęła budowę „szeregowców”. Na jednej z działek przyszły właściciel domu odkrył pod wierzchnią warstwą ziemi potężne fundamenty w kształcie prostokąta. Kamienna konstrukcja stawiała poważny opór podczas rozbiórki i opóźniła budowę. Fundamenty były ruinami po kościele, który miał być erygowany we wsi Grabieniec. Jak przytacza Szram i Kneifel, decyzję o jego wybudowaniu podjął w roku 1936 grabieniecki kantorat. Nauczyciel zaznacza, że plan utworzenia tu parafii umotywowany był powiększającą się w Grabieńcu liczbą mieszkańców-ewangelików. Kamień węgielny poświęcił jeszcze w tym samym roku ks. dr Juliusz Bursche, głowa Kościoła ewangelicko-augsburskiego w Polsce. Jego brat, Ernest, był pastorem zgierskim na początku XIX wieku. Projekt kościoła sporządził inż. Beurton ze Zgierza, miejsc siedzących miało być 350. Daniel Goltz podarował już pieniądze na ławki. Subwencję przyznał Konsystorz, sprzedawano cegielki na budowę świątyni. Prace szły bardzo sprawnie i już w 1939 stanął niezadaszony, w stanie surowym, kościół. Przed wojną odbyła się tu jeszcze confirmacja, która była jedynym nabożeństwem w kościele pod wezwaniem Wniebowstąpienia w Grabieńcu.

Dziennik polskiego nauczyciela oraz relacja pastora urywa się w roku 1939. Ten moment z kart archiwów wieje tragedią. Zorganizowana, aktywna, wciąż rozwijająca się wieś Grabieniec, mająca aspiracje, aby stać się parafią oraz posiadać szkołę o wyższym stopniu edukacyjnym, przestaje po wojnie istnieć. Kończy się stu pięćdziesięcioletnia, niemiecka obecność na tych terenach. Nagrobki grabienieckiego cmentarza zapadły się obrastając mchem. Niewykończone mury kościoła rozebrali po wojnie

do fundamentów okoliczni chłopcy, łaząc się na niemiecką cegłę. Daniel Goltz, społecznik i fundator grabieniecki, wyemigrował do Kanady. Rodziny Kwastów, Kuhnów, Rymplów, Grunbergów, Gotliebów zostały wysiedlone bądź uciekły wcześniej przed Sowieciami. Swoich przodków zostawili na wiejskim cmentarzu, w bezimiennych dzisiaj grobach. Tereny na zachód od cieszącej się wyzwoleniem Łodzi ziały pustką porzuconych domostw. Pola i lasy stały się równie bezлюдne, jak przed przybyciem niemieckich kolonistów. Nowi pionierzy tych terenów wznoszący wieżowce nie wiedzieli, że tutaj boleśnie i za szybko zakończył się jeden z wielu rozdziałów niemiecko-polskiego dobrosąsiedztwa.



**Baustein**  
zur Errichtung der  
Evangel.-Luth. Dorneljahrskirche  
in Grabieniec bei Lodz.

*Mateusz Sidor*

# Bractwo kurkowe 1824–1939

## *Lodzer Bürger Schützengilde*

Bractwa kurkowe jako organizacje ponad cechowe, skupiające w swoich szeregach przedstawicieli różnych rzemiosł, spełniały w społecznościach miejskich specyficzną rolę. O ile cechy rzemieślnicze i gildie kupieckie tworzone z myślą o ochronie interesów i przywilejów określonych grup zawodowych, o tyle korporacje strzelców reprezentowały wszystkich mieszczan stanowiąc organizację militarną danego ośrodka miejskiego. Stowarzyszenia te, skupiając mieszczan wyćwiczonych w strzelaniu, były oddziałami wojskowymi przygotowanymi do odparcia ataku nieprzyjaciela i kierowania całą obroną miasta. Z tego powodu bractwa kurkowe rozpowszechniły się szybko w całym kraju, zwłaszcza w miastach warownych, i cieszyły się dużym poparciem ze strony władców. Korporacje strzeleckie i ich członkowie otrzymywali liczne przywileje, a zwycięzcy dorocznych zawodów o miano „króla kurkowego” niekiedy nawet tytuły szlacheckie – dostrzegano bowiem w bractwach ważne ogniwo w systemie obronnym państwa.

Z czasem, gdy organizacja prawna i wojskowa państwa zaczęła ulegać głębokim przemianom, a co za tym idzie, pojawiły się wojska zawodowe, zaś znaczenie miast jako głównych punktów w systemie obrony kraju zmalało, organizacje strzeleckie zatracaly stopniowo swój militarny charakter przekształcając się w stowarzyszenia o cechach korporacji sportowo-towarzyskich.

Do upadku Rzeczypospolitej szlacheckiej bractwa kurkowe stanowiły rodzaj szkoły, w której uczono strzelać z łuku, kuszy, a później z broni palnej – arkebuzów, rusznic i hakownic. W XIX wieku bractwa miały już tylko charakter organizacji sportowo-towarzyskich, skupiając w swoich szeregach przedstawicieli zamożnego mieszczaństwa – drobnej burżuazji, kupców, właścicieli zakładów rzemieślniczych, kamieniczników, ludzi wolnych zawodów.

Obok zgromadzeń rzemieślniczych, resurs kupieckich i innych podobnego typu organizacji tworzących ściślejsze więzi społeczne niemal wyłącznie w poszczególnych grupach zawodowych, w większości nowo powstałych osad przemysłowych Królestwa Polskiego, pierwszymi i najczęściej przez dłuższy okres czasu jedynymi organizacjami o charakterze kulturalnym były gildie strzeleckie. W łódzkim okręgu przemysłowym pierwsza gildia rozpoczęła swoją działalność jeszcze w czasach Księstwa Warszawskiego, krótko po 1812 roku Towarzystwo Strzeleckie w Ozorkowie. W 1822 roku podobne bractwo utworzono w Aleksandrowie, następnie w 1824 roku w Łodzi i Konstantynowie, a dopiero w 1836 roku w Zgierzu. Ponowny wzrost zainteresowania bractwami strzeleckimi przypadł na lata pięćdziesiąte XIX wieku – powstały

wówczas stowarzyszenia w Pabianicach, Turku i Zduńskiej Woli (1853), Tomaszowie (1854), Kaliszu (1858) oraz Gostyninie (1859). Ich statuty, spisane dopiero w pierwszych latach XX wieku, zawierały bogaty program działalności, jednak w rzeczywistości bractwa ograniczały najczęściej swoją aktywność do ćwiczeń i zawodów strzeleckich oraz wieńczących je festynów, biesiad i zabaw tanecznych.

### **„Zabawy za granicą używane”**

Łódź jako mała osada miejska, nigdy nie posiadająca murów obronnych i nie stanowiąca w systemie militarnym państwa czy dzielnicy ważnego ośrodka o charakterze obronnym, nie wytworzyła do XIX wieku organizacji strzeleckich. Do powstania takiego bractwa w Łodzi i innych osadach fabrycznych przyczyniali się imigranci z krajów, w których takie organizacje działały od dawna oraz działania ze strony władz administracyjnych Królestwa Polskiego. Podstawę prawną organizowania w osadach fabrycznych towarzystw strzelców tarczowych stanowiły decyzje namiestnika królewskiego z dnia 23 i 28 marca 1821 roku nadające zagranicznym „fabrykantom” przywileje dotyczące „zabaw za granicą używanych”. W tzw. umowie zgierskiej z 30 marca 1821 roku – będącej aktem prawnym zawartym między komisarzem Wojewódzkiego Wydziału Administracyjnego Komisji Województwa Mazowieckiego, działającym w imieniu rządu a sukiennikami w sprawie warunków osiedlenia się i założenia warsztatów rzemieślniczych – w art. 22 zapisano: „Towarzystwo strzeleckie może być urządzone z zastosowaniem się do powszechnego prawa, ale przez rząd jako prywatne uważane będzie”.

Łódzkie Towarzystwo Strzeleckie (ŁTS) – Lodzer-Bürger-Schützen-Gilde – założyło w Wielkanoc 1824 roku kilku osadników, przybyłych we wrześniu roku poprzedniego ze śląskiego Grünebergu – fabrykanci sukna Johann i Gottlieb Fiedlerowie, Gottlieb Sauberlich, Samuel Felsch, Johan Strauch, Beniamin Pietsch, postrzygacz sukna Karol Bezille i ślusarz Anton Stenzel. Na pierwszego komendanta strzelców wybrany został Johann Fiedler. Początkowo bractwo liczyło tylko 12 członków posiadających zaledwie trzy strzelby – resztę wyposażenia uzupełnił mistrz stolarski Gottlieb Trautmann, który posiadał w naprawie znaczną ilość broni z rosyjskiego garnizonu wojskowego w Brzezinach. Tenże Trautmann wykonał pierwszą tarczę strzelecką oraz stołek (tron) „królewski”, którym uhonorowany miał być zwycięzca zawodów. Ułożono wówczas wewnętrzny statut bractwa i wyznaczono nagrody dla najlepszych strzelców. Pierwsze składki członkowskie na pokrycie ponoszonych kosztów organizacyjnych ustalono w wysokości 2 florenów (złoty) i 6 groszy.

W kalendarzu imprez towarzystwa strzeleckiego najważniejsze miejsce zajmowało strzelanie królewskie, w wyniku którego najlepszemu strzelcowi nadawano tytuł Króla Kurkowego, drugi zawodnik w konkursie otrzymywał miano marszałka. Były to zawody o najstarszym rodowodzie, rozgrywane zawsze we wtorek i środę po Zielonych Świątkach, w których startowali wszyscy członkowie towarzystwa. W imprezie tej uczestniczyły także rodziny zawodników i liczni goście. Absencję w zawodach usprawiedliwiały tylko choroba lub wyjazd z miasta.

Pierwsze zawody strzeleckie w Łodzi odbyły się we wtorek i środę po Zielonych Świątkach, 7 czerwca 1824 roku. Do 1841 roku miejscem rozgrywania zawodów strzeleckich były tereny niewielkiego piaszczystego pagórka na obszarze folwarku Stara Wieś, gdzie w latach trzydziestych usytuowano cegielnię (adres z okresu międzywojennego – ulica Wschodnia 31). Po odbyciu nabożeństwa w kościele Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny na Starym Mieście, strzelcy maszerowali w zwartym szeregu na miejsce zawodów przy dźwiękach instrumentów dętych (grali bracia Orst pochodzący z Zielonej Góry), następnie przytwierdzali tarczę na rosnącej tam sośnie, za którą porastał jeszcze wówczas gęsty las. Strzelano z odległości 130 kroków. Pierwszym królem kórkowym został na 1825 rok starszy Zgromadzenia Sukienniczego Gottlieb Strauch (tak liczono lata „panowania”, mimo iż zawody rozegrano w roku 1824). Zgodnie ze starym zwyczajem towarzystw strzeleckich, króla kurkowego w asyście pozostałych członków bractwa poprowadzono przy dźwiękach muzyki do drewnianej karczmy Jana Adamowskiego – pierwszej budowli w Rynku Nowego Miasta (plac Wolności 9) – gdzie zwycięzcy i pokonani urządzili bal (od 1835 roku bale urządzano w lokalu „Paradyzu” przy ulicy Piotrkowskiej 175a). W 1826 roku ŁTS ufundowało pierwszą własną chorągiew (druga pojawiła się w 1857 roku), a w trzy lata później подарowano ówczesnemu królowi kurkowemu Krystianowi Teuchertowi pierwszą wstęgę królewską, którą z dodaniem kolejnych trofeów przekazywano następcy. Drugą wstęgę wręczono królowi kurkowemu w 1844 roku – Tytusowi Kopischowi, a trzecią w 1864 roku. Pierwsza wstęga marszałkowska pojawiła się dopiero w 1851 roku (marszałek Josef Höcke).

### Pierwsi Polacy kurkowi

W latach następnych tytuły króla kurkowego zdobywali również Polacy – ówczesny burmistrz Łodzi Antoni Czarkowski (1826), kasjer miejski Jan Gozdowski (1827), Franciszek Gozdowski (1828), przedsiębiorca Andrzej Jezierski (1848, 1867), Edward Jezierski (1891), jednak najczęściej najwyższe laury streleckie przypadają imigrantom – wśród nich byli między innymi: właściciel manufaktury Iniano-bawełnianej Tytus Kopisch (1839, 1844), kupiec Karol Graeber (1843), zegarmistrz Gottfried Millsch (1852), dzierżawca polowania na gruntach miejskich Karol Schulz (1859), przemysłowiec Franciszek Kindermann (1890). W 1826 roku bractwo kurkowe otrzymało od przebywającego w Łodzi prezesa Komisji Województwa Mazowieckiego i radcy stanu Rajmunda Rembielińskiego obietnicę uzyskania nowego placu na tor strzelecki, co zapewne było związane z zamiarem budowy cegielni miejskiej w pobliżu miejsca strzelań, jednak jeszcze przez szereg lat zawody odbywano tradycyjnie na gruntach dawnego folwarku.

Działalność Łódzkiego Towarzystwa Strzeleckiego została ograniczona już w końcu 1830 roku i zawieszona w latach 1831–1833, gdy część jego członków pochodzenia polskiego wstąpiła do szeregów powstańczych, a władze carskie w drodze administracyjnej zakazały strzelań kurkowych. Po upadku Powstania Listopadowego i po uzyskaniu zezwolenia Rady Administracyjnej Królestwa Polskiego (zawiadomienie

sekretarza stanu z 11 lipca 1833 roku) działalność ŁTS została wznowiona, jednak odbywała się pod stałym nadzorem policyjnym.

Łódzcy strzelcy zapewne spodziewali się, że już wcześniej – w 1832 roku – będą mogli wznowić zawody, bowiem w maju tego roku zamieścili w warszawskiej „Gazecie Codziennej” ogłoszenie: „W dniach 1 i 2 czerwca rb., tj. w przyszły wtorek i środę odbędzie się w m. Łodzi, powiecie Łęczyckim, doroczna uroczystość strzelania do tarczy przez członków Towarzystwa Strzeleckiego. Dla wygody przybyć zamierzających gości i ułatwienie komunikacji -kursować będzie regularnie omnibus między Łodzią a najbliższą stacją kolei żelaznej w Rokicinach”.

Ostatecznie zawody wyznaczono na 1834 rok (zwyciężył Józef Krystian Augst). Zadbano wówczas o jednolite umundurowanie strzelców – w pierw był to mundur w kolorze zielonym (podobny do munduru burmistrzowskiego), później mundur sukieny szary z czarnym kołnierzem, spodnie sukienne luźne (pantalony), kapelusz czarny z wywiniętą połową ronda i zielonym wiszącym piórem. Regulamin towarzystwa strzeleckiego oparto na wzorcach wojskowych. Liczba stałych członków wzrosła do 140, a następnie do 166 osób, natomiast składki członkowskie pozwoliły bractwu wynajmować pomieszczenia klubowe w zajeździe Adamowskiego oraz nadać uroczystościom większą rangę i lepszą oprawę. W 1835 roku towarzystwo wybudowało na starym placu strzeleckim drewnianą szopę, która pełniła rolę stałej siedziby bractwa.

W 1842 roku plac strzelecki został przeniesiony do nowego ogrodu miejskiego Źródlika przy Szosie Rokicińskiej (obecnie aleja marszałka Józefa Piłsudskiego), w centrum tzw. Nowej Dzielnicy. W tym czasie zmieniły się władze bractwa – na wiele lat (1844–1877) komendantem ŁTS został wybrany właściciel przedsiębiorstwa produkującego pojazdy (powozy, bryczki, wozy furmańskie) Michał Kunkel. Po nim komendantem był mistrz budowlany Teodor Rudziński, a następnie Edward Jezierski. Liczba członków bractwa ulegała częstym wahaniom – w 1851 roku wynosiła 140 osób, w 1888 roku – 113. W 1847 roku kosztem 996 zł i 18 gr zegarmistrz Gottfried Milsch ufundował dla bractwa pierwszy dom strzelecki, przypominający formą typowy dom tkacza. Wnętrze zdobiły tarcze strzeleckie i trofea, natomiast w szafach i na ścianach umieszczono broń i akcesoria strzeleckie. W widocznym miejscu wisiała ozdobna tablica z nazwiskami wszystkich królów kurkowych.

W 1849 roku zaczęto organizować dodatkowe zawody polegające na strzelaniu do wielkiego sztucznego ptaka osadzonego na wysokim drzewie za parkiem. Zwycięzał ten, który strącił ostatni fragment drewnianej figury, a nagrodą było 20 zł i tytuł króla podrzędnego. W latach późniejszych, zapewne ze względów bezpieczeństwa zaniechano tej zabawy. W 1853 roku Oskar Flatt pisał: „Bez wątplenia wiele jeszcze pozostaje do zrobienia przełożonym Towarzystwa, jeśli strzelnica tutejsza ma zbliżyć się do strzelnic w Królewcu, Poznaniu, Lwowie, ale co bądź, zawsze Zgromadzenie Łódzkie o wiele wyściga pod każdym względem wszystkie strzelnice po innych miasteczkach fabrycznych”.

### Scheibler usuwa gildię

W dowód wierności władzom zaborczym członkowie towarzystwa uzyskali 21 marca 1853 roku przywilej posiadania strzelb bez specjalnego zezwolenia. W tym też roku ŁTS otrzymało w darze od Warszawskiego Rządu Gubernialnego 4-morgowy plac zwolniony od podatku, jednak zawody strzeleckie wówczas nie odbyły się (nie było króla kurkowego na 1854 rok). Kiedy w roku 1855 przybył do Łodzi przysły potentat przemysłowy Karol Scheibler, władze miasta przekazały mu część parku Źródlika wraz z terenami dawniej należącymi do ŁTS, a jego rodzina zamieszkała tymczasowo w domku strzeleckim. W 1856 roku założono nowy tor strzelecki.

W końcu lat 50. XIX wieku łódzkie bractwo wystąpiło do władz administracyjnych o zgodę na budowę murowanej siedziby przy Wodnym Rynku (plac Zwycięstwa 4). W październiku 1859 roku Rząd Gubernialny w Piotrkowie przesłał w tej sprawie pismo do Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Duchownych. Jednak zaburzenia polityczne związane z wybuchem Powstania Styczniowego uniemożliwiły realizację tego projektu, a samo bractwo ponownie zostało zawieszona, w wyniku czego nie odbywano ćwiczeń i zawodów przez trzy lata (nie wyłoniono króla kurkowego w latach 1860–1863). Prezydent Łodzi Andrzej Rosicki w lutym 1863 roku raportował do wojennego naczelnika powiatu łęczyckiego o działaniach partii powstańczej na terenie miasta: "W liczbie około 300, uzbrojeni w pałasze, pistolety, fuzje i inną broń sieczną, weszli do tutejszego miasta od strony lasu miejskiego i strony traktu zgierskiego i udawszy się najpierw do Leopolda Hentschel, tkacza, u którego broń Towarzystwa Strzelców Tarczowych opieczętowana znajdowała się, takową w liczbie sztuk 72 zabrali...".

Po upadku powstania grono osób wpływowych, wywodzących się ze środowiska mieszczan pochodzenia niemieckiego, a jednocześnie nie obciążonych podejrzeniami o współpracę z ruchem powstańczym (m.in. Karol Scheibler, Gustaw Geyer, pastor Fryderyk Metzner) – uzyskało zgodę na reaktywowanie działalności ŁTS pod nazwą Lodzer Bürger Schützen-Gilde. Odtąd bractwo skupiało głównie zamożnych kamieniczników, kupców i przemysłowców łódzkich pochodzenia niemieckiego.

### Restauracja kurkowej wspólnoty

W 1863 roku zarząd ŁTS podjął starania o powiększenie terenu strzelnicy. W 1867 roku Rada Miejska wyraziła zgodę na wydzierżawienie północnej części parku miejskiego źródlika o powierzchni około 1 hektara. W 1872 roku bractwo nabyło prawo użytkowania dzierżawionego terenu przez okres następnych 25 lat. W 1874 roku, w pięćdziesiątą rocznicę założenie ŁTS postanowiono wrócić do dawnego pomysłu budowy nowego domu strzeleckiego, a w roku następnym położono kamień węgielny. W 1880 roku, w narożnej części parku po wschodniej stronie Wodnego Rynku ukończono budowę parterowego, murowanego, krytego dachówką domu o 10 oknach frontowych z centralnie usytuowanym wejściem. Nowy obiekt mieścił w sobie obszerną restaurację, bufet

wyposażony w 12 stołów i 60 krzesel, dużą salę i pomieszczenie do gry w bilard. Budynek ten funkcjonował aż do lat 30. XX wieku.

Od 1886 roku, w ramach organizowanych zawodów strzeleckich, odbywały się również konkursy dla kobiet. Święto strzeleckie zaczynało się o godzinie 9 rano przemarszem członków stowarzyszenia uformowanych w szyku wojskowym pod przewodnictwem kapitana związkowego na Rynek Nowego Miasta przed ratusz. Tam zapraszano do udziału w uroczystościach prezydenta miasta, który w pełnej gali mundurowej dołączał do orszaku. Przy rozwiniętym sztandarze i dźwiękach orkiestry pochód ruszał do mieszkania ustępującego króla kurkowego. Ten również przyłączał się do pochodu przybrany w oznaki swej godności – wielką gwiazdę na piersiach i zielono wyszywaną szarfę obwieszoną odznakami strzeleckimi. Następnie orszak poprzedzany przez strzelca niosącego ofiarowaną przez ustępującego króla tarczą honorową, docierał do parku Źródliśka. Po oddaniu przez każdego zawodnika trzech strzałów i sprawdzeniu rezultatów, ogłaszano nowego króla kurkowego i przyznawano nagrody. Równoległe z zawodami strzeleckimi organizowano na Wodnym Rynku zabawę ludową z karuzelami, huśtawkami, diabelskimi młynami, loteriami fantowymi i słupami z nęcącymi nagrodami. Dookoła rozbijano namioty i stragany z artykułami jarmarczными. Festyn strzelecki kończył pochód członków towarzystwa przez miasto z nowym królem kurkowym na czele i bankiet w restauracji (na przełomie XIX i XX wieku korzystano z gościnności restauracji Anstadtów w parku helenowskim).

Wydarzenia rewolucyjne 1905–1907 roku ponownie położyły kres działalności Towarzystwa – władze miejskie zarekwirowały broń, wyposażenie i budynek ŁTS. W 1905 roku część terenu strzelnicy porośniętego rzadkim lasem sosnowo-swierkowym i zaroślami włączono do parku Źródliśka.

### **Strzelcy apolityczni**

Łódzkie Towarzystwo Strzeleckie reaktywowane zostało 1 lutego 1909 roku na mocy postanowienia Komisji do Spraw Stowarzyszeń w Guberni Piotrkowskiej i 13 kwietnia tego roku otrzymało ustawę zatwierdzoną przez gubernatora Essena, w której określono charakter bractwa: „Towarzystwo pod względem politycznym jest bezpartyjne, ma na celu ćwiczenia w strzelaniu do celu, jako sport, i służy jako centrum zbliżenia się do siebie w Łodzi miłośników strzelania o celach etycznych i kulturalnych”. W instrukcji obowiązującej członków towarzystwa strzeleckiego zawarto dodatkowe uwagi: „Dysput na tle politycznym i religijnym na terytorium towarzystwa zabrania się, nawet w kółku paru osób. Pozwala się w lokalu towarzystwa na następujące gry: warcaby, szachy, bilard i gry towarzyskie”. W 1911 roku władze rosyjskie zabroniły towarzystwu urządzania corocznych parad ulicami miasta.

W 1910 roku przewodniczącymi ŁTS byli Bruno Knaack i Gustaw Schweigert, komendantem Albert Braune, a sekretarzem Johann Müller. W latach 1911–1914 nie zmienili się przewodniczący, natomiast komendantami byli Edward Ende



i Ferdynand Paul, a gospodarzami Adolf Aj i Franz Michel. Członkami honorowymi byli m.in. Leopold Zoner, Johan Weisig, Nikolaus Stark, Friedrich Ritter, Josef Thoma i dwaj policmajstrzy – Hilary Chrzanowski i Nikołaj Riazanow. Łódzkie towarzystwo jeszcze przed wybuchem wojny utrzymywało liczne kontakty sportowe i towarzyskie z innymi bractwami strzeleckimi, nie tylko w zaborze rosyjskim, ale także poza jego granicami. Między innymi w 1912 roku reprezentacja łódzkich strzelców gościła na zawodach zorganizowanych we Frankfurcie nad Menem.

### Śpiewacy niechętni Kurkowym

W 1911 roku Łódzkie Rzemieślnicze Towarzystwo Śpiewacze „Lira” zwróciło się do gubernatora piotrkowskiego z prośbą, aby odebrano dzierżawę terenu i budynków Towarzystwu Strzeleckiemu i przekazano ją wnioskodawcy. Śpiewacy sformułowali pod adresem bractwa wiele zarzutów. Wskazywali na uciążliwość i niebezpieczeństwo wynikające z użytkowania obiektu, skarżyli się na wybryki członków Towarzystwa Strzeleckiego, w tym strzelanie do ptactwa w parku. Zarzucili też bezprawną sprzedaż alkoholu przy strzelnicy. Łódzki magistrat aby rozstrzygnąć sprawę ogłosił licytację na dzierżawę obiektu. Uchybienia proceduralne popełnione przez przedstawicieli „Liry” przesądziły jednak o oddaniu dzierżawy dotychczasowemu właścicielowi. Od 1911 roku mieściła się tutaj siedziba Resursy Rzemieślniczej.

Na krótko przed wybuchem I wojny światowej carskie władze administracyjne uważnie przyglądały się działalności ŁTS, bowiem niemieckie pochodzenie większości strzelców nasuwało przypuszczenie, że w wypadku spodziewanego konfliktu, strzelcy mogą utworzyć przednią straż wkraczającej do Królestwa armii niemieckiej. W czasie okupacji niemieckiej Towarzystwo zmuszone było zmuszone po raz kolejny w swojej historii zawiesić działalność. Broń strzelców zarekwirowano, niektórzy członkowie bractwa ewakuowali się na wschód, a inni znaleźli się w areszcie. W okresie międzywojennym budynek oddawano w dzierżawę różnym organizacjom społecznym i kulturalnym. Mieściły się tu między innymi wypożyczalnia książek, siedziba Miejskiego Uniwersytetu Powszechnego i Miejski Kinematograf Oświatowy. Budynek powoli popadał w ruinę i w 1933 roku dom strzelecki rozebrano, a na jego miejscu posadzono drzewa parkowe.

### Tylko dla chrześcijan

Po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku liczne towarzystwa strzeleckie w kraju reaktywowały swoją działalność, jednak w Łodzi, podobnie jak i w innych miastach naszego okręgu, ruch strzelecki na wiele lat zamarł. Ze względów politycznych – znaczny stopień zniemczenia bractw – wznowienie działalności natrafiało na wielkie trudności. W skrzyni brackiej pozostawał statut zatwierdzony przez władze zaborcze oraz klejnoty strzeleckie darowane w wielu przypadkach przez rosyjskich administratorów Królestwa Polskiego. Sztandary zdobiły obce emblematy i różnorodny napisy, mundury strzelców



– zaborcze trofea. Pozostała po wojnie mniejszość strzelecka w różny sposób utrudniała procesy polonizacji ruchu strzeleckiego.

Reaktywowanie działalności nastąpiło dopiero 5 listopada 1927 roku, kiedy to Bruno Rapke, Edmund Kurbitz, Gustaw Krauze, Józef Kamiński, Robert Utz i Stanisław Chabowski – wywodzący się z grona właścicieli nieruchomości i kupców zawiązali Łódzkie Stowarzyszenie Sportowo-Strzeleckie. Statut zatwierdziły władze wojewódzkie 5 lutego 1928 roku. Członkami stowarzyszenia mogły być osoby dorosłe (powyżej 21 lat) wyznania chrześcijańskiego. Preferowano uprawianie strzelectwa sportowego, a ponadto umożliwiano swoim członkom rekreacyjną wewnątrzklubową rywalizację w tenisie ziemnym i piłce nożnej. Treningi i konkursy urządzano początkowo na własnej strzelnicy małokalibrowej przy ulicy Piotrkowskiej 11. Od 1936 r. ŁTS dysponowało nowoczesną strzelnicą przy Szosie Rokicińskiej 27. Wcześniej, 28 marca 1931 roku powrócono do dawnej nazwy Łódzkie Towarzystwo Strzeleckie i zalegalizowano statut 3 lipca 1934 roku. Honorowymi członkami ŁTS byli m.in. starosta łódzki Aleksy Rzewski i prokurator Stanisław Handecki. Kres działalności bractwa położyła II wojna światowa. Jeszcze raz reaktywowano działalność tej organizacji w grudniu 1994 roku, tym razem pod nazwą Towarzystwo Sportowe „Bractwo Kurkowe” w Łodzi ze strzelnicą bracką przy ulicy Konstantynowskiej 1.

Towarzystwa strzeleckie w różnych okresach swojego istnienia spełniały istotne funkcje społeczne, odgrywając bardzo pozytywną rolę w życiu miast. Do wstępowania w szeregi bractw strzeleckich zachęcała urozmaicona działalność towarzyska i sportowa. Organizacje strzeleckie z reguły uświetniały wszystkie uroczystości religijne i państwowe. Społeczna funkcja bractw strzeleckich polegająca na organizowaniu życia kulturalnego członków bractw i ich rodzin, a pośrednio, poprzez urządzenie zabaw ludowych, także szerszych rzesz mieszczan, nie uległa w ciągu dziesięcioleci poważniejszym przeobrażeniom. Bractwa pielęgnowały tradycje i stare obyczaje mieszczan. Zasady strzeleckiej rywalizacji ulegały zmianom, bo musiały nadążać za wymogami techniki, jednak oprawa uroczystości brackich w ogólnym zarysie pozostała taka sama.

Mirosław Jaskulski

– starszy kustosz Muzeum Historii Miasta Łodzi.

### Bibliografia:

- Bogusz Andrzej, *Niemieckie stowarzyszenia sportowe Łodzi 1824–1939*, Łódź 1992.  
 Flatt Oskar, *Opis miasta Łodzi pod względem historycznym, statystycznym i przemysłowym*, Warszawa 1853.  
 Woźniak Krzysztof, *Z Królem Kurkowym w parku Źródlika (Łódzkie Towarzystwo Strzeleckie – Lodzer Bürger Schützengilde)*, „Wędrownik” nr 91, 1991.

# Stuttgart

## – samo sedno Europy

*Partner solidny jak mercedes*

Stuttgart – stolica kraju związkowego Badenii-Wirtembergii – to jeden z najstarszych partnerów Łodzi. Umowę o współpracy władze obu miast podpisały w 1988 roku. Po oficjalnej uroczystości, dnia 27 września 1988 roku, dziennik „Stuttgarter Zeitung” napisał, że Polacy i Niemcy powinni się zaprzyjaźnić, bo tylko wtedy będzie można powiedzieć, że „niewyobrażalna tragedia historii europejskiej mimo wszystko dobrze się zakończyła”.

Podjęcie współpracy między miastami nie obyło się bez komplikacji i to paradoksalnie ze strony niemieckiej. Ówczesny burmistrz Stuttgartu Manfred Rommel w swej książce *Trotz allem heiter* tak wspomina po latach przygotowania do podjęcia współpracy z Łodzią: *Otrzymaliśmy od władz federalnych niezrozumiałe, pełne zastrzeżeń pismo. Broniłem się przed nim, wysyłając do Bonn liczne zapytania. Przed wyjazdem do Łodzi otrzymałem list, w którym polecono mi, bym zadbał o to, aby w dokumencie o partnerstwie nazwa Łodz była pisana nie z „z”, lecz z „sch” na końcu. W późnych godzinach wieczornych, po kolacji obficie zakropionej wódką, wyciągnąłem w owym mieście Łodz (Lodsch) ten dokument i powiedziałem moim nowym polskim przyjaciołom, że teraz znowu wypadaloby być poważnym i że Republika Federalna żąda „sch” zamiast „z”. Ci przyjęli to z humorem i oświadczyli, że z nazwą „Litzmannstadt”, a tak nazywała się Łódź podczas okupacji hitlerowskiej, byłoby może w stanie się pogodzić, ale nigdy-przenigdy z wyparciem polskiego „z” przez niemieckie „sch” i na Lodsch się nie zgodzą.*

Wkrótce stosunki partnerskie uległy stabilizacji, a zaraz potem przyszedł dynamiczny ich rozwój, przypadający na lata 90. Obecnie partnerstwo Łódź – Stuttgart obejmuje współpracę w zakresie kultury, edukacji i sportu. Płonne okazały się oczekiwania lokalnego samorządu wobec współpracy na obszarze gospodarczym. Łódź oczekiwała licznych i szybkich inwestycji przedsiębiorstw niemieckich, jednak rzeczywistość zweryfikowała ambitne wizje i nic takiego nie nastąpiło.

### **Zdobycze nowoczesności**

Stuttgart – miasto Schillera i Hegla – powstał w XIII wieku i przez setki lat był siedzibą hrabiów, książąt i królów. Miejscowość jest jednym pięknie położonym miastem – otaczają ją łagodne wzgórza, pola uprawne, lasy i winnice.

Panoramę miasta oglądać można z dwóch wież, które stanowią zarazem najbardziej charakterystyczne elementy architektury Stuttgartu. Wieża Dworca Głównego – surowa konstrukcja o kwadratowej podstawie – jest jaskrawym przejawem modernizmu, tak różnym od klasycystycznej architektury dworców w Kolonii czy Lipsku. Wieżę, wybudowaną w latach 1911–1928, mierzącą 56 m, od 1952 roku wieńczy symbol gwiazdy marki Mercedes.

Wieża telewizyjna w Degerloch, wysoka na 216,61 m, jest natomiast jedną z najsłynniejszych budowli w Europie. Wybudowana w 1956 roku, jako pierwsza tej wielkości żelbetowa konstrukcja na świecie, dała początek fali naśladownictwa i inspiracji dla współczesnych architektów.

Po zachodniej stronie Dworca Głównego biegnie najsłynniejsza ulica miasta – *Königstrasse*. Porównywalna z rodzimą Piotrkowską ma ponad kilometr długości i stanowi główną ulicę handlową Stuttgartu. *Königstrasse* jest częścią klasycystycznego układu urbanistycznego z XIX wieku. Charakterystyczne dla jej dzisiejszego wyglądu są małe butikiki, duże centra handlowe, liczne kawiarenki i restauracje. *Königstrasse* ciągnie się od Dworca Głównego do *Wilhelmsbau*.

Ważnym punktem na mapie Stuttgartu jest budynek Parlamentu Krajowego. Kontrastuje on z historycznym dziedzictwem architektonicznym monumentalnego Teatru Narodowego i skrzydłem ogrodowym Nowego Zamku, w sąsiedztwie których się znajduje. Oszklona siedziba parlamentu została wybudowana w latach 1959–1961, a jej prosta konstrukcja na planie kwadratu symbolizować miała demokratycznego ducha Stuttgartu.

### Dziedzictwo historii

Stuttgart to miasto wielości stylów architektonicznych, gdzie historia koegzystuje z futurystycznymi wizjami architektów. W sąsiedztwie nowoczesnych budowli znajdują się wiekowe zabytki, spośród których najsłynniejszymi są Stary Zamek, Nowy Zamek i katedra *Stiftskirche* w pobliżu Placu Schillera.

Plany powstania Nowego Zamku zaczęły klarować się, gdy Napoleon w 1806 roku podniósł Wirtembergię do rangi królestwa. Wówczas to książę Wirtembergii Fryderyk I zlecił architektowi – Nikolaus Freidrich von Thouretowi – nakerślenie planu przebudowy Stuttgartu, która obejmowała rozbudowę *Königstrasse* i wzniesienie rezydencji królewskiej, która stać się miała częścią Nowego Zamku, którego budowę rozpoczęto już w 1747 roku. Była to budowla na wzór francuski – z paradnym dziedzińcem, otoczonym skrzydłami głównego gmachu. Nowy Zamek został całkowicie ukończony w 1810 roku, wtedy to oddano do użytku ostatnie skrzydło pałacu, tzw. skrzydło miejskie.

Stary Zamek posiada wszystkie cechy zamku warownego. W Starym Zamku szczególnie ciekawy jest – wybudowany według włoskiego wzoru – arkadowy dziedziniec wewnętrzny. Tworzy on interesujący kontrast z wyglądem głównej budowli w stylistyce warownej z masywnymi, okrągłymi wieżami. Nietypowy układ

poprzeczny budowli narzucony został przez architekturę skrzydła zamkowego, jednak przez funkcjonalność skupiania uwagi wiernych na kazalnicy odpowiada protestanckiemu pojmowaniu wiary.

Katedra *Stiftskirche* wybudowana została w latach 1433–1531 przez Aberlina i Hänslina w miejscu dawnej bazyliki z XII wieku. Jest to kościół kolejalny w stylu późnogotyckim. Znajdują się w nim posągi hrabiów wirtemberskich, przedstawiające ich naturalne sylwetki. Romańskie fundamenty południowej wieży katedralnej wraz ze sklepieniami piwnicznymi, rozciągającymi się pod Starym Zamkiem, należą do najstarszych zabytków architektonicznych Stuttgartu. Po pracach restauracyjnych, które trwały przez niemal pięć lat od 1999 roku, *Stiftskirche* stała się głównym kościołem ewangelickim miasta.

Na miejscu dzisiejszego Placu Schillera – w samym sercu Stuttgartu – znajdował się kiedyś Plac Zamkowy. Powstał on po wyburzeniu budynków położonych pomiędzy katedrą *Stiftskirche*, a dawną bramą miasta. Jego kształt oraz wielkość wskazują na włoski rodowód wzorca architektonicznego. Plac na co dzień pełni funkcję targowiska, jednak po uprzątnięciu straganów można podziwiać go w całej, ogromnie interesującej estetyce. Na placu mieści się pomnik Fryderyka Schillera wykonany przez duńskiego rzeźbiarza Berthela Thorvaldsena w 1839 roku. Rzeźba powstała dla upamiętnienia wielkiego, niemieckiego poety romantycznego, który był absolwentem wyższej szkoły *Hohe Karlsschule* w Stuttgarcie.

Stuttgart jest miastem nauki, siedzibą licznych szkół wyższych, bibliotek, muzeów oraz galerii sztuki. Oferta kulturalna miasta oscyluje na najwyższym poziomie światowym. W Stuttgarcie znajdują się między innymi *Bach Academy*, Teatr Narodowy (*Staatstheater*), Galeria Narodowa, Muzeum Historyczne Badeni-Wirtembergii (*Haus der Geschichte Baden-Württemberg*), Muzeum Teodora Heussa – pierwszego prezydenta Republiki Federalnej, Biblioteka Krajowa (*Württembergische Landesbibliothek*) oraz słynne muzea motoryzacyjne *Mercedes-Benz-Museum* i *Porsche Museum*.

### Współpraca kulturalna

Łódź może się poszczycić długą tradycją współpracy ze Stuttgartem na płaszczyźnie kulturalnej. Od lat przedstawiciele miast partnerskich biorą udział w organizowanych w maju Dniach Łodzi i sierpniowych Dniach Stuttgartu. Elementem współpracy jest także wymiana kulturalna – w Łodzi w latach 1990 i 1996 zorganizowano Dni stuttgartckie, połączone z wystawami i koncertami, natomiast w Stuttgarcie w roku 1990 odbył się „Dialog kultur”, podczas którego niemiecka publiczność mogła wziąć udział w szeregu przeglądów filmów i spektakli teatralnych przygotowanych przez łódzkich artystów. Także w ramach współpracy partnerskiej od sierpnia do października 2002 roku przebywała w Łodzi niemiecka pisarka Tina Strohecker.

Od lat Związek Młodzieży ze Stuttgartu współpracuje z łódzkim Centrum Kultury Młodych. Organizacje realizują wspólnie projekt Unii Europejskiej

*Sztuka w internecie*, który obejmuje współpracę w dziedzinie malarstwa i muzyki, a od niedawna również – teatru.

### Wymiany edukacyjne

Od 1996 roku Szkoła im. Jörga Ratgeba ze Stuttgartu współpracuje z Zespołem Szkół Ponadgimnazjalnych nr 1 w Łodzi. Uczniowie podjęli wspólną inicjatywę porządkowania cmentarza żydowskiego w Łodzi, przeprowadzili akcję ozdabiania sprayem gmachu łódzkiej szkoły, a także wzięli udział w „Dniach ekologicznych”, które zorganizowało Muzeum Rzeźby Kamiennej i Lapidarium w Stuttgarcie. Tematami innych spotkań młodzieży były m.in. historia obu miast, *Demokracja – prawo do podróży – wolność w Europie* oraz *Wrogość wobec cudzoziemców i antysemityzm*. Niemieccy uczniowie podczas pobytów w Polsce odwiedzili Kraków, Oświęcim i Częstochowę, natomiast łódzka młodzież zwiedziła – poza Stuttgartem – muzeum w Aalen (muzeum limesu, północnej granicy cesarstwa rzymskiego) oraz Parlament Europejski w Strasburgu.

Łódzkie uczelnie artystyczne – Akademia Sztuk Pięknych i Akademia Muzyczna – od lat współpracują z artystycznymi placówkami edukacyjnymi ze Stuttgartu. Natomiast Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa Telewizyjna i Teatralna współpracuje z Akademią Filmową w Ludwigsburgu.

Studenci germanistyki Uniwersytetu Łódzkiego przygotowali w 2000 roku wystawę zatytułowaną *Pod jednym dachem (Unter einem dach)*, która przedstawiała portrety Niemców oraz ich polskich i żydowskich sąsiadów w Łodzi XIX i XX wieku. W 2001 roku wystawę można było oglądać w stuttgarckim ratuszu. Rok wcześniej powstał projekt *Oral history (Historia opowiedziana)*, podczas którego przeprowadzono serię rozmów z dawnymi mieszkańcami Łodzi, którzy znaleźli w Niemczech nową ojczyznę i opowiedzieli studentom dzieje swych rodzin. Partnerem projektu było ziomkostwo Wisła-Warta (*Landsmannschaft Weichsel-Warthe*).

### Teraz i w przyszłości

Łódź nie ustaje w dążeniach do tego, by partnerstwo z miastem Stuttgart było mocne i oparte na solidnych podstawach. Dowodzą tego choćby ostatnie przedsięwzięcia, które 6 maja w Stuttgarcie zainaugurowały Rok Polski w Niemczech na szczeblu regionalnym. Wówczas to otwarto wystawy zatytułowane *Krajobraz kulturalny miasta i regionu Łódź* i *Śladami Niemców w Łodzi*, które powstały przy współpracy Urzędu Miasta Łodzi, Urzędu Marszałkowskiego w Łodzi oraz Muzeum Sztuki. Głównej wystawie towarzyszyły ekspozycje plakatów filmowych z Muzeum Kinematografii oraz plakatów ze zbiorów Akademii Sztuk Pięknych przygotowanych przez studentów ASP z okazji 60-lecia istnienia uczelni.

Katarzyna Juszczak  
– pracownik Biura Prasowego Wojewody  
w Łódzkim Urzędzie Wojewódzkim.

# Chemnitz – miasto otwarte

## *Na wschód od Łaby*

Po latach izolacji Łódź otwiera się na świat i poszukuje partnerów chętnych do nawiązania współpracy gospodarczej i kulturalnej. Najwcześniej, od 1972 r., współpracuje z Chemnitz, miastem położonym w południowo-wschodnich Niemczech, w Saksonii (w latach 1953–1990 noszącego nazwę Karl-Marx-Stadt). Jest to trzecie co do wielkości miasto tego landu po Lipsku i Dreźnie, i pierwsze miasto partnerskie Łodzi. W 1988 r. Łódź nawiązała kontakty ze Stuttgartem, udowadniając, że dąży do zachowania idei miasta wielokulturowego.

Chemnitz zbudowano nad rzeką o tej samej nazwie około ośmiuset lat temu, na miejscu osady Słowian – Kamienicy – skolonizowanej przez Niemców. W połowie XII wieku Chemnitz stało się ośrodkiem handlowym i uzyskało prawa miejskie w 1255 r. Od początku XIV wieku nastąpił rozwój płóciennictwa i włókiennictwa, a miasto uzyskało rangę ośrodka tkackiego o dużej renomie, który podupadł dopiero na przełomie XVII i XVIII wieku. Od końca XIX wieku w Chemnitz dominował przemysł tekstylny.

Obecnie żyje w mieście 257 tys. mieszkańców. Chemnitz należy jednak do najprężniej rozwijających się miast w Niemczech; inwestuje w rozwój gospodarczy, kulturalny i naukowy. Jest jednym z najlepiej uprzemysłowionych regionów Saksonii. Miasto stawia przede wszystkim na atrakcyjne możliwości inwestycyjne, które zachęcają zagranicznych przedsiębiorców do zakładania tutaj swoich siedzib. Do największych inwestorów w regionie należą Siemens, IBM oraz Volkswagen. W Chemnitz dominują małe i średnie przedsiębiorstwa z branży *Hi-Tech* oraz technik mikrosystemowych. Na inwestorów czekają gotowe budynki przemysłowe oraz 1075 ha powierzchni przeznaczonych do celów gospodarczych. Z oferty tej skorzystało dotąd dwięście pięćdziesiąt przedsiębiorstw, zatrudniających łącznie około ośmiu tysięcy pracowników. Prywatne przedsiębiorstwa mogą skorzystać ze środków pomocowych Unii Europejskiej, która dofinansowuje także projekty badawcze i naukowe, umożliwiające stworzenie nowocześniejszych warunków technologicznych dla dalszego rozwoju przemysłu i urządzeń przemysłowych. Chemnitz dysponuje rozwiniętym systemem dróg, łączących miasto z międzynarodowymi autostradami. Dzięki temu możliwa jest wymiana handlowa z rynkami wschodniej Europy (Chemnitz znajduje się zaledwie około trzydziestu kilometrów od granicy czeskiej i około stu trzydziestu od granicy polskiej). Miasto szczyci się wysoką stopą zatrudnienia, która wynosi pięćdziesiąt jeden mieszkańców na stu czynnych zawodowo i przewyższa tym samym średnią całych zachodnich Niemiec.

Wysoko wykwalifikowaną kadrę inwestorzy znajdą na miejscu. Czekają na nich około dwóch i pół tysiąca absolwentów z różnych kierunków szkół wyższych. Łączna



liczba studentów to około dwudzieśu tysięcy osób. Główne ośrodki naukowe to Politechnika Chemnitz, Uniwersytet Chemnitz oraz ponad pięćdziesiąt instytutów badawczych, m.in. Instytut Maszyn i Produkcji Urządzeń, Centrum Zastosowania Mikrotechnologii, a także Centrum Obróbki Plastycznej. Chemnitz zajmuje czołowe miejsce pod względem liczby rejestrowanych patentów. W tej dziedzinie przewyższa całe Niemcy, poza Dreznem, które również należy do czołówki. Charakterystyczne dla Chemnitz jest ciągle udoskonalanie istniejących rozwiązań technologicznych, na czym zyskują miejscowe firmy oraz instytucje badawcze. Przedsiębiorstwa związane z Chemnitz często sponsorują badania naukowe, co umożliwia im wprowadzenie innowacyjnych i konkurencyjnych rozwiązań technologicznych.

Poza rozwojem nowoczesnych technologii i przemysłu, Chemnitz to również zabytki kultury. Najważniejsze z nich to ekspresjonistyczne dzieła Karla Schmidta-Rotluffa. Warto także zwiedzić największą w kraju stałą wystawę zbiorów sztuki tekstylnej, dokumentującą tradycje włókiennicze w Niemczech.

Muzea Chemnitz podkreślają naukowo-przemysłowy charakter miasta: Saksońskie Muzeum Przemysłu, Muzeum Kolejowe, czy Muzeum Pojazdów Samochodowych.

Dumą miasta jest znana na całym świecie Opera Chemnitz, jeden z najnowocześniejszych budynków tego typu. W hali miejskiej odbywają się koncerty muzyki klasycznej oraz występy miejskiego zespołu baletowego.

Coraz większą popularnością cieszą się cykliczne festiwale: Saksoński Festiwal Mozartowski, Dni Kultury Żydowskiej, Spotkania Teatralne i Muzyczne, Festiwal Jazzowy, Sceny Kabaretowe, „Spotkania Chemnitz”, Festiwal Splash i Latino, czy bożonarodzeniowy jarmark ze sztuką ludową okręgu.

Wśród zabytków architektonicznych na pierwszym miejscu wymienić należy klasztor benedyktynów zbudowany w 1136 roku na najwyższym wzniesieniu miejskim zwanym „kolebką miasta”. W obrębie klasztoru znajduje się Muzeum Zamkowe, dokumentujące osiemsetletnią historię Chemnitz. Na uwagę zasługuje także późnogotycki ratusz z XII wieku; ze zrekonstruowanej wieży możemy podziwiać panoramę miasta. Warto odwiedzić zamek myśliwski Augustusburg i obejrzeć wystawione na pokaz skarby. Godny uwagi jest również barokowy zamek Lichtenwald i jego arkadyjskie ogrody. Osobliwy zestaw atrakcji czeka w zamku Klaffenbach – na jego terenie znajduje się hotel, restauracja, muzeum pojazdów, a także pole golfowe.

Chemnitz oferuje również wypoczynek na łonie natury. Parki rekreacyjne i tereny zielone stanowią jedną trzecią terytorium miasta. Niewątpliwą atrakcją jest wodny park rozrywki oraz baseny uzdrowiskowe. Oczkiem w głowach mieszkańców Chemnitz jest Staw Zamkowy, zwany Srebrnym Stawem, idealne miejsce do odpoczynku i kontemplacji, a także azyl dla zakochanych.

Kolejną perełką miasta jest zbudowana ze szkła Galeria Kaufhof; jedno z najnowocześniejszych centrów handlowych w Europie. Na zakupy zaprasza również Galeria Roter Turm.

Najbardziej malowniczym obszarem Chemnitz jest dzielnica Kassberg – Karreé. Kamieniczki zostały odrestaurowane i bardzo szybko znalazły nowych lokatorów, którzy z własnych okien podziwiać mogą piękno i przepych niemieckiej sztuki secesyjnej. Wille, sześćset mieszczańskich kamienic, szkoły, kościoły i historyczne budynki administracyjne poprzetykane wąskimi uliczkami, czekają na turystów gotowych przenieść się w tę magiczną krainę.

Chemnitz zawdzięcza prężny rozwój roztropnym inwestycjom, możliwym dzięki funduszom UE i umiejętności przyciągnięcia inwestorów z dużym kapitałem. Pierwszym krokiem ku rozwojowi był długofalowy plan, który miał na celu uczynienie z Chemnitz czegoś więcej, niż tylko kolejnego punktu na mapie mijanego obojętnie w drodze do Berlina, Hamburga, czy Stuttgartu. Inwestując jednocześnie w kulturę, turystykę, przemysł i szkolnictwo, Chemnitz rozpoczęło żmudny, ale konsekwentny etap autopromocji, którego efekty widać dziś gołym okiem. Miasto udowodniło tym samym, że Wschodnie Niemcy nie są skazane na biedę i bezrobocie. Nie zmarnowało swojej szansy, dając tym samym przykład swoim partnerom, w tym również Łodzi.

Od początku współpracy pomiędzy Chemnitz i Łodzią filar wzajemnych kontaktów stanowiły wymiany naukowe, wspólne badania i szkolenia. Pierwszą oficjalną umowę ze szkołami wyższymi z Chemnitz w 1974 r. podpisał Uniwersytet Łódzki. Umowa obejmowała wymianę pracowników naukowych i dydaktycznych oraz pomoc merytoryczną w zakresie matematyki, nauk ekonomicznych, fizyki i filologii germańskiej. Intensywna współpraca trwała do 1981 r., kiedy przerwał ją stan wojenny w Polsce. Mimo to nieoficjalne kontakty pomiędzy profesorami trwały cały czas. Po upadku muru berlińskiego w 1989 r. uczelnię opuściło starsze pokolenie wykładowców i tym samym kontakty z Chemnitz trzeba było tworzyć praktycznie od podstaw. Umowę odnowiono dopiero w 1993 r. Od tego czasu Uniwersytet Łódzki współpracuje z Uniwersytetem Technicznym Chemnitz w ramach programu Socrates-Erasmus. Przyśpieszenie Polski do struktur europejskich zwiększa możliwości współpracy, ułatwia wymianę studentów i pracowników uczelni. Każdego roku zwiększa się grono osób wyjeżdżających na stypendia. Rośnie liczba nauczycieli akademickich, którzy decydują się na wyjazd. Do Polski przyjeżdża również coraz więcej studentów i wykładowców z zagranicy. Bardzo istotnym elementem współpracy pomiędzy uczelniami są kursy językowe. Pokonanie barier językowych to szansa na skuteczniejszą współpracę w przyszłości.

Chemnitz – pierwszy partner Łodzi – to miasto otwarte i pozytywnie nastawione na współpracę z regionem łódzkim. Jest więc ważnym partnerem i pośrednikiem, od którego Łódź może się sporo nauczyć i który chce uczyć się od Łodzi.

*Michał Wawszczak*  
– poeta.

# Wśród sukienników i tkaczy

## Konstantynów „Berlinkiem” zwany

Podłódzki Konstantynów ma w swej historii wiele kart zapisanych przez przybyszów z Niemiec. Sprowadził ich do Konstantynowa właściciel tych terenów Mikołaj Krzywiec-Okołowicz, herbu Ostoja, były szambelan na dworze króla Stanisława Augusta i poseł na sejm. Okołowicz na gruntach kupionej przez siebie wsi Żabice Wielkie założył osadę fabryczną płócienników i sukienników (akt rejentalny podpisano 8 lutego 1821 roku), którą na cześć księcia Konstantego – brata cara Aleksandra I – nazwano Konstantynowem.

Podobnie jak inni właściciele ziemscy, założyciele takich miast jak Zduńska Wola, Ozorków, Aleksandrów czy Tomaszów, Mikołaj Krzywiec-Okołowicz przyczynił się do imigracji rzemieślników i drobnych przemysłowców, przyznając im przywileje i nadania, zachęcił ich do osiedlania się w jego dobrach i udziału w rozwoju miasta. Do 1824 roku do Konstantynowa przybyło 126 rodzin z Niemiec, Czech, Śląska, Saksonii i Hesji.

Jak pisał w 1913 roku Eduard Kaiser (*Lodzer Zeitung – Jubiläumsschrift 1863–1913*, tłum. Rafał Leszczyński), pierwszymi przybyszami było ośmiu sukienników z Ozorkowa, którzy osiedli w Konstantynowie między 1816 a 1818 rokiem. W ich ślady poszedł m.in. Gotfryd Wende ze Śląska, który był jednym z pierwszych fabrykantów wyrobów sukienniczych, współzałożycielem i długoletnim prezesem rady parafialnej w konstantynowskim zborze ewangelickim. W ślad za sukiennikami w 1831 roku zaczęli przyjeżdżać tkacze, wśród których znalazł się Ludwik Geyer, który najpierw planował utworzenie w Konstantynowie swojego zakładu. Otrzymał jednak od rządu korzystniejsze warunki w Łodzi i dlatego Białą Fabrykę można podziwiać przy ul. Piotrkowskiej.

Przez wiele lat wiele ważnych funkcji sprawowali w mieście Niemcy lub ludzie niemieckiego pochodzenia. Szefem cechu tkaczy na początku XX wieku był Fryderyk Wilhelm Meltzer, jego zastępcą Karl Flaume, a cechowi kowali przewodził Wilhelm Frei. W Bractwie Strzeleckim działali Rudolf Schimoch, Teofil Hoffmann, Julius Müller, Leopold Arndt, Gustaw Schulz i Paul Beer. Komendantem Ochotniczej Straży Pożarnej był Leopold Abt, a zastępcą Leopold Häusler, który na własny koszt wybudował miejscową strażnicę.

W Konstantynowie i okolicach mieszkało tak wielu osadników wyznania ewangelickiego, że w latach 1826–1834 wybudowano w mieście dla nich kościół i utworzono parafię ewangelicko-augsburską. Obecnie (po kilku przebudo-



wach) jest to katolicki kościół pod wezwaniem św. Józefa Robotnika. W zborze tym pracowali pastory noszący nazwiska Rother, Zander, Hermes, Snay, Manitius, Buse, Rosenberg i Schmidt.

Oprócz ewangelików w mieście mieszkało wielu niemieckich katolików (Polacy byli tu przez wiele lat w mniejszości), dlatego każdy ksiądz, który przyjeżdżał do miasta, musiał znać język niemiecki. Większość duchownych była i tak rodowitymi Niemcami. Kroniki odnotowały nazwiska zakonników Franza Lassnera, Hugolina Wagnera i Josefa Spechta, a także księży Vinzenza Biedermanna, Konstantina Volkmana, Aloyosa Volkmera i Hermanna von Schmidta.

Samodzielna parafia w Konstancyńowie powstała w 1858 roku. Wcześniej miasto należało do parafii Kazimierz. Podobnie zresztą jak wieś Srebrna, leżąca obok Konstancyńowa od strony Łodzi – dziś administracyjnie należąca do miasta – w której w latach 30. XIX wieku osiedlili się rolnicy z Bawarii i Badenii. Do dziś przy ul. Armii Krajowej można zobaczyć poniemieckie zabudowania, a mieszkańcy Srebrnej noszą często nazwiska o niemieckim rodowodzie.

Z kroniki parafialnej wynika, że w 1840 roku w Srebrnej mieszkało 281 katolików Niemców. W 1887 roku mieszkańcy na miejscu dawnej drewnianej kaplicy kosztem czterech tysięcy rubli wznieśli murowany kościół w stylu neogotyckim. Miejskowa legenda głosi, że budowa przebiegała nie całkiem legalnie. Fundatorzy kościoła wykorzystali moment, kiedy ważny carski urzędnik wyjechał do Petersburga i nie mógł zablokować prac. Jego zastępca też nie był w stanie tego uczynić, ponieważ mieszkańcy Srebrnej po kolei gościli go w swych domach, a kiedy po sześciu tygodniach wytrzeźwiał, kościół już stał przykryty dachem.

*– Murarze chyba naprawdę musieli się spieszyć, bo ściany w kościele nie są równej długości i nie trzymają kątów prostych* – żartuje obecny proboszcz parafii Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny w Srebrnej ksiądz kanonik Tadeusz Weber.

Stojący w kościele drewniany ołtarz, murowane ogrodzenie i żelazną kutą bramę ufundował około 1895 roku również Niemiec – łódzki fabrykant Eichler. Ten zamożny ewangelik chciał odwdziżyć się mieszkańcom Srebrnej za to, że pozwalali mu polować na tych terenach.

W czasie I wojny światowej w 1914 roku Konstancyńów był przymusowym świadkiem poważnej bitwy artyleryjskiej – rosyjska bateria stała w Srebrnej na terenie cegielni, niemiecka w Rszewie. Ofiary tej potyczki zostały pochowane na cmentarzystku przy trasie do Lutomińska. Również koło kościoła w Srebrnej pogrzebano kilku Niemców i Rosjan. Obok nich w 1945 roku spoczęło kolejnych osiemnaście osób (w tym pięciu żołnierzy niemieckich), które zginęły od rosyjskiej bomby zrzuconej na drogę koło świątyni. Później ciała ekshumowano, a na dzwonnicy pozostały tylko symboliczne napisy o ofiarach z 1914 roku.

Po I wojnie światowej część Niemców się spolonizowała i kiedy we wrześniu 1939 roku do Konstancyńowa wkroczyli hitlerowcy ci, którzy odmówili



podpisania volkslisty, zostali wywiezieni na roboty do Niemiec. Znaczna część Niemców oddała jednak hołd führerowi i tak udekorowała miasto czerwonymi flagami ze swastykami, że Konstaktynow nazwano „Berlinkiem pod Łodzią”.

Lata koegzystencji Niemców i Polaków na jednym terenie odcisnęły swoje piętno. Kiedy historia wystawiła narodom rachunek, w niejednej rodzinie rozegrały się prawdziwe dramaty.

*– Zdarzało się, że jeden z braci służył w Hitlerjugend, a drugi działał w Armii Krajowej i krewny wydawał na niego wyrok śmierci – opowiada Krzysztof Waligórski, historyk z Konstaktynowa.*

Po zakończeniu II wojny wielu Niemców opuściło Konstaktynow. Część jednak pozostała i jeszcze na początku lat 70. tu i ówdzie dało się słyszeć starszych ludzi rozmawiających po niemiecku. Jednak w okresie 1972–1976 opuściło miasto dalszych kilkuset Niemców. W mieście do dziś zachowały się domy zbudowane na początku XIX wieku przez niemieckich tkaczy, a wielu mieszkańców wciąż nosi nazwiska przypominające rodowe korzenie dawnego pochodzenia: Weiss, Naze, Miller, Drajling, Szefer, Szmytke czy Szulc.

Monika Pietras

# historia

z cyklu: *czarne dziury, białe plamy*



## **Niemcy moralnego sprzeciwu**

*Sita Hosenfelda, bezradność Norkwesta*

Danuta K. Gruszczyńska

str. 159

## **Widziane z oddalenia**

*Hosenfeld – Niemiec sprawiedliwy*

Winfried Lipscher

str. 164

# THE UNIVERSITY OF CHICAGO

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

THE UNIVERSITY OF CHICAGO



# Niemcy moralnego sprzeciwu

*Siła Hosenfelda,  
bezzadność Norkwesta*

historia – czarne dziury, białe plamy

Kiedy kilka lat temu kustosz Muzeum Tradycji Niepodległościowych wystąpił z pomysłem odsłonięcia tablicy poświęconej samobójczej śmierci niemieckiego policjanta Waldemara Norkwesta, wywołało to prawdziwą burzę. Wielu adwersarzy wystąpiło z protestami, nie zadając sobie nawet trudu zgłębienia tematu. Pomysł ten powrócił niedawno za sprawą organizatorów Festiwalu Dialogu Czterech Kultur.

Kim był człowiek, którego śmierć do dzisiaj wywołuje tyle kontrowersji? Polski Niemiec, urodzony na Bałutach, człowiek prosty, ślusarz i piekarz z zawodu. „Dobry sąsiad”, tak wspominali go – już po wojnie – Polacy. W latach dwudziestych był kapralem w Wojsku Polskim. W 1939 upomniało się o niego wojsko niemieckie, a ponieważ nie chciał być żołnierzem, został wcielony do *Hilfspolizei* jako wartownik. W 1943 wysłano go do Jugosławii. Został ranny w potyczce z tamtejszym ruchem oporu. W grudniu 1944, już podleczoney, wrócił do domu. Koledzy namówili go, żeby został strażnikiem w obozie na Radogoszczu. Pełnił wartę na wieżycze i przy bramie. Czy od pierwszych dni w nowej pracy widział, w jak bestialski sposób obchodzono się z trzymanymi tam ludźmi? Czy protest narastał w nim stopniowo, czy wybuchł nagle, na skutek szoku spowodowanego tym, co ujrzał w nocy z 17 na 18 stycznia? Nie wiadomo.

*(...) mieszkańcy Radogoszcza zostali zaalarmowani licznymi strzałami na terenie obozu. Wobec tego, iż nie była to rzecz niezwykła, przypuszczano, iż znów rozstrzeliwują jakąś partię ludzi. Jednakże około godziny szóstej strzelanina wzmogła się. Wszyscy rzucili się do okien. Hitlerowcy otworzyli wówczas ogień do otwieranych okiennic. Ludzie jednakże, kryjąc się za węglami, przypatrywali się temu, co się dzieje na terytorium obozu. Gdy nieco się rozwidniło z więzienia wybuchł słup dymu. Rozległy się detonacje. (...) Hitlerowcy podpalili więzienie. Esesmani zasiedli przy tym w bunkrach i okopach i strzelali w okna palącego się więzienia. (...) Więźniowie wyskakiwali z nieokrątowanych okien klatki schodowej. Do tych ludzi strzelali hitlerowscy kaci. Dym rósł jakby całe miasto płonęło – a z tego dymu doszły nas wyraźnie tony pieśni śpiewanej przez więźniów. Była to polska pieśń narodowa „Jeszcze Polska nie zginęła”. Trwało to do wieczora. (...) Zginęło około trzech tysięcy*

*ludzi. Jeszcze na trzy dni przed morderstwem w obozie było około tysiąca ludzi. W ostatniej chwili przywieźli do dwóch tysięcy więźniów. (...) Przy życiu w chwili obecnej pozostało 10 osób, lecz tylko jeden z nich, Franciszek Zarębski, lat 30, może udzielić nam informacji. Ocalał on w cudowny sposób. (...) Zarębski zeznał, iż esesmani zegnali większe partie więźniów z górnych pięter na dół i tam strzelali do nich. Równocześnie wrzucili przez zakratowane okna zapalające świece i inne zapalające pociski. (...) Stosy trupów leżą pod oknami, stosy na parterze. – to fragment Sprawozdania Nadzwyczajnej Komisji dla zbadania zbrodni niemieckich fa-*



*szystów w obozie śmierci na Radogoszczu, sporządzonego po wkroczeniu wojsk radzieckich, 22 stycznia 1945 roku. (W składzie Komisji znalazł się oficer radziecki, co być może tłumaczy nazwanie naszego hymnu „polską pieśnią narodową”).*

Oto, co widział Norkwest. Czy brał w tym udział? Nie sądzę. W raporcie czytamy: *W Radogoszczu mieszkał policjant niemiecki, który był obecny przy tym bestialstwie. (...) Policjant ten w pewnym momencie poprosił o zwolnienie, by pożegnać się z rodziną. W domu, po krótkiej rozmowie z żoną, napisał list po niemiecku, położył się z żoną do łóżka i pod kołdrą zapalił ciężki granat. Granat rozerwał tych dwoje ludzi. Nasuwa się kilka pytań. Czy tak zachowałby się człowiek, który wcześniej z zimną krwią mordował bezbronnych więźniów? Czy miałyby to być ucieczka przed ewentualną odpowiedzialnością? Wiadomo było, że wojska radzieckie są już pod miastem, ale przecież można było próbować zwykłej ucieczki, jak to uczynili inni strażnicy. Zwłaszcza, że oboje mogli z powodzeniem uchodźić za Polaków, tu przecież się urodzili, znali język, ludzi, drogi. Szansa na ucieczkę była duża. Prawdopodobne jest też, że gdyby zdecydowali się pozostać, ludzie pamiętający dobrosąsiedzkie stosunki, jakie między nimi panowały, nie wydaliby ich Rosjanom. Czemuż więc wybrał drogę tak krwawą i ostateczną? Zostawił list: *Dla Niemiec, które bezbronnych ludzi mordują, nie walczę dłużej. Walczyłem uczciwie, a również krwawiłem dla zwycięstwa Niemiec. Ale te Niemcy, które dzisiaj w więzieniu widziałem, nie mogą i nie powinny zwyciężyć. W. Norkwest, starszy wachmistrz policji.**

Kim był kapitan Wilm Hosenfeld, rodowity Niemiec pochodzący z Fuldy? Oficer Wehrmachtu, człowiek inteligentny, meloman. Od września 1939 roku komendant obozu dla polskich jeńców wojennych w Pabianicach. Od pierwszych dni swojego pobytu w Polsce wiedział, że to co czynią Niemcy w okupowanym kraju obciążą odpowiedzialnością cały naród niemiecki. Czuł, że nie może pozostać obojętny. Już w listopadzie 1939 roku użył w liście do żony Anny Marii określenia „zbrodnia popełniona na ludzkości”. Z tych listów i pamiętników dowiadujemy się, że nie poprzestawał na rozważaniach etycznych. Rozmowy, jakie często przeprowadzał z Polakami przypadkowo spotkanymi lub tymi, z którymi nawet się zaprzyjaźnił sprawiły, że zaczął rozumieć nas jako naród. *Podziwiam ciągle od nowa postawę tych słowiańskich ludzi. Znoszą oni swe nieszczęścia ze spokojem i w postawie, której my nie pojmujemy. Ileż ludzkich losów poznaję, gdy zbliżam się do innych ludzi... Za co niewinni muszą cierpieć.* W 1941 roku pisze po kolejnych odwiedzinach u oficera, którego wyrwał z rąk gestapo jeszcze w Pabianicach: *Prut w swojej dumie polskiego oficera jest bardzo odważnym i gorącym patriotą. On nie wierzy w niemieckie zwycięstwo na wschodzie i nie życzy go Niemcom. Nasze ludzkie kontakty nie cierpią jednak z tego powodu.* W 1944 opisuje powstańców Warszawy, dorosłych i dzieci, maszerujących do obozu jenieckiego: *Nie możemy się dość nadziwić tej ich dumnej postawie.* Wydaje się, że nie jest odosobniony w takim postrzeganiu Polaków, ale tylko on, samotnie, podejmuje prywatną wojnę z systemem. W swoim pamiętniku pyta: *Dlaczego milczymy, czy dlatego, że nie chcemy ujawnić swoich rzeczywistych poglądów i ocen, czy dlatego, że jest nam tak wygodnie.* Bez wątplenia także ze strachu. Nie ulega wątpliwości, że gdyby pamiętnik lub listy Hosenfelda wpadły w ręce niemieckiej Służby Bezpieczeństwa (*SD-Sicherheitsdienst*), zostałyby natychmiast rozstrzelane. Zdawała sobie sprawę z tego zagrożenia także jego żona, która ukrywała treść listów nawet przed dziećmi. Hosenfeld zadaje sobie pytanie, dlaczego jego rodacy stali się bestiami i znajduje tylko jedno wytłumaczenie: *oni są chorzy, nienormalni lub obłąkani.*

Trudno dokładnie określić ilu Polakom pomógł i ilu uratował. Pisze o tym w listach i pamiętniku. Podaje przykłady. Nie są to jedyne świadectwa jego czynów. Istnieją relacje świadków. Wiemy o ludziach, których ukrywał wśród pracowników stadionu sportowego w Warszawie, kiedy pełnił funkcję kierownika szkoły sportowej dla żołnierzy Wehrmachtu. Wiemy o powstańcach, których – fałszując spisy – ocalił przed rozstrzelaniem. Wiemy o warcie, którą na prośbę zdesperowanej polskiej sanitariuszki kazał wystawić przed szpitalem powstańczym, aby nie dopuścić do wymordowania rannych przez SS. Z filmu Romana Polańskiego cały świat zna historię genialnego pianisty Władysława Szpilmana, któremu Wilm Hosenfeld pomógł przetrwać po ucieczce z getta. *Próbuję ratować każdego, kto jest do uratowania* – pisze. Miał pełną wiedzę o tym, co działo się w Polsce i o całokształcie działań niemieckich w Europie. Jak bardzo ciążyła mu świadomość

przynależności do narodu bestialskich oprawców widać w wielu jego zapiskach. *Srowadziliśmy na siebie niezmywalną hańbę i nieodwracalne przekleństwo. Nie zasługujemy na żadną formę łaski. Wszyscy jesteście współwinni. Wstydę się wychodzić do miasta. Każdy Polak ma prawo opluć nas. Codziennie zdarza się, że zabijani są niemieccy żołnierze, a będzie jeszcze gorzej i nie mamy żadnego prawa się skarżyć. Nie zasłużyliśmy na nic innego* – pisze 16 czerwca 1943 roku.

Niewątpliwie Wilm Hosenfeld był człowiekiem dużej wrażliwości, wykazał się głęboką empatią pozwalającą mu zrozumieć siłę oporu narodu polskiego. Doskonale zdawał sobie sprawę ze zbiorowej odpowiedzialności narodu niemieckiego za zbrodnie popełnione w trakcie wojny. Być może przewidywał także skutki. Sięgając głębiej warto podkreślić, że będąc katolikiem, człowiekiem głębokiej wiary, odczuwał potrzebę dania jej świadectwa czynem. Być może z niej właśnie czerpał siłę do swej samotnej walki.

Żadne okoliczności łagodzące nie zostały wzięte pod uwagę przez Trybunał wojsk MSW ZSRR, kiedy w 1950 roku skazano go na 25 lat więzienia. Do końca żył nadzieją, że uwzględniona zostanie jego prośba skierowana do władz radzieckich: *chcę stanąć przed polskim sądem*. Nie znaleziono śladu tego wystąpienia. Zapewne nie zostało nawet przekazane władzom polskim.

Zachowały się jednak i kilka lat temu zostały odnalezione w archiwach zeznania świadków, które dawały podstawę do podjęcia kroków zmierzających do uwolnienia Hosenfelda. *Prokuratorzy i sędziowie Polskiej Komisji Badania Zbrodni Nazistowskich, która powstała w lutym 1945 r. w Łodzi, (...) nie uczynili tego, co nakazywało polskie prawo i elementarne poczucie obowiązku. Nie podjęli starań, aby wydobyć kapitana Hosenfelda z sowieckiej niewoli, nie tylko jako cennego i wiarogodnego świadka zbrodni nazistowskich, ale także jako bohatera ratującego wielu z tych, którzy mieli stać się ofiarami tych zbrodni. Dziś mogą tylko, ale i muszą – jako polski prokurator – prosić członków rodziny kapitana Wilma Hosenfelda o wybaczenie tego zaniechania* – powiedział profesor Witold Kulesza z Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, czyli pionu śledczego Instytutu Pamięci Narodowej.

Czy można postawić obok siebie tych dwóch Niemców? Świątęgo, dobrze poinformowanego i wiele mogącego zdziałać oficera i człowieka prostego, urodzonego i wychowanego na dalekim przedmieściu polskiego prowincjonalnego miasta. Chyba człowieka dobrego, bo ci co przeżyli, opowiadali, jak upominał polskie dzieci siedzące na cembrowinie studni słowami: *zejdźcie, czy życie wam niemiłe?, a w czasie wojny radził im ukrywać kury, żeby nie zabrali ich Niemcy. Człowieka przyzwyczajonego od dziecka do etnicznej różnorodności, bo przecież sąsiadami byli głównie Polacy i Żydzi. Ba, służącego wraz z nimi w Polskim Wojsku! Nagle kraj jego dzieciństwa najechali jego rodacy. Został prawie siłą wcielony do*

niemieckiej policji, bo nie chciał iść do niemieckiego wojska. Dlaczego? Już to musiało być dla niego ciężkim przeżyciem. Kolejny szok przeżył zapewne kiedy wysłano go do Jugosławii. Po raz pierwszy był tak daleko, może od dziecka nie opuścił Łodzi. Teraz jechał do obcych, podobno sojuszników, miał pracować jako strażnik, a oni go postrzelili. Czy wiedział, kto i dlaczego do niego strzelał? Nie bronię go, chcę tylko zrozumieć prostego człowieka, który zbyt mało wie o świecie i ludziach, a zwłaszcza o polityce i wojnie. Który stał się bezwolnym narzędziem wojennej maszyny. Kiedy ranny wrócił do domu i żony, musiał dalej żyć i pracować. Podjął pracę strażnika w więzieniu. Czy wiedział, jakie to więzienie – pewnie tak, ale czy miał wybór? Był przecież policjantem. Mógł tylko mieć nadzieję, że będzie stał „na bramie”. To były ostatnie cztery tygodnie przed wyzwoleniem. Na pewno widział, co dzieje się za murami. Nie pisał pamiętników, ale można przypuszczać, że nie był obojętny na los ludzi, z którymi żył w spokoju i zgodzie. Czy mógł coś zrobić? Absolutnie nie! Był pionkiem, maleńkim trybikiem maszyny zbrodni. Pewnie męczył się przez te dni i cierpiał, bo przecież nie przyszła ta decyzja do niego nagle, zbyt była straszna. Czy myślał o Bogu? Nie wiadomo, choć był katolikiem. Może zwątpił... To co zobaczył w tę pamiętną noc, było pewnie ostatnią kroplą, która sprawiła, że nie chciał dalej żyć z obrazem mordy pod powiekami. Odszedł w objęciach jedynej bliskiej mu osoby, zapewne tak samo jak on przerażonej ogromem ludzkiej podłości.

Profesor Kulesza wielokrotnie podkreślał: *Nie mam najmniejszej wątpliwości, że ten człowiek zasługuje na upamiętnienie go tablicą, jako tego, kto zdobył się na akt sprzeciwu najbardziej tragiczny, jaki można sobie wyobrazić. Nie myślał o ucieczce z Łodzi przed Rosjanami wraz z innymi strażnikami. Poświęcił życie swoje i osoby najbliższe. A motywy, jakimi się kierował są jasno wyłożone w owym wstrząsającym w swej syntetycznej formule liście pożegnalnym. W moim przekonaniu, tablica powinna zawierać in extenso treść jego listu pożegnalnego.*

Jeszcze raz zadajmy sobie pytanie, czy można porównać postawy tych dwóch, tak różnych ludzi? Najcelniejszym podsumowaniem niech będą znowu słowa profesora Kuleszy: *Wilm Hosenfeld walczył, chciał uratować swój honor, bo chciał żyć jako Niemiec. Waldemar Norkwest powiedział: ja nie chcę żyć jako Niemiec!*

Ich protesty zasługują na upamiętnienie. Ten pierwszy zyskał już swoje zadośćuczynienie. Teraz znaleźli się ludzie obdarzeni darem sumienia, którzy ponownie podnieśli sprawę tablicy pamiątkowej. W Roku Niemieckim, jaki właśnie obchodzimy, dobrze byłoby, aby odwiedzający nas goście zza zachodniej granicy przeczytali to memento.

Danuta K. Gruszczyńska

– dziennikarka;

współpracuje z miesięcznikiem „Piotrkowska 104”.

# Widziane z oddalenia

## *Hosenfeld – Niemiec sprawiedliwy*

Byłem w Łodzi (20–22 stycznia 2005 r.) uczestnikiem konferencji pt.: *Wilm Hosenfeld – wspólna pamięć Niemców i Polaków*. Dotyczyła ona przeżyć Wilma Hosenfelda, zapamiętanych na podstawie dzienników i listów, który ratował ludzi i im pomagał. Konferencja poruszyła też kwestię, jak pamiętać o nim przełożyć na nasze życie współczesne. Zadano sobie pytanie, co z tego przesłania pozostanie w nas i jakie wnioski wyciągniemy.

Historia Wilma Hosenfelda, kapitana *Wehrmachtu*, w Łodzi i w Polsce jest znana. Udzielana przez niego pomoc ludziom, między innymi uratowanie Władysława Szpilmana, nie podlega dyskusji. Wiadomo też, jaki był koniec Hosenfelda: dostał się do niewoli radzieckiej i w Mińsku został skazany jako zbrodniarz wojenny na 25 lat łagru. Władze Polski Ludowej niczego nie uczyniły, by mu pomóc, mimo iż o jego losie już wiedziały. Profesor Witold Kulesza z IPN-u w swoim wystąpieniu podczas konferencji nawiązał do tego faktu i powiedział: *Nie jest mi łatwo wyznać, że prokuratorzy i sędziowie polskiej Komisji Badania Zbrodni Nazistowskich, która powstała w lutym 1945 roku w Łodzi, w sprawie Wilma Hosenfelda nie uczynili tego, co nakazało polskie prawo i elementarne poczucie przyzwoitości. Nie podjęli starań, by go wydobyć z sowieckiej niewoli. Wtedy znane już były relacje Szpilmana i księdza Cieciora, które dawały podstawę do podjęcia kroków w sprawie uwolnienia kapitana. Dziś muszę jako polski prokurator prosić członków rodziny kapitana Hosenfelda o wybaczenie.*

Obecni na sali członkowie rodziny Hosenfeldów, mocno poruszeni, mieli łzy w oczach. Nie tylko zresztą oni. To był akt wielkiej odwagi cywilnej ze strony profesora Kuleszy nawiązać do takich sformułowań moralno-etycznych, jak określenie „przebaczamy i prosimy o przebaczenie” w liście biskupów polskich do ich niemieckich braci w biskupstwie w roku 1965. Jak w tych kategoriach można rozpatrywać postępowanie Wilma Hosenfelda?

„Wspólna pamięć Niemców i Polaków” jest rzeczą trudną, ale zadaną nam przez historię jako wspólna pamięć kulturowa. Historia nas posadziła przy wspólnym okrągłym stole, z którego odejść możemy tylko wtedy, gdy się ze sobą pogodzimy. Przy czym zawsze obowiązuje pytanie: „Czego nie wolno nam zapomnieć?”

*W pamięci nie przechowuje się przeszłości jako takiej, nie przechowuje się czystych faktów, ale to, co każda grupa w danej epoce w oparciu*

o istniejący kontekst rzeczywistości jest w stanie zrekonstruować. Przeszłość jest przypominana ciągle na nowo, zależnie od zmieniających się warunków teraźniejszości. Pamięć zbiorowa działa zatem w obu kierunkach: zarówno wstecz jak i w przód<sup>1</sup>

Przyjmując taką definicję w przypadku Hosenfelda, jak i w wielu innych, chyba łatwo jest nam się zgodzić z tym, iż należy przypominać historię, szczególnie naszą polsko-niemiecką, zawsze od nowa, i że w zależności, kiedy to czynimy, będziemy ją w różny sposób interpretowali. Narracja będzie się kształtowała w zależności od czasu, w którym operujemy.

Hosenfeld z konsternacją pisze do żony pod datą 13 sierpnia 1944 roku: *Trzeba sobie zadać pytanie, jak mogło dojść do tego, że w naszym narodzie jest taka szumowina?* Ma oczywiście na myśli nazistów rozprawiających się z Żydami i z Polakami.

On, jako kapitan *Wehrmachtu*, mówi o „szumowinie” we własnym narodzie. Hosenfeld, który najpierw był zwolennikiem nazistów, i miał bardzo wysokie mniemanie o narodzie niemieckim, nagle musi to stwierdzić. Że nie tylko tu i ówdzie spotkać można przestępców i morderców, jak w każdym narodzie, ale że u Niemców stało się to zjawiskiem wręcz masowym. Na pewno Hosenfeldowi nie było łatwo do tego się przyznać.

Czy wielu myślało tak jak on? Na pewno z dystansu, już po wojnie, a na pewno teraz, jest takich bardzo dużo. Ale wtedy? To, co pamiętamy, zawsze jest zależne od tego, w jakich warunkach teraźniejszości przypominamy o danej sprawie.

Czy to w niemieckim, czy w innym narodzie znalazła się taka „szumowina”, to już kwestia drugorzędna. Zasadnicze pytanie bowiem brzmi: czy każdy człowiek w określonych warunkach może stać się drapieżną bestią, mordercą? Lub odwrotnie: czy każdy człowiek ma predyspozycje rozpoznawania zła? Czy naziści, mordercy predyspozycji tych nie mieli? Jak oni zło mieli rozpoznać, kiedy przecież



historia – czarne dziury, białe plamy

1. Hans-Jürgen Karp, Robert Traba, *Codziennosc zapamiętana*, Olsztyn 2004, str. 9.

uważali, że czynią dobrze? Sporo lekarzy sądziło, że są miłośnikami zabijając ludzi starych, niepełnosprawnych czy umysłowo chorych, na dodatek zaoszczędzając dużo pieniędzy w kasie chorych. Bardzo dużo rozpraw już napisano na ten temat. Odpowiedzi ostatecznej nikt jeszcze na to jeszcze nie dał. Pozostaje nam więc chyba tylko wytłumaczenie takie: pan Bóg wyposażył człowieka w wolną wolę i umysł. A w jaki sposób z tego skorzysta, to jego sprawa. Wchodzimy zatem tutaj w dziedzinę grzechu i przebaczenia.

Czy człowiek, który zabija, może nie mieć poczucia winy? To odwieczna kwestia Kaina i Abla, a przecież nawet Kain poczuł się w końcu winny. Jeżeli chodzi o morderców nazistowskich oni takiego poczucia winy w przeważającej części widocznie nie mieli, nawet przed sądem w Norymberdze.

\* \* \*

Hosenfeld był inny. Niemieckiemu oficerowi nie daje spokoju to, co widzi w Polsce, szczególnie podczas powstania warszawskiego. Jako gorliwy katolik nie umie sobie wytłumaczyć, że w jego niemieckim narodzie, skądinąd cywilizowanym, mogła pojawić się „taka szumowina”. Pod datą 13 sierpnia 1944 roku notuje: *W gruncie rzeczy w człowieku jest dużo podłości i zezwierzęcenia. Instynkty te wychodzą na wierzch, jak im się pozwala panoszyć bez hamulców. Tak, te niskie instynkty są potrzebne, by mordować i zabijać Żydów i Polaków.*

Z takimi myślami nie może się uporać. Jedyłą nadzieją jest dla niego szybki koniec wojny i nadejście pokoju. Dlatego konkluduje: *Pokój będzie bardzo trudny, inaczej być nie może. Wszyscy będziemy musieli pomóc w odbudowie zniszczonych miast i ludziom, którzy stracili ojczyznę, zapewnić dach nad głową i utrzymanie... Te zadania będzie można tylko wtedy rozwiązać, jeżeli postaramy się o diametralnie inne podejście do życia, to znaczy z postawą chrześcijańską. Niezbędna jest w tym celu miłość braterska celem realizacji idei o życiu socjalnym...*

Czy coś podobnego nastąpiło? Zakończenie wojny wszyscy przyjęli z ulgą. Społeczeństwa wreszcie poczuły się wyzwolone, choć rozumiano je różnie na zachodzie i na wschodzie Europy. Na zachodzie, w Niemczech, unikano określeń „bezwartunkowa kapitulacja”, „wyzwolenie” czy „klęska”. Mówiono raczej neutralnie *Zusammenbruch*, to znaczy „załamanie”, „upadek”. Trudno było się przyznać, że przegraliśmy, ponosimy winę, że zostaliśmy wyzwoleni przez inne narody spod jarzma nazistowskiego. Na wschodzie było inaczej. W Polsce wszędzie mówiło się o okresie „po wyzwoleniu”, co miało oznaczać, iż ludzie powinni byli być wdzięczni Armii Czerwonej. Jednak zwiastowało to tylko ponowne zniewolenie, które opisał Czesław Miłosz w książce *Zniewolony umysł*. I tutaj znów mamy do czynienia ze sprawą, w jakich okolicznościach o czymś pamiętamy. Słowo „wyzwolenie” nie dla wszystkich i nie o każdym czasie oznacza to samo.



Pokój w Europie wprawdzie trwa, ale miłości braterskiej na szeroką skalę nie widać. Powinniśmy się o nią zatroszczyć, szczególnie w ramach Unii Europejskiej, która coraz bardziej traci swe korzenie i wartości. Dlatego tacy ludzie jak Wilm Hosenfeld są nam bardzo potrzebni jako przykład i wzór. A że wzorów takich szukamy, dowodzi temu frekwencja na konferencji w Łodzi. Sala obrad łódzkiego magistratu do ostatniego miejsca była zapelniona, a galeria była obleżona przez sporą grupę młodzieży szkolnej, dla której był to wykład z najnowszej historii. To dobrze, że po ponad pół wieku „wspólna pamięć Niemców i Polaków” przyciąga tak wielu ludzi.

Poza rozpatrywaniem tych spraw w kategoriach historycznych czy politycznych, można je jeszcze rozważyć od strony religijno-społecznej. Wilm Hosenfeld początkowo był zwolennikiem nazistów, wstąpił nawet do ich partii. Kiedy NSDAP zaczęła się rozprawiać z Kościołem katolickim, zbuntował się i został odsunięty i ograniczony w swej działalności jako nauczyciel. Określono go mianem osobnika „niepewnego”. Z biegiem czasu Hosenfeld zdystansował się do nazistów, sympatia przerodziła się we wrogość. Chrześcijanin, który zgrzeszył, może się nawrócić. Hosenfeld był takim człowiekiem.

Hosenfeld pisał listy do rodziny, w których zawarł narastający sprzeciw wobec reżymu nazistowskiego, to cud, że nikt korespondencji kapitana *Wehrmachtu* nie sprawdził. Mimo zagrożenia, katolik Hosenfeld pomagał Żydom i Polakom. W zasadzie nie robił nic nadzwyczajnego, tylko to, co wymaga od każdego człowieka ewangelia, nikt dokładnie nie wie, ile osób uratował. Gdyby żył, sam chyba nie umiałby powiedzieć. Dziś syn kapitana, dr Helmut Hosenfeld, twierdzi, że jego ojciec nie był jedynym takim człowiekiem, ale zgadza się, że było ich za mało. Sam Wilm widocznie się nawet dzielił swoimi myślami z innymi, gdyż pod datą 25 stycznia 1943 roku notuje, że rozmawiał z kolegą, który uważa, iż muszą walczyć do końca, by z powodu tych zbrodni przepaść i nienawiść jeszcze bardziej się wzmogły. Miał widać kogoś zaufanego z kim nie bał się rozmawiać. Wilm Hosenfeld nie obawiał się nawet kontaktu z Żydami, co było na tamte czasy czymś rzadkim. Katolicy nie utrzymywali bowiem bliższych kontaktów z Żydami. Przez wieki najśmielszy teolog nie określiłby Żydów jako „naszych starszych braci” – jak uczy papież Jan Paweł II.

Hosenfeld nie pretendował do bohaterstwa. Nie był przypuszczalnie nawet świadom, że jego postępowanie jest wyjątkowe. Uważał, że jako chrześcijanin tak a nie inaczej powinien postępować. Dlatego Hosenfeld, jako humanista o wysokich standardach etycznych, dla wielu naszych współczesnych może być symbolem bohaterstwa. Nie każdy bowiem katolik, który postępuje zgodnie z ewangelią, zostaje ogłoszony świętym, ale w kategoriach moralnych chrześcijanina to on się stał tym sprawiedliwym Niemcem, który dzisiaj może być przykładem zarówno dla Niemców i Polaków, a zdawał sobie sprawę z tego, że za wszystko, cośmy uczynili w imieniu narodu niemieckiego przyjdzie nam zapłacić i odpowiedzieć. Czy to zrobiliśmy?

\* \* \*

Podczas konferencji poświęconej temu człowiekowi pojechaliśmy też do Pabianic, gdzie Hosenfeld jakiś czas przebywał Proboszcz tamtejszego kościoła katolickiego, witając naszą grupę powiedział, że najprawdopodobniej w tym kościele modlił się Wilm Hosenfeld, który do żony pod datą 16 września 1939 z Pabianic napisał: „O sto kroków stąd znajduje się blisko kościoła duża fabryka, gdzie przetrzymuje się więźniów.” Proboszcz zaprowadził nas przed ołtarz, gdzie Rajmund Kolbe jako chłopiec codziennie się modlił. Kolbe, późniejszy o. Maksymilian, został świętym. Wilm Hosenfeld nie dostał tej chwały. Pabianicki proboszcz zbliżył w ten sposób te postacie mówiąc, że najwyraźniej mogą służyć pojednaniu polsko-niemieckiemu.

Innym przykładem z czasów wojny może być postać niemieckiego podoficera Wehrmachtu, gorliwego katolika, który także pomagał wielu Polakom. W Gnieźnie uratował relikwie św. Wojciecha. Zanim SS zdołała je zrabować z katedry, Niemiec ten, który zdążył się zaprzyjaźnić z polskim księdzem, dosłownie w przeddzień zaplanowanej profanacji zapakował relikwie w paczkę i pociągiem przewiózł je z Gniezna do Inowrocławia, gdzie z księdzem wmurowali je pod posadzką w zakrystii. Historia ta dopiero w latach dziewięćdziesiątych ujrzała światło dzienne. Ówczesny podoficer *Wehrmachtu* żyje po dzień dzisiejszy w Niemczech. Nie chce sławy ani ujawniania nazwiska.

Dlaczego ludzie w ten sposób postępują wiedząc jednocześnie, że mogą zapłacić życiem? Hosenfeld i Niemiec z Gniezna wiedzieli o tym. Jednakowo wyznają, iż czynili tak, bowiem nakazywało im to chrześcijańskie sumienie.

Co by było, gdybyśmy nie mieli takich postaci, takich symboli? Z czym byśmy poszli do naszych społeczeństw i narodów tłumacząc, że pojednanie jest potrzebne, byśmy znaleźli się we wspólnej Europie? Współcześnie mamy inne przykłady: list biskupów polskich do ich niemieckich braci w biskupstwie w roku 1965, ukłęknięcie Willy Brandta w Warszawie w roku 1970 oraz prośba o przebaczenie wyrażona w roku 1994 w Warszawie przez prezydenta Niemiec, Romana Herzoga. Biedni byłiby politycy w naszych krajach, gdyby nie mieli takiego moralnego wsparcia.

Wracając z Łodzi pociągiem do Niemiec nasze rozmowy cały czas obracały się wokół konferencji poświęconej przecież Hosenfeldowi. Poczuliśmy ulgę. Podczas podróży do Łodzi rozmowy były inne. Członkowie rodziny Hosenfeldów byli dosyć niepewni jak zostaną przyjęci, jakie padną pod ich adresem pytania, może drażliwe? Nie znali Polski, nie znali języka polskiego, a jechali do polskiego społeczeństwa, pokrzywdzonego przez ich państwo. Jak nas przyjmą? – zastanawiali się. Napięcie zniknęło, gdy po przyjeździe poznali polską gościnność. Gospodarzem był profesor Kulesza. Podczas sesji obawy były już o wiele mniejsze, a w pociągu

w powrotnej drodze do Niemiec, dr Helmut Hosefeld nadzieić się nie mógł, że Polacy poświęcili im tyle czasu. I że tyle osobistości – prezydenci miast, naukowcy, dziennikarze i wielu innych -zainteresowali się nimi. Uczestniczyli w wielu przyjęciach, koncertach, atrakcjach turystycznych. W podobnie pochlebnym tonie wyrażał się też dr Thomas Vogel, wydawca książki Hosenfelda, także pierwszy raz odwiedzający Polskę. Po rozmowie z nim mogę powiedzieć: zapadła już decyzja o wydaniu książki Wilma Hosenfelda po polsku.

Niemcy i Polacy mają dziś sobie dużo do powiedzenia. Wydarzenia z naszej historii są generalnie znane i zawarte w podręcznikach, książkach naukowych i dokumentach. Trzeba je znać. Ale chodzi tu bardziej o codzienność zapamiętaną przez zwykłych ludzi, bo pamięć przekazywana nam przez książki, media, itp., które porządkują wątki historyczne od Ottona III po drugą wojnę światową, są zbiorami już rozpracowanymi, które mogą brzmieć abstrakcyjnie. Ale pamięć osobista pojedynczego człowieka jest czymś odrębnym. Jeżeli ją przeżywamy razem z drugim człowiekiem, to ona będzie nas dotyczyła bezpośrednio, bo tej pamięci nie można odłożyć na bok, jak odkłada się podręcznik z historii. Nie powinniśmy jednak tej pamięci wykorzystywać do utwierdzenia nas w podziałach. Pamięć, która nie dzieli ludzi, jest w stanie przerzucać pomosty, tak jak to było w przypadku Hosenfelda i jemu podobnych. Pamięć zwykłego człowieka, jeżeli jest szczerą, nie sprowadza się do wytykania błędów, lecz prowadzi do solidarności. Tak to moim zdaniem powinno wyglądać w wymiarach pomiędzy poszczególnymi przedstawicielami naszych narodów i tego trzeba oczekiwać w wymiarach większych, tak jak stało się ostatnio między Polakami a Ukraińcami. Zupełnie niespodziewanie między tymi narodami zrodziła się nagle solidarność, jakiej przy okrągłym stole osiągnąć się nie da. To, co się wydarzyło, może doprowadzić między Polakami a Ukraińcami do wręcz wzorowej solidarności i przyjaznego sąsiedztwa.

\* \* \*

Pod datą 14 grudnia 1939 roku Wilm Hosenfeld notuje w Węgrowie: *Moją duszę ogarnia głęboki smutek. Wsiadam do samochodu i jadę dalej, a ludzie wystraszeni ustępują miejsca. Stoją wzdłuż drogi ze swoimi tobołami i czekają. Jutro ten plac będzie pusty, ci ludzie jakby wyklęci, zostaną gdziekolwiek wtłoczeni, czy to do zimnych stodół, szop, a może i do domów, w których już zamieszkuje bieda. Ulicą idzie niewidomy, w rękę trzyma laskę i ostrożnie posuwa się naprzód, by nie zgubić drogi. On nic z tego nie widzi, co ja widzę. Dokąd zaprowadzą go jego kroki, a my w jakim kierunku idziemy?*

To jest codzienność Hosenfelda, zapisana w dzienniku, zinterpretowana głębokimi chrześcijańskimi przemyśleniami. Oczywiście, że przez dziesięciolecia po wojnie taka pamięć dzieliła. Dziś nie powinna już dzielić ludzi we

wspólnej Europie. Pamięć powinna budować mosty. Uczynił to profesor Witold Kulesza przeprasząc rodzinę Hosenfeldów za nieudzielenie pomocy Wilmowi przez powojennych urzędników Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich. Ta pamięć już zatem nie dzieli. Z ufnością wszyscy wróciliśmy zatem z konferencji w Łodzi. Byliśmy zgodni, że tamtych czasów nie wspominamy z nostalgii, ale że obowiązkiem naszym jest przeciwstawianie się strategiom zapominania. Największe bowiem kontakty realizują się pomiędzy człowiekiem a człowiekiem, jeżeli człowiek jest gotowy drugiemu wyjść naprzeciw.

Poeta z Olsztyna Kazimierz Brakoniecki, który tak samo jak ja pochodzi z polskiego Barczewa, choć przecież ja urodziłem się w niemieckim wtedy Wartenburgu, pisze w jednym ze swoich wierszy: „Ojczyzną człowieka jest drugi człowiek”. Tak, z Kazimierzem Brakonieckim, którego przodkowie pochodzą z Wileńszczyzny, bez końca mamy sobie coś do powiedzenia na tle pamięci z przeszłości. Połączyła nas oto metafizyka miejsca. Przy naszym porodzie była obecna ta sama położna, u mnie przed wojną, u niego po wojnie, chrzczył nas ten sam ksiądz, u mnie przed wojną, u niego po wojnie. Jesteśmy braćmi tej samej miejscowości, zobowiązani do budowania mostów, by ojczyzną człowieka stał się drugi człowiek.

A co by robił Wilm Hosenfeld, gdyby przeżył? Gdyby zaraz po wojnie spotkał Władysława Szpilmana? Jestem przekonany, że budowałiby mosty, porozumienia, ich pamięć, jakże tragiczna, z pewnością ich by nie dzieliła, bowiem byli ze sobą połączeni wysoką etyką. Ja miałem szczęście dobrze poznać Władysława Szpilmana, z jego małżonką kontakt nadal trwa. Wiem jaki miał on stosunek do Niemców. Wiem też, że potomkowie Wilma Hosenfelda kontynuują dzieło ojca w imię lepszej przyszłości.

*Winfried Lipscher*

*– teolog,*

*były radca ambasady Republiki Federalnej Niemiec;*

*publicysta,*

*mieszka w Berlinie.*

# łodzianie

## **Piewca natury**

*Otto Edward Poppel (1878–1960)*

Łukasz Grzejszczak

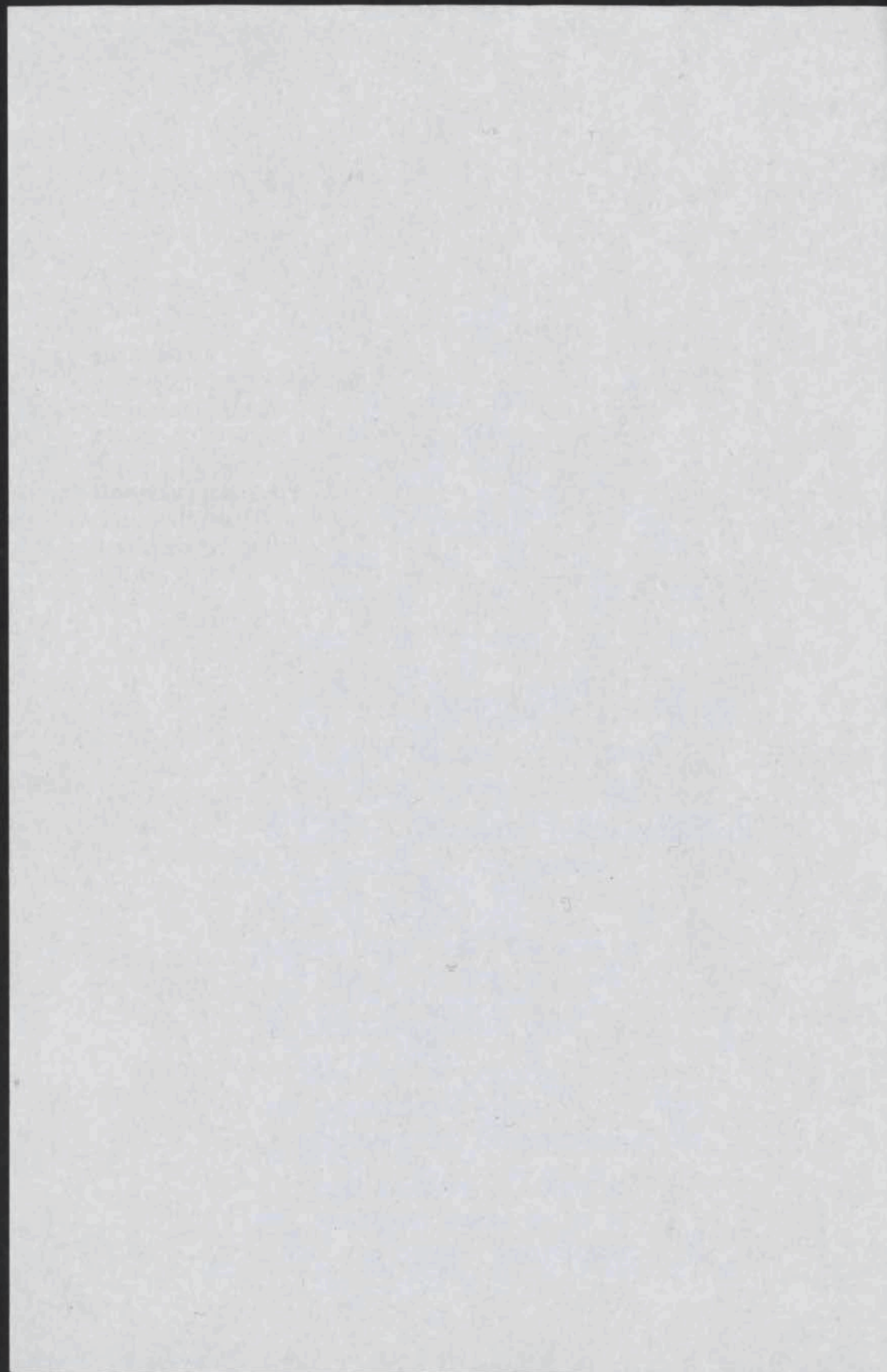
str. 173

## **Przywrócona tożsamość**

*Helena Milczarek-Weingärtner*

Mieczysław Gumola

str. 176



# Piewca natury

*Otto Edward Pippel (1878–1960)*

Łódzkie środowisko plastyczne swymi początkami sięga lat 90. XIX stulecia. Z uwagi na wielokulturową specyfikę miasta wkład w rozwój „kolonii Apellesowej” mieli zarówno malarze polscy, żydowscy jak i niemieccy. W tym gronie twórców jedną z ciekawszych indywidualności był Otto Edward Pippel, przez historyków sztuki uznany za jednego z najwybitniejszych przedstawicieli niemieckiego impresjonizmu. Zapomniano natomiast, że ów „as szkoły monachijskiej”, zanim zyskał międzynarodową sławę, związany był ze środowiskiem artystycznym rodzinnego miasta.

Przyszedł na świat 10 lutego 1878 roku w Łodzi jako syn tkacza – przybyłego z terenu Niemiec – Edwarda oraz Marii Marianny z Braunów. Jego braćmi byli znani fotografowie Edward i Alfred, którzy od roku 1897 prowadzili w Łodzi zakład „Moderne Photographie” oraz skład z materiałami fotograficznymi. Mieścił się on początkowo w ich rodzinnym domu przy ul. Nawrot 28, a od około 1915 roku w budynku pod numerem 2 tejże ulicy.

Podobnie jak starsi bracia także Otto Edward od najmłodszych lat ujawniał zdolności artystyczne, jednak zgodnie z wolą ojca zawodowo miał związać się z przemysłem włókienniczym prawdopodobnie jako projektant tkanin i kolorysta, które to zawody cieszyły się wówczas w Łodzi dużym uznaniem. Od 1896 roku kształcił się pod kierunkiem Antona Sedera w Szkole Rzemiosła Artystycznego w Strasburgu. Po zakończeniu nauki i powrocie do rodzinnego miasta zyskał mecenasów wśród członków rodzin miejscowej elity finansowej – Grohmannów i Geyerów. Z pomocą przyszła mu także rodzina przemysłowców i kolekcjonerów dzieł sztuki Biedermannów, z którą był spowinowacony za sprawą małżeństwa jego ciotki z seniorem rodu Robertem Biedermannem.

Los zatem zdecydował o przyszłości artysty nieco inaczej w stosunku do planów jego ojca. Młody projektant z większą pasją odnosił się do malarstwa niż do komponowania deseni na tkaninach, zaś znalezienie wpływowych mecenasów pozwoliło mu na twórczą niezależność. Jednak wczesne prace Pippla utrzymane były w konwencji charakterystycznej dla malarstwa akademickiego przełomu XIX i XX wieku.

Starał się zaistnieć w środowisku łódzkich artystów. Wziął udział w wystawie zorganizowanej w Łodzi na przełomie kwietnia i maja 1903 roku przy ul. Piotrkowskiej 74, zaś miejscowa prasa podawała brzmienie jego nazwiska jako „Pypel”. Odniósł wówczas pierwszy komercyjny sukces, bowiem jeden z pejzaży zatytułowany *Wrzosowisko* nabył właściciel drukarni i działacz społeczny – Władysław Wścieklica. Jego obrazy znalazły się także w willi „Palma” w Arlo Trentino, należącej do Emmy Adelmy Biedermann.

Wkrótce dzięki stypendium otrzymanemu od swych mecenasów kontynuował edukację artystyczną w Niemczech. W latach 1905–1907 studiował malarstwo w Karlsruhe u profesorów: Ludwiga Schmidt-Reutte, Waltera Conza, Friedricha Fehra i Juliusza Hugona Bergmanna. Następnie do 1908 roku studiował w Dreźnie u Gottbardta Johanna Kuehla oraz krótko w Paryżu, gdzie zetknął się bliżej z malarstwem impresjonistów i postimpresjonistów.

Mimo pobytu za granicą w latach 1905 i 1907 eksponował stale prace w Łodzi, zaś w roku 1908 miał dużą indywidualną wystawę, z której recenzje ukazały się na łamach niemieckojęzycznej „Neue Lodzer Zeitung” i polskiego „Rozwoju”.

Odbywał również liczne podróże artystyczne po Francji, Włoszech, północnych Niemczech i Rosji, gdzie chętnie zatrzymywał się na dłuższe pobyty na Krymie. Malownicze okolice, które w czasie tych wyjazdów poznawał, rozbudziły w nim fascynację pejzażem, którą przenosił na płótno z całą gamą gry światła i barw zastosowanych na zasadzie silnych walorowych kontrastów, podkreślonych dodatkowo zróżnicowaną, ekspresyjną, impastową fakturą.

Wzorem impresjonistów, których twórczość wyraźnie go zafascynowała, powracał – głównie w pejzażach – wielokrotnie do tych samych motywów, utrwalając je w różnych porach roku i dnia, skupiając uwagę na ukazaniu w kompozycji relacji między światłem a barwą. Będąc piewcą górskich, alpejskich krajobrazów z okolic jezior Walchensee, Starnbergersee, Tegernsee, malował również sceny myśliwskie, portrety, wnętrza i martwe natury, a w szczególności kompozycje kwiatowe. Obok nich do ulubionych tematów artysty należały sceny rodzajowe.

Pippel w sposób brawurowy operuje plamą barwną przy ograniczonej gamie kolorystycznej (ciepłe brązy, żółcienie, chłodna szarość), a wprowadzenie efektów luministycznych świadczy o jego wielkim kunszcie malarskim.

W 1909 roku na miejsce stałego pobytu wybrał bawarską, górską miejscowość Planegg położoną nieopodal Monachium. Uczestniczył w życiu monachijskiego środowiska artystycznego, a w 1912 roku jako członek Grupy Luitpolda wziął udział w wystawie w Glaspalast. Pozostawał również w bliskich kontaktach z galerią Brakla, w której w 1923 roku wziął udział w „wystawie impresjonistycznej”. Dzięki uznaniu krytyki i popularności z jaką spotykały się jego prace, został zaliczony do grona czterech „asów szkoły monachijskiej”.

W tym czasie powstaje cały szereg pejzaży będących przykładem impresyjnego ukazania zjawisk natury. Niektóre z nich reprodukowane są w katalogu monograficznej wystawy malarza w Wormacji w 1932 roku oraz na łamach czasopisma „Weltkunst” w dwadzieścia lat później.

Mimo iż jego dzieła już za życia znalazły się w zbiorach muzeów w Bonn, Lipsku, Wormacji, Monachium, Dortmundzie, Bremenhaven, licznych kolekcjach prywatnych, podtrzymywał nadal kontakty z łódzkim środowiskiem artystycznym. Wziął nawet udział w zorganizowanych we wrześniu 1942 roku przez władze niemieckie





łodzianie

dniach kultury wystawiając prace w Łodzi wspólnie z prezentującą sztukę użytkową Martą Kronig.

W późnym okresie twórczości oprócz podejmowanych tematów wykonywał także kopie dzieł wielkich mistrzów będące wynikiem licznych zamówień. Jednak podziw i uznanie prywatnych kolekcjonerów zyskał artysta za sprawą swych pejzaży. Do dziś potwierdza to stała niemal obecność tego typu prac na polskim rynku antykwarycznym.

Indywidualny styl jego malarstwa wyznaczały zarówno wierność – przez cały okres twórczości – własnemu postrzeganiu świata i natury oraz wrażliwość na światło i barwę, świadczące nie tylko o warsztatowej perfekcji ale stanowiące ów nieuchwytny „czar” zawarty w dziełach.

Otto Edward Pippel zmarł 16 maja 1960 roku w Planegg koło Monachium.

*Łukasz Grzejszczak*  
– historyk sztuki, nauczyciel akademicki;  
członek Stowarzyszenia Historyków Sztuki.

# Przywrócona tożsamość

*Helena Milczarek-Weingärtner*

Helena Milczarek z domu Weingärtner, emerytka, uprzednio długoletnia pracownica „Artechu”, uznała w 1989 r., że kiedy w kraju tak wiele się zmieniło i ludzie przestali bać się mówić prawdy o sobie, nie musi wypierać się swoich niemieckich korzeni. Czuła, że tkwi na niewłaściwym dla siebie miejscu. Kiedy odwiedzała cmentarz ewangelicki przy ulicy Ogrodowej, przechodziła obok zniszczonej kaplicy Scheiblerów, wydawało się jej, że słyszy wewnętrzny głos: „Bądź sobą, działaj”. Przynurzyła się wówczas, że powoła niemieckie stowarzyszenie w Łodzi. Nie była w tym zamiarze odosobniona. Kilka innych osób, nic o sobie wzajemnie nie wiedząc, napisało o pomysśle zawiązania jakiejś organizacji towarzyskiej do ambasady niemieckiej w Warszawie. Odpowiedziano im, że tylko od nich zależy powołanie stowarzyszenia, doradzono skontaktowanie się z działającym już takim towarzystwem w Opolu. Po tej informacji grupa łódzka skontaktowała się z Niemieckim Towarzystwem Społeczno-Kulturalnym na Śląsku Opolskim, które przesało materiały potrzebne do rejestracji.

Łodzianie spotykali się najpierw w mieszkaniu prywatnym Heleny Milczarek, później utworzyli *Deutsche Freundschaft Kreis* (DFK), czyli Niemieckie Koło Przyjaźni. W maju 1992 r. odbyło się zebranie założycielskie, na którym osiemnaście osób wypełniło deklarację skierowaną do sądu o rejestrację stowarzyszenia. Sąd Wojewódzki w Łodzi 1 października 1992 r. zarejestrował Niemieckie Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne w Łodzi. Pierwszym jego prezesem została Helena Weingärtner-Milczarek, która kieruje jego działalnością do dzisiaj. Największym jej sukcesem jest ocalenie zabytkowego domu przy ulicy Targowej 81, pierwszej siedziby rodu Grohmannów. Dom nadawał się już właściwie do rozbiórk. Wojewódzki Konserwator Zabytków wystąpił z dramatycznym apelem w telewizji – zwracał się do łodzian o uratowanie cennego zabytku, świadectwa wielonarodowościowej przeszłości miasta.

W jedną z kwietniowych niedziel 1996 r. przy ulicy Targowej, w dawnym zakładowym domu kultury, odbywała się lekcja języka niemieckiego dla członków stowarzyszenia, którzy nadrabiali wieloletnie w tym zakresie braki bądź uczyli się języka od podstaw. Po lekcji Helena Milczarek zabrała całą grupę do zrujnowanego domu Grohmannów, by dowiedzieć się co oni myślą o jego odbudowie. Wszyscy wówczas uznali, że ruiny tej nie da się uratować. Jediną osobą, która miała odmienne zdanie, była pani Helena, której tak jak kiedyś na cmentarzu ewangelickim wydawało się, że słyszy głos dawnych właścicieli: „Nie poddawaj się, nie ustępuj, uratujesz ten dom”. Rozpoczęła usilne starania o jego uratowanie. Kosztorys odbudowy domu wykonany

przez renomowaną firmę wyniósł równy milion złotych. Po kolejnych analizach kosztorys został zmniejszony do kwoty 860 tys. zł. Pieniądze potrzebne na odbudowę przyznała Fundacja Współpracy Polsko-Niemieckiej w Warszawie oraz Fundacja Rozwoju Inicjatyw Lokalnych w Opolu, swoją część dołożył rząd federalny w Bonn. Dziś dawny dom – ruina przy Targowej 81 to prawdziwy rodzynek architektoniczny w zubożałym i martwym pejzażu fabrycznym dawnego królestwa Scheiblera i Grohmann. Niemieckie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, mieszczące się kiedyś w jed-



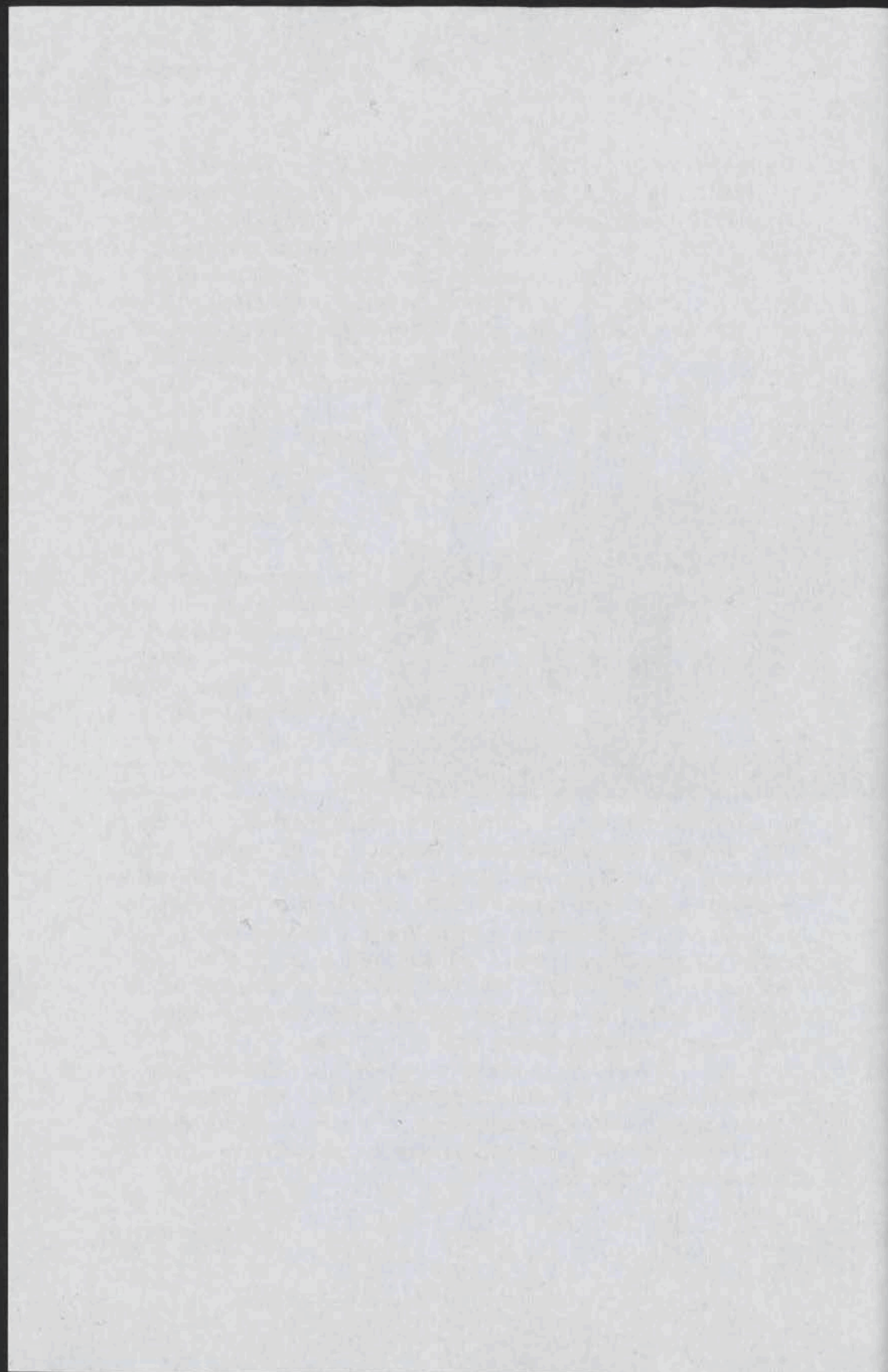
nym tylko pokoju, stało się od października 2000 r. właścicielem domu z pięknie odremontowanym i wyposażonym wnętrzem oraz przyległym ogrodem.

Towarzystwo, jak informuje przewodnicząca, w 2005 r. skupia blisko 200 osób z Łodzi i innych miejscowości, wśród nich z Pabianic, Łasku, Zduńskiej Woli, Piotrkowa Trybunalskiego, Sieradza i nawet Warszawy, w której podobne stowarzyszenie nie powstało. W pierwszych latach swego istnienia, jeszcze w skromnym pokoju przy ulicy Roosevelta towarzystwo żyło.

Jego członkowie i sympatycy spotykali się na wieczorach wspomnień, przed Bożym Narodzeniem, na śniadaniu z jajkiem przed Wielką Nocą. Dla seniorów była to często jedyna okazja powrotu do rodzinnej atmosfery. Urozmaicone i pomysłowe bywały też imprezy młodzieżowe. Z czasem jednak energia towarzystwa zaczęła się wyczerpywać, pojawiły się różne punkty widzenia na temat kierowania jego działalnością. Sporo starszych członków zrezygnowało z uczestnictwa w zajęciach i wypisało się z towarzystwa. Część wykluczyła z towarzystwa przewodnicząca. Dziś piękne pomieszczenia przy Targowej przez większość dni tygodnia stoją puste. Podręczna biblioteczka posiada kilka przypadkowych pozycji, po które nikt nie sięga.

Wielki wysiłek włożony w uratowanie domu Grohmann, będący osobistym sukcesem Heleny Milczarek, przyniósł efekt, bo zabytkowy budynek został uratowany. Jednak działalność stowarzyszenia, które się do niego wprowadziło, powoli zamiera. Trudno powiedzieć, czy sytuacja ta ma szansę się zmienić. W każdym razie obecnie nic tego nie zapowiada.

*Mieczysław Gumola*



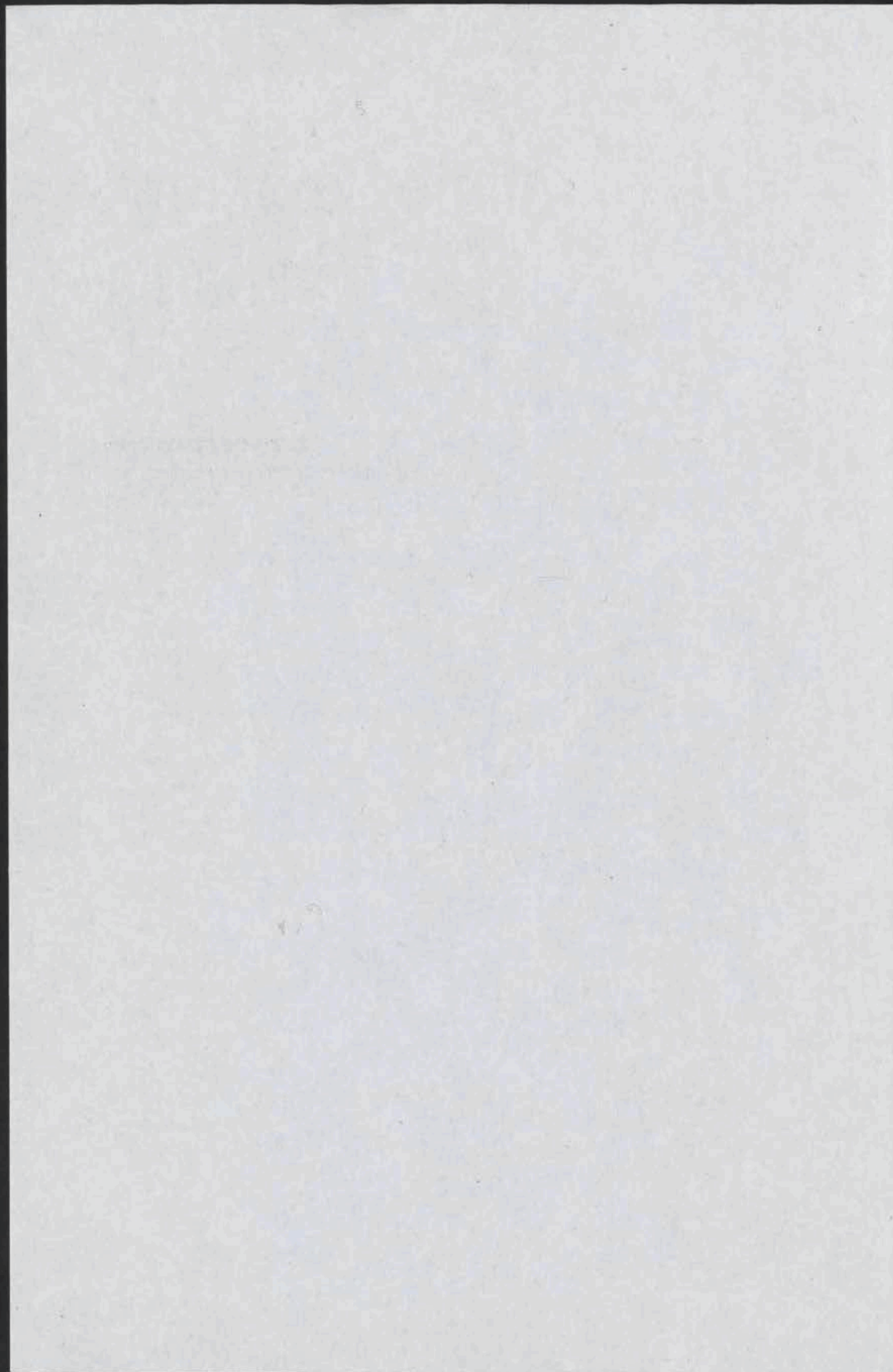
# religie, kościoły, wyznania

**Po drodze z Chrystusem**

*Kościół ewangelicko-metodystyczny*

Mateusz Sidor

str. 181



# Po drodze z Chrystusem

## *Kościół ewangelicko-metodystyczny*

Wydaje się, że Łódzian, którzy wiedzą o istnieniu w mieście parafii ewangelicko-metodystycznej, jest niewiele więcej niż samych metodystów. Niepozorna, szara bryła kościoła stoi pomiędzy wieżowcami. Ogrodzenie świątyni niemal styka się ze straganami bałuckiego rynku; wystarczy przejść przez ulicę. Przez większą część tygodnia budynek zdaje się być porzucony. Jednak w niedzielę o godz. 11 rozbrzmiewa hymnami i czytana na głos ewangelią. Kilkudziesięcioosobowy zбір metodystyczny dzięki nakazom służenia człowiekowi i pielęgnowaniu dobra jest aktywnie obecny na mapie społeczno-religijnej miasta.

### **Akademicy biblii**

Kościół metodystyczny jest trzecim największym odłamek w łonie protestantyzmu. Jego początki dzieli jednak dystans około trzystu lat od powstania Kościoła ewangelicko-reformowanego i ewangelicko-augsburskiego w XVI w. Doktrynalnie metodyści zbliżyli się do luteran i kalwinów, wpierywając się od anglikanizmu, z którego metodyzm wyrósł. Początki Kościoła ewangelicko-metodystycznego sięgają lat 20. XVIII w. Jest to wiara, która w przeciwieństwie do innych nie zrodziła się w rezultacie ruchów społecznych i wojen, ale powstała w murach i amfiladach uniwersytetu w Oksfordzie. Była inicjatywą akademicką o charakterze koła dyskusyjnego, złożonego ze studentów i profesorów uczelni. Inicjatorem był wykładowca języków starożytnych i filozofii John Wesley, który położył nacisk na ożywienie duszpasterstwa. Oprócz modlitewnych spotkań, członkowie grupy odwiedzali chorych, spotykali z więźniami, uczyli dzieci religii, jednocześnie zobowiązując się do ścisłego przestrzegania częstej modlitwy oraz przyjmowania komunii świętej. Przyłgnęła do nich nazwa „metodyści”, która z początku była drwiną z poukładanego życia otoczenia Wesleya. Jednak przezwisko, oznaczające w języku greckim „idący drogą”, stało się z czasem powodem do dumy wyznawców i przyłgnęło na zawsze jako nazwa Kościoła.

Mimo że to Anglia była kolebką metodyzmu w Europie, na starym kontynencie mieszka tylko 449 tys. metodystów. Największą społeczność tworzą w Stanach Zjednoczonych, gdzie żyje dziś piętnaście milionów wyznawców metodyzmu na ogólną liczbę czterdziestu milionów na całym świecie. W warunkach kiełkującej w XVIII w. społeczności i państwowości Stanów Zjednoczonych, wszelkie nowe idee na świecie, w tym ruchy religijne, znajdowały korzystny grunt dla rozwoju.

religie, kościoły, wyznania

Anglikanie bowiem nie chcieli widzieć w Anglii religijnej konkurencji, blokując dostęp metodystów do kościołów. Dlatego też John Wesley najpierw rozpoczął swoją ewangelizację na ulicach Londynu. Jednak więcej zwolenników zyskał w Bristolu, gdzie w 1739 roku powstała pierwsza metodystyczna świątynia. W 1784 roku ogłosił dwadzieścia cztery artykuły wiary, będące wyciągiem i rozwinięciem trzydziestu dziewięciu artykułów anglikańskich. Pod koniec życia Wesleya, u schyłku wieku XVIII, metodyści mieli w Anglii 76 tys. wyznawców. Liczba ta wzrosła znacząco dopiero w latach czterdziestych następnego wieku. Intensywny rozwój wspólnoty, znaczony równoległe akcją budowy seminariów i kościołów, zaowocował 286 tys. wyznawcami. Była to jednak religia, która nigdy nie zdobyła popularności w rodzinnym mieście Johna Wesleya Londynie ani w uprzemysłowionych rejonach Anglii. Większość wyznawców rekrutowała się z obszarów górniczych i ośrodków przemysłu tekstylnego Anglii i Walii.

Metodyzm nie powstał jako religia, u której podwalin leży cud lub objawienie, ale stopniowo wzrasta w świadomość anglikanów i protestantów. Ma jednak swój moment duchowy. John Wesley opisuje w swoich dziennikach wydarzenie, które zakończyło okres jego osobistych, pełen rozterek, poszukiwań Boga. Będąc w kościele braci morawskich doznał, jak pisze, „dziwnego rozgrzania serca”. Nastąpiło to 24 maja 1738 roku i ta data stanowi początek ruchu metodystycznego, choć wspólnota formalnie odłączyła się od Kościoła Anglii dopiero po śmierci Johna Wesleya. Od dnia doznanej w 1738 roku iluminacji, duchowny ten do końca życia pozostając wciąż duszpasterzem anglikańskim, zorganizował i prowadził ruch metodystyczny. Wesley mawiał, że *chrześcijanie powinni zachować w sprawach zasadniczych jedność, w sprawach drugorzędnych wolność, a we wszystkim miłość*. Pastor bowiem nie planował stworzyć odrębnego Kościoła, a tylko ożywić i odbiurokratyzować działalność duszpasterską anglikanizmu oraz skupić się na duchowych potrzebach wiernych. W tym celu Wesley opracował *Zasady ogólne*, które dotyczyły zadań, obowiązków i formy spotkań wyznawców. W jego zamierzeniu miała to być *wspólnota ludzi w zorganizowanej formie, poszukujących mocy pobożności, zjednoczonych dla wspólnej modlitwy, przyjmowania słów napomnienia i czuwających nad sobą wzajemnie w miłości, by sobie nawzajem dopomagać do uzyskania zbawienia*. Pastor podzielił wiernych na klasy, gdzie członkowie mieli nawzajem dbać o swoje zdrowie fizyczne i duchowe, a o chorobach i odstępstwach od drogi cnoty należało informować pastora. Reguły narzucone przez Wesleya były dość wymagające. Członkowie wspólnoty nie mogli oddawać się pijaństwu i zabawom, wytaczać współwyznawcom procesów, pracować w niedzielę, czytać nieodpowiednich książek, popełniać grzechu gadulstwa i „gromadzenia skarbów na ziemi”. W *Zasadach* pastor zawarł też zapis, który reagował na rodzące się w XVIII-wiecznej Anglii społeczne nieprawości, wkrótce zresztą stanowiące już problem globalny. Wesley zaznaczył bowiem, że metodyście nie wolno *Kupować i sprzedawać ludzi, mężczyzn, kobiet*



*i dzieci, w celu uczynienia ich niewolnikami.* Jednak w Stanach Zjednoczonych XIX w. przepis potępiający niewolnictwo był łamany nawet przez metodystów.

Doktryna religijna w kościele ewangelicko-metodystycznym nie różni się wiele od luterkańskiej i kalwińskiej. Inna jest struktura Kościoła, która w metodyzmie jest bardzo płytka i składa się z biskupa jako głowy kościoła w kraju, Rady Kościoła i światowej Konferencji Dorocznej. Pastorzy są nominowani na stanowiska parafialne, inaczej niż w luteranizmie, gdzie wybierają ich członkowie parafii. Metodysci zerwali z zasadą zwierzchności króla nad Kościołem, co stanowi dotąd tradycję anglikańską. Podobieństwa z innymi kościołami protestanckimi spowodowały, że polscy metodysci podpisali umowę z luteranami (1994 r.) i kalwinami (1990 r.) o wspólnocie kazalnicy i ołtarza. W praktyce oznacza ona, że księża tych trzech wyznań mogą w stowarzyszonych Kościołach wymiennie udzielać sakramentów – których w metodyzmie są dwa: chrzest i komunia święta – oraz głosić kazania. Podobne próby obustronnego porozumienia podjęli metodysci z anglikanami w końcu lat 90. XX w. Miało dojść do jeszcze większego zbliżenia Kościołów, łącznie ze wspólnym wyznaniem wiary oraz obustronnego uznawania urzędu biskupiego. Zaawansowane rozmowy i ugody między duchownymi obu wyznań ucięli najwyżsi hierarchowie angielscy, nie dopuszczając do podpisania umowy.

religie, kościoły, wyznania

### Polska szkoła

Historia Kościoła ewangelicko-metodystycznego w Polsce rozpoczyna się dopiero po I wojnie światowej. Pojawienie się metodystów na ziemiach polskich związane jest z osobą Ignacego Paderewskiego, który apelował w Ameryce o pomoc dla zgnębnionego wojną kraju. Jako pierwszy odpowiedział *The Methodist Church Episcopal South* (Kościół Metodystów Południowych). Pierwsi misjonarze przybyli do Polski już w 1919 roku i swoją działalność rozpoczęli od pracy charytatywnej. Na początku stworzyli kilka kuchni, w których wydawano setki obiadów dla bezrobotnych i bezdomnych. Metodysci założyli też poliklinikę w Skolimowie koło Warszawy, gimnazjum w Klarysewie oraz kilka szkół przysposobienia zawodowego. Największym zaś przedsięwzięciem metodystów była pierwsza w Polsce szkoła języka angielskiego, która działa do dzisiaj. W protokole pierwszego synodu Kościoła w Polsce w 1922 roku jest wzmianka o zasięgu kursu: *Szkoła Angielska dla studentów w Warszawie, z liczbą ok. 1000 słuchaczy, we Lwowie dla 500 studentów i w Poznaniu dla 300 słuchaczy.* Prężnie działająca od ponad osiemdziesięciu lat szkoła, oprócz Warszawy, posiada dziś swoje filie w Gliwicach, Elku, Grudziądzu i Krakowie. Metodysci mają

dzisiaj w Polsce około czterech i pół tysiąca wyznawców oraz około pięciuset sympatyków, czyli tych, którzy uczestniczą w nabożeństwach, ale nie zostali jeszcze przyjęci do wspólnoty. W Polsce pracuje dwudziestu czterech duchownych metodystycznych, nad którymi czuwa biskup dr Edward Puślecki. Najwięcej parafii metodystycznych jest na Mazurach. Po drugiej wojnie światowej duchowni tego wyznania zagospodarowali kościoły oraz zbierali wiernych po rozbitym na tamtych terenach kościele unijnym. Dziś w Ostródzie i okolicach są cztery parafie: w Kroplewie, Łukcie i Lipowie.

### Przy Bałuckim

Dzieje łódzkiego zboru ewangelicko-metodystycznego, podobnie jak w większości miast Polski, datują się od zakończenia II wojny światowej. Wprawdzie i przed 1939 rokiem w Łodzi mieszkali metodyści, ale nie posiadali własnej parafii, korzystając z posługi pastora z Warszawy. Jednak to nie rdzennie łódzcy metodyści zainicjowali powstanie regularnej parafii w Łodzi. Po zniszczeniach powstania warszawskiego wielu mieszkańców stolicy przyjechało do Łodzi i tu osiadło na stałe. Wśród nich znalazła się silna grupa metodystów z przedwojennego, warszawskiego zboru i to oni stanowili zaczątek łódzkiego Kościoła ewangelicko-metodystycznego. Podobnie też warszawscy metodyści utworzyli na parę lat po wojnie parafię w Zakopanem.

Metodyści łódzcy starali się u władz miasta o budynek dla swojego zboru. Pierwszy projekt zakładał przejęcie budynku przy ul. Sierakowskiego, który należał do PPS-u i gdzie mieściła się świetlica i sala taneczna. W rezultacie metodyści otrzymali nieruchomość po luterańskiej parafii św. Trójcy przy ul. Dworskiej, dziś Organizacji WiN. Przed wojną był tu filia dla rejonu Bałut, odbywały się próby chóru, w czasie wojny zorganizowano w budynku magazyn. Ale przyszły kościół metodystów do 1944 roku znajdował się w granicach getta, które w porównaniu z resztą nietkniętych dzielnic Łodzi, został przez Niemców zniszczony. Budynek w siedemdziesięciu pięciu procentach był ruiną i w takim stanie przejęli go metodyści, organizując remont, a następnie otwarcie kościoła pod wezwaniem Opatrzności Bożej w sierpniu 1946. Trudne do odtworzenia są dzieje parafii, która nie dysponuje własnymi dokumentami, historia jej jest tak krótka, jak ludzka pamięć. Poprzednikiem obecnego pastora Adama Kleszczyńskiego był ksiądz Henryk Konieczny, który pracował w Łodzi dziewiętnaście lat, zastępując po około dwudziestoletniej posłudze księdza Wincentego Winniczka.

Łódzki zbor kontynuatorów myśli Johna Wesleya ma około sześćdziesięciu wiernych i około czterdziestu sympatyków i spośród wspólnot religijnych posiadających własny kościół jest najmniejszą grupą wyznaniową w Łodzi. Ksiądz Kleszczyński jest również pastorem w parafii pabianickiej, gdzie liczba wyznawców jest podobna jak w Łodzi, a do pomocy pastor ma probatora (wikariusza). Przekrój społeczny łódzkich wyznawców jest szeroki – od ludzi z wyższym wykształceniem



religie, kościoły, wyznania

i prywatnych przedsiębiorców, do osób po podstawówce, a także bezrobotnych. Kościół nie prowadzi aktywnej polityki misyjnej w Łodzi, do zboru przystępują ludzie, którzy są jego członkami od kilkudziesięciu lat i tacy, którzy odwiedzili Kościół podczas nabożeństwa i po jakimś czasie postanowili zostać metodystami. Łódzka parafia pomagała łodzianom – bez względu na wyznanie – podczas stanu wojennego, rozdając dary przychodzące z ośrodków metodystycznych z Austrii i Niemiec. Tradycją łódzkiej parafii stały się spotkania choinkowe dla najmłodszych metodystów, w których uczestniczą również dzieci z parafii polsko-katolickiej. Od kilku lat metodyści organizują też Dzień Dziecka. Parafianie zapraszają dzieci spoza zboru, o których wiedzą, że są w trudnej sytuacji materialnej. Na terenie wokół kościoła odbywają się minifestyny z kiełbaskami, konkursami i prezentami pochodzącymi z zagranicznych darów.

Ksiądz Adam Kleszczyński sprawuje obowiązki pastora w Łodzi od ośmiu lat. Łódzki pastor urodził się we Lwowie w 1938 roku i pochodzi z wielowyznaniowej rodziny – jego rodzice byli katolikami, ale stryjeczny dziadek, dr filologii polskiej Władysław Turpiowski, został pierwszym ordynowanym w Polsce duchownym ewangelicko-metodystycznym. Łódzki pastor pracował wcześniej w parafiach we Wrocławiu, Lublinie, Warszawie, gdzie kierowały go władze kościelne, przez co już parę razy jego żona zmieniała pracę, a córka szkołę. Oprócz pracy duszpasterskiej w Łodzi, ksiądz piastuje odpowiedzialne funkcje w strukturach Kościoła w Polsce. Do listopada 2004 roku był regionalnym przewodniczącym Polskiej Rady Ekumenicznej, aktualnie jest w Radzie Kościoła metodystów w Warszawie odpowiedzialnym za media. Jednak jego naczelną funkcją jest z Wyższym Seminarium Teologicznym im. Jana Łaskiego w Klarysewie pod Warszawą, którego łódzki pastor jest rektorem od 1983 roku. Seminarium założyli amerykańscy metodyści w 1922 roku pod nazwą Szkoły Biblijnej. Dzisiaj uczelnia posiada prawa wyższej szkoły nadającej licencjat z teologii i posiada czterdziestu alumnów. Metodyści obecni są też w mediach. Wydają czasopismo „Pielgrzym Polski” i „Wieczernik”. Co sześć tygodni w Radiu Łódź mają swoje audycje, gdzie ksiądz Kleszczyński mówi o sprawach parafii, życiu Kościoła, porusza zagadnienia biblijne; podobny program metodyści nadają na falach I Programu Polskiego Radia w ramach audycji Polskiej Rady Ekumenicznej.

*Mateusz Sidor*

# osiedla, domy, ulice

## **Jaki miał być Litzmannstadt**

*Niemieckie wizje architektury i urbanistyki miasta z lat 1939–45*

Tomasz Bolanowski

str. 189

## **Udział Niemców w kształtowaniu architektury łódzkiej**

*Mały leksykon architektów i budowniczych*

Krzysztof Stefański

str. 200

## **Zostało po Niemcach**

*W piwnicach złych czasów*

Joanna Napiórkowska

str. 213

THE HISTORY OF THE

... ..

... ..

... ..

... ..

... ..

# Jaki miał być Litzmannstadt

## *Niemieckie wizje architektury i urbanistyki miasta z lat 1939–45*

Okres okupacji niemieckiej w Łodzi w latach II wojny światowej kojarzony jest zazwyczaj wyłącznie z eksterminacją ludności żydowskiej i prześladowaniem Polaków. Nieznanym bliżej tematem są architektoniczno-urbanistyczne działania okupanta mające na celu przeobrażenie miasta w duchu polityki nazistowskiej.

Działania wojenne we wrześniu 1939 r. nie zniszczyły miasta: Łódź nie przeżywała poważniejszych nalotów, w mieście nie prowadzono walk; Wojsko Polskie opuściło miasto oddając je bez walki. Tak duży ośrodek przemysłowy, wraz ze znajdującymi się tu obiektami i zapasami surowców, stanowił cenny łup wojenny. Okupacja Łodzi rozpoczęła się 9 września 1939 r. z chwilą wkroczenia wojsk niemieckich do miasta.

Początkowo Łódź miała przynależeć do Generalnej Guberni. Planowano nawet, że będzie jej stolicą. Jednak zabiegi namiestnika Kraju Warty Artura Greisera doprowadziły do włączenia Łodzi do Rzeszy. Miało to ogromny wpływ na politykę okupanta: równoległe z prowadzoną eksterminacją ludności Niemcy przystąpili do działań mających na celu urbanistyczne i architektoniczne przekształcenie miasta.

Jednym z pierwszych, bardzo ważnych, zadań było powiększenie granic miasta. Umożliwiło to objęcie planowym działaniem wszystkich terenów związanych ze strukturą miejską oraz zabezpieczalo tereny dla przyszłego rozwoju miasta. Od 1 stycznia 1940 r. powierzchnia miasta wzrosła blisko czterokrotnie: z 58 km<sup>2</sup> do ok. 220 km<sup>2</sup> (il. 1).

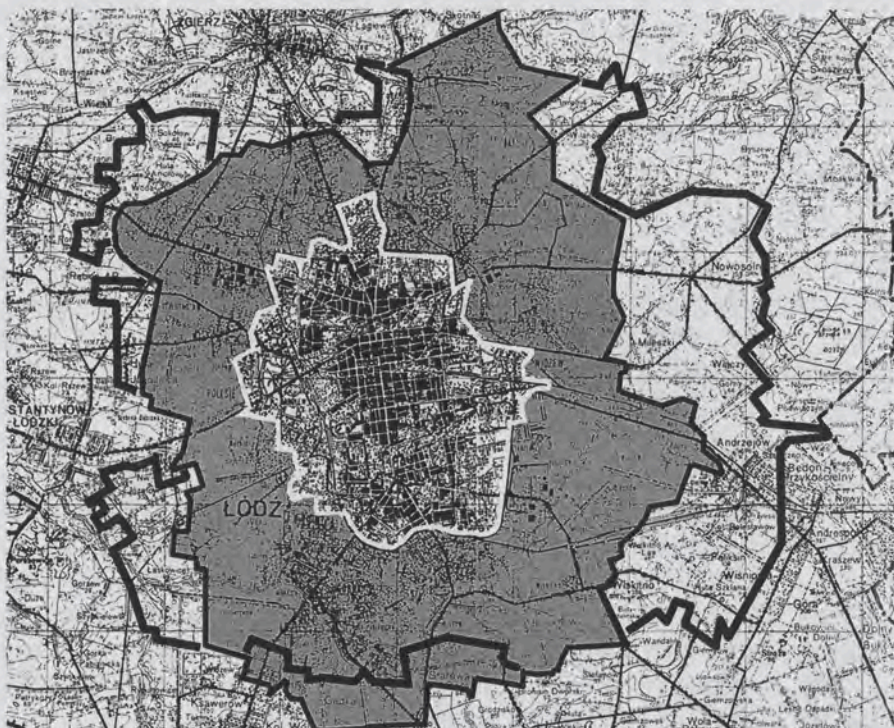
Kolejnym etapem było zatwierdzenie 9 września 1941 r. Planu Gospodarczego Łodzi<sup>1</sup>. Powstał on pod kierunkiem Waltera Bangerta z biura Alberta Speera w Berlinie. Jego realizację umożliwił rozkaz Hitlera z dnia 21 października 1941 r.: Łódź została objęta ustawą o *Neugestaltung deutscher Städte* – ustawie określającej m.in. wygląd „niemieckiego” miasta.

Plan zakładał zmniejszenie liczby ludności miasta oraz zaludnienia śródmieścia, a także deglomerację przemysłu.

### **Miasto dla pół miliona**

Maksymalną liczbę ludności w mieście ustalono na 500 tys. Realizacja tego założenia była o tyle ułatwiona, że w Łodzi było wówczas zaledwie około 130 tys. Niemców. Spośród pozostałych mieszkańców Polacy (~350 tys.), a zwłaszcza Żydzi (~230 tys. w 1939 r.) mieli docelowo w ogóle zniknąć z miasta. Zmniejszenie gęstości zaludnienia uznano za konieczne po analizie warunków mieszkaniowych śródmieścia oraz północnych terenów

osiedla, domy, ulice



– Bałut. W śródmieściu planowano rozwiązać problem przy pomocy przebudowy (*Um-  
baung*) w formie sanacji (*Sanierung*). Stan zabudowy na Bałutach podpowiadał tylko jedno  
rozwiązanie – rozebranie i wyburzenie istniejących domów, a następnie budowa nowej  
dzielnicy od podstaw. Rozwiązanie to dawało możliwość swobodnego realizowania planów.  
Nie istniał przy tym dla Niemców problem mieszkańców: w większości byli to Żydzi,  
których zamknięto w utworzonym w 1940 r. getcie. Ponadto planowano wybudować nowe  
centrum administracyjne, a obiekty przemysłowe miały zniknąć z centrum Łodzi.

Poza kolejną obwodową na obrzeżach miały powstać nowe, wydzie-  
lone osiedla. Zauważalne było także silne powiązanie z otaczającymi Łódź od północy,  
zachodu i południa „wieńcem” miast: Zgierzem, Aleksandrowem, Konstantynowem,  
Pabianicami, Rzgowem. Planowano uzupełnienie tego układu od strony wschodniej  
i północno-wschodniej, gdzie pagórkowate wyniesienia stwarzały najlepsze warunki dla  
osadnictwa<sup>2</sup>. Łódź z miasta zamkniętego, ograniczonego wytyczonymi sztucznie granica-  
mi administracyjnymi, miała stać się aglomeracją otwartą, powiązaną z regionem,  
zespoloną z systemem miast satelitarnych.

Zaprojektowano całkowicie nowy układ komunikacyjny. Blisko miasta  
planowano budowę trzech autostrad, rozbudowę lotniska na Lublinku i budowę nowego  
koła Rąbienia. Na południe od Łodzi powstać miał kanał żeglugowy i port przeładunkowy.  
Planowano zmodernizować i rozbudować także węzeł kolejowy. Wytyczono trasy prze-



lotowe powiązane z zewnętrzną siecią komunikacyjną. Miały to być czteropasmowe arterie z jezdnią o szerokości minimum 12 m. W liniach rozgraniczających zajmowały one co najmniej 35 m. Często pozostawiano dodatkowe miejsce na wydzielone torowisko tramwajowe o szerokości 6,5 m. Pozostałe ulice planowano poszerzyć do minimum 25 m. Dzięki tym zabiegom oprócz jezdni i chodnika znalazłoby się miejsce na zieleń i ścieżki dla rowerzystów. W miejscu wyburzonych budynków przewidywano nową zabudowę pierzejową zgodną ze stylem III Rzeszy. Przebieg arterii nie zawsze nawiązywał do przedwojennego układu ulic<sup>3</sup>.

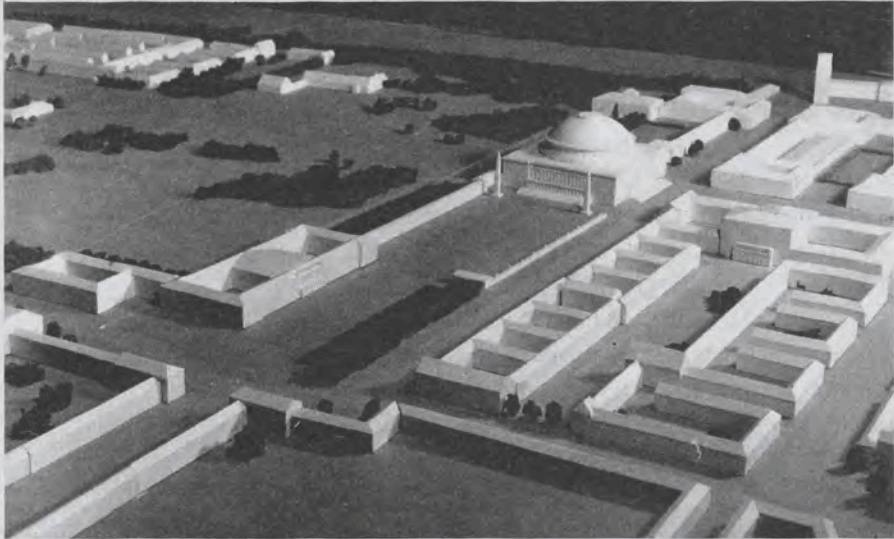
Aby zrealizować tę koncepcję, konieczne było przebudowanie całego miasta. Niemcy zadanie mieli o tyle ułatwione, że po zarekwirowaniu własności prywatnej, a zwłaszcza terenów należących do ludności polskiej i żydowskiej, dysponowali niespotykaną gdzie indziej swobodą działania. Podjęte działania znacznie zmieniły wygląd miasta.

### Plac za placem

W zwartej dotychczas tkance miasta miały pojawić się liczne place. Wyróżniało się nowe centrum administracyjne ukształtowane w formie osi wschód-zachód, wzdłuż dzisiejszych alei Mickiewicza i Piłsudskiego. Tworzył ją układ urbanistyczny obejmujący place przed dworcem Kaliskim, przed planowaną Halą Ludową i obok nowego ratusza przy ulicy Piotrkowskiej. Oś miała stanowić kręgosłup centrum. Według planów tworzyć ją miały: – „plac powitalny” (*Empfangplatz*) w pobliżu dworca Łódź Kaliska o wymiarach około 200x300 m. Wytyczać go miały dworce: osobowy i pocztowy, wielki dom handlowy oraz inne budynki o wysokości 30 m. Całość założenia miała sprawiać na podróżnych wrażenie „zachęcające”.

- „aleja handlowa” o wymiarach 1000x70 m z rozmieszczonym w kondygnacjach parterowych handlem, licznymi reklamami, wystawami przemysłowymi. By pasaż mógł działać również w nocy przewidywano tu także kino, a po stronie południowej hotele z restauracjami w ogrodach.
- „aleja sztuki” o wymiarach 700x100 m, z teatrem, filharmonią, muzeum architektury, plastyki, malarstwa. Przewidywano tu szerokie murawy z fontannami. Miała to być promenada dla turystów.
- „plac manifestacji” (*Kundgebungplatz*) o wymiarach 200x600 m. Dominować nad nim miała potężna hala ludowa mogąca pomieścić 150 tys. osób. Ponadto przy placu miałyby swoje siedziby urzędy rejencji i powiatu. Plac przed halą miał być zespolony z układem zieleni rozciągającym się ku północy oraz Parkiem Poniatowskiego (*Hitlerjugend Park*) na południu (il. 2).
- „ulica manifestacji” o wymiarach 700x70 m, wytyczona przez nowe budynki mieszkalne. Z rytmicznie rozmieszczonych balkonów ludność śródmieścia mogłaby uczestniczyć w manifestacjach. W święta planowano ozdabianie ścian flagami.
- „plac ratuszowy” w centralnym punkcie miasta o wymiarach 275x275 m. Wytyczać go miały od zachodu teatr z kafejką, od wschodu ratusz z wysoką na 120 m wieżą

usytuowaną na skrzyżowaniu głównych osi miasta. Przed wejściem do ratusza miała stanąć „Lwia studnia” (*Löwenbrunnen*) będąca pomnikiem ku czci niemieckiego dowódcy z I wojny światowej gen. Karla Litzmanna. W święta stąd miały rozpocząć się manifestacje.



Przewidywano, że dzięki budowie osi powstanie, poza budynkami użyteczności publicznej, około 360 tys. m<sup>3</sup> obiektów handlowych i około 250 tys m<sup>3</sup> budynków mieszkalnych zawierających około tysiąc mieszkań.

Oś prowadząca w kierunku zachodnim miała zatrzymać się w planowanym osiedlu na Karolewie, na stadionie w kształcie podkowy. W kierunku wschodnim kontynuacją jej była ulica Ostlandstrasse (dawniej Główna, dziś al. Piłsudskiego) aż poza granice miasta<sup>4</sup>.

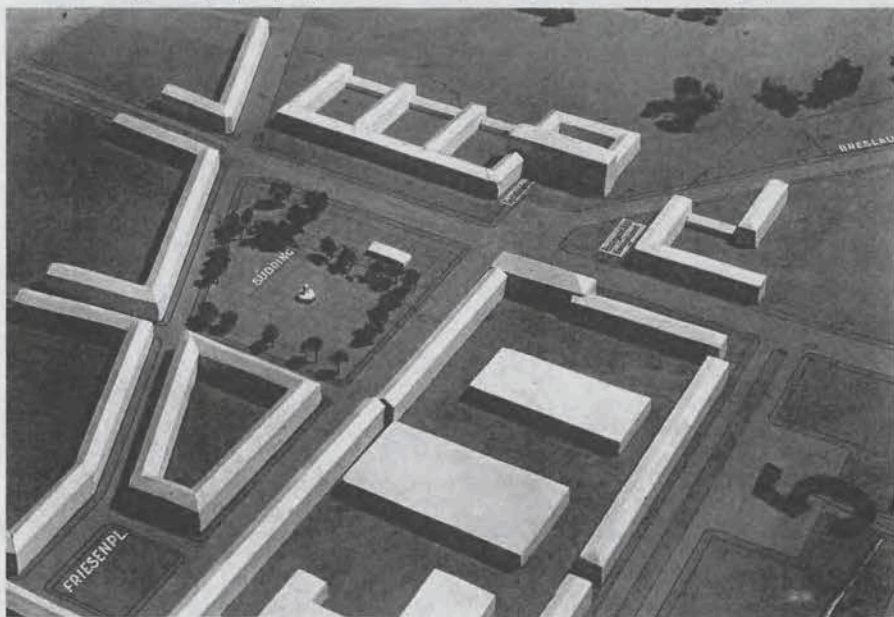
Plac ratuszowy był zarazem zwornikiem z drugą osią o kierunku północ-południe. Była ona mniej dominująca, gdyż wykorzystywała w większym stopniu istniejącą już zabudowę. Tworzyła ją ulica Piotrkowska (*Adolf-Hitler-Straße*) z układem placów usytuowanych wzdłuż niej. Równolegle planowano poprowadzić, według kierunku dzisiejszej alei Kościuszki i ul. Zachodniej, poprzez liczne wyburzenia, *Hermann-Görling-Straße*. Place wiązały obydwie arterie w wyraźny układ komunikacyjny. Północnym zakończeniem osi był Nordring, nowy plac nieco na południe od Bałuckiego Ryneku (sam Rynek miał zostać zabudowany). Następnie w kierunku południowym znajdował się Plac Wolności (*Deutschlandplatz*), a kolejne przy ulicach Moniuszki i Tuwima (*Meisterhausplatz*), oraz przy katedrze łódzkiej i kościele św. Mateusza. Południowym zakończeniem był układ placów Reymonta (*Friesenplatz*) i Niepodległości (*Südring*) (il. 3), przy którym miała powstać duża hala targowa, a na przedłużeniu ul. Pabianickiej, we wschodniej pierzei placu, jako dominanta witaająca przyjezdnych, okazały gmach poczty. Rozbu-

dowany miał być pl. Dąbrowskiego oraz Rynki: Wodny i Czerwony. Nowy plac miał powstać przy skrzyżowaniu ulic Kilińskiego i Przybyszewskiego.

Łódź była drugim co do wielkości miastem w Kraju Warty, dużym ośrodkiem przemysłowym. Jako stolica Rejencji stała się siedzibą licznych władz administracyjnych. Do Łodzi napływali Niemcy sprowadzani z krajów nadbałtyckich, ze wschodnich terenów oraz Ukrainy i innych. W czasie czterech lat okupacji przyjechało ich do Łodzi ponad 35 tys. Polityka germanizacyjna powodowała, że poprzez przyjmowanie volkslisty rosła liczba „miejscowych” Niemców. Mieszkańcy potrzebowali także pracownicy policji, żandarmerii, kolei oraz innych instytucji.

W 1939 r. Łódź nie była przyjaznym dla mieszkańców miastem. Wprawdzie było ponad 200 tys. mieszkań, to jednak większość z nich stanowiły pojedyncze izby. Taki był stan około 63% wszystkich mieszkań w mieście<sup>5</sup>, a ich poziom techniczny był bardzo niski. Mieszkania były przeludnione, a brak zaplecza sanitarnego nie dawał nawet minimum potrzebnych do życia warunków<sup>6</sup>. Najgorzej przedstawiała się sytuacja na Bałutach i Chojnach<sup>7</sup>.

Nowe oblicze śródmieścia miało być zrealizowane poprzez zagospodarowanie istniejącej tkanki miasta. Planowano przeprowadzić adaptację istniejących zasobów mieszkaniowych. Było to jednak możliwe jedynie w pojedynczych sytuacjach. Docelowo planowano rozwiązać problem śródmieścia poprzez gruntowną przebudowę budynków w obrębie całych kwartałów. Jeszcze przed opracowaniem planu gospodarczego Łodzi wytypowano fragment centrum do generalnej przebudowy (*Umbauung*). Miała być wyburzana co druga oficyna, aby uzyskaną w ten sposób przestrzeń przeznaczyć pod zieleń.



osiedla, domy, ulice

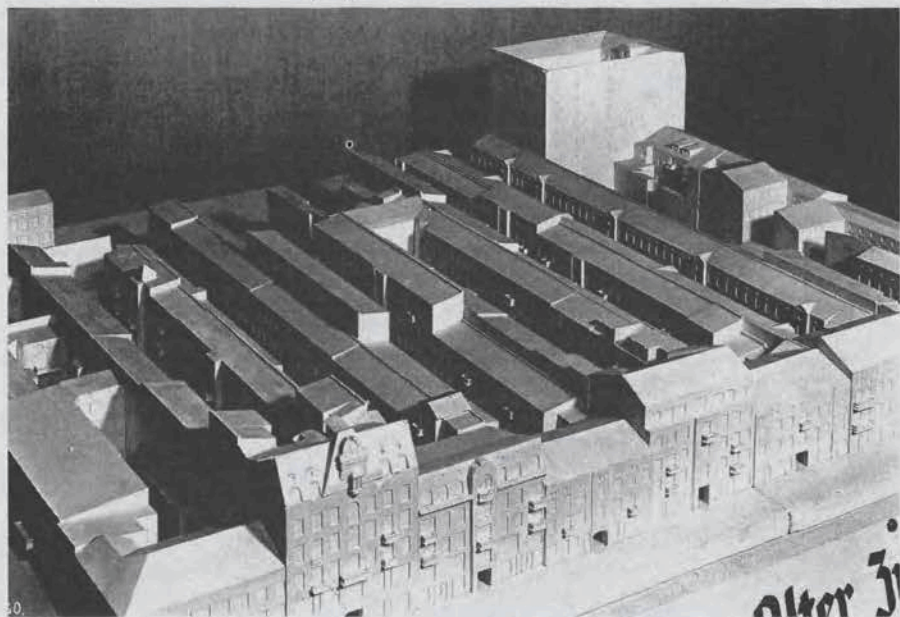
### Piotrkowska jak smutny mur

Na początek wytypowano kwartał ograniczony ulicami: Piotrkowską, Narutowicza, Sienkiewicza i Traugutta (A.Hitler.Str., Schlageterstr., König-Heinrich-Str., Straße der 8. Armee) (il. 4). Określano go jako próbny (*Probblock*). Planowano sprawdzić nim metody działań. Zlikwidowano kilka oficyn, ale nie zrealizowano jednak żadnych nowych inwestycji. Ślady tych działań widoczne są do dnia dzisiejszego<sup>6</sup>.

Za to już od 1941 r. rozpoczęto przygotowania schronów dla ludności. W piwnicy każdej kamienicy przygotowywano pomieszczenia gdzie mieszkańcy mogliby schronić się podczas ewentualnego nalotu. Także tereny zielone wygospodarowane poprzez wyburzenia oficyn w bloku próbnym zostały wykorzystane do ukrycia tzw. *LS-Dekungsgräben*<sup>6</sup>. Dziś wystające ponad ziemię, osłaniające je wały ziemne wzbogacają przestrzeń podwórek, a zarazem stanowią zabezpieczenie zieleni przed zagospodarowaniem terenu na inny cel.

Wystrój Piotrkowskiej miał się zmienić w duchu estetyki jednego schematu. Wyrównanie poziomów okapów i kalenic uporządkować miało, zbyt chaotyczną, zdaniem Niemców, zabudowę. Dążenie, by elewacje były surowe, bez zbędnych ozdób, realizowano prostymi, wręcz prymitywnymi metodami. Kamienicom śródmiejskim groziło poważne oszpecenie (il. 5).

Większe możliwości adaptacyjne stwarzała zabudowa poza śródmieściem. Zamieszkującą tam ludność wysiedlano. Pierwszą taką akcję przeprowadzono w noc sylwestrową 1939/1940 wysiedlając cztery tysiące osób z osiedla na Polesiu Konstantynowskim. Pozostałą część mieszkańców tego osiedla usunięto dwa tygodnie



## Bereinigung der Adolf-Hitler-Straße



osiedla, domy, ulice

później, w nocy z 14 na 15 stycznia 1940 r. W podobny sposób Niemcy zajęli inne zespoły mieszkaniowe na Julianowie, Radogoszczu i Karolewiewie. Akcja objęła wszystkie dzielnice willowe<sup>10</sup>. W ten sposób zimą 1939/40 objęto wysiedleniami blisko 15 tys. osób. Wysiedlenia kontynuowano w drugiej połowie 1940 r. W późniejszym okresie, ze względu na kłopoty transportowe, zamiast wysiedleń stosowano tzw. rugi – przesiedlenia wewnątrz miasta. Polaków przesiedlano głównie do dzielnic południowych.

Kolejną możliwością rozbudowy infrastruktury mieszkaniowej widziano w budowie licznych, nowych osiedli. W latach 1941–44 dla wyższych urzędników administracji wybudowano sto cztery mieszkania w osiedlu na Julianowie. Było to jedyne nowe osiedle w całości zasiedlone podczas wojny. Z planowanych na Stokach trzech osiedli rozpoczęto budowę tylko jednego, tzw. Stoków Południowych. W czasie okupacji ukończono tylko kilka budynków. Pierwsi mieszkańcy zaczęli wprowadzać się w końcu 1943 r. W pobliżu dworca przeładunkowego na Olechowie, przy ulicy Dyspozytorskiej, rozpoczęto budowę trzydziestu jeden mieszkań oraz obozu trzynastu baraków mieszkalnych w pobliskim Przylesiu. Kolej wybudowała ponadto kilka domów w pobliżu stacji na Lublinku, koło stacji Kaliskiej, oraz zagospodarowała pojedyncze mieszkania w śródmieściu. Zakłady Zellgarn rozpoczęły budowę czterdziestu ośmiu mieszkań przy ulicy Milionowej.

Oddzielnym akcentem w zakresie budowy mieszkań było rozpoczęcie w 1944 r. budowy stu dziesięciu domów dla poszkodowanych w wyniku bombardowań przy ul. Ziłowej.

### Zielony Litzmannstadt

Istotnym elementem w nowym wyglądzie Łodzi miała być zieleń. Dużo uwagi poświęcono łódzkim parkom i terenom leśnym. Wstrzymano rozpoczętą przed wojną parcelację Lasu Łągiwnickiego, cofnięto pozwolenia na budowy. Podjęto kroki w celu zatrzymania dewastacji<sup>11</sup>.

Miejsce dla zieleni przewidywano w każdym nowym projekcie. Miała znaleźć się na terenach po wyburzonych oficynach. Planując nową zabudowę pod zieleń, przeznaczano znaczne przestrzenie pomiędzy budynkami: bądź w formie prywatnych ogródków, bądź jako tereny wspólne, ogólnodostępne. Najbardziej znaczącymi zmianami były jednak pasma zieleni rozcinające zwartą dotychczas zabudowę miasta na mniejsze zespoły. Zielone pasmo miało m.in. powstawać podczas realizacji każdej arterii komunikacyjnej oraz poprzez przeprowadzane na szeroką skalę wyburzenia. Naturalnym obszarem dla planowanej zieleni były doliny rzeczne, które planowano oczyścić z wszelkiej zabudowy. Zieleń także miała wypełniać przestrzeń między zwartą zabudową miasta, a rozrzuconymi wokół niego osiedlami-satelitami. Planowano też nowe zalesienia, które pasmami, głównie wzdłuż cieków wodnych, ale nie tylko, miały otoczyć Łódź i wnikać w głąb miasta. Pas zieleni, który oddzieliłby tereny mieszkaniowe śródmieścia od obszarów przemysłowych znajdujących się na wschodzie miasta miał być, ze względów militarnych, jako strefa ochronna, szeroki na ponad tysiąc metrów.

Uznano za niedopuszczalne istnienie zakładów przemysłowych w centrum miasta. Planowano całkowitą jego tam likwidację poprzez zmianę profilu produkcji w przemyśle łódzkim. Gospodarka III Rzeszy nie potrzebowała tak dużego ośrodka tekstylnego, stąd plany ograniczania przemysłu włókienniczego i rozwijania innych gałęzi przemysłu. Już w 1940 r. produkcja w fabrykach włókienniczych spadła o 55% i tendencja spadkowa utrzymała się do końca wojny. Zakłady miały być po prostu zlikwidowane, zaś nowe miały powstawać we wschodniej części Łodzi. Uzasadnione to było względami klimatycznymi, komunikacyjnymi i militarnymi.

Nie rozpoczęto jednak żadnej nowej inwestycji, a jedynie tymczasową adaptację opuszczonych, pofabrycznych budynków. Tak było m.in. z bardzo uciążliwymi dla otoczenia zakładami włókien syntetycznych Werk und Zellgarn AG, Thiozel-Werk, które powstały jesienią 1940 r. na Widzewie: „tymczasowa” ich lokalizacja trwała do 1980 r.

### **Co pozostało?**

Jak czas zweryfikował plany niemieckie? Większość niemieckich planów budowlanych nie została zrealizowana. W dniu wyzwolenia rozpoczętych było niewiele nowych inwestycji, jeszcze mniej zaś było ukończonych.

Nowego centrum administracyjnego nawet nie rozpoczęto budować. Trwały jedynie prace przygotowujące teren pod wykup gruntów, wyburzenia. Podobnie było w strefach śródmiejskich, gdzie do końca wojny rozpoczęto działania zmierzające do przebudowy tylko jednego kwartału mieszkalnego. Nie rozwiązano problemu mieszkaniowego. Rozpoczęto szereg pojedynczych inwestycji oraz budowę nowych osiedli na Julianowie i Stokach. Także tylko na przygotowaniach terenu zakończyło się zagospodarowanie przestrzeni przeznaczonej dla przemysłu. Jedynie poniemieckie obiekty

infrastruktury kolejowej: nastawnie, strażnice przejazdowe oraz stacja przeładunkowa na Olechowie, której budowę rozpoczęto w 1941 r., służą do dziś.

Okupacja niemiecka trwała do 1945 r. Przez jej lata ubyło z Łodzi blisko 300 tys. osób, w tym praktycznie cała ludność żydowska. 22 lipca 1945 r. przywrócono miastu przedwojenne granice. Jednak już 20 grudnia 1945 r. Rozporządzeniem Rady Ministrów ponownie powiększono obszar miasta do 212 km<sup>2</sup>. Wyznaczając granice nieomal identyczne jak podczas okupacji. Stan taki, z niewielkimi jedynie zmianami, przetrwał prawie pół wieku, aż do lat 80.

Nie oddano również prywatnym właścicielom zagrabionych przez okupanta terenów. W nowej, również narzuconej, rzeczywistości politycznej zaakceptowano wygodny dla władz miasta stan. Pałace fabrykanckie, kamienice, tereny potrzebne do przyszłego rozwoju miasta oraz tereny zielone, w tym także Las Łągiewnicki, stały się „dobrem publicznym”. Co więcej, nadal kontynuowano przejmowanie własności prywatnej. Zrezygnowano z przeprowadzenia kolejnych pasm zieleni. Jedynie w dolinie Łódki, na terenie wyburzonego byłego getta, założono park Staromiejski.

Na Bałutach, na terenie byłego getta przeprowadzone przez Niemców masowe wyburzenia przygotowały teren pod zupełnie nową zabudowę. Jednak poza nielicznymi realizacjami tereny te zabudowano dopiero po roku 1956, a często dopiero w latach 70. Szereg zaś problemów przestrzennych nie rozwiązano do dziś.

Przetrwało też nadal wiele pozostałości po działaniach budowlanych z okresu okupacji. Wraz z upływem czasu coraz trudniej je zauważyć. Kolejne remonty, przebudowy, prace rozbiórkowe, nowe inwestycje, czy też wreszcie zużycie materiałów powodują, że obiekty wybudowane w czasie wojny coraz bardziej wtapiają się w otoczenie zatracając swą odmienność. Najmniej zniszczony jest zespół mieszkaniowy przy ulicy Kalinowej. Zaważył tu być może fakt, że osiedle było, poza spinającym je zwornikiem, ukończone przed końcem wojny. Poniemiecki zespół oparł się próbie czasu. Ze względu na lokalizację nadal stanowi wydzielony, wyróżniający się urbanistycznie fragment miasta. Atmosferę podkreślają zachowane do dziś drobne detale elewacji. Nadal wyróżniają się osiedla na Stokach i przy ul. Ziołowej, choć są bardziej zniszczone.

„Kwartał próbny” w śródmieściu wygląda jakby czas się w nim zatrzymał. Po wojnie podejmowano próby uporządkowania przestrzennego tego terenu. Budynek Centrali Tekstylniej – obecny gmach łódzkiej telewizji uporządkował nieco zabudowę od strony wschodniej. Planowane poszerzenie ul. Narutowicza nie zostało, na szczęście, zrealizowane, jednak ślady rozpoczętych wyburzeń widoczne są do dziś. Także wewnątrz kwartału nadal wygląda jak nieuporządkowany plac budowy. Co gorsze nic nie wskazuje na to, by w najbliższym czasie stan ten miał ulec zmianie.

Pojedyncze zachowane przykłady wzbudzają zainteresowanie swoją odmiennością. Łódź będąca miejscem zetknięcia się tylu różnorodnych form architektonicznych wchłonęła także i ten rodzaj architektury. Należy jednak pamiętać, że są to

przykłady architektury nazistowskiej, która miała być, według okupanta, jedynym stylem urbanistyki, rozciągającej się na terenach zagarniętej Polski i innych krajów Europy. Tej przerażającej wizji na szczęście nie udało się zrealizować.

*Tomasz Bolanowski*  
– dr inż. architekt

### Stosowane w pracy skróty:

<b>APŁ.AmŁ</b>	Archiwum Państwowe w Łodzi, Akta miasta Łodzi, Wydział Budowlany (Bauverwaltung Litzmannstadt).
<b>APŁ.RŁ</b>	Archiwum Państwowe w Łodzi, Akta Rejencji Łódzkiej.
<b>APP.NKW</b>	Archiwum Państwowe w Poznaniu, Akta Namiestnika Kraju Warty (Reichsstatthalter Posen).
<b>MHmŁ</b>	Muzeum Historii Miasta Łodzi.
<b>„LoZ”</b>	„Lodscher Zeitung”
<b>„LZ”</b>	„Litzmannstädter Zeitung”
<b>B. Bojanowska</b>	prywatne zbiory p. Barbary Bojanowskiej

### Przypisy:

1. APŁ.AmŁ: sygn. 31962 umowa miasta z prof. Bangertem; sygn. 31939 – propozycja Bangerta z 15.3.40; sygn. 31959, 31958, 31962, oraz APP.NKW sygn. 3007 – korespondencja, pisma dotyczące Planu gospodarczego; APŁ.AmŁ: sygn. 32195 – wytyczne Hallbauera z 25.3.41; sygn. 31961 – Plan Gospodarczy Łodzi i okolic w skali 1/25000 z 9.9.41; APŁ.RŁ, sygn. 552 – objaśnienie znaków do plany gospodarczego; – B.Bojanowska, plansze: pierwsze wytyczne do zagospodarowania przestrzennego Łodzi i okolic – 39/40; opracowania *Stadtplanungsamt: Neugestaltung von Litzmannstadt Vorschlag I* z 15.4.40; *Vorschlag II* z 4.9.40; *Vorschlag IV* z 27.11.40; koncepcja zagospodarowania śródmieścia z 2.41; podział terenu miasta według funkcji, opracowanie wspólne Bangerta i Stadtplanungsamt –8.40;
2. Wilhelm Hallbauer, *Bauliche Aufgaben im deutschen Lodsch*, „LoZ” z 28.1.1940; Warto podkreślić, że podobne koncepcje były rozważane i analizowane w Wydziale Budownictwa w okresie międzywojennym. Schematyczny plan Okręgu Gospodarczego Łódzkiego z lipca 1922 r. zawiera większość elementów z proponowanego przez Niemców rozwiązania: koncentryczne strefy zabudowy, miasta satelity, zieleń wnikałą w centrum miasta. Układ komunikacyjny przewidywał także istnienie kanału wodnego;
3. Plany i projekty głównych arterii w dzielnicy, tereny wyburzeń. APŁ.AmŁ, sygn. 32001, 32002, 32067, 32073; Korespondencja pomiędzy Wydziałem Budowli Użyteczności Publicznej a Dyrekcją Tramwal Łódzkich dotycząca parametrów torowisk tramwajowych. APŁ.AmŁ, sygn. 32230;
4. Opis propozycji osi wschód – zachód (*Vorschlag für die Gestaltung der Ost/West-Achse*). APŁ.AmŁ, sygn. 32068 oraz analiza porównawcza z planem ogólnym i zdjęciami makiet planowanego centrum administracyjnego, MHmŁ, sygn. MHMŁ/UiA/614;
5. Księga adresowa miast Łodzi i Województwa Łódzkiego z informatorami... Rocznik 1937–1939., s.5–6;



6. W 1931 r. blisko 80% mieszkańców Łodzi zajmowało mieszkania bez wodociągów i kanalizacji. Jaskółowska Wiktoria, *Rozwój stosunków mieszkaniowych w latach 1918–1968*, Łódź 1976., s.58;
7. Rapalski Stanisław, *Inkorporacja terenów i plany regulacyjne miasta Łodzi*, Łódź 1930, s. 9–15 Przedstawiając sytuację na przedmieściach pisał: „Dziewięćdziesiąt procent tych ulic nie posiadało bruków, chodniki nie były nawet prymitywnie urządzone, ulic nie oświetlano. Na wielkich przestrzeniach całych dzielnic nie założono ani jednego placu publicznego, ani jednego zieleńca, boiska sportowego, publicznego parku, gmachu szkolnego, ani jednej instytucji użyteczności publicznej, które by były własnością gminy. (...) W zwartej i bezplanowej zabudowie zamieszkiwała połowa ludności Łodzi, tak iż najgenialniejszy urbanista nie zdoła nadać tym dzielnicom wyglądu europejskiego, chyba że miałyby ulec całkowitemu zburzeniu. Dzielnice te, to ropiejący wrzód, to rana na organizmie naszego miasta. (...) Łódź, największe po Warszawie miasto w Polsce, miasto beznadziejnych ulic, cuchnących rynsztoków, nieprawdopodobnie wyboistych bruków, wody czerpanej z zanieczyszczonej przez setki fabryk i pół miliona ludności ziemi.”;
8. Prace częściowo kontynuowano po wojnie przygotowując m.in. miejsce dla 2-pasmowej ulicy Narutowicza. W zwartej tkance śródmieścia powstało w ten sposób miejsce m.in. pod obecny gmach Łódzkiej Telewizji i restaurację Kaskada. Wewnątrz kwartału do dziś pozostały puste przestrzenie zagospodarowane tymczasowo od wielu lat na parkingi.
9. Prace adaptacyjne miały bardzo różnorodny zakres: czasem polegały tylko na wzmocnieniu drzwi piwnicznych, założeniu stalowych klamer przy zapasowym wyjściu – najczęściej było to okno piwniczne. Dwóm robotnikom zajmowało to 4-8 godzin pracy, zużywano zaledwie 4 kg cementu. Bywały jednak przypadki (np. Piotrkowska 134), gdy przygotowywano pomieszczenia mogące pomieścić ponad 200 osób. Zamurowywano wtedy okna, wzmacniano stropy. Schron taki miał więcej niż jedno wejście zabezpieczone szczelnymi drzwiami i służą przeciw gazową. APŁ.AmŁ, sygn. 31901, 31909, 31956, 32043, 32044, 32061, 32271; APŁ.RŁ, sygn. 555, 564;
10. Zachowały się m.in. dokumenty dotyczące zajmowania domów jednorodzinnych w północnej części Łodzi. Położone tam tereny były bardzo atrakcyjne i pomimo wysuwanych zastrzeżeń co do charakteru architektury Niemcy chętnie się tam osiedlali. M.in. w domu przy Alei Róż (Rosenallee) 3/5 mieszkał Stadtbaurat Dr. Freitag, APŁ.AmŁ, sygn. 31974, dom przy Alei Róż 10/12 przygotowano dla naczelnika policji łódzkiej, APP.NKW, sygn. 2921. Dla pracowników kolei przeznaczono 4 domy przy zbiegu ul. Przyrodniczej i Biegańskiego (Dahlenweg, Glycinenallee), APŁ.AmŁ, sygn. 32038. Dom przy ul. Biegańskiego 16 miał przebudowywany dach, APŁ.RŁ, sygn. 553. Zachowały się także umowy kupna-sprzedaży domów przy Sasanek 38/40, Jeziornej 39 (Am Walde, Almweg), APŁ.AmŁ, sygn. 31974 oraz Julianowskiej 20 (Distelgase), APŁ.RŁ, sygn. 553;
11. Statut osiedla „Miasta-Las Łągiewniki”, Magistrat miasta Łodzi, Łódź 1932; Stefański Krzysztof, „Miasta-Ogrody” i kolonie letniskowe w strefie podmiejskiej aglomeracji łódzkiej w latach 1925-1939. Zamierzenia i realizacja na wybranych przykładach: Łągiewniki, Grotniki, Sokolniki. Zeszyty Naukowe Politechniki Łódzkiej 1991, opisuje projekt rozparcelowania w latach 30-tych terenu lasu Łągiewnickiego; B.Bojanowska, plansza: Wälder – ukazująca tereny zalesione w okolicy Łodzi w latach 1835, 1880, 1932; plansze ukazujące projekty zalesień oraz plansze „Neugestaltung von Litzmannstadt” Vorschlag I i IV z 1940r.; ustna relacja inż. Wyszackiego nt. wstrzymania przez okupanta prac parcelacyjno-budowlanych na terenie Łągiewnik;

# Udział Niemców w kształtowaniu architektury łódzkiej

*Mały leksykon architektów  
i budowniczych*

Udział twórców niemieckich w ukształtowaniu architektury dawnej Łodzi do roku 1914, to temat bardzo szeroki i wielowątkowy. Należy tu mówić zarówno o projektowaniu budowli, jak i ich wykonawstwie, a także o wystroju i wyposażeniu wnętrz. Najważniejsze wydaje się zagadnienie udziału niemieckich architektów i budowniczych w tworzeniu unikatowego charakteru architektonicznego krajobrazu Łodzi przełomu XIX i XX wieku. Kwestia udziału niemieckich firm w wyposażaniu licznych łódzkich budowli, związana z obszarem sztuki użytkowej i rzemiosła, stanowi odrębne zagadnienie i nie będzie w niniejszym tekście omawiana. Mówiąc o niemieckich architektach i budowniczych działających w Łodzi, należy zaznaczyć dwojakość tego pojęcia. Należy bowiem brać w tym wypadku zarówno osoby narodowości niemieckiej, które osiadły w Łodzi na stałe bądź na dłuższy czas oraz twórców, którzy wykonywali dla Łodzi projekty i w wielu wypadkach w naszym mieście być może nigdy nie byli. Przez architektów niemieckich rozumiemy przy tym twórców niemieckojęzycznych, w tym także pochodzących z Austrii lub Czech czy też z Rygi, gdzie społeczność niemiecka odgrywała znaczącą rolę.

Tekst niniejszy posiada charakter krótkiego leksykonu architektów i budowniczych niemieckich w układzie alfabetycznym, których dzieła powstały w Łodzi pomiędzy rokiem 1880 a 1914, w epoce najbujniejszego rozwoju naszego miasta. Uwzględniono przy tym jedynie najważniejsze postacie, pomijając mniej znaczących budowniczych czy mało znanych architektów pojawiających się jedynie incydentalnie. Zastosowana forma pozwala w sposób najbardziej czytelny i wyrazisty pokazać liczbę niemieckich architektów i budowniczych, których dzieła powstały w Łodzi (choć niektóre z nich już nie istnieją), uwydatniając tym samym rangę ich działalności. Pozwala przy tym na uporządkowanie bogatego materiału związanego z tym zagadnieniem. Oczywiście informacje podane w prezentowanym poniżej leksykonie są dalekie od wyczerpania zagadnienia i traktować je można jedynie jako próbę skrótowego ukazania podstawowych danych biograficznych i dorobku poszczególnych postaci.

### Balcke Alfred Julian

(ur. 1857 w Berlinie – zm. 1909 tamże)



Popularny na przełomie XIX i XX wieku architekt berliński. Absolwent tamtejszej *Bauakademie*, następnie związany z Politechniką w Berlinie-Charlottenburgu. Do najważniejszych jego dzieł w Berlinie należało wnętrze Sali Reprezentacyjnej Wielkiej Berlińskiej Wystawy Sztuki na dworcu Lehrter Bahnhof (1903) oraz dom Kempfińskiego w centrum miasta przy Leipzigerstr. (1906). Specjalizował się w wiejskich i podmiejskich rezydencjach w malowniczym stylu „niemieckiego renesansu”: m.in. dom Cornelle Andrenits (1901), dom w Altenhoff (1904).

Z Łodzią związany jako autor projektu domu braci Karola i Emila Steinertów przy ul. Piotrkowskiej 272 a i b, wybudowanego w latach 1909–11. Jest to podwójny dom o charakterze rezydencji, jeden z najciekawszych przy ul. Piotrkowskiej, wzniesiony w formach niemieckiego renesansu. Projekt obiektu, znajdujący się obecnie w zbiorach Politechniki Berlin-Charlottenburg, prezentowany był w 1909 r. na Wielkiej Berlińskiej Wystawie Sztuki, gdzie wzbudził duże za-

interesowanie; zastąpił on wcześniejszy plan o formach neogotyckich wykonany przez Leona Lubotynowicza.

Nie można też wykluczyć jego autorstwa w przypadku willi Reinholda Richtera przy ul. ks. I. Skorupki 6/8 (1903–04), przypisywanej w dotychczasowych opracowaniach Ignacemu S. Stebelskiemu. Zastosowane w obiekcie formy bliskie są stylowi reprezentowanemu przez tego architekta.

### „Bielenberg & Moser”

Berlińska firma architektoniczno-budowlana prowadzona przez **Richarda Bielenberga** i **Josefa Mosera**, aktywna w pierwszych dekadach XX wieku. Wśród ich prac wyróżnić należy gmach giełdy w Duisburgu (1913), projekt Kino-Palast przy Alexanderplatz (1919), czy też kompleksu restauracyjnego Weinhaus-Rheingold (1929) w Berlinie.

Z Łodzią związana jako wykonawca projektu i prac budowlanych dawnego łódzkiego Banku Handlowego, obecnie siedziba I Oddziału Banku PKO BP przy

osiedla, domy, ulice

al. Kościuszki 15, wzniesionego w latach 1910–1913. Podobny w stylu budynek bankowy firma ta wzniosła w tym samym czasie w Poznaniu przy obecnym Pl. Wolności.

### „Cremer & Wolfenstein”

Berlińska spółka architektoniczna prowadzona przez **Wilhelma Cremera i Richarda Wolfensteina** działająca od 1882; aktywna na przełomie XIX i XX w. Do ich najbardziej znanych dzieł zalicza się synagoga na Lutzowstrasse w Berlinie (1896–1900) oraz synagoga w Poznaniu (1906–1907). Według projektów tej pracowni powstały też stacje kolejki miejskiej w Berlinie (1901–1902).

Firma wykonała projekt i zrealizowała w latach 1901–1903 (?) mauzoleum małżonków Leony i Izraela Poznańskich na Nowym Cmentarzu Żydowskim przy ul. Brackiej w Łodzi.

### Gehlig Otto

(ur. 1849 w Rawiczu – zm. 1917 w Łodzi)

Szkołę średnią (realną) kończył w Rawiczu, następnie pracował w Rawiczu i prawdopodobnie we Wrocławiu. Na początku 1877 r. podjął studia w berlińskiej *Bauakademie*, które przerwał nie zaliczywszy żadnego semestru. W tym samym roku przybył do Łodzi, ściągnięty z Wrocławia przez fabrykanta Juliusza Heinzla, z którego córką Pauliną wziął ślub w 1882 r. Rozpoczyna tutaj działalność jako majster ciesielski i murarski, otwierając wkrótce duże przedsiębiorstwo budowlane z tartakiem i stolarnią przy ul. Przejazd (obecnie Tuwima) 15/17, tam też powstaje jego niewielki, ale interesujący architektonicznie dom. Zajmował się także projektowaniem. Jednak ze względu na brak odpowiedniego wykształcenia, a także z tego powodu, że do 1893 r. nie był obywatelem rosyjskim, nie mógł formalnie podpisywać planów, które musiały być podawane jako dzieła innych twórców (w tym Hilarego Majewskiego czy Franciszka Chełmińskiego). Uniemożliwia to właściwą ocenę jego dorobku jako projektanta. Swoje projekty prezentował w 1885 r. na Wystawie Rolniczo-Przemysłowej w Warszawie, spotykając się z dużym uznaniem i otrzymując brązowy medal. Przy tej okazji podkreślono jego rolę w budownictwie Łodzi, pisząc, że „większe fabryki i domy mieszkalne, i pałace miasta zostały przez niego wykonane”. Prezentował swoje projekty także na Wystawie Przemysłowej na łódzkim Helenowie w 1895 r.

Od początku lat dziewięćdziesiątych XIX w. zatrudnił w swojej firmie architekta Piotra Brukalskiego, który posiadając odpowiednie uprawnienia mógł podpisywać wychodzące z ich biura projekty. W 1898 r. odnieśli sukces zdobywając I nagrodę w konkursie na gmach Towarzystwa Ubezpieczeniowego „Rossija” w Warszawie. Projekt zrealizowano z pewnymi zmianami w latach 1898–1900 przez Władysława Marconiego. Obiekt, wzniesiony przy ul. Marszałkowskiej, prezentujący dekoracyjne formy o charakterze renesanowo-barokowym, należał do najbardziej okazałych gmachów dawnej Warszawy. Ta sama spółka zdobyła II nagrodę w konkursie na kamienicę przy pl. Trzech Krzyży, róg al. Ujazdowskich w Warszawie (1899).



osiedla, domy, ulice

W 1904 r. zabudowania przedsiębiorstwa Gehliga zniszczył wielki pożar, w czasie gaszenia którego zginęło ośmiu strażaków. Wkrótce potem, ok. 1910 r., firma zaprzestaje działalności.

Firma Otto Gehliga wzniosła m.in. pałace Juliusza Heinzla: przy ul. Piotrkowskiej 104 (ok. 1880) oraz na Julianowie (1885–90; uszkodzony we wrześniu 1939 r., następnie rozebrany); prawdopodobnie dom dla robotników zakładów Heinzla przy ul. Przejazd (1879–80), teatr „Thalia” (1882, przekształcony w latach międzywojennych na kino, obecnie kino „Bałtyk”), Salę Koncertową Ignacego Vogla, tzw. *Conzerthaus* (1886, późniejsza Filharmonia, zburzona w 1999 r.); dom własny przy ul. Przejazd (1883, obecnie Tuwima 17); nowy kościół ewangelicko-augsburski św. Trójcy przy Nowym Rynku (1889–91, obecnie kościół katolicki Zesłania Ducha Św.); willa J. Kunitzera przy ul. Spacerowej, róg św. Benedykta (1891, zburzona w 1910 r.), Przytułek dla Starców i Kalek Chrześcijańskiego Towarzystwa Dobroczynności przy ul. Dzielnej



(1894–96, dziś mieści *Colegium Anatomicum* Uniwersytetu Medycznego przy ul. Narutowicza), grobowiec-mauzoleum Heinzlów na Starym Cmentarzu Rzymsko-Katolickim na ul. Ogrodowej (1899–1904, wg projektu Franza Schwechтена). Budował także poza Łodzią: Politechnikę (1901, wg projektu Stefana Szyllera; prace w początkowej fazie) oraz halę targową w Warszawie, koszary w Grodnie.

Wiadomo, że część z tych budowli projektował, w tym kościół św. Trójcy (projekt sygnowany przez architekta gubernialnego Mikołaja Prokoffiewa) – w stylu neorenesansowym o układzie centralnym z kopułą; także grobowiec małżonków Moenke na Starym Cmentarzu Ewangelicko-Augsburskim przy ul. Ogrodowej (1886), mający kształt miniatury greckiej świątyni.

### Herrring Otto

Architekt berliński działający na początku XX wieku, specjalizujący się w projektowaniu gmachów szkolnych. Do jego najważniejszych dzieł zalicza się zespół *Viktoria-Luisenschule und Seminar* w Berlinie-Wilmersdorf z 1905 r.

Dla Łodzi zaprojektował budynek Niemieckiego Gimnazjum Reformowanego, wzniesionego w latach 1909–13, obecny budynek Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Łódzkiego przy al. Kościuszki 65. Obiekt ten należał do najnowocześniejszych budynków szkolnych wybudowanych w tym okresie na ziemiach polskich.

### Jankau Alwill

(ur. 1859 w Rieżycy na Łotwie – zm. 1917 w Łodzi)

Kształcił się w Dyneburgu, a następnie studiował na wydziale mechanicznym (1880–82) oraz Budowlanym (1882–87) Politechniki Ryskiej. Po ukończeniu studiów ściągnięty do

Łodzi przez Juliusza Heinzla do budowy jego pałacu na Julianowie. Jeden z najbardziej aktywnych architektów łódzkich przełomu XIX/XX w., aczkolwiek nie zapisał w swoim dorobku dzieł wybitnych. Do jego projektów przypuszczalnie zalicza się dom Wilhelma Lurkensa przy al. Kościuszki 31/33. Wyróżnił się współpracą z grupą religijną mariawitów, dla których w latach 1906–10 zaprojektował i wybudował szereg kościołów – przy ul. Nawrot i przy ul. Podleśnej, dzisiejszy kościół Środowisk Twórczych przy ul. Marii Skłodowskiej-Curie.

### Jung Juliusz

(ur. 1837 w Stuttgarcie? – zm. 1916 w Kaltentahl k. Stuttgartu)

Absolwent paryskiej *École des Beaux-Arts* (1860) i Politechniki w Stuttgarcie (1867), następnie profesor tejże Politechniki. Około 1884 r. przybywa do Łodzi i obejmuje stanowisko budowniczego zakładów Poznańskiego, na którym pozostał do ok. 1900 r. (w łódzkich kalendarzach z tego okresu wymieniany jest z nieznanymi powodów jako Adolf Jung). Pracował przy budowie synagogi „postępowej” przy ul. Spacerowej (1881–87) wg projektu Adolfa Wolffa. Jako jedyny łódzki budowniczy zasiadał w jury międzynarodowego konkursu na czwarty kościół katolicki w Łodzi (1898).

Należał do najciekawszych indywidualności wśród architektów Łodzi końca XIX w., a wyróżniała go predylekcja do stosowania motywów czerpanych z architektury francuskiej. Z uznaniem pisano o nim w łódzkiej prasie, określając go jako autora „wielu pięknych budowli naszego miasta” i „najstarszego ze wszystkich budowniczych” (w 1903 r.).

Na początku XX w. zaprzestał, zapewne z powodu wieku, aktywnej działalności twórczej. W 1912 r. zaproszony do jury Wystawy Rolniczo-Przemysłowej w Częstochowie. Wkrótce powrócił w rodzinne strony do Niemiec.

Jung był być może autorem pierwotnego projektu przędzalni Poznańskiego przy ul. Ogrodowej (1876), na pewno zaś prowadził prace przy jej odbudowie oraz przy innych budowach przemysłowych zakładów Izraela Poznańskiego (ok. 1884–1900). Jest autorem projektu Szpitala Żydowskiego Fundacji małżeństwa Poznańskich, przy współdziałaniu Majewskiego (1886–1890), obecnego szpitala klinicznego przy ul. Sterlinga – jednego z najpiękniejszych gmachów neorenesansowych dawnej Łodzi. Wykonał projekty budowy pałacu Poznańskiego przy ul. Ogrodowej, prawdopodobnie pierwszej wersji z 1888 r., częściowo tylko zrealizowanej, a z pewnością nowej wersji z 1898 r., realizowanej z późniejszymi zmianami do 1902 r. (obecnie Muzeum Historii Miasta Łodzi). Obok tego, według niepotwierdzonych archiwalnie informacji prasowych, do jego najważniejszych dzieł należą: kamienica Konstadta przy ul. Piotrkowskiej 53 (1885), willa Hertza przy ul. Spacerowej (1891, obecnie rektorat Uniwersytetu Medycznego przy al. Kościuszki 4), przebudowa kamienicy Poznańskich przy ul. Piotrkowskiej 51 (1895), dom zakładów Geyera przy ul. Piotrkowskiej 74 (1896) – w dziełach tych widoczne są wyraźne wpływy architektury francuskiej epoki renesansu i baroku.

**Martens Wilhelm**

(ur. 1843 w Berlinie?– zm. 1910 tamże)

Architekt berliński mieszkający na stałe w Berlinie-Charlottenburgu. Uczeń i szwagier znanego architekta niemieckiego Martina Gropiusa. Specjalizował się w budowach bankowych: m.in. Deutschen Bank przy Mauerstrasse w Berlinie, Bank w Düsseldorfie, Deutsche Nationale-Bank w Bremie, Hypothekenbank w Hamburgu.

Dla Łodzi zaprojektował budynek Banku Wzajemnego Kredytu Przemysłowców Łódzkich, obecnie oddział banku PEKAO przy ul. Roosevelta 15, wybudowany w latach 1909–11 – jednego z najważniejszych dzieł nurtu wczesnomodernistycznego w mieście.

**Nestler Karol Robert**

(ur. 1817 w Rachenau k. Lobau w Saksonii – zm. 1905 w Łodzi)

Jeden z najbardziej znanych budowniczych łódzkich. W młodości szukał szczęścia w Ameryce, ale Łódź okazała się dla niego bardziej atrakcyjnym miejscem. Osiadł tu w 1859 r. rozpoczynając długoletnią praktykę jako budowniczy. Był starszym cechu murarzy w latach 1864–68. W 1889 r. połączył swoje siły z **Henrykiem Ferrenbachem** i odtąd działali jako firma „Nestler i Ferrenbach” z siedzibą przy ul. Podleśnej (obecnie Skłodowskiej-Curie) 17. Budował m.in. kościół Podwyższenia Krzyża Św. (od 1860), cerkiew św. Aleksandra Newskiego (1880–84), kościół ewangelicko-augsburski Św. Jana – obecny kościół ojców Jezuitów Najświętszego Serca Jezusa (1880–84), kościół baptyistów przy ul. Nawrot (1882).

Jego tradycje kontynuował syn, także **Karol Robert (ur. 1871 w Łodzi)**, działający w spółce „Nestler i Ferrenbach”, która budowała m.in. kościół św. Wojciecha na Chojnach (od 1902), Szpital Dziecięcy „Anny Marii”, obecny szpital im. Korczaka (1902–05), Niemieckie Gimnazjum Reformowane, obecnie Wydział Filologiczny Uniwersytetu Łódzkiego przy al. Kościuszki 65 (1909–13).

**Rübensahm Paweł (Paul)**

(ur. 1861 w Rydze – zm. 1947 w Zell-Oberfranken, Niemcy)

Absolwent Politechniki Ryskiej (1885). Pracował następnie przy budowie kolei żelaznych. Od 1894 r. zatrudniony w Łodzi w zakładach Scheiblera jako kierownik działu budowlanego. Projektował liczne budynki dla zakładów, zarówno przemysłowe, jak i socjalne, w tym zapewne nowe domy dla robotników przy ul. Przędzalnianej, a także obiekty fundowane w tym czasie przez Matyldę i Edwarda Herbstów. Zapisał na swoim koncie również drobniejsze prace dla innych przemysłowców. W 1908 r., po okresie panującego w Łodzi zastoju budowlanego, powrócił do rodzinnej Rygi, gdzie projektował głównie budynki mieszkalne. W czasie II wojny światowej wyjechał do Niemiec.

Ważniejsze jego prace w Łodzi to tzw. Nowa Tkalnia przy ul. Kilińskiego (1898) – dużej skali gmach o konstrukcji shedowej, największa inwestycja budowlana



zakładów Scheiblera na przełomie XIX i XX w.; Szpital Dziecięcy „Anny Marii”, obecnie im. Korczaka przy al. Józefa Piłsudskiego (1902–05) – fundacji M. i E. Herbstów – zaprojektowany jako zespół niskich budynków w układzie pawilonowym, o ceglanych elewacjach z zastosowaniem motywów neogotyckich; kościół katolicki św. Anny na Zarzewie, przy współdziałaniu Henryka Ferrenbacha (1902), fundacji Herbstów; neoromański, szkicowy projekt kościoła ewangelicko-augsburskiego św. Mateusza (1905), niezrealizowany.

### Schreiber Ludwik (Louis)

(ur. 1850 w Döbeln w Saksonii – zm. prawdopodobnie w Kolonii)



mieszkalne i mieszkalno-handlowe, utrzymane w stylu „niemieckiego renesansu”. Ze Schreitererem zdobył I nagrodę w konkursie na „Rathskeller” w Halle (1888), a ich projekt kościoła ewangelickiego w Dortmundzie zakwalifikowany został do ścisłego finału (1889). Z van der Arendtem zdobył II nagrodę w konkursie na kościół ewangelicki przy Wormser Platz w Kolonii (1901). Członek Stowarzyszenia Architektów Dolnej Saksonii i Westfalii.

Z Łodzią związany jako autor projektu kościoła ewangelicko-augsburskiego św. Jana, obecnego kościoła rzymskokatolickiego ojców Jezuitów p.w. Najświętszego Serca Jezusa, wykonanego w 1879 r. na zlecenie Karola Scheiblera. Budowa świątyni trwała w latach 1880–84. Krótko po rozpoczęciu prac Schreiber miał z Łodzi wyjechać, a pracami kierował architekt miejski Hilary Majewski. Neoromański

Kształcił się w Chemnitz w Saksonii, po czym praktykował w rodzinnym Döbeln u mistrza budowlanego Hoffmana, a następnie w Zwickau u Albina Zümpe. W latach 1873–74 pracował w Wiedniu, a od 1874 w Berlinie, kolejno: w biurze architektonicznym „Ebe und Benda”, „Ende und Beckmann” oraz w biurze Ministerstwa Wojny przy projektowaniu Akademii Wojskowej.

Wiosną 1879 r. starał się bez powodzenia o stypendium Pruskiej Akademii Sztuki, po czym zapewne udał się do Łodzi. Związany był tutaj z przedsiębiorstwem Karola Scheiblera. Przypuszczalnie w 1881 r. opuścił Łódź i osiadł w Kolonii nad Renem. Od 1884 r. pracował w spółce z Emilem Schreitererem, a na początku XX w. z van der Arendtem. W okresie koloński w jego dorobku dominują domy

osiedla, domy, ulice

kościół o trójnawowym korpusie, z transeptem, o ceglanych elewacjach i trójwieżowej fasadzie, wzorowany jest na architekturze berlińskiej trzeciej ćwierci XIX w.

### **Schwechten Franz**

(ur. 1841 w Kolonii – zm. 1924 w Berlinie)

Wybitny architekt berliński. Profesor tamtejszej Akademii Sztuk Pięknych, „Tajny Radca Budowlany”; jeden z najważniejszych twórców berlińskich przełomu XIX i XX w., kojarzony z nurtem tzw. wilhelmińskiego neoromanizmu czerpiącego z form nadreńskiej architektury epoki romańskiej. Znany z takich dzieł jak Anhalter Bahnhof w Berlinie (1878), neoromańskiego Kaiser-Wilhelm-Gädechniskirche (1895) i towarzyszących mu budynków tworzących tzw. forum romańskie w Berlinie (obiekty zburzone w czasie II wojny światowej, Kaiser-Wilhelm-Gädechniskirche zachowany w formie trwałej ruiny jako pomnik ofiar wojny), Zamku Cesarskiego w Poznaniu (1905), kaplicy księżąt Anhalt w Dessau (1898), czy też kaplicy przy pałacu hr. Tyszkiewiczów w Połędze (1907).

Z Łodzią związany głównie poprzez realizacje dla fabrykanckiej rodziny Heinzlów o ambicjach arystokratycznych, szczytujących się zakupionym tytułem hrabiów von Hohenfels. Wykonał dla nich neorenesansowy pałac Ludwika Heinzla w Łagiewnikach (1899–1901?), kaplicę grobową Juliusza Heinzla na Starym Cmentarzu Katolickim przy ul. Ogrodowej (1899–1905) – jeden z najpiękniejszych przykładów neorenesansowej kaplicy kopułowej w architekturze europejskiej. Oprócz tego według jego wskazówek dokonano w 1909 r. zmian w projekcie kościoła ewangelicko-augsburskiego św. Mateusza (1909–28) autorstwa Johanesa Wende.

### **Seidl Karl**

(ur. 1858 w Schönbergu na Morawach – zm. 1936 w Wiedniu?)

Architekt wiedeński. Absolwent politechniki w Zurichu oraz Akademii Sztuk Pięknych w Wiedniu, uczeń Theophila Hansena. Znany jako autor projektów konkursowych na gmachy parlamentu w Budapeszcie (1882) i Bukareszcie (1893) oraz łaźni miejskiej i pałacu Eisenstein w rodzinnym Schönbergu. Wzniósł wiele dzieł na obszarze „austriackiej Riwiery” nad Morzem Adriatyckim, na płn.–zach. wybrzeżu Zatoki Rijeckiej (obecna Chorwacja), w miejscowościach Abbazia (Opatija), Volosca, Lovrana. Powstały tam jego liczne wille wznoszone dla austriackiej arystokracji, a także ratusz i budynek władz miejskich w Volosce i kościół ewangelicki w Abbazii. Mimo, że mieszkał przez wiele lat na stałe w Wiedniu, nie udało się ustalić żadnego dzieła jego autorstwa w tym mieście.

Z Łodzią wiąże architekta kilka budowli, które z dużym prawdopodobieństwem można mu przypisać. Należy do nich willa Józefa Richtera przy ul. Skorupki 10/12 z 1898 r. (przypisywana wcześniej Piotrowi Brukalskiemu), rezydencja Juliusza Kindermanna przy ul. Piotrkowskiej 137/139, z lat 1907–09 (przypisywana wcześniej Landau-Gutentegerowi), rezydencja Gustawa Kindermanna przy ul. Piotrkowskiej 151



osiedla, domy, ulice

z lat 1910–11 (przypisywana wcześniej Franciszkowi Chełmińskiemu). Wszystkie te dzieła prezentują zbliżone formy stanowiące oryginalną interpretację motywów czerpanych z włoskiej architektury renesansowej i romańskiej, stosowane przez Seidla w jego licznych willach na wybrzeżu Morza Adriatyckiego. Fasada rezydencji Kindermanna ozdobiona został mozaiką autorstwa wiedeńskiego artysty Hansa Aloisa Schrama, wykonaną przez wenecki zakład Salviatego.

### **Stern Siegfried**

(ur. 1858 w Wiedniu – zm. 1913 tamże)

Architekt wiedeński wyznania mojżeszowego, absolwent tamtejszej politechniki oraz Akademii Sztuk Pięknych, gdzie uczył się pod kierunkiem Freidricha von Schmidta. O jego twórczości w Wiedniu i na terenie Austrii brak informacji. Być może czynny był przy budowie neogotyckiej katedry w Linzu (od 1862 do początku XX wieku) według projektu Vinzenza Statza.

Z Łodzią związany od 1901 r., gdy dzięki wstawiennictwu Giuseppe Tanfaniego, członka komitetu budowy związanego z rodziną Heinzlów, powierzono mu wykonywanie szczegółowych rysunków realizacyjnych przy budowie kościoła św. Stanisława Kostki (obecna archikatedra) według konkursowego projektu firmy „Wende i Zarske”. Łącznie do 1909 r. architekt wykonał około 200 rysunków, wpływając w znacznym stopniu na ostateczną formę świątyni, szczególnie na opracowanie detalu zewnętrznego i kształt wnętrza. Przypuszczalnie wskutek tego w formie łódzkiej archikatedry dostrzec można znaczne podobieństwa do katedry w austriackim Linzu.

### **Wende Johannes**

(ur. 1873 w Konstantynowie Łódzkim – zm. ok. 1948 w Burgau, Austria)

Wywodził się z rodziny tkaczy z Konstantynowa. Absolwent łódzkiej Wyższej Szkoły Rzemieśniczej, następnie zdobywał wykształcenie budowlane na terenie Niemiec. Po powrocie praktykował w 1897 r. pod kierunkiem Juliusza Junga, a w 1898 r. założył spółkę z majstrem budowlanym Adolfem Zarske. Firma „Wende i Zarske” realizowała szereg prestiżowych obiektów w mieście, zajmowała się także projektowaniem. Budowała m.in. kościół ewangelicko-augsburski w Tomaszowie Mazowieckim. (1897–1901), pałac Kindlera w Widzewie koło Pabianic (1897–98). Wykonała projekt neogotyckiego kościoła na Widzewie (1899/1900, niezrealizowany).

W 1898 r. zwyciężyła w międzynarodowym konkursie na projekt czwartego kościoła katolickiego w Łodzi. Następnie Wende dokonywał zmian w projekcie według wskazówek warszawskiego architekta Dziekońskiego. Firma wyeliminowana została jednak z realizacji prac budowlanych wkrótce po ich rozpoczęciu w 1901 r., wskutek zatargów z nadzorującym je Kazimierzem Sokołowskim i ataków czasopisma „Rozwój”.

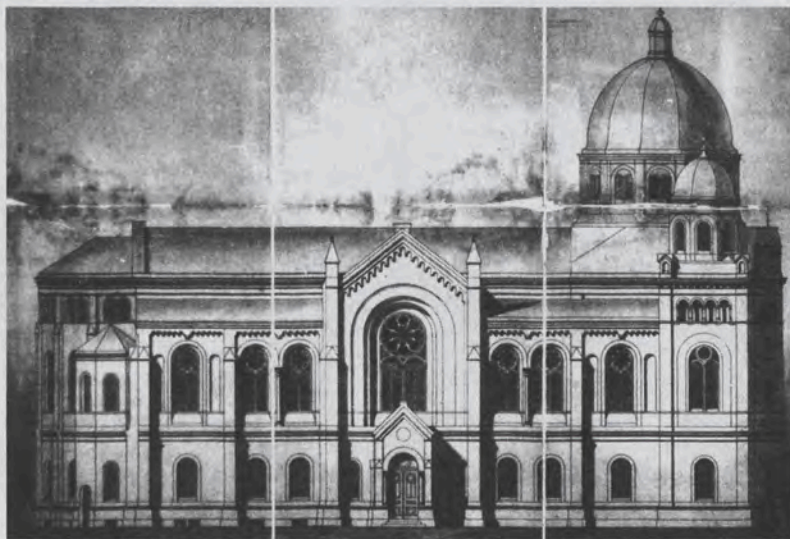
W 1905 r. Wende rozstał się z Zarske i założył spółkę z Karolem Klause. W tym czasie wygrał zamknięty konkurs na projekt kościoła ewangelicko-augsburskiego św. Mateusza. Realizację projektu rozpoczęto w 1909 r., ale wkrótce dokonano w nim znacznych zmian wg wskazówek Franza Schwechтена. „Wende i Klause” wznosiło wiele ważnych budowli w Łodzi przed 1914 r., m.in. pałac Steinertów przy ul. Piotrkowskiej 272, pałace Juliana Kindermanna i Gustawa Kindermanna przy ul. Piotrkowskiej 137/139 i 151, dawny bank Towarzystwa Wzajemnego Kredytu Przemysłowców Łódzkich, siedzibę Zgromadzenia Majstrów Tkackich przy dzisiejszej ul. J. Tuwima 1/3 (prawdopodobnie także projekt). Było to największe przedsiębiorstwo budowlane miasta w tym czasie.

### Wolff Adolf

(ur. 1832 w Esslingen nad Neckarem – zm. 1885 w Stuttgarcie)

Architekt niemiecki, działający w Stuttgarcie i Norymberdze. Absolwent Politechniki w Stuttgarcie. Specjalizował się w budownictwie synagogalnym, wznosząc tego typu obiekty w Ulm, Stuttgarcie i Norymberdze, projektował także kościół katolicki w Krefeld. W swojej twórczości preferował formy neoromańskie nawiązujące do architektury Nadrenii, charakterystyczne dla sakralnej architektury niemieckiej końca XIX wieku.

Znany jako autor planów synagogi „reformowanej” („postępowej”) wybudowanej na rogu ul. Zielonej i Spacerowej w latach 1881–87 (gmach zniszczony przez Niemców w 1939/40). W niektórych starszych publikacjach obiekt ten przypisywany jest architektowi miejskiemu Łodzi Hilaremu Majewskiemu. Synagoga została wzniesiona przez bogatą żydowską burżuazję Łodzi, z Izraelem Poznańskim na czele, budowana przez Stecka przy udziale Junga, pod nadzorem Majewskiego. Gmach o formach neoromańskich z bogatym wystrojem wnętrza o charakterze orientalnym.

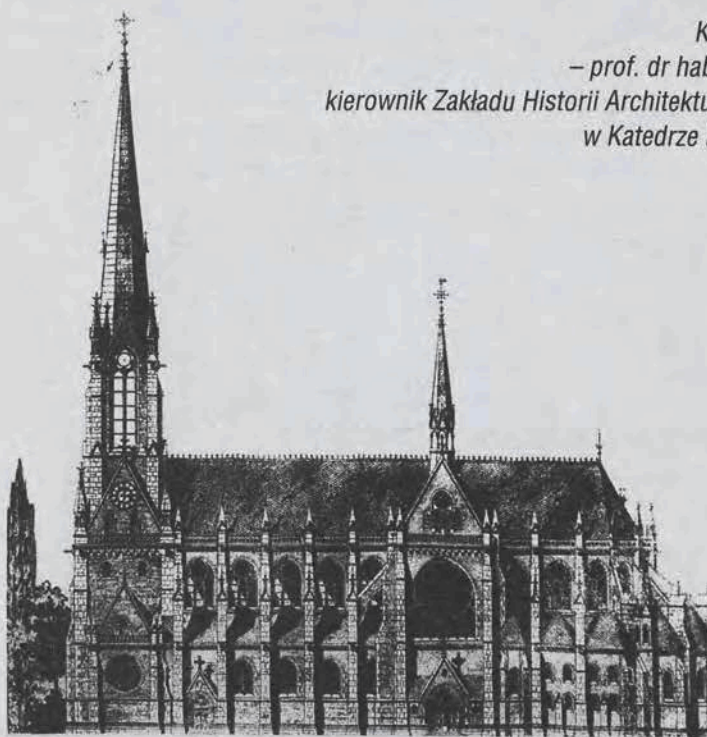


**Zillmann Emil** (błędnie podawany jako Zelman lub Zellman)  
(ur. ok. 1874 – zm. 1928 w Berlinie?)

Architekt działający w Berlinie od 1897 r. W 1898 r. krótko przebywał w Łodzi podejmując pracę w spółce „Wende i Zarske”. Po wyjeździe z Łodzi powrócił do Berlina osiadając w Charlottenburgu i pracował początkowo w spółce ze Schmidtem. W 1899 r. zdobył wraz z nim I nagrodę w konkursie na projekt kościoła dla dzielnicy Lindenthal w Kolonii nad Renem, a w 1901 r. jedną z IV nagród w konkursie na domy robotnicze dla Prus Wschodnich. Od 1902 r. współpracuje ze swoim bratem Georgem. Wspólnie projektują kolonie robotnicze na Górnym Śląsku: Giszowiec i Nikiszowiec wraz z kościołem (do 1914 roku). Po I wojnie światowej działają jako spółka „E & G Architekten” do 1928 r., prawdopodobnej daty śmierci Emila.

Z Łodzią związany jako domniemany autor zwycięskiego projektu konkursowego czwartego kościoła katolickiego w Łodzi z 1898 r., obecnej archikatedry p.w. św. Stanisława Kostki (realizacja po korektach planu 1901–12). Projekt firmowany był przez spółkę „Wende i Zarske”, jednak redaktor łódzkiego „Rozwoju”, Wiktor Czajewski, ujawnił, że właściwym autorem planów kościoła był właśnie Zillmann, który krótko po rozstrzygnięciu konkursu miał Łódź opuścić. Brak jednak potwierdzonych archiwalnie danych na temat rzeczywistego wkładu Zillmanna w wykonane plany.

*Krzysztof Stefański*  
– prof. dr hab., historyk sztuki;  
kierownik Zakładu Historii Architektury XIX i XX wieku  
w Katedrze Historii Sztuki UŁ.



# Zostało po Niemcach

## W piwnicach złych czasów

Trwający prawie pięć i pół roku okres okupacji hitlerowskiej w Łodzi rozpoczął się 9 września 1939 roku, kiedy to wojska niemieckie zajęły miasto, tym samym włączając je do Rzeszy.

Początkowo teren ten stanowił obwód urzędowy administracji państwowej – najpierw wojskowej, potem cywilnej. Przełomem okazało się wprowadzenie niemieckiej ustawy gminnej (*Deutsche Gemeindeordnung*), dzięki czemu 1 stycznia 1940 roku Łódź awansowała administracyjnie: otrzymała prawa samorządowe miast niemieckich oraz uprawnienia miasta wydzielonego, stanowiąc samodzielny powiat miejski, zaś 1 kwietnia tegoż roku stała się stolicą jednej z trzech rejencji wchodzących w skład Kraju Warty.

Pragnieniem Artura Greisera, namiestnika Kraju Warty, było przemienienie Łodzi we „wzorcowy” okręg administracyjny Rzeszy, co wiązało się z planowaną germanizacją ludności – zarówno poprzez osadnictwo niemieckie (przez napływ Niemców głównie z krajów nadbałtyckich, terenów wschodnich oraz Ukrainy), pobyt licznych władz administracyjnych oraz wzrost liczby „miejsowych” obywateli Rzeszy, zachęcanych lub zmuszanych do podpisania Volkslisty. W rezultacie tych działań pod koniec wojny ludność niemiecka stanowiła 29% mieszkańców Łodzi.

Realizacja polityki narodowościowej zrodziła potrzebę budowy nowych mieszkań o wyższym standardzie. Łączyło się to również z niemieckimi planami przebudowy ziem przyłączonych do Rzeszy na wzór miast niemieckich.

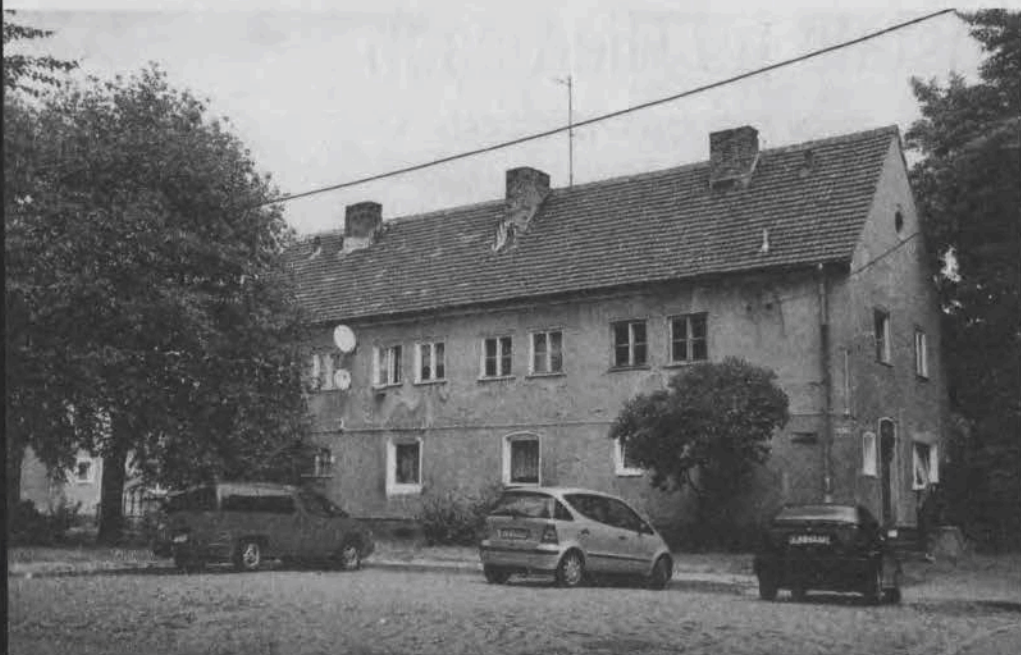
Sygnalem do realizacji prac budowlanych na większą skalę stał się dekret Hitlera z 21 października 1941 roku w sprawie przebudowy Łodzi (zgodnie z ustawą z 4 października 1937 roku o przekształcaniu miast niemieckich).

\* \* \*

Nowym osiedlem, które w całości ukończono i zasiedlono w czasie II wojny światowej, jest zespół mieszkaniowy dla oficerów i wyższych urzędników administracji niemieckiej, wybudowany w latach 1941–1944 na Julianowie.

Budynki zlokalizowano przy dzisiejszych ulicach: Kalinowa, Morwowa, Osinowa. W układzie urbanistycznym osiedla wyraźnie wyróżniają się ulice Morwowa i Osinowa. Mają one charakter tzw. sięgaczy. Wzdłuż każdej stoi siedem budynków, zaś cały układ spina ulica Kalinowa.

osiedla, domy, ulice



Osiedle tworzy dwadzieścia dziewięć dwukondygnacyjnych budynków z poddaszem i piwnicą, która jednocześnie była przeznaczona na schron przeciwlotniczy.

Na Julianowie wybudowano sto cztery mieszkania o powierzchni użytkowej 75–100 m<sup>2</sup>. W każdym była kuchnia (o powierzchni 11–12 m<sup>2</sup>), łazienka (5–6 m<sup>2</sup>), salon (21–26 m<sup>2</sup>) i 2–3 pokoje mieszkalne (12–18 m<sup>2</sup> każdy). Zdarzały się również mieszkania dwupoziomowe wielkości 125 m<sup>2</sup>. Wszystkie mieszkania miały pomieszczenia gospodarcze w piwnicy i na strychu oraz wspólną pralnię, umieszczoną w piwnicy. Zgodnie z koncepcją miasta pełnego zieleni, domy otoczone były ogrodami, do których schodziły z niektórych mieszkań na parterze tarasy.

Osiedle, nazywane przez starszych mieszkańców Łodzi „Berlinkiem”, zachowało swój charakter do dzisiaj. Spadziste dachy, kryte czerwoną, ceramiczną dachówką, są stopniowo remontowane, w najbliższej przyszłości budynki mają być pokryte nowym tynkiem. W większości domów zachowały się zielone, drewniane okiennice.

Dzisiaj „Berlinek” jest bezpiecznym, spokojnym osiedlem, w którym – mimo bliskości do centrum – żyje się tu cicho i powoli. Zdarzyło się jednak kiedyś, że podniósł się gwar: ktoś powiedział, że z lotu ptaka osiedle wygląda jak swastyka. Wszyscy mieszkańcy śledzili uważnie mapy Łodzi, kreślili także własne plany, nie mając zaufania do tych oficjalnych. Szybko się okazało, że kształt osiedla nie ma nic wspólnego z hitlerowskim symbolem. Do Berlina powrócił spokój i cisza.



\* \* \*

Na Stokach zaplanowano budowę trzech osiedli, ale warunki pozwoliły na rozpoczęcie budowy tylko jednego – Stoki Południe.

Sześćdziesiąt pięć budynków tworzy wyraźny układ urbanistyczny, nawiązujący charakterem do modnej w owym czasie idei miast ogrodów. Budynki zlokalizowano kalenicowo wzdłuż ulic, których przebieg wyznaczają poziomicę. Domy tworzą ciekawe akcenty urbanistyczne – m.in. zamknięcie osi widokowych, place, dominanty. Osiedle jest łagodnie wpisane w rzeźbę terenu, zaś nad całym układem dominuje umieszczona na wzgórzu szkoła.

Wśród domów wybudowanych na Stokach w czasie okupacji można wyróżnić kilka typów budynków, ale różnią się one tylko nieznacznie kształtem, wymiarami oraz detalami wykończenia.

Osiedle nie zostało ukończone – do końca wojny większość budynków była w stanie surowym. Część zespołu oddano do użytku w latach 1946–1950, po przeprowadzeniu prac wykończeniowych według zmodyfikowanych planów niemieckich.

Dzisiejsza administracja osiedla sukcesywnie remontuje mieszkania, wymienia dachy i okna. Mieszkania w domach z czerwonej cegły, są ciepłe i przy-

osiedla, domy, ulice



tulne. Z kranów płynie tutaj najczystsza w Łodzi woda z lokalnej hydroforni (również na Stokach znajduje się studnia głębinowa z wysoko zmineralizowaną wodą, po którą przyjeżdżają ludzie z całej Łodzi). Brukowane uliczki dodają osiedlu swoistego uroku.

Zdarza się, że mieszkańcy osiedla Stoki Południe porównują je do ośrodka wczasowego, gdzie wystarczy wyjść przed dom, żeby znaleźć się wśród zieleni: drzew i ogrodów. To rezultat sąsiedztwa parku, który wyrósł tutaj w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku.

\* \* \*

W 1942 roku rozpoczęła się budowa zespołów mieszkalnych dla pracowników niemieckiej kolei w pobliżu węzła kolejowego Łódź-Olechów. Budowali je jeńcy, o których pracy przypomina dziś pamiątkowy kamień z marmurową tablicą: *W tym miejscu w latach 1940–1944 znajdował się hitlerowski obóz pracy dla Polaków, Rosjan, Żydów i innych narodowości pracujących przymusowo przy budowie węzła kolejowego Łódź-Olechów.* Przy ulicy Dyspozytorskiej zaczęto budowę ośmiu budynków. Miało w nich powstać 31 mieszkań. Są to dwa domy wielorodzinne i sześć bliźniaczych. Na marginesie można dodać, że w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia do zespołu dobudowano dwa socrealistyczne budynki.





osiedla, domy, ulice

To niewielkie osiedle tworzy wyraźny układ urbanistyczny. Ulica Dyspozytorska odchodzi od ulicy Zakładowej, stanowiąc sięgacz. Przy wjeździe do zespołu wybudowano wielorodzinny, dwukondygnacyjny budynek w kształcie litery L, ze sklepem na dole. Wyznacza on plac wjazdowy.

Dalej, w głąb osiedla, biegnie ulica, wzdłuż której postawiono budynki bliźniacze. Zlokalizowane są wzdłuż jednej strony ulicy; można tu wyróżnić parterowe i piętrowe budynki.

Po drugiej stronie uliczki zaplanowano niewielki park z boiskiem i małym stawem.

Osiedle zamyka drugi dwukondygnacyjny, wielorodzinny budynek.

Wszystkie domy mieszkalne wybudowane przy olechowskiej kolei są murowane, podpiwniczone, z poddaszem. Zachowały się również oddzielne, murowane budynki gospodarcze, zlokalizowane w częściach ogrodowych osiedla.

Po wojnie budynki przeznaczone dla pracowników niemieckiej kolei przejęły Polskie Koleje Państwowe i zarządzają nimi do dzisiaj.

Choć ceglane ściany domów dobrze utrzymują ciepło, jednak nigdy nie remontowane drewniane podłogi zaczynają próchnieć, a poobijane na narożnikach i przyziemiu tynki wpuszczają do niektórych mieszkania wilgoć. Ale mieszkańcy na ogół uważają, że mieszka się tu bardzo przyjemnie: jest mały ruch samochodowy, dużo zieleni, wśród drzew codziennie słychać śpiew wilg i słowików.

Mimo pewnych niedogodności kolejowe osiedle posiada „duszę” i większość jego mieszkańców twierdzi, że nie wyprowadziłaby się stąd za żadne skarby.

\* \* \*

Z zakrojonych na szeroką skalę planów przebudowy i rozbudowy Łodzi niemieckiej administracji okupacyjnej udało się wykonać niewielki procent, jednak to, co wybudowała – ceglane, wygodne domy o (jak na owe czasy) podwyższonym standardzie – nadal służy dzisiejszym mieszkańcom.

A zatem gdyby ta władza bez mandatu zrealizowała wszystkie swoje koncepcje, łącznie z przebudową tras komunikacyjnych i urządzeniem pasów zieleni w całym śródmieściu, nasze miasto wyglądałoby na pewno inaczej. Trudno mi jednak wyobrazić sobie kształt Łodzi ułożony w stylu przedmieścia niemieckich miast.

*Joanna Napiórkowska*  
– polonistka, doktorantka w UŁ.

#### **Bibliografia:**

- M. Cygański, *Z dziejów okupacji hitlerowskiej w Łodzi 1939–1945*, Łódź 1965.  
T. Bojanowski, *Polityka okupacyjnych władz hitlerowskich wobec Łodzi (1939–1945)*, Łódź 1973.  
T. Bolanowski, *Polityka mieszkaniowa władz okupacyjnych Łodzi w latach 1939–1945*, „Rocznik Łódzki” 2002.  
Akta rejencji łódzkiej 1940–1945 (zasoby Archiwum Państwowego w Łodzi).

# kroniki rodzinne

**Węgrzy Poznańskiego**

*Rodzina Harasów*

Magdalena Starzycka

str. 221

**Saksończycy z Żubardzia**

*Leidenfrost, Lajdenfrost*

Joanna Napiórkowska

str. 225

1870

1871

1872

1873

# Węgrzy Poznańskiego

## Rodzina Harasów

*W stronie Wilków, w pobliżu pól, niemiecki majster Heinz Huntze, który zarobił dużo pieniędzy na swych ręcznych krosnach i zawalony był pracą, zbudował fabrykę parową, czerwoną, o wielu oknach. O świcie strzelisty komin przeźrażliwym gwizdem wyrывał ludzi ze snu, budził do pracy. Wkrótce po Huntzem chasyd kocki, reb Szlojme Dawid Prajs, który dorobił się majątku na bałuckich placach, kazał sobie sprawić rypsową kapotę, zamówił u czapnika wysoką jedwabną czapkę, kupił jedwabny parasol, zaszył pieniądze w samych banknotach w wewnętrznej kieszeni aksamitnej kamizelki, której ani na chwilę nie zdejmował nawet we śnie, i udał się przez granice do obcych krajów, aż do Anglii, bez znajomości jakiegokolwiek języka, porozumiewając się tylko zniemczonym językiem żydowskim. Zakupił wielkie maszyny, zaangażował inżyniera chrześcijanina oraz chemika i sprowadził ich wraz z maszynami do Łodzi. Na wielkim placu, który zakupił tanio, wybudował fabrykę parową i drugim kominem wtargnął w czyste niebo, zagłuszając syrenę Huntzego.*

Izrael Jozua Singer, *Bracia Aszkenazy*, Wrocław 1998, str. 42.

W czasie, kiedy toczy się akcja powieści Singera, jak twierdzą dalecy już potomkowie, przybył do Łodzi niemiecki inżynier mechanik Florian Dittrich, potrzebny do uruchomienia maszyn parowych w fabryce Poznańskiego. Pochodził z Böhmen Früstenwalde. Prawdopodobne określenie czasu jego przybycia znajduje się w następujących słowach: *W literaturze przedmiotu zgodnie podkreśla się, że rok 1872 był przełomowym w działalności gospodarczej I.K. Poznańskiego. Nastąpiło wówczas przejście od produkcji manufakturowej do zmechanizowanej.(...) Nowoczesne krosna poruszała maszyna parowa o mocy 216 KM... (z artykułu Kazimierza Badziaka *Wielkość i upadek fortuny Poznańskich*).*

W tym ważnym momencie rozwoju firmy Poznańskiego niemiecki inżynier był już człowiekiem ponad pięćdziesięcioletnim (data urodzenia Floriana Dittricha znana jest z jego nagrobka). Doświadczenie zawodowe w tym wielkim przedsięwzięciu było zapewne bardzo liczące, a niewątpliwy rozwój przedsiębiorstwa musiał się wiązać także ze wzrostem prestiżu tak ważnego pracownika, jakim był inżynier Florian Dittrich. W pewnym momencie historii tej rodziny pojawia się nazwisko Węgra Józefa Harasza (lub Harasa – rodzina używała pisowni dwojakiej, co wynikało z różnych transkrypcji węgierskiego nazwiska). Co przygnało Węgra do

Łodzi? Trudno dziś na to pytanie odpowiedzieć. Czy sława rozbudowującego się bajecznie miasta? Czy jakiś inny powód? Mało zachowało się starych dokumentów rodzinnych. Józef Harasz także znalazł zatrudnienie w fabryce Poznańskiego, ale nie wiemy dokładnie czym się zajmował. Harasz ożenił się z Pauliną, córką Floriana Dittricha, i miał z nią dzieci. Wizerunek rodziców Pauliny zachował się jedynie w postaci pociemniałej fotografii ich nagrobku ze Starego Cmentarza przy ulicy Ogrodowej. Stary grób przy jakichś porządkach, już w czasach władzy ludowej, został zlikwidowany, choć zapewne był już zabytkiem. Z najdawniejszych przekazów rodzinnych pozostała jeszcze pamięć dawnych animozji rodziny węgierskiej, która małżeństwo to uważała za mezalianse. Mówiaca o tym Kinga Haras, prawnuczka inżyniera Dittricha, zauważa z przekąsem: „no cóż, mezalianse w rodzinie Harasów to sprawa zapewne dziedziczna”.

Wracając do najdawniejszych przodków tego rodu, do Józefa i Pauliny Haraszów, stwierdzić należy, że niezwykłością związku Węgra z Niemką było to, że powoływali oni do życia jedynie samych Polaków. Być może w Łodzi nie było to aż taką niezwykłością, bo większość *lodzermenschów* miała podobnie poplątane korzenie.

Antoni Haras, syn Pauliny i Józefa, był w Łodzi postacią znaną. Urodził się w 1879 roku, ukończył średnią szkołę handlową i zawodową. Był także przez dłuższy czas związany zawodowo z fabryką Poznańskiego, pełniąc w niej różne wyższe stanowiska urzędnicze. Zdobył sobie uznanie środowiska robotniczego: był jednym z zakładających Stowarzyszenie Robotników Chrześcijańskich i Chrześcijańskiej Demokracji w Łodzi; został też pierwszym prezesem tego Stowarzyszenia. W dramatycznym dla Łodzi roku 1908 był delegatem na konferencję odbywającą się w Berlinie jako reprezentant robotników łódzkich do negocjacji z fabrykantami w sprawie zakończenia lokautu i uruchomienia fabryki. W czasie I wojny światowej został uwięziony przez Niemców za odmówienie realizacji ich zarządzeń, natomiast zaraz po uwolnieniu wykazuje różne inicjatywy charytatywne: organizuje tanie kuchnie, piekarnie, ochronki. Po wojnie zakłada w Łodzi Chrześcijańskie Związki Zawodowe oraz różne placówki kulturalno-oświatowe. Później zostaje posłem na I Sejm Ustawodawczy w wolnej Polsce z ramienia Chrześcijańskiej Demokracji, zostaje też posłem w późniejszej kadencji aż do roku 1928. Przez jakiś czas zasiadał także we władzach miejskich Łodzi. Odznaczony został w 1937 roku przez Prezydenta i Prezesa Rady Ministrów Złotym Krzyżem Zasługi. Ten dyplom zachował się szczęśliwie w pamiątkach rodzinnych do dziś. Przed II wojną światową Antoni Haras z małżonką Feliksą z Waleysów vel Wałasińską miał już czworo dorosłych dzieci: syna Stanisława – inżyniera leśnika, córkę Stefanię z męża Jarosińską i Janinę z męża Skrzyńską oraz Irenę, późniejszą Chrabelską. Charakterystyczne, że w wielkiej mierze było to środowisko związane ciągle z fabryką Poznańskiego, którego pracownicy zamieszkiwali domy tegoż fabrykanta. Nie chodzi tu o tzw. famuły, gdyż zajmujący



wyższe stanowiska pracownicy mieszkali w kamienicach (chodzi tu o kamienicę przy ulicy Konstantynowskiej 24, obecnie Legionów). Dzieci i potem już dorosłych łączyła przyjaźń na całe życie, zadzierzgnięta w zabawach na wspólnym podwórku. Najbliżej znane są dalsze losy rodziny Harasów z linii syna dawnego posła – Stanisława, był to jeden z najbliższych przyjaciół mojego ojca. Od niego też wiem, że nieodżałowaną stratą dla tej grupy przyjaciół była śmierć Jana Skrzyńskiego na froncie II wojny światowej. Przy jego grobie na katolickim Starym Cmentarzu, wieczorem, przy świetle świec, odbywało się zawsze w dzień Wszystkich Świętych zgromadzenie przyjaciół i rodziny. Zginął też w czasie wojny śmiercią tragiczną Kazimierz Jarosiński, mąż Stefanii.

Cieszący się powszechną estymą za zasługi dla kraju emerytowany poseł Antoni Harasz, jeszcze przed wojną zdecydował się na sprzedaż domu przy ulicy Tkackiej i przeniesienie się do skromniejszego domku z ogrodem w leśnej okolicy Rudy Pabianickiej. Sprawa została już formalnie załatwiona, jedynie rodzina nie zdołała się jeszcze przeprowadzić. Wybuchła wojna, która zastała rodzinę poza Łodzią i kiedy sędziwy Antoni Harasz po powrocie do Łodzi chciał wejść do domu przy Tkackiej, było to już niemożliwe, bo dom zajęty został przez oficerów niemieckich. W ten sposób nie tylko dobytek, ale i bezcenne pamiątki rodzinne przepadły. Wszystkich z rodziny ewakuowano do Generalnej Guberni. Tu w czasie okupacji zmarł Antoni Harasz. Prochy jego zostały po wojnie sprowadzone do Łodzi, co odnotował „Tygodnik Warszawski” w dniu 6 kwietnia 1947 roku, skrupulatnie wymieniając zasługi zmarłego.

Inny był los jego syna Stanisława. Zmobilizowany, opuścił swoje obowiązki leśne w Ustroniu i zajmował się gromadzeniem koni dla wojska. Pomimo nieustannych nalotów, zdołał wraz ze swoimi żołnierzami zebrać trzysta koni, jednakże nie wszystkie udało się doprowadzić do wyznaczonych punktów ze względu na działania wojenne. Po przerwaniu łączności przedarł się konno wraz z paroma żołnierzami do Warszawy i brał udział w jej obronie. Ranny przeleżał tydzień w szpitalu, żeby znów wziąć udział w walce – zgłosił się tym razem do szwoleżerów. Terenem walki były Łazienki i Ogród Botaniczny, a potem Czerniaków. Po kapitulacji Warszawy dostał się do niewoli niemieckiej. Najdłużej przebywał w Oflagu II c w Wolenbergu (obecnie Dobiegniew). W odręcznie napisanym przez niego życiorysie czytamy:

*Podczas pobytu w obozie w Wolenbergu brałem czynny udział w zorganizowanym Kole Leśników przy urządzaniu wystaw z zakresu leśnictwa i przemysłu drzewnego, wygłaszając odczyty, jak również byłem wykładowcą technologii drewna dla studentów Wydziału Leśnego.*

Potwierdzenie tych słów znajduje się w książce Józefa Bohatkiewicza *Oflag II C Woldenberg*, (Warszawa 1971 str. 54): *Bardzo ciekawą i pożyteczną działalność rozwinęło Koło Leśników, liczące 90 członków, z czego*

połowę stanowili inżynierowie leśnicy, absolwenci wyższych uczelni z Warszawy, Poznania i Lwowa oraz studenci (20 osób). Koło wyodrębniło się z Koła Rolników 15.VII. 1940 r. i rozpoczęło systematyczną pracę szkoleniowo-naukową (referaty, dyskusje oraz kursy i studia akademickie). (...) W dalszej kolejności uruchomiono Wyższą Uczelnię Leśną. Studia w tej uczelni ukończyło 12 osób. Koło Leśników współpracowało ściśle z innymi kołami w obozie, organizowało „Tydzień Lasu” (4 razy), wydało „Tekę Leśną” (330 okolicznościowych drzeworytów) oraz urabiało opinię, by po zakończeniu wojny żądać od Niemiec odszkodowania za zrabowane w I i II wojnie światowej drewno (390 milionów zł).

Po wojnie inżynier Stanisław Haras pracował w Dyrekcji Lasów Państwowych i był zastępcą dyrektora w Rejonie Przemysłu Leśnego w Łodzi, działał w Łódzkim Oddziale Stowarzyszenia Inżynierów i Techników. Uzyskał także wiele orderów, m.in. Medal za Warszawę, za Udział w Wojnie Obronnej 1939 roku. Zmarł w roku 1989. Był postacią powszechnie szanowaną. Z małżeństwa zawartego tuż przed wojną ze Stanisławą Łacińską miał dwie córki: starszą Katarzynę, dziś emerytkę, która całe życie zawodowe przepracowała w łódzkich szkołach średnich jako nauczycielka fizyki i Kingę, która była technikiem. Następne pokolenie stanowi Andrzej Bouval syn Katarzyny, zdolny rzemieślnik i córka młodszej córki – historyk sztuki. Zapewne najmłodsze pokolenie ma inny stosunek do życia, spoglądając bardziej w przyszłość niż w przeszłość, jednakże ciągle wieczór Dnia Wszystkich Świętych stanowi rodzinne święto, oświetlone już nie świecami, lecz lampkami. A tych przybywa, tak jak przybywa też najmłodszych odwiedzających to miejsce, dla których historia rodziny będzie coraz dłuższa i oby równie chwalebna.

*Magdalena Starzycka*  
– filolog polski, publicystka.

# Saksończycy z Żubardzia

*Leidenfrost, Lajdenfrost*

kroniki rodzinne

Dnia 18 września 1820 roku Józef Zajączek (Namiestnik Królestwa Polskiego) ogłosił zarządzenie stwarzające korzystne warunki rozwoju przemysłu włókienniczego na terenie Królestwa. Na jego mocy na obszarze miast rządowych miały być tworzone osady fabryczne zasiedlane przez tzw. fabrykantów, czyli sukienników, tkaczy i prządków. Niecały rok później – 30 stycznia 1821 roku – Komisja Rządowa Spraw Wewnętrznych i Policji na wniosek Prezesa Komisji Województwa Mazowieckiego Rajmunda Rembielińskiego, pozwoliła na utworzenie w Łodzi osady przemysłowej.

Osiedlającym się tu rzemieślnikom władze Królestwa gwarantowały pomoc finansową, przywileje i daleko idące ulgi. Mający zapewnić wysoko wykwalifikowaną siłę roboczą imigranci, pochodzili przede wszystkim z Czech i Niemiec (z obszaru Saksonii i Brandenburgii) oraz z ziem polskich zaboru pruskiego (ze Śląska i Wielkiego Księstwa Poznańskiego).

Majstrowie i czeladnicy sukienniczy osiedlali się w powstałym wówczas Nowym Mieście, zaś tkacze bawełny i lnu – w osadzie robotniczej zwanej Łódką.

\* \* \*

W czasie, gdy Łódź przeradzała się w miasto włókiennicze, w saksońskiej rodzinie Karola Fryderyka Leidenfrosta i Joanny Krystyny z domu Otto przyszło na świat dwóch chłopców – Fryderyk Ernest (1834–1867) i Karol August (ur. 1837). Obaj zdobyli gruntowne wykształcenie zawodowe i na początku drugiej połowy XIX wieku postanowili wykorzystać je tam, gdzie oferowano korzystne warunki, przywileje i pomoc finansową. Powiedzieli sobie *Wir fahren nach Lodz* i ruszyli w kierunku „ziemi obiecanej”.

Po przybyciu do Łodzi zamieszkali w osadzie tkaczy bawełny i lnu i powoli zaczęli układać sobie życie.

Wykwalifikowany robotnik Fryderyk Ernest całe dni spędzał w tkalni bawełny, dając tym samym wkład w tworzenie wielkiego ośrodka fabrycznego branży włókienniczej, jakim szybko stawała się Łódź. Po godzinach pracy miał czas na życie prywatne – w 1854 roku wziął ślub z Fryderyką Karoliną Arsand (ur. 1831), która również przybyła do Łodzi z Saksonii. Węzłem małżeńskim połączył ich pastor ewangelickiego kościoła pod wezwaniem św. Trójcy. On też prawdopodobnie chrzczył ośmioro dzieci państwa Leidenfrostów.

Jako nowy obywatel Królestwa Polskiego, Fryderyk Ernest musiał podpisać wiernopoddaną przysięgę carowi Aleksandrowi II, której pierwsze słowa

brzmiały: *Ja, Fryderyk Ernest Leidenfrost, były poddany Fryderyka Augusta, przyrzekam i przysięgam Bogu Wszechmogącemu, że chcę Jego Cesarskiej Mości Najmiłościvszemu Wielkiemu Panu Cesarzowi Aleksandrowi Mikołajewiczowi Samowładcy Wszech Rossji etc. etc. etc., Jego Cesarskiej Mości Następcy Tronu Wszech Rosyjskiego Jego Cesarskiej Wysokości Cesarzewiczowi i Wielkiemu Księżciu Aleksandrowi Aleksandrowiczowi być wiernym, dobrym, posłusznym i wiecznie poddanym wraz z moją rodziną (...).*

Trudno dziś powiedzieć jaki był emocjonalny stosunek tkacza z Saksonii do Jego Cesarskiej Mości Najmiłościvszego Wielkiego Pana Cesarza, ale jedno jest pewne – Fryderyk Ernest związał swoje życie z Królestwem Polskim, coraz mocniej wrastając w polską kulturę i – przede wszystkim – specyficzną atmosferę „ziemi obiecanej”. W takim duchu wychowywał swoje dzieci.

Rodzinne tradycje kontynuował Fryderyk Ernest, urodzony w 1868 roku najmłodszy syn Fryderyka Ernesta i Fryderyki Karoliny. Najprawdopodobniej był niespokojnym duchem, ciekawym świata i ludzi. Jego głąb zmian w jakimś stopniu zaspokajały przeprowadzki – mieszkał kolejno przy ulicach: Widzewskiej, Kilińskiego i Dobrej – oraz podróże do Niemiec, do saksońskiej części rodziny.

W 1895 roku ożenił się z pochodzącą z Krzeńcowa, znacznie od siebie starszą Katarzyną Zajęc (1850–1917).

Mieli tylko dwoje dzieci – córkę Wandę i syna Mariana, które matka-katoliczka podawała do chrztu w kościele pod wezwaniem św. Krzyża.

Warto zaznaczyć, że już w drugim pokoleniu rodzina saksońskich imigrantów zaczęła się „formalnie” polonizować – w dokumentach urzędowych oprócz formy nazwiska „Leidenfrost” zaczyna się pojawiać „Lejdenfrost” i „Lajdenfrost”.

Syn Fryderyka Ernesta młodszego i Katarzyny z domu Zajęc przyszedł na świat w 1896 roku. Marian Lajdenfrost zerwał tradycję rodzinną „po mieczu” i nie został tkaczem – postanowił kształcić się w zawodzie murarza. W 1927 roku otrzymał dyplom czeladniczy i został przyjęty do cechu murarskiego.

Wcześniej odbył służbę wojskową. Po powrocie do domu w 1921 roku poślubił odrobinę starszą od siebie (tej tradycji rodzinnej pozostał wierny) częstochowiankę Janinę Zdanowską (ur. 1891). W tymże roku wyjechali na jakiś czas do Francji – być może w podróż poślubną.

Łódzki murarz i pracownica przędzalni w Zakładach Steinerta pobrali się w kościele Przemienienia Pańskiego. Mieli czwórkę dzieci, które wychowywali zgodnie z etycznymi nakazami wiary katolickiej, w poszanowaniu polskośći i w miłości do rodzinnego miasta.

Kolejną gałęzią drzewa genealogicznego, które się tu rysuje, jest Mieczysław Lajdenfrost (1924–1951), podany do chrztu w kościele Przemienienia Pańskiego.

Na czas jego młodości przypadły lata II wojny światowej. Łódź wcielono wtedy do Kraju Warty i tym samym znalazła się w granicach Rzeszy. Władze

postanowiły uczynić z Litzmannstadt wzorcowe miasto niemieckie, a germanizacji miało sprzyjać m.in. nadawanie łódzkim Niemcom obywatelstwa III Rzeszy. Listę narodowościową podpisywano dobrowolnie lub pod przymusem. Mieczysław Lajdenfrost, jako osoba pochodzenia niemieckiego w znacznym stopniu spolonizowana, wychowana w duchu polskości, nie chciał podpisać volkslisty. Dotknęły go represje. Na szczęście skończyło się tylko na utracie dobytku – władze okupacyjne wyrugowały go z mieszkania przy ulicy Rzgowskiej.

Po wojnie Mieczysław pracował jako wykwalifikowany robotnik w Przedsiębiorstwie Wodociągów i Kanalizacji. Dostał służbowe mieszkanie, gdzie wprowadził się z poślubioną w 1946 roku Zofią Trawińską.

Państwo Lajdenfrostowie mieli jednego syna. Jerzy przyszedł na świat w 1947 roku. Zdobył zawód ślusarza i – tak jak ojciec – znalazł zatrudnienie w łódzkim Przedsiębiorstwie Wodociągów i Kanalizacji.



W 1970 roku w kościele Matki Boskiej Zwycięskiej wstąpił w związek małżeński z cztery lata młodszą pracownicą umysłową, Grażyną Ziółczyk. Urodziło im się dwóch synów – Adam (ur. 1972) i Piotr (ur. 1975). Młodszy ukończył Technikum Poligraficzne i wraz z żoną Sylwią zamieszkał na Żubardziu, czyli tam, gdzie po przybyciu z Saksonii osiedlił się brat Fryderyka Ernesta Leidenfrosta.

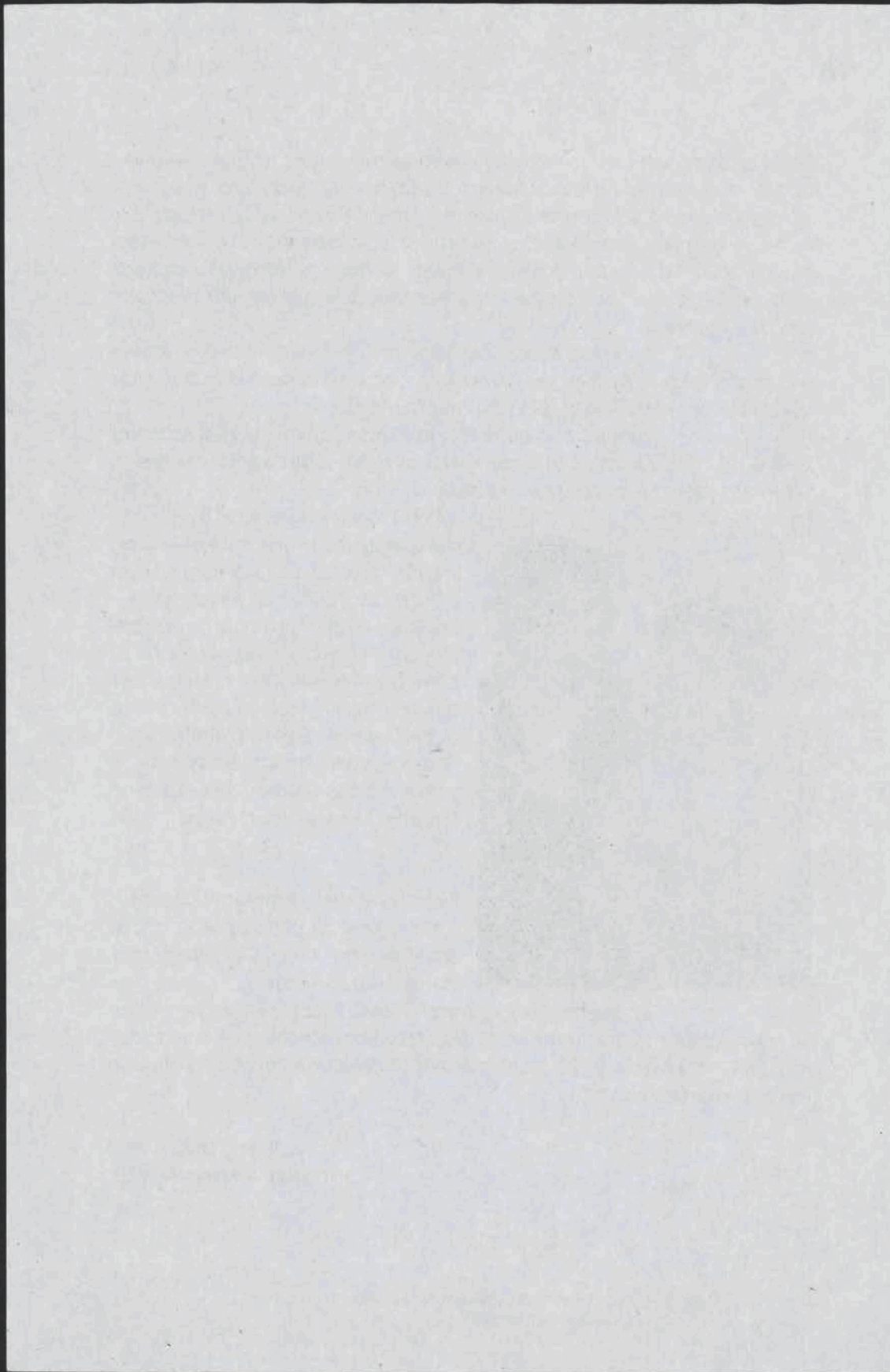
Starszy – Adam – ukończył Technikum Księgarskie i historię na Uniwersytecie Łódzkim. Pracuje w Archiwum Państwowym.

\* \* \*

Potomkowie Karola Fryderyka Leidenfrosta i Joanny Krystyny Otto rozsiani są dziś po całym świecie. Mieszkają w Niemczech, Francji, Australii, Polsce.

Linia zapoczątkowana przez Fryderyka Ernesta związana jest z Łodzią od sześciu pokoleń i wrosła w to miasto – jego specyficzną atmosferę i wielonarodowe tradycje. I choć Łódź nie jest już „ziemią obiecaną”, najmłodsze pokolenie Lajdenfrostów wcale nie chce jej opuszczać.

*Joanna Napiórkowska*  
– polonistka, doktorantka w UŁ.



# jak nas widzą, tak nas piszą

**Inne miasto**

*Krótkotrwała zmiana światów*

Tina Stroheker

str. 231

1880  
1881  
1882  
1883  
1884  
1885  
1886  
1887  
1888  
1889  
1890  
1891  
1892  
1893  
1894  
1895  
1896  
1897  
1898  
1899  
1900



# Inne miasto

## Krótkotrwała zmiana światów

*W „Kulturpolitische Korrespondenz”, magazynie ukazującym się w Bonn, w nr 1164 z 10 marca 2003 r. pisarka ze Stuttgartu Tina Stroheker, w tekście pt. „Łódź jest inna”, przedstawiła swoje wrażenia z trzymiesięcznego pobytu w Łodzi. Artykuł, mimo upływu czasu od jego publikacji, ściśle łączy się z tematyką bieżącego numeru „Kroniki”. Jest interesującym spojrzeniem osoby z zewnątrz na nasze „łódzkie podwórko”, a jednocześnie dopełnia artykuły pióra łódzkich autorów.*

### W ciągu trzech miesięcy z tych liter wyłaniało się miasto

„Niech Pani nie jedzie do Łodzi!” radził mi znajomy w słynnym Krakowie. Ostrzegał jednak przed nią na wyrost – z pewnością miasto nie zalicza się do turystycznych „piękności”. Łódź jest inna. Właśnie dlatego tak chętnie się do niej wybrałam. Spędziłam w niej trzy miesiące, jako „pisarka w gościnie”. Umożliwiły mi to dwa miasta partnerskie: rodzinny Stuttgart i zaprzyjaźniona z nim Łódź. Stuttgart chciał, bym stała się jego ambasadorką literatury, w Łodzi oczekiwano, że autorka „Polnisches Journals” będzie pisać o mieście, do którego przyjechała. Dla mnie zaś ta jesień była szansą na zdobycie nowych doświadczeń.

Podróż: Puste miejsce na mapie przestacza się w żyjącą całość. Z czterech liter na mapie wyłania się miasto pełne ludzi, budynków, jego historia i atmosfera. Sama nazwa „Łódź”, znaczy tyle co niemieckie *Boot*, siadłam więc wraz z wieloma nowymi przyjaciółmi w tej szczególnej „łódce”.

Łódź jest młoda. Nie ma tu wymuskanej średniowiecznej starówki z rynkiem, do którego prowadzą wąziutkie uliczki. Przez setki lat w tutejszej, obfitującej w wodę okolicy, leżała jedynie mała wioska. I wszystko stało się dzięki tej wodzie. Zaczęto ją wykorzystywać jako źródło energii dla maszyn. Dzięki temu szybko rozwijał się przemysł włókienniczy. Od 1820 r. życie miejskie nabrało przyśpieszenia. Przez kolejne dziesięciolecia wioska zamieszkiwana przez 200 osób przestoczyła się w „polski Manchester”, liczący w 1900 r. już 300 tysięcy mieszkańców. Jeszcze dziś

jak nas widzą, tak nas piszą

można zobaczyć tamte fabryki, wille fabrykantów i osiedla pracownicze. A Księży Młyn, wielki zespół mieszkalny dla pracowników fabryki Karola Scheiblera, ma szansę stać się zabytkiem kultury światowej.

Łódź wygląda dziś rzeczywiście biednie, wiele fabryk stoi pustych. Miasto przez dziesięciolecia należało do wschodniej wspólnoty gospodarczej i po upadku „żelaznej kurtyny” straciło wschodnie rynki zbytu. Przyszedł kryzys. Oznaczało to zmniejszenie produkcji, a co za tym idzie dwudziestoprocentowe bezrobocie. Niepewność i przygnębienie zawisły nad miastem. Widziałam i czułam to. To jedna strona medalu.

Inna jego strona: jeździłam po tym „innym mieście” i spotykałam ludzi, którzy należą teraz do mojego życia – kolegów, nauczycieli, uczniów, studentów, dawnych robotników przymusowych, członków mniejszości niemieckiej. Rozmawiałam z tłumaczką literatury niemieckiej, Sławą Lisiecką, z Markiem Edelmanem, ostatnim żyjącym przywódcą powstania w warszawskim getcie, a i dla sympatycznej sprzątaczkii hotelowej znalazłam czas.

Łódzcy Niemcy w 2002 r.? Przy ulicy Targowej, pośród dawnej dzielnicy przemysłowej stoi ładny domek, wybudowany przez XIX-wiecznego fabrykanta Traugotta Grohmana. Jest to tylko prosty dom, następne fabrykanckie pokolenia kochały już wille. Ten domek został odnowiony przede wszystkim za niemieckie pieniądze. Tu też odbywają się spotkania niemieckiego towarzystwa społeczno-kulturalnego. Członków tego związku poznałam podczas podróży do leżących na Śląsku Łambinowic, gdzie we wrześniu tego roku został poświęcony wspólny cmentarz dla zmarłych ofiar dawnego, tak zwanego obozu pracy. Później zostałam zaproszona przez członków łódzkiego stowarzyszenia na ulicę Targową. Grupa ludzi opowiadała mi o przeszłości, o swej obecnej sytuacji, czytała wiersze w języku „niemiecko-łódzkim”. Niezwykły dialekt niemiecki z licznymi polskimi naleciałościami. Oczywiście to wymierający język.

W Łodzi pozostało już niewiele rodowitych Niemców. Dla nich też rok 1945 oznacza granicę epoki, w której współdecydowali o życiu miasta. Większość musiała opuścić miasto, a ci którzy zostali, nie zawsze czynili to z własnej woli. Jeszcze dzisiaj błąka się żalność za długą, ponad stuletnią historią społeczności i gorzka świadomość, że to wojna, którą przez Niemców została rozpoczęta, przyniosła nieszczęście. Zmiana nazwy miasta na „Litzmannstadt” była pomysłem okupantów. Jednak nie wszyscy „łódzcy Niemcy” pozdrawiali radośnie wkraczający w 1939 r. do miasta *Wehrmacht*. Wielu z nich było lojalnymi obywatelami polskiego miasta. Przemysłowiec Robert Geyer został w grudniu 1939 r. zastrzelony przez gestapowców, prawdopodobnie dlatego, że nie chciał podpisać volkslisty.

Grupa łódzkich Niemców działa dość anemicznie. Czy jest ich zwyczajnie za mało? Albo się już zestarzelili? A może czują się wciąż niepewnie w kontaktowaniu z polską i niemiecką stroną? W każdym razie wydaje się, że łódzia-

nie z niemieckich rodzin, dla których ważne jest ich dziedzictwo, mają korzystne warunki, aby się do niego przyznawać.

Od przełomu politycznego pojawiło się nowe zainteresowanie historią. Również osiągnięcia niemieckich fabrykantów zostały dostrzeżone. Przestali być postrzegani jako wyłącznie kapitalistyczni wyzyskiwacze, poprzednicy nazistów. W październiku został postawiony na najpiękniejszej ulicy miasta – Piotrkowskiej – pomnik z brązu przedstawiający trzech fabrykantów: Karola Scheiblera, Ludwika Grohmana i Izraela Poznańskiego. Czy mogą więc polscy studenci germanistyki słuchać jeszcze na Targowej opowieści łódzkich Niemców? Jest to jeszcze możliwe. Obie strony powinny wyjść sobie naprzeciw. Nadszedł czas w Łodzi na „Cafes wspomnień”.

Czemu wciąż mam nadzieję? Ponieważ spotkałam tu niesamowitych entuzjastów – historyków poszukujących śladów żydowskiej i niemieckiej przeszłości, dziennikarzy uczących się jidysz, nauczycieli, którzy wychowują swych uczniów w duchu tolerancji. Poznałam ludzi, którzy bronią swej Łodzi przed zarozumiałcami z pobliskiej stolicy czy też z „pięknych” starych miast, takich jak Kraków, Wrocław albo Gdańsk. Przede wszystkim jednak pragną oni uświadomić samym Łodzianom „inność” ich miasta, jego wielokulturowe tradycje. W Łodzi mieszkali Polacy, Niemcy, Żydzi i Rosjanie. Wspólnie zbudowali to miasto. Jesienią 2003 roku miał miejsce pierwszy Festiwal Dialogu Czterech Kultur, będzie on kontynuowany. Nie ma oprawy muzealnej, skupia się na przyszłości. Obecnie prawie jednolita kulturowo Polska będzie się zmieniać, zwłaszcza po przystąpieniu do Unii Europejskiej. Podczas wywiadów wykorzystuję okazję, aby swoim rozmówcom przedstawiać doświadczenia wielokulturowego społeczeństwa w Niemczech.

Także „pisarka w gościnie” żyła w dwóch kulturach: siedziałam godzinami przy laptopie, tonąc w niemieckiej mowie, pracowałam nad „Łódzkim Słownikiem”, moim, „jakimś”, następnie wychodziłam na zewnątrz, w polskie miasto, w polski język. Taka zmiana światów może zmęczyć. Dokonywałam odkrycia, trudnego do wypowiedzenia: ludzie mają potrzebę kontaktu, cieszenia się i bycia ze sobą. Czułam samotność kiedy do „narodowego opakowania” dokładał się jeszcze większy ciężar (mój hotel znajdował się na terytorium dawnego getta). Sposobem na wyrażenie siebie staje się wtedy literatura. Znajdujemy w niej dialog. Mam nadzieję, że mój pobyt tutaj był początkiem wymiany literatów.

*Tina Stroheker*  
Przetłumaczył Marcin Gumola  
– student polonistyki.

jak nas widzą, tak nas piszą

# Z łódzkiego raptularza

KWIECIEŃ 2005

## 12 kwietnia

→ Prof. Ryszard Tadeusiewicz – rektor Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, specjalista w zakresie automatyki, informatyki i telekomunikacji otrzymał tytuł doktora *honoris causa* Politechniki Łódzkiej.

→ Na Małej Scenie Teatru Jaracza odbyła się premiera prasowa sztuki *Klaustrofobia* Konstantina Kostienki w przekładzie Agnieszki Piotrowskiej i Jerzego Czecha. Spektakl reżyserował Dariusz Siatkowski.

## 13 kwietnia

→ Widzewskie Towarzystwo Budownictwa Społecznego „DOM” oddało do użytku pierwsze budynki mieszkalne przy ul. Nawrot 14. W planach są kolejne domy, w których zamieszka 170 rodzin.

## 14 kwietnia

→ Dyrektor Muzeum Sztuki Mirosław Borusiewicz i przedstawiciele francuskiej firmy Apsys podpisali akt notarialny, na mocy którego jeden z budynków w Manufakturze przy ul. Ogrodowej został przekazany Muzeum.

→ Uczniowie XXX Liceum Ogólnokształcącego w Łodzi podjęli się stałej opieki nad grobami rodziców Juliana Tuwima – Izydora i Adeli.

## 15 kwietnia

→ W 81. rocznicę powstania Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi przekazano do użytku, po gruntownym remoncie, zabytkową galerię w Parku Sienkiewicza. W najnowocześniejszej galerii w mieście udostępniono wybór prac wybitnych polskich artystów współczesnych oraz dzieła przedstawicieli międzywojennej awangardy, m.in. Katarzyny Kobro i Władysława Strzemińskiego. Planowane są wystawy czasowe nowoczesnej sztuki polskiej i zagranicznej. W otwarciu galerii wzięło udział ponad tysiąc osób.

→ Dwa teatry przygotowały premierę *Wesołej wdówki* wg Franza Lehára. W Teatrze Muzycznym spektakl reżyserował Tomasz Konina. W rolach głównych wystąpili Anna Walczak i Andrzej Kostrzewski. W Teatrze Wielkim premiera odbyła

się 16 kwietnia. Przedstawienie przygotowano dla holenderskiego widza w koprodukcji z *Supierz Artist Management*. Spektakl reżyserował Piotr Wujtewicz, w rolach głównych zagrali Anna Cymmerman i Andrzej Kostrzewski.

### 17 kwietnia

→ W Teatrze Arlekin zainaugurowano IV Międzynarodowy Festiwal Solistów Lalkarzy.

### 18 kwietnia

→ Rozpoczął się V Festiwal Nauki, Techniki i Sztuki. Tegoroczny festiwal przebiegał pod hasłem „Tradycja – nowoczesność – przyszłość”, nawiązywał do 60-lecia Łodzi akademickiej i przypadającego 19 kwietnia Światowego Dnia Fizyki. Łodzianie tłumnie uczestniczyli w licznych wykładach, warsztatach i pokazach popularyzujących naukę. Tradycyjnie już w Urzędzie Miasta wręczono nagrody – Łódzkie Eureka otrzymali profesorowie: Urszula Krygier, Marek Pawlikowski, Wojciech Jacek Stec, Janusz Szosland, Dominik Sankowski, Witold Kaliński i Jerzy Gębicki.

→ W Centralnym Muzeum Włókiennictwa otwarto wystawę *Na skraju Inu* Joanny Staniszkis – polskiej artystki z Kanady.

→ W XXIII Festiwalu Szkół Teatralnych dwie główne nagrody ministra kultury otrzymali Bartosz Pichera z Wrocławia za rolę Walpurga w *Wariacie i zakonnicy* oraz Bartosz Turzyński z Warszawy za rolę Pijaka w *Ślubie*. Nagrodami i wyróżnieniami uhonorowano kilkunastu studentów. Nagrodę prezydenta Łodzi otrzymał zespół realizatorów spektaklu *Łoże* z PWSFTViT z Łodzi.

→ Ewa i Jerzy Wolscy – artyści i konserwatorzy zabytków przekazali Archiwum Państwowemu w Łodzi dokumentację dotyczącą malarstwa tablicowego z lat 1948–98. Zbiory mają charakter dydaktyczny i naukowy.

### 19 kwietnia

→ Prof. Gerhard Wegner z Moguncji i prof. Alanin Vidal z Miluzy – chemicy, specjaliści w dziedzinie polimerów, otrzymali tytuł doktorów *honoris causa* Politechniki Łódzkiej.

→ W Atlasie Sztuki Henryk Cześniak wystawił obraz *Cięcie Cześnika*. Każdy z widzów, który podpisał deklarację i obiecał, że przyjedzie 27 sierpnia do Sopotu, otrzymał fragment obrazu 15x15 centymetrów.

### 20 kwietnia

→ Do Łodzi przyjechał z roboczą wizytą Pierre Menet – nowy ambasador Francji w Polsce. *W Łodzi jest wiele inwestycji francuskich – z projektem Manufaktura na czele, której powodzenie będzie zależać od wzajemnego zaufania* – stwierdził ambasador.

→ Co roku w kwietniu prezydent miasta Łodzi jest rozliczany z wykonania budżetu za poprzedni rok. Finanse miasta pozytywnie oceniła Regionalna Izba Obrachunkowa oraz wszystkie komisje Rady Miejskiej. Radni udzielili prezydentowi Jerzemu Kropiwnickiemu absolutorium.

→ Cztery firmy z regionu łódzkiego: Partner Center – dystrybutor alkoholi, Polska Grupa Farmaceutyczna, Atos – firma ochroniarska i firma W. Lewandowski – właściciel portalu internetowego, otrzymali „Medale Europejskie” przyznawane przez Komitet Integracji Europejskiej i Biznes Center Club. Wyroby i usługi tych firm stoją na wysokim poziomie, zbliżonym standardem do europejskich.

→ 12 senatorów – członków Senackiej Komisji Kultury i Środków Przekazu przyjechało z dwudniową wizytą do Łodzi. Senatorowie zwiedzili Muzeum Historii Miasta, Manufakturę w budowie, Teatry Nowy i Jaracza, Filharmonię, oraz Miejską Galerię Sztuki w Parku Sienkiewicza. Senatorowie interesowali się wydatkami na kulturę i podziałem przyznanych środków.

## 22 kwietnia

→ W Świątoby Dzień Ziemi kilkuset przedszkolaków przemaszerowało ul. Piotrkowską z transparentami „Zostawcie nam czystą ziemię” i „Szanujmy przyrodę”. W pasażu Schillera dzieci otrzymały certyfikaty i drzewka do posadzenia ufundowane przez Ogród Botaniczny. W pasażu Rubinsteina odbył się hapenning pod hasłem „Posprzątaj, to nie jest kupa roboty”. Gościem był wiceprezydent Włodzimierz Tomaszewski.

→ Z okazji setnej rocznicy urodzin Jana Sztudyngera w Poleskim Ośrodku Sztuki córka poety Anna Sztudynger-Kaliszewicz otworzyła wystawę fotografii rodzinnych. Najstarsze zdjęcia pochodzą z II połowy XIX w.

## 24 kwietnia

→ W Teatrze Powszechnym widzowie zobaczyli premierowe przedstawienie *Lekcji stepowania* Richarda Harrisa w reżyserii Krystyny Jandy, choreografii Jiriny Nowakowskiej, scenografii Magdaleny Maciejewskiej i przekładzie Elżbiety Woźniak.

→ Zakończył się II Festiwal Odkrywców, Podróżników i Ludzi Aktywnych „Media Travel 2005”. Nagrodę Honorową za całokształt twórczości otrzymał Stanisław Szwarc-Bronikowski, Nagrodę Specjalną – za slajdy z Iranu – Tomasz Padło. I nagrodę w kategorii fotografii przyznano Grzegorzowi Sibie, II w kategorii filmu – Stanisławowi W. Malinowskiemu. Pierwszej nagrody w kategorii filmu nie przyznano. W kategorii radio trzy równorzędne wyróżnienia otrzymali Andrzej Szarometa, Barbara Tyslik i Sławomir W. Malinowski.

- Samorząd Studentów Uniwersytetu Łódzkiego po raz pierwszy na uroczystej gali w klubie Futro przyznał nagrody za dobrą współpracę z samorządem. Statuetki URSS – Uczelnianej Rady Samorządu Studentów otrzymali m.in. Aldona Kostrzewa – komendant łódzkiej policji, prezydent miasta Jerzy Kropiwnicki, wiceprezydent Karol Chądzyński, rektor uczelni prof. Wiesław Puś i prorektor ds. studenckich prof. Eliza Małek. Nagrodzono także TVP3, Toyę i „Gazetę Wyborczą”.
- Łódzcy skrzypkowie Wojciech Koprowski i Maciej Łabęcki zdobyli II nagrody na VI Międzynarodowym Konkursie im. K. Szymanowskiego.

### 25 kwietnia

- Maria Białobrzeska, najstarsza czynna zawodowo łódzka aktorka, świętowała na scenie Teatru Nowego w gronie przyjaciół aktorów i widzów jubileusz 60-lecia pracy scenicznej. Jubilatka otrzymała Srebrny Pierścień – nagrodę dyrektora Wydziału Kultury.
- Towarzystwo Przyjaciół Łodzi przyznało dyplom honorowy za najlepsze przedstawienie w sezonie 2004/2005. Otrzymał je spektakl *Lukrecja Borgia* w Teatrze Wielkim.

### 26 kwietnia

- W Łódzkim Towarzystwie Fotograficznym wystawiono fotografie Bartosza Pietrzaka. Autor fotografował zerwane przez milicję i SB plakaty z twarzą Lindy Winsh, czeskiej opozycjonistki, która uczestniczyła przed laty w strajku studenckim w Łodzi. Wystawa była okazją do spotkania uczestników tamtych wydarzeń. Na wernisaż przyjechała Linda Winsh, mieszkająca obecnie w Stanach Zjednoczonych.

### 27 kwietnia

- W kościele pod wezwaniem św. Kazimierza na Widzewie zamontowano w pustych wnękach figury św. Jadwigi i św. Kazimierza. Rzeźby powstały w pracowni krakowskiego artysty Jana Sieka. Będą stałym elementem wystroju świątyni.
- W Muzeum Historii Miasta Łodzi otwarto wystawę malarstwa Grzegorza Steca.

### 29 kwietnia

- Radni Sejmiku Województwa Łódzkiego przyjęli uchwałę, w której poparli inicjatywę założenia na terenie dawnych zakładów Uniontex Centrum Jana Pawła II. Radni wystąpili do Zarządu Województwa Łódzkiego o wygospodarowanie środków finansowych na wsparcie tej inicjatywy.
- W rankingu „Gazety Wyborczej” na najlepsze szkoły zwyciężyły gimnazja nr 34, 43 i 22 oraz licea I, IV i XIII.

**30 kwietnia**

→ Ośmiu łódzkich księży katolickich otrzymało tytuł prałata. Są to księża: Stanisław Gawroński, Waldemar Kulbat, Kazimierz Pacholik, Wiesław Sikorski, Janusz Krakowiak, Jan Szadkowski, Aleksander Janeczek i Ireneusz Kulesza. Ks. Stanisław Grad został prałatem honorowym Jego Świątobliwości, a ks. Józef Fijałkowski otrzymał tytuł protonotariusza.

**ODESZLI:****7 kwietnia**

→ Waldemar Michowicz – prof. dr hab. Uniwersytetu Łódzkiego, b. prorektor UŁ i b. dziekan Wydziału Filozoficzno-Historycznego. Był twórcą i dyrektorem Instytutu Studiów Międzynarodowych, założycielem łódzkiej szkoły „Badań nad Pokojem”, wychowawcą wielu pokoleń historyków.

**MAJ 2005****2 maja**

→ Roman Giertych i Zygmunt Wrzodak przewodzili spotkaniu z członkami LPR i sympatykami tej partii w Teatrze Muzycznym w Łodzi, podczas którego zaprezentowali program wyborczy partii.

→ Łódzki Informator Kulturalny „Kalejdoskop” ukazał się w nowej szacie graficznej autorstwa Anny Wrzesień. Ku zadowoleniu czytelników pismo zyskało większy format, lepszy papier i wyraźniejszy druk. Zachowano tradycyjny układ treści numeru.

→ Jerzy Żelnik, dyrektor artystyczny Teatru Nowego, zaproponował przyjęcie na etat w nowym sezonie teatralnym piętnastu tegorocznych absolwentów wydziału aktorskiego PWSFTViT.

**3 maja**

→ Uroczystości z okazji święta 3 Maja rozpoczęły się uroczystą mszą świętą celebrowaną przez arcybiskupa Władysława Ziółka w łódzkiej archikatedrze z udziałem władz miejskich i wojewódzkich. Po mszy i złożeniu kwiatów pod pomnikiem Nieznanego Żołnierza zebrani przemaszzerowali pod pomnik Tadeusza Kościuszki na Placu Wolności. Zasłużeni policjanci i strażnicy miejscy, którzy wykazali się odwagą otrzymali nagrody – Srebrne Podkówki. Kwiaty złożono także pod tablicą przy ul. Wschodniej 19, gdzie w czasie pobytu w Łodzi mieszkał Marszałek Józef Piłsudski.



→ Z okazji święta narodowego Krzyże Kawalerskie Orderu Odrodzenia Polski otrzymali Ryszard Bonisławski – prezes Towarzystwa Przyjaciół Łodzi, dyrektor Centrum Informacji Turystycznej UMŁ, niestrudzony popularyzator wiedzy o Łodzi oraz Zdzisław Kurma, członek TPŁ, pomysłodawca konkursu „Łódzkie Skrzydła”. Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski został odznaczony prof. Józef Kocur – kierownik Zakładu Rehabilitacji Psychospołecznej UM.

→ Prawo i Sprawiedliwość zorganizowało w Teatrze Nowym spotkanie z Jarosławem Kaczyńskim. Wcześniej podobne meetingi pod hasłem „Wiosna Polaków” odbyły się w innych miastach.

#### 4 maja

→ Czterej wiceprezydenci łódzcy opublikowali w internecie na stronach „Biuletynu Informacji Publicznej” Urzędu Miasta oświadczenia majątkowe. W porównaniu z 2004 r. wszyscy mają mniejsze oszczędności i zarobki.

#### 5 maja

→ Unia Europejska przyznała Łodzi ponad siedem milionów złotych na rewitalizację kamienicy przy ul. Nawrot 7. Kamienica zbudowana w 1912 r. jest wpisana do ewidencji zabytków.

→ W Muzeum Historii Miasta Łodzi otwarto wystawę numizmatyczną *W hołdzie papieżowi Janowi Pawłowi II* ze zbiorów łódzkich kolekcjonerów i muzeum miasta. Pokazano ponad 300 medalionów, medali i monet.

→ Awaria wodociągu zalała pomieszczenia Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej. Księgozbiór poniósł ogromne straty. 150 tys. książek zostało zawilgoconych, z tego 30% kompletnie zalanych. Rozpoczęto akcję ratunkową, osuszanie książek i przenoszenie księgozbioru do innych budynków. Straty nie zostały jeszcze ocenione.

→ Na jedyne w Polsce Targi Sztuki Art Poznań 2005 zaproszono cztery łódzkie niekomercyjne galerie sztuki: Manhattan, Galerię FF, Galerię Wschodnią i Wymiany.

#### 5 maja

→ W Dzień Pamięci Ofiar Holokaustu na stacji Radegast modlitwę za zmarłych odmówił kantor Ben Zion Miller z Nowego Jorku. 200 uczniów z Łodzi i województwa wzięło udział w marszu żywych w Oświęcimiu, aby uczcić pamięć ofiar Zagłady. Stanowili najliczniejszą polską grupę.

#### 7 maja

→ W Teatrze Wielkim na scenie kameralnej odbyła się premiera komedii *Impresario w opałach* Domenico Cimarosy w reżyserii Roberta Skolmowskiego.

W przedstawieniu bierze udział sześciu solistów i dziewięciu muzyków, spektakl może być wystawiany w terenie, poza macierzystą sceną.

→ Prof. Stefan Lelental, kierownik Katedry Prawa Karnego na UŁ, absolwent Wydziału Prawa tego Uniwersytetu, obchodził jubileusz 45-lecia pracy naukowej.

### 9 maja

→ Prof. dr hab. Wiesław Puś i prof. dr hab. Jan Krysiński zostali wybrani ponownie na rektorów Uniwersytetu Łódzkiego i Politechniki Łódzkiej. Za najważniejsze zadania dla Uniwersytetu rektor Puś uważa dalsze inwestycje, rozwój kadry naukowej i przygotowanie uczelni do niżu demograficznego. Rektor Krysiński zamierza ogrzewać politechnikę wodą geotermalną, zbudować centrum sportowe i rozwijać współpracę z uczelniami zagranicznymi. Także PWSFTViT zostanie pod rządami poprzedniego rektora prof. Jerzego Woźniaka. Elektorzy docenili talenty organizacyjne i pomysły rektora m.in. zorganizowanie festiwalu „Media School”.

→ Instytut Pamięci Narodowej Oddziałowa Komisja Badania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu w Łodzi wszczęła śledztwo w sprawie tzw. weryfikacji dziennikarzy podczas stanu wojennego. Śledztwo objęło szykany pracownicze podjęte przez funkcjonariuszy państwa komunistycznego w stosunku do co najmniej 35 dziennikarzy łódzkiej prasy, radia i telewizji i dotyczy nie tylko bezprawnych zwolnień z pracy ale także wieloletniego pozbawienia prawa wykonywania zawodu dziennikarskiego. Prokurator Jacek Kozłowski zapowiedział, że pion śledczy IPN zamierza przedstawić zarzuty m.in. ówczesnym członkom politycznych komisji weryfikacyjnych.

→ Natalia Astafiewa i Włodzimierz Brytaniszki – współpracownicy miesięcznika „Nowa Polska”, autorzy antologii *Polskie poety XX wieku*, zostali laureatami tegorocznej nagrody im. Zbigniewa Dominiaka za wybitne osiągnięcia w dziedzinie przekładów poezji polskiej na język rosyjski. Nagrodę ufundowała notariusz Małgorzata Badowska, będąca najofiarniejszym w Łodzi mecenasem kultury.

→ Bronisław Wrocławski i Ireneusz Czop – aktorzy Teatru Jaracza – otrzymali równorzędne nagrody aktorskie na 45. Kaliskich Spotkaniach Teatralnych.

→ We wtorki i czwartki przed Urzędem Miasta przy ul. Piotrkowskiej 104 restaurator Andrzej Terlecki – założyciel Ogólnopolskiego Porozumienia Bezrobotnych – częstuje zupą i chlebem bezdomnych i głodnych.

### 11 maja

→ Rozpoczęła się czwarta edycja Międzynarodowego Festiwalu Fotograficznego, w ramach którego zorganizowano czterdzieści wystaw, wykładów, spotkań i warsztatów. Zorganizowano m.in. dwie retrospektywne wystawy dotyczące polskiej fotografii: Jerzego Lewczyńskiego, grupy Zero 61 oraz *Intymność czytania* Andre Kertesza. Centrum festiwalowe mieściło się w Muzeum Artystów. Inauguracja festiwalu odbyła się z przygodami, na kilka godzin przed oficjalnym otwarciem wyłączono światło z powodu długów Muzeum. Dzięki mediacjom problemy zażegnano. Całość organizowała Fundacja Edukacji Wizualnej.

**13 maja**

→ Od 13 do 15 maja trwały „Dni Łodzi”. Atrakcji, zabaw wesołych i poważniejszych dla łodzian w różnym wieku, było bez liku. Wymienimy tylko odśpiewanie przez blisko tysiąc osób hymnu Łodzi przed Urzędem Miasta, europejską noc muzeów, maraton poetycki, sportowe olimpiady podwórkowe. Tradycyjnie przyznano Nagrody Miasta Łodzi. Otrzymali je: Antoni Binasiak – emerytowany nauczyciel, działacz ZNP, PTTK i TPŁ; Jolanta Chełmińska – dyrektor Oddziału Regionalnego Banku PKO BP S.A. w Łodzi; Ryszard Jajte – emerytowany profesor UŁ, twórca łódzkiej szkoły teorii prawdopodobieństwa; Innocenty Święcicki – emerytowany radny I i II kadencji Rady Miejskiej, prawnik, ekonomista; Maria Sawicka – emerytowany prawnik, przewodnicząca Rady d/s Rodziny przy Wojewodzie Łódzkim, uznana za Bohaterkę Dnia Codziennego za swoją troskę o sprawy rodziny oraz Roman Zarzycki – prof. PŁ, b. prorektor, nauczyciel akademicki na Wydziale Inżynierii Procesowej i Ochrony Środowiska. 28 osób udekorowano odznakami za zasługi dla miasta Łodzi. Odznaki otrzymały także dwie organizacje: Liga Rzeczna oraz Wojewódzki Klub Techniki i Racjonalizacji.

→ Na Uniwersytecie Łódzkim odbyła się konferencja pt. *Województwo łódzkie w roku po przystąpieniu do Unii Europejskiej*. Prezydent Jerzy Kropiwnicki uznał, że bilans zysków jest większy niż niepowodzeń.

→ Ewa Rusiecka – studentka V r. Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Medycznego zwyciężyła w konkursie ZSP na najlepszego studenta województwa łódzkiego.

**14 maja**

→ Ks. arcybiskup Władysław Ziółek obchodził jubileusz 25-lecia sakry biskupiej. Podczas uroczystej mszy świętej dziękczynnej w archikatedrze prymas Polski ks. kardynał Józef Glemp wygłosił homilię. Wiernym odczytano list papieża z gratulacjami dla jubilata od Benedykta XVI.

→ XVII Łódzkie Spotkania Baletowe rozpoczęła prapremiera *Koloru Żółtego* – ostatniej części tanecznego tryptyku o Łodzi. *Kolor żółty* z muzyką Sławomira Kulpowicza, scenografią i choreografią Gray Veredona sięga do historii łódzkiego getta.

**16 maja**

→ W Łódzkim Domu Kultury przyjaciele zorganizowali benefis Krystynie Bobrowskiej, która przez wiele lat była kierownikiem literackim w Teatrach Nowym i Jaracza, stała na czele TPŁ. Zainicjowała też nagrody Srebrnej i Złotej Łódki za najciekawsze spektakle sezonu oraz wiele innych imprez popularyzujących teatr i historię Łodzi.

**17 maja**

→ *Sny XX wieku* – pod takim tytułem wystawił swoje prace plastyczne, po raz pierwszy w Polsce, w galerii Atlas Sztuki, belgijski artysta Guy Peellaert. Autor ukazuje wizerunki sławnych ludzi ze świata polityki i sztuki w zaskakujących sytuacjach.

**18 maja**

→ „Dzieci dzieciom” – tak można nazwać XXVI Ogólnopolski Przegląd Teatrów Dziecięcych „Dziatwa 2005”, w którym wzięło udział 400 najmłodszych aktorów z całej Polski. Przeglądowi towarzyszyła 15. Ogólnopolska Wystawa Rysunku i Malarstwa *Mój teatr*.

→ Muzeum Sztuki otrzymało Nagrodę Ministerstwa Kultury za wydarzenie muzealne roku Sybilla 2004. Nagrodzono ekspozycję *Kurt Schwitters* oraz album *11 dzieł z Muzeum Sztuki*.

→ Poleski Ośrodek Sztuki po raz trzeci przygotował festiwal literatury „Prope Mercatum” co znaczy dosłownie „W okolicy targu” – w tym przypadku targów książki w Warszawie. Zaplanowano spotkania z pisarzami: Nataszą Goerke, Dawidem Bieńkowskim, Henrykim Grynbergiem, Adamem Zagajewskim i Stanisławem Tymem. Sponsorem festiwalu jest mBank.

**19 maja**

→ Łódź po raz pierwszy gościła uczestników XII Ogólnopolskich Dni Prawniczych. Zjazd trwał trzy dni, uczestniczyli w nim przedstawiciele wszystkich zawodów prawniczych. Obchody poświęcone były takim tematom jak autorytet państwa prawa, prawo do rzetelnego procesu, media i wymiar sprawiedliwości.

→ Na ścianie kamienicy przy ul. Próchnika 19, w której w latach 1947–50 mieszkał generał Emil Fieldorf „Nil” komendant Kedywu AK, a następnie zastępca komendanta głównego AK, skazany na karę śmierci w 1953 r., odsłonięto pamiątkową tablicę. Uroczystość zorganizował Związek Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego.

**20 maja**

→ Juwenalia na Politechnice Łódzkiej przebiegały bardzo spokojnie. Tegoroczne hasło brzmiało „Juwenalia czas emocji, łapie wszystkich klimat Szkocji”. Większość imprez nawiązywało do kultury szkockiej.

→ 15 lat temu ukazał się pierwszy numer „Gazety Wyborczej” w Łodzi. Z tej okazji gazeta wraz z prezydentem Jerzym Kropiwnickim ogłosiła plebiscyt na piętnastkę najbardziej popularnych łodzian, których wybrali czytelnicy „Gazety”. Najwięcej głosów otrzymali: o. Stefan Miecznikowski SJ, Michał Wiśniewski, Grzegorz Palka, Jacek Sz wajkowski, Andrzej Walczak, Adam Ostrowski, Piotr Dziecioł, Marek Janiak,

Jacek Saryusz-Wolski, Tisa Żawrocka, Piotr Pustelnik, Stefan Niesiołowski, Władysław Ziótek, Andrzej Słowik i Ewa Pilawska. Na placyku przed budynkiem redakcji zamontowano płaskorzeźbę w postaci mosiężnego guzika.

→ Dziennikarze z „Gazety Wyborczej” w Łodzi ujawnili, że w Centralnym Biurze Śledczym w skonfiskowanych przestępcom workach z narkotykami znalazły się inne substancje, m.in. proszek do pieczenia. Istnieje podejrzenie, że wyprowadzono rynek nawet 120 kg czystej heroiny i kokainy wartęj miliony dolarów. Ujawnienie tego skandalu pociągnęło za sobą kolejne śledztwa, zwolnienia i dymisje policjantów.

### 23 maja

→ Na Politechnice Łódzkiej obradowała Konferencja Rektorów Akademickich Szkół Polskich. Radzono nad przyszłością polskiej nauki oraz wybrano nowe władze, z przewodniczącym rektorem Tadeuszem Kusty z Politechniki Wrocławskiej na czele.

### 24 maja

→ Pięć wyższych uczelni: Uniwersytet, Politechnika, Akademia Muzyczna, Uniwersytet Medyczny i Akademia Sztuk Pięknych wspólnie świętowały w Filharmonii jubileusz 60-lecia w obecności licznie przybyłych gości zagranicznych, rektorów, kadry naukowej i absolwentów. W Łodzi studiuje obecnie 120 tys. osób, a kadra naukowa liczy 12 tys. nauczycieli akademickich. Z okazji jubileuszu tytuł doktora *honoris causa* Politechniki Łódzkiej otrzymał prof. Andrew Hamnett – wybitny chemik, pryncypał *University of Strathclyde* w Glasgow, z którym Politechnika współpracuje od lat. Tytuł doktora *honoris causa* Akademii Muzycznej przypadł Teresie Kubiak koncertującej na czołowych scenach operowych świata, obecnie profesor w *Indiana University School of Music* w Bloomington w USA. Doktorem *honoris causa* Uniwersytetu Łódzkiego został prof. dr hab. Jan Mujżel – współtwórca łódzkiego środowiska ekonomicznego, specjalista w zakresie teorii gospodarki, autor licznych analiz o stanie gospodarki polskiej, od 1994 r. przewodniczący Rady Strategii Społeczno-Gospodarczej przy Radzie Ministrów.

→ Po raz pierwszy Politechnika Łódzka nagrodziła dziennikarzy za rzetelną i profesjonalną pracę. Z okazji 60-lecia uczelni senat przyznał odznaki „Zasłużony dla Politechniki Łódzkiej” red. Joannie Blewąskiej i Joannie Podolskiej z „Gazety Wyborczej” oraz Pawłowi Patorze z „Dziennika Łódzkiego”.

→ W setną rocznicę walk na barykadach Łodzi podczas rewolucji 1905 r. uczniowie XXVIII Liceum Ogólnokształcącego zorganizowali sesję *Łódzkie barykady wolności i godności*.

**26 maja**

→ Złote Ekslibrisy, honorowe nagrody Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego przyznawane za najlepsze książki popularnonaukowe przypadły w tym roku Janowi Dominikowskiemu za książkę *Nekropolia Łodzi wielkoprzemysłowej*. Za najlepszą książkę o ziemi łódzkiej uznano *Monografię gminy Mokrsko* pod redakcją Tadeusza Olejnika.

→ Budynek Filharmonii Łódzkiej otrzymał II nagrodę w konkursie „Budowa Roku 2004” organizowanym przez Polski Związek Inżynierów i Techników Budownictwa, Ministerstwo Infrastruktury, Urząd Mieszkalnictwa i Rozwoju Miast oraz Główny Urząd Nadzoru Budowlanego. Projekt budynku autorstwa architekta Romualda Roegera z Krakowa zrealizował łódzki Varitex. Budowa trwała trzy lata.

→ Cztery lata temu wprowadzono w życie interwencyjny program leczenia zawałów serca opracowany przez prof. dr hab. Marię Krzemińską-Pakułę, kierownika Kliniki Kardiologii w Szpitalu im. Biegańskiego. Dzięki nowoczesnym metodom leczenia i szybkiej interwencji już spadła śmiertelność pacjentów z powodu chorób układu krążenia i serca w mieście i w województwie łódzkim.

→ Do Rzymu dotarła pielgrzymka łódzian w II rocznicę nadania Janowi Pawłowi II Honorowego Obywatelstwa Miasta Łodzi. Pojechali także prezydent Jerzy Kropiwnicki, wiceprezydent Włodzimierz Tomaszewski, arcybiskup Władysław Ziółek oraz kilku radnych i urzędników Urzędu Miasta. Wszyscy sfinansowali wyjazd z własnych funduszy. Blisko dwustu łódzian modliło się przy grobie Jana Pawła II i uczestniczyło w audiencji generalnej ojca świętego Benedykta XVI, którego prezydent Jerzy Kropiwnicki zaprosił do Łodzi.

**28 maja**

→ Szkoła Podstawowa nr 162 w Łodzi otrzymała imię Jana Nowaka-Jeziorańskiego, mimo iż sprzeciw przeciwko tej kandydaturze wyrażali radni LPR.

→ W południe przy Placu Zwycięstwa zawałił się trzypiętrowy, pofabryczny budynek, w którym mieściło się kilka firm, w tym PZU S.A. Pod gruzami zginęły dwie kobiety, jedna z nich była pracownikiem PZU S.A. Pięć osób zostało rannych. W akcji ratowniczej brali udział strażacy, lekarze, ratownicy medyczni. Spontanicznie pomagali im przypadkowi przechodnie.

→ Tysiąc dzieci bawiło się w Teatrze Muzycznym podczas imprezy zorganizowanej przez Archidiecezjalne Duszpasterstwo Niedosłyszących z okazji Dnia Dziecka.

**29 maja**

→ Wielki smok z Łodzi, nazwany w teatrze Lalek Arlekin „Niunią”, udekorowany przez prezydenta Jerzego Kropiwnickiego szarfą w łódzkich barwach, będzie reprezentował nasze miasto podczas Wielkiej Parady Smoków w Krakowie.

**30 maja**

→ W budynku starej plebani przy ulicy Kolińskiego 26 otwarto Centrum Duszpasterstwa Osób Niepełnosprawnych Archidiecezji „Arka”. W Centrum będą organizowane zajęcia muzyczne, plastyczne, spotkania grup turystycznych. W otwarciu uczestniczył ks. abp Władysław Ziółtek.

→ „Odnaleźć siebie” – to hasło ogólnopolskiego projektu pomocy psychiatrycznej. W Łodzi porad specjalistów można zasięgnąć w poradni przy ul. Kościuszki 48. Porady udzielane są bez skierowania, a pacjenci pozostają anonimowi.

**31 maja**

→ Kolekcjonerka zabawek Wiesława Zeler spełniła swoje marzenie. W lokalu po dawnej cukierni na Radogoszczu otworzyła Muzeum Zabawek, w którym udostępniła zwiedzającym swoje zbiory zabawek polskich i zagranicznych. Muzeum czynne jest codziennie.

→ Bracia Dariusz i Krzysztof Bieńkowscy zostali uhonorowani statuetką Mecenasa Kultury za rok 2005. Nagrodę przyznaje Ministerstwo Kultury. Bracia Bieńkowscy od czterech lat są fundatorami nagrody im. Katarzyny Kobro oraz kolekcjonerami obrazów i fotografii.

→ Za najważniejsze wydarzenie kwietnia w plebiscycie łódzkich mediów łodzianie uznali Biały Marsz ulicą Piotrkowską, zorganizowany spontanicznie po śmierci Jana Pawła II.

**PERSONALIA:****5 maja**

→ Janusz Błaszczyk – dyrektor Wydziału Finansów podziękował za pracę w Urzędzie Miasta.

**9 maja**

→ Józef Szpoton został ponownie prezesem Zarządu Zakładu Energetycznego Łódź-Teren S.A.

**20 maja**

→ Dr Jacek Grabowski otrzymał nominację na dyrektora łódzkiego Oddziału Narodowego Funduszu Zdrowia. Ostatnio pełnił funkcję lekarza miasta.

**22 maja**

→ Jacek Człapiński – dotychczasowy wicedyrektor – został p.o. dyrektora Wydziału Edukacji w Urzędzie Miasta Łodzi.

**31 maja**

→ Wskutek błędnych informacji „Gazety Wyborczej” Janusz Tkaczyk przestał pełnić obowiązki komendanta wojewódzkiego policji w Łodzi.

**CZERWIEC 2005****1 czerwca**

→ Z okazji Dnia Dziecka władze w Łodzi przejęły dzieci ze szkół podstawowych. Prezydentem została Natałka Chmielecka ze Szkoły nr 45, a przewodniczącym Rady Miejskiej – Mariusz Zaleski ze szkoły nr 199. Dzieci zastąpiły także radnych. Władzę przekazał dzieciom prezydent Jerzy Kropiwnicki o godz. 10 przed Urzędem Miasta. Stąd przeszło stu przedszkolaków i uczniów szkół podstawowych przemaszzerowało do redakcji „Gazety Wyborczej”, gdzie na dziedzińcu odbył się wielki bal organizowany przy współpracy radia „Złote przeboje” i Urzędu Miasta.

→ W całej Łodzi odbyło się mnóstwo zabaw i atrakcyjnych spotkań dla dzieci. M.in. kilkaset dzieci z podłódzkich miejscowości zwiedzało Teatr Wielki od kulis i wysłuchało koncertu w wykonaniu orkiestry symfonicznej ze Szkoły Muzycznej przy ul. Sosnowej.

**3 czerwca**

Naukowcy z Zakładu Technologii Skrobi i Cukiernictwa oraz Instytutu Technologii Fermentacji i Mikrobiologii Politechniki Łódzkiej znaleźli szczepy bakterii kwasu mlekowego, które wprowadzone do czekolady, wzbogacają jej walory odżywcze i ułatwiają trawienie.

→ Rozpoczął się VIII Festiwal Muzyki Filmowej. Bohaterem tegorocznej edycji był Henryk Wars i jego muzyka. Na festiwal przyjechała z USA rodzina kompozytora oraz Irena Andersowa. Nagrodę im. Tomasza Gaduły-Zawratyńskiego – pomysłodawcy festiwalu przyznano Stanisławowi Janickiemu – autorowi programu „W starym kinie”.

→ Haft krzyżkowy to nie tylko hobby, ale także znakomita terapia dla osób zmęczonych psychicznie i żyjących w stresie. Na III Ogólnopolską Wystawę Haftu Krzyżkowego Amatorów w Centralnym Muzeum Włókiennictwa 443 autorów nadesłało aż 1270 prac, z których jury zakwalifikowało na wystawę 500.

→ Pięć lat temu powołano w Łodzi drugi, obok warszawskiego, oddział Filмотeki Narodowej. Do Łodzi trafiło 3,5 tys. negatywów filmów fabularnych i animowanych wyprodukowanych w Polsce po roku 1945.



**4 czerwca**

→ Po raz piąty artyści, którzy mają swoje pracownie w kamienicy przy ul. św. Jerzego 10/12 i należą do Stowarzyszenia Artystów Świętego Jerzego, otworzyli je dla publiczności. Pomysłodawcą otwartych pracowni jest malarz Dariusz Fiet.

→ W Galerii 86 otwarto po raz pierwszy w Łodzi wystawę prac malarza i scenografa Jerzego Kałuckiego.

**5 czerwca**

→ W rezydencji Herbsta odbyły się uroczystości z okazji stulecia działalności Szpitala Dziecięcego im. dr Janusza Korczaka. Przed stu laty Matylda i Edward Herbstowie ufundowali szpital i nadali mu imię zmarłej córki Anny Marii. W tamtych latach był to największy i najbardziej nowoczesny szpital pediatryczny na ziemiach polskich. Budynek zaprojektował łódzki architekt Paul Riebensahm.

→ W rocznicę pierwszych wolnych wyborów do Sejmu RP ulicami miasta przemaszerowali byli parlamentarzyści: Maria Dmochowska, Stefan Niesiołowski, Cezary Józefiak. Marsz zorganizowała Platforma Obywatelska.

**6 czerwca**

→ Piotr Biliński, architekt, właściciel galerii sztuki, z okazji 50. urodzin zafundował łodzianom koncert muzyki cerkiewnej w wykonaniu chóru z cerkwi Cyryla i Metodego we Wrocławiu. Chór wystąpił w kościele Środowisk Twórczych po jubileuszowej mszy świętej. Goście na prośbę jubilata składali zamiast kwiatów datki na potrzeby hospicjum dla dzieci w Łodzi.

**7 czerwca**

→ Z wystawy w kinie Charlie skradziono lalkę Misia Uszatka, bohatera filmowych seriali dawnego Se-Ma-Fora. Misia szukała dosłownie cała Łódź i... znalazła. Lalkę przyniosła na komisariat policji matka szesnastolatka, który podobno otrzymał ją od nieznanego mężczyzny w tramwaju.

**8 czerwca**

→ Otwarto 11. Międzynarodowy Festiwal Filmów Przyrodniczych im. Puchalskiego. Do udziału zgłosiło się 90 autorów z 16 krajów.

→ 1801 kg waży grosiki zbierane podczas akcji „Gorączka złota”, które zostaną przeznaczone na dofinansowanie kolonii dla dzieci. Rekordzistkami okazały się Szkoła Podstawowa nr 172 i Przedszkole nr 231.

**11 czerwca**

→ Polsko-Brytyjska Izba Handlowa zorganizowała w Łodzi Targi Pracy. W Wielkiej Brytanii brakuje wykwalifikowanych specjalistów, którym oferuje się legalną pracę i niezłe zarobki.

**12 czerwca**

→ Święto Eucharystii przebiegało pod hasłem wspomnień wizyty Jana Pawła II w Łodzi w 1987 r. W procesji wzięła udział licznie zebrana młodzież z pokolenia JP 2, mszę świętą celebrował na placu przed archikatedrą kardynał Edmund Szoka – jeden z najbliższych współpracowników papieża. Zebrani odmówili pod koniec modlitwę o kanonizację Jana Pawła II napisaną przez ks. abpa Władysława Ziółka.

**14 czerwca**

→ Stanisław Witaszczyk – marszałek województwa i Jerzy Kropiwnicki – prezydent Łodzi oraz Marek Żydowicz z Fundacji Tumult podpisali porozumienie, które zapewnia finansową i organizacyjną współpracę przy organizowaniu Festiwalu Camerimage przez trzy nadchodzące lata.

**15 czerwca**

→ Na zwołanej konferencji prasowej prezydent Jerzy Kropiwnicki oznajmił, iż wykryto u niego chorobę nowotworową, która wymaga natychmiastowej interwencji chirurgicznej. Prezydent przekazał pełnomocnictwo wiceprezydentowi Włodzimierzowi Tomaszewskiemu i prosił, aby dziennikarze uszanowali jego prywatność. W tej trudnej chwili okazało się jak łodzianie lubią swego prezydenta. Mieszkańcy telefonowali do Urzędu Miasta i redakcji łódzkich gazet, pisali e-maile, życzyli Jerzemu Kropiwnickiemu zdrowia i zapewniali o swej sympatii i szacunku.

→ W Muzeum Historii Miasta otwarto wystawę obrazów, grafik, rysunków i fotografii ze zbiorów własnych muzeum pod tytułem *Łódź. Portret miasta*. Pierwsza fotografia pochodzi z 1853 r.

→ Dr Cezary Cybulski ze Szczecina otrzymał kolejną nagrodę im. Tomasza Jakuba Michalskiego – zmarłego w 1997 r. naukowca. Nagrodę ufundowali rodzice – profesorowie Maria i Jan Michalscy. Tegoroczny laureat opracował test DNA, przy pomocy którego można wykryć wrodzone, genetyczne predyspozycje do chorób nowotworowych.

**16 czerwca**

→ Kot Prewencjusz – maskotka łódzkiej policji wymyślona przez dzieci – rozpoczął spotkania w najmłodszych uczniach w łódzkich szkołach. Prewencjusz i towarzyszący mu policjanci radzą dzieciom jak bezpiecznie spędzić wakacje.

→ Z okazji obchodów Roku Krajuw Obszaru Języka Niemieckiego w Muzeum Sztuki otwarto wystawę grafik ekspresjonistów niemieckich z lat 20.

### 17 czerwca

→ Na ekrany kin łódzkich wszedł film *Karol, człowiek który został papieżem*. Film powstał w koprodukcji włosko-francusko-kanadyjsko-niemiecko-polskiej. Reżyserował Włoch Giacomo Battiato. W roli ojca świętego wystąpił Piotr Adamczyk, z polskich aktorów grają jeszcze m.in. Grażyna Szapołowska, Olgierd Łukaszewicz i Sambor Czarnota – aktor Teatru im. S. Jaracza w Łodzi.

### 18 czerwca

→ Jerzy Kropiwnicki został przyjęty w Białymstoku do Zakonu Rycerskiego Grobu Bożego w Jerozolimie. Do obowiązków rycerza należy modlitwa w intencji katolików w Ziemi Świętej i finansowe wspieranie katolików w Ziemi Świętej.

→ Po modernizacji największego łódzkiego wodociągu „Dąbrowa” Łódź może się pochwalić najbardziej czystą wodą ze wszystkich dużych miast w kraju.

### 21 czerwca

→ W stulecie rewolucji 1905 roku w mieście odbyło się wiele imprez upamiętniających to historyczne wydarzenie. W miejscach gdzie walczyli robotnicy, m.in. przy rogu ulic Wschodniej i Rewolucji 1905 r., na rogu Gdańskiej i Ogrodowej oraz przy wejściu na Stary Cmentarz, stali przewodnicy i informowali o wydarzeniach sprzed lat.

### 22 czerwca

→ Przed Urzędem Miasta odsłonięto pamiątkową tablicę w stulecie rewolucji 1905, a niedzielny festyn na Zdrowiu zakończył obchody.

### 25 czerwca

→ Całą dobę szukano w Polsce ukradzionego w Łodzi samochodu z groźnymi dla zdrowia odpadami szpitalnymi. Kierowca wiózł je do spalarni. Na dziesięć minut zostawił ciężarówkę na parkingu i wszedł do sklepu po butlę gazową. Porzucony samochód z zawartością odnaleziono w pobliżu Ozorkowa. Z ogromną pomocą w poszukiwaniu skradzionego ładunku przyszły policji rozgłośnię radiowe, taksówkarze i MPK.

→ Z inicjatywy Instytutu Nowych Technologii powstał Klub Inwestora Zagranicznego. Klub będzie miał swoją siedzibę przy Piotrkowskiej 89. W pierwszym spotkaniu wzięło udział trzydzieści osób.

→ Uniwersytet Medyczny otrzymał aparat medyczny najnowszej generacji pomocny w wykrywaniu chorób serca i nowotworów. Zakup aparatu sfinansowała uczelnia i Komitet Badań Naukowych.

→ Rozpoczęło się 12. Międzynarodowe Triennale Małych Form Grafiki połączone z aukcją. Od dwunastu lat prowadzi ją Wojciech Siemion.

#### **24 czerwca**

→ Rozpoczął się festiwal u ojców Franciszkanów w Łagiewnikach pod nazwą *Muzyka w starym klasztorze*. W tym roku z powodu przypadającej 320. rocznicy urodzin J. S. Bacha w programie znajdzie się więcej kompozycji lipskiego kantora oraz sporo muzyki polskiej, włoskiej, niemieckiej i francuskiej od XVII stulecia do współczesności.

→ Kazimierz Olejnik, zastępca prokuratora generalnego, został ciężko ranny w wypadku samochodowym na trasie K-8 w Tomaszowie Mazowieckim. Prokurator jechał z kierowcą służbowym oplem vectrą, który w niewyjaśnionych okolicznościach zjechał na pobocze, spadł z nasypu i dachował. Ranny jest pod opieką zespołu lekarzy w WAM w Łodzi.

#### **29 czerwca**

→ Poleski Ośrodek Sztuki na zakończenie sezonu uhonorował osoby, które w sezonie okazywały wsparcie i przyjaźń dla poczynań Ośrodka. Statuetki z liściem topoli zaprojektowane przez Jana Zielińskiego otrzymali Marzena Bomanowska z „Gazety Wyborczej” i Anna Groblińska z Radia Łódź.

→ Z rąk prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego otrzymali nominacje profesorskie: prof. Jolanta Rudzka-Habisiak, Małgorzata Wyszogrodzka-Trzcinka z Akademii Sztuk Pięknych, Magdalena Mikołajczyk-Chmiela z Uniwersytetu Łódzkiego w dziedzinie nauk biologicznych oraz Zbigniew Rau, także z Uniwersytetu Łódzkiego, w dziedzinie nauk prawnych.

→ Zakończono remont willi Oskara Zieglera – siedziby Łódzkiego Towarzystwa Naukowego. Remont sfinansowało miasto i naukowcy, którzy kupowali okolicznościowe cegielki.

### **PERSONALIA:**

#### **7 czerwca**

→ Inspektor Jacek Górecki objął stanowisko szefa Komendy Wojewódzkiej Policji w Łodzi. Nowy komendant całe zawodowe życie związany był ze stolicą, cieszy się opinią doskonałego fachowca i przemyślego człowieka.

#### **15 czerwca**

→ Przed udaniem się do szpitala prezydent Jerzy Kropiwnicki podjął kilka decyzji personalnych – dr Macieja Piotra Prochowskiego, specjalistę chorób płuc ze szpitala, w Łagiewnikach, ustanowił lekarzem miasta; Joannę Skrzydlewską mianował

przedstawicielką Łodzi w Biurze Regionalnym Województwa Łódzkiego w Brukseli; Wojciecha Łaszkiwicza, dotychczasowego pełnomocnika prezydenta d/s ratownictwa medycznego, koordynatorem zespołu doradców prezydenta; dr Michała Żebrowskiego, asystenta w Klinice Kardiologii Uniwersytetu Medycznego, lekarza ze specjalizacjami interny i medycyny społecznej, pełnomocnikiem d/s ratownictwa.

### 29 czerwca

→ Podinspektor Adam Maruszczak objął stanowisko naczelnika Zarządu Centralnego Biura Śledczego w Łodzi.

### ODESZLI:

#### 11 czerwca

→ Henryk Kluba – zmarł nagle podczas Ogólnopolskiego Konkursu Filmów Amatorskich w Koninie, gdzie przewodniczył jury. Odszedł profesor, wybitny reżyser filmowy, pedagog, wieloletni rektor łódzkiej szkoły filmowej. Laureat Nagrody Miasta Łodzi.

## LIPIEC 2005

### 1 lipca

→ W Muzeum Sztuki otwarto wystawę prac Norberta Thomasa zatytułowaną *Sztuka konkretna. Od płaszczyzny do przestrzeni*. Obrazy niemieckiego malarza gościły w Polsce po raz pierwszy.

→ Michał Urbaniak, znany skrzypek jazzowy wychowany w Łodzi, wymyślił festiwal Vena dla młodych muzyków. Festiwal zgodnie z planami pomysłodawcy będzie odbywał się w Łodzi, ale w przyszłości będzie rozszerzony na inne miasta.

Na konkurs nadesłano 685 utworów. Nazwiska wykonawców były zakodowane, do finału przeszło dziesięć osób. Zwycięzca otrzymał nagrodę w wysokości stu tysięcy złotych. Jest to najwyższa nagroda w historii polskiego przemysłu muzycznego.

→ Wszystkie szpitale wojewódzkie w regionie zerwały z dniem 1 lipca kontrakty z NFZ. Ta dramatyczna decyzja spowodowana została niskimi kontraktami na drugie półrocze i zadłużeniem szpitali. W praktyce oznacza to, że szpitale będą przyjmować tylko tych pacjentów, których życiu zagraża niebezpieczeństwo.

**2 lipca**

- Po dwudziestu latach przerwy łodzianie mogli oglądać filmy w letnim kinie na świeżym powietrzu. W pasażu Schillera ustawiono siedmiometrowy ekran. Pierwsze projekcje rozpoczęły się o 21.15. Kino powstało dzięki Muzeum Kinematografii, fundacji im. Bohdziewiczów i Wydziałowi Kultury Urzędu Miasta Łodzi.
- Na Lublinku otwarto największą i najnowocześniejszą w kraju sortownię odpadów, która będzie w stanie przetworzyć jedną trzecią miejskich śmieci. Sortownię uruchomiono dzięki dotacji z Unii Europejskiej. We wrześniu rozpocznie się w Łodzi kampania nakłaniająca do wstępnej segregacji śmieci w domach.
- Ośrodek Kultury Górna przy ul. Siedleckiej zorganizował wakacyjny kurs komputerowy dla babć i dziadków. Zainteresowanie przeszło oczekiwania organizatorów, planowano utworzyć jedną grupę, tymczasem z powodu dużej liczby chętnych trzeba było utworzyć aż pięć grup. Kurs trwał dwa tygodnie.
- Marcin Kaczmarek – asystent w Zakładzie Sterowania Robotów w Instytucie Automatyki PŁ – otrzymał pierwszą nagrodę w ogólnopolskim konkursie Stowarzyszenia Elektryków Polskich za model sztucznej ręki.

**3 lipca**

- Z okazji 25-lecia „Solidarności” Zarząd Regionu w Łodzi zorganizował wielki koncert na stadionie ŁKS, na który wolny wstęp mieli wszyscy łodzianie. Program opracowano z myślą o widzach w różnym wieku i różnych gustach. Wystąpiły m.in. zespoły dziecięce Krajki, Czarne Stopy oraz Krzysztof Cwynar, Kapela Bałucka i Jan Pietrzak z kabaretem „Pod Egidą”. W godzinach wieczornych odbył się pokaz sztucznych ogni. Gwoździem programu był finisz 16. Wyścigu Kolarskiego „Solidarności” i Olimpijczyków. W tym liczącym się wyścigu kolarskim wzięło udział ponad stu kolarzy z Europy, a nawet z Australii. Musieli pokonać blisko tysiąc kilometrów przez Polskę południowo-wschodnią.
- Firma farmaceutyczna Astra Zeneca ufundowała za 20 tys. złotych wyposażenie do placu zabaw przy Domu Małego Dziecka przy ul. Siewnej w Łodzi. Dwudziestu lekarzy z Łodzi i z Warszawy pomagało społecznie zamontować sprzęt. Dzieci nie posiadały się z radości. W Domu przebywa 120 pensjonariuszy, funduszy starcza jedynie na wyżywienie.
- Steve Semi-Sandberg, szwedzki pisarz, krytyk, redaktor działu literackiego w słynnej sztokholmskiej gazecie „Svenska Dagbladet” przyjechał do Łodzi, aby zbierać materiały do książki o łódzkim getcie.

**7 lipca**

- Łódzkie wyższe uczelnie odpowiadają na potrzeby społeczne i rynkowe. PWSFTViT otworzyła nowy kierunek studiów. Będą to dwuletnie, zaoczne studia uzupełniające nazwane „Realizacja programów dziennikarskich” dla osób

pracujących w telewizji. W Wyższej Szkole Studiów Międzynarodowych otwarto sinologię, a w Wyższej Szkole Humanistyczno-Ekonomicznej trzyletni kierunek studiów dla przyszłych tancerzy i aktorów scen muzycznych. Twórcą programu tych ostatnich studiów jest Janusz Józefowicz.

→ Radni Sejmiku podjęli decyzję o dofinansowaniu wielkich inwestycji kulturalnych. Dofinansowanie obejmie modernizację budynku dla Muzeum Sztuki, remont rezydencji Księży Młyn, remont Teatru Wielkiego, utworzenie scen Teatru Jaracza w województwie. Decyzje te pozwolą wymienionym instytucjom starać się o dofinansowanie z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego.

→ Agnieszka Najmałowska, założycielka pierwszego po wojnie chóru żydowskiego „Clil”, jako jedyna reprezentantka z Polski została zaproszona do USA na festiwal chórów żydowskich. Chór „Clil” ma w repertuarze pieśni żydowskie w języku polskim, hebrajskim i jidysz. Próby chóru odbywają się w Łodzi i w Warszawie.

→ W Galerii Willa przy ul. Wólczańskiej czynna jest Międzynarodowa Wystawa Miniatur Graficznych – efekt 12. Triennale Grafiki, obecnego w Łodzi od 1979 r.

### 8 lipca

→ Z dziennikarzami na szczególnej konferencji prasowej spotkał się prezydent Łodzi Jerzy Kropiwnicki, który dzień wcześniej wrócił z warszawskiego szpitala, gdzie przeszedł pomyślnie operację usunięcia nowotworu jelita grubego. Prezydent poinformował o swoim stanie zdrowia i o rokowaniach lekarskich na przyszłość. Wyraził opinię, że mówienie publiczne o chorobie nowotworowej pozwala przełamać pokutujące w społeczeństwie tabu. Skoro kobiety, zapadające najczęściej na raka piersi, odważyły się już mówić o tym szeroko, to także mężczyźni „po pięćdziesiątce”, u których z podobną częstotliwością pojawia się nowotwór jelita grubego – powinni mieć wzmożoną świadomość tego faktu – uważa prezydent. Dziennikarze odśpiewali Jerzemu Kropiwnickiemu *Sto lat*.

→ Na dwa miesiące zamknięto noclegownię im. św. Brata Alberta przy ul. Spokojnej w Łodzi. Pięćdziesięciu mieszkających tam mężczyzn koczuje w pobliskim lesie.

### 11 lipca

→ Rozpoczęły się Międzynarodowe Warsztaty Folklorystyczne z udziałem europejskich zespołów ludowych. Barwny korowód zapoczątkował warsztaty tanecznym marszem ul. Piotrkowską od Urzędu Miasta Łodzi do al. Piłsudskiego. Gośćmi opiekowały się zespoły „Łódź” i „Anilana”.

→ Regionalny Sąd Koleżeński Platformy Obywatelskiej odrzucił stawiane wobec posłanki Iwony Śledzińskiej-Katarasińskiej zarzuty i nie znalazł powodów do wymierzenia kary za spowodowanie niegroźnej stłuczki samochodowej i minimalne przekroczenie dozwolonej normy alkoholu we krwi. Sąd stwierdził, że zarzuty wobec posłanki nie zostały dostatecznie udowodnione.

→ Klerycy z Wyższego Seminarium Duchownego w Łodzi po raz pierwszy w ramach letnich praktyk podjęli pracę jako sanitariusze w Szpitalu im. Kopernika. Taka posługa i bezpośrednie zetknięcie z cierpieniem chorych przyda im się w późniejszej pracy duszpasterskiej.

→ Henryka Bochniarz, kandydatka Partii Demokratycznej na prezydenta RP, przyjechała do Łodzi na kilka godzin, aby spotkać się z wyborcami i przedstawić swój program.

→ Radni miejscy przegłosowali wniosek, aby patronką Łodzi została św. Faustyna Kowalska. Teraz arcybiskup Władysław Ziółek wystąpi do Watykanu o przyznanie miastu patronki.

#### **14 lipca**

→ Andrzej Kalina, którego grafiki wystawiła Galeria Bałucka na wystawie zatytułowanej *Moje miejsce*, jest jednym z trzynastu polskich twórców wybranych przez Japończyków do słownika grafików świata.

#### **PERSONALIA:**

#### **9 lipca**

→ Podinspektor Tomasz Klimczak został nowym rzecznikiem Komendanta Wojewódzkiego Policji w Łodzi. Rodowity łodzianin, gruntownie wykształcony, przeszedł różne szczeble pracy w policji.

#### **13 lipca**

→ Krzysztof Sadowski, ekonomista, członek SLD i Stowarzyszenia Ordynacka, od dwóch lat członek Rady Nadzorczej Radia Łódź, został nowym prezesem Radia w Łodzi. Rada Nadzorcza odwołała dotychczasowego prezesa Krzysztofa Jędrzejczaka oraz członków Zarządu Miłosza Wikę i Grzegorza Łajsa.

#### **15 lipca**

→ Tadeusz Wojciechowski będzie nowym dyrektorem artystycznym Filharmonii Łódzkiej. Znany artysta z wielkim dorobkiem był m.in. dyrektorem Opery Narodowej w Warszawie, Festiwalu Muzycznego w Łańcucie i Filharmonii w Rzeszowie.

#### **ODESZLI:**

#### **12 lipca**

→ Andrzej Romaniuk – prof. dr hab. Wybitny neurofizjolog, założyciel i dyrektor Instytutu Fizjologii i Cytologii Uniwersytetu Łódzkiego, wychowawca wielu pokoleń młodzieży akademickiej i pracowników nauki.



# Chronik der Stadt Lodz 3/2005

## Zusammenfassung:

Die ganze Nummer ist den Feierlichkeiten des Jahres der Deutschsprachigen Ländern gewidmet. Die unbestrittene „Deutschheit“ von Lodz ist in vielfältigen historischen Zusammenhängen und vielen gesellschaftlichen Aspekten zu sehen, es ist die Urkunde der deutsch-polnischen Geschichte der Stadt. Mehrdimensionaler Geschichte die sich nicht eindeutig interpretieren lässt und deren Fakten schwer objektiv einzuschätzen sind, aber gleichzeitig *Geschichte die offen auf die Zukunft ist.*

Der Teil „Die Ersten Kolumnen“ beginnt mit dem Artikel von **Gustaw Romanowski** mit dem Titel „Man schätzt einen anständigen Nachbarn“. Der Chefredakteur der „Chronik“ stellt in diesem Artikel seine persönlichen Erfahrungen des deutschen Problems vor, dessen verschiedene Formen und Wirkungen dauerhaft das Bewusstsein der gemeinsamen Erfahrungen der täglichen Existenz bestimmt haben. Das ähnliche Thema, aber von der Perspektive der indirekten Erkenntnis, berührt **Krzysztof Paweł Woźniak** im Text „Auf die schwere Probe gestellt“. Der Autor analysiert gründlich die Spezifikation der Einstellung und Beziehungen zwischen Polen und Deutschen in Lodz, von der Ankunft in die Stadt der ersten deutschen Kolonisten bis zum II Weltkrieg. Im „Verrotteten Epitaphen“ von **Piotr Werner** kann man sich mit der Geschichte von der neben Lodz liegenden Stadt Zlotno bekannt machen. Diese Region die heute im Grenzen der Verwaltung der Stadt liegt war ein Ort der intensiven Ansiedlung der Deutschen. Vom Bericht der Bürger folgt, dass die deutschen Nachbarn auch in der Zeit der Hitler-Okkupation versucht haben gute Beziehungen mit Polen zu pflegen. Der Teil wird mit dem Artikel von **Mieczysław Gumola** „Schauen wir mal in die Zukunft“ geschlossen. Der Autor erzählt von der Stärke der Vorurteile und dem Maßstab der gemeinsamen Reibereien in beiden Nationen. Er erzählt von den Versuchen der Überwindung der Abneigung, sowohl in den Handlungen der Organisationen, die im Rahmen dieses Zieles entstanden sind, als auch in Handlungen der einzelnen Personen. Allen liegt es am Herzen, die deutsch-polnische Beziehungen in der lokalen Dimension als auch auf der Ebene der politischen Kontakte mehr als nur korrekt zu machen.

Im Teil „Wissenschaft“ kämpft **Marek Strąkowski** mit dem Bild der Deutschen in dem polnischen Bewusstsein. Er fasst das Abbild zusammen in leicht interpretierbare im allgemeinen Empfang Stereotype. Darüber hinaus verfolgt **Mieczysław Gumola** in diesem Teil die Lernstufen der Deutschen Sprache „Vom Kindergarten bis zur Universität“, und **Hanna Nowakowska-Pogodzińska** beweist, dass es eine rentable Investition ist deutsch zu lernen. Wichtige Punkte sind auch Bücher und Schriften in der Bibliothek der Lodzer Universität und in der Bibliothek Namens Marschall Józef Piłsudski. Autoren der zwei selbständigen Bearbeitungen sind **Jerzy Andrzejewski** und **Piotr Sętkowski**.

Interessantes Material kann man im Teil „Kultur“ von **Łukasz Grzejszczak** finden, der detailliert die Lodzer Künstlerwelt der Künstler die deutsche Herkunft besitzen

präsentiert. Wir erfahren viele interessante Sachen über das Leben und Schaffen u.a. von Fryderyk Krzysztof Dietrich, Frieda Biedermann Frankowska, Otto Bauer, Karol Ende. Im Artikel „Höhen und Tiefen der Technoideologie“ beweist **Zuzanna Ogorzewska**, dass die Technomusik aus Deutschland nach Polen gekommen ist, und Lodz eine kurze Zeit eine wichtige Haltestelle auf dem Weg Ihrer Erforschung war. Der nächste Punkt in diesem Teil ist ein Text von **Magdalena Starzycka**, der von deutschen Schriftstellerin Tina Stroheker's Wallfahrt erzählt. Ein österreichischer Akzent wird von **Darek Kędziński** erzeugt, der ein Interview mit Ewa Kaja – einer in Wien lebenden Lodzler Künstlerin durchgeführt hat.

Die wichtigsten Punkte im Teil „Geschichte“ sind: „Ein notwendiges Übel“ und „Die ausgerissenen Wurzeln“. Im ersten erinnert **Marek Budziarek** an das, wie schwer es ist eine eindeutige Bewertung der deutsch-polnischen Kontakte zu machen ohne der Abrechnung mit der nationalen Geschichte. Im zweiten zeigt **Joanna Podolska** auf dem Beispiel eines Gespräches mit der aus Lodz stammenden Gertruda Stemarski, dass ein objektiver Gesichtspunkt der moralisch schweren Sachen nicht in der Mitte des Horizontes der gemeinsamen Unrechte gestellt werden kann. Im Text „Schiene die zum Ende geführt haben“ hat **Mariusz Szczepaniak** das Thema der ersten privaten Eisenbahn in Polen, die zu der Familie Scheibler gehört hat vertieft. Wiederum **Mateusz Sidor** hat sich mit einem Fall des Friedhofs beschäftigt, an den sich niemand mehr erinnert, weil von ihm nichts geblieben ist – „Die Pioniere des Teofilows“. In „Schwarzen Löchern, weißen Flecken“ haben zwei Artikel ihren Platz gefunden, die den Hauptmann Wilm Hosenfeld betreffen. **Danuta Gruszczyńska** stellt den Wehrmachthauptmann im Licht der Fakten seiner Handlungen. Wiederum **Winfried Lipscher** hat eine ganz emotionelle Beziehung zu seinem Artikelheld – „Hosenfeld – Der gerechte Deutsche“.

Im Teil „Die Lodzler“ präsentiert Łukasz Grzejszczak die Gestalt einer der interessantesten Individualitäten der Lodzler Künstlerwelt – Otton Edward Poppel. Mieczysław Gumola erzählt die Geschichte von Helena Milczarek-Weingärtner – der Vorsitzenden der Deutschen Sozial-Kulturellen Gesellschaft in Lodz.

Der Teil „Wohnviertel, Häuser, Straßen“ betrifft im ganzen den Einfluss der deutschen Entwerfer auf die Gestalt und auf das Bild der Stadt Lodz. **Krzysztof Stefański** präsentiert das Lexikon der deutschen Architekten und Bauarbeitern um die Jahrhundertwende XIX./XX., dagegen **Tomasz Bolanowski** macht uns aufmerksam auf urbanistisch-architektonische Okkupationsprojekte, die Hitlermächte realisieren wollten.

In den „Familienchroniken“ ruft Magdalena Starzycka eine Lodzler Familie des deutsch-ungarischen Stammes zurück, durch Generationen mit der Poznanskifabrik verbunden. Die Geschichte der Familie aus Sachsen, die für immer Lodz lieb gewonnen hat erzählt in ihrem Artikel „Die Sachsen aus Żubardź“ Joanna Napiórkowska.

Außerdem in dieser Nummer der „Chronik der Stadt Lodz“:

Artikel von Mateusz Sidor „Auf dem Weg mit Christus“ der sich mit der Geschichte und Doktrin der Evangelisch-methodistischer Kirche beschäftigt, die Übersetzung des Textes von Tina Stroheker der in einem Magazin in Bonn „Kulturpolitische Korrespondenz“ erschienen ist, in dem die Schriftstellerin von ihrem Besuch in Lodz erzählt und „Raptularz“ d.h. traditionelle Schau der wichtigsten Ereignisse in der Stadt.



Übersetzt von Karolina Bernatowicz

Zusammenfassung | str. 2

256

PR

10671-A

